REMIGIUSZ

MRÓZ

CZARNA MADONNA

C Z A R N A M A D O N N A

CZWARTA STRONA

REMIGIUSZ

MRÓZ

CZARNA MADONNA

Copyright © Remigiusz Mróz, 2017
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

Redaktor prowadząca: Monika Długa
Redakcja: Karolina Borowiec
Korekta: Magdalena Owczarzak
Projekt okładki: Dark Crayon / Piotr Cieśliński
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2017

ISBN 978-83-7976-711-3

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Dla Ev,
to ta czerwona okładka, na którą czekałaś?

Choć fabuła jest fikcyjna, w książce zostały
opisane także prawdziwe zdarzenia.
Katastrofa lotu Japan Air 123 została odtworzona na
podstawie nagrań z czarnych skrzynek.

Vigilate itaque, quia nescitis diem neque horam.
(*Czuwajcie zatem, bo nie znacie dnia ani godziny*).
Słowa Jezusa Chrystusa,
Ewangelia wg św. Mateusza

Rozdział I

Signum sanctae crucis

I

Szatan istnieje. Nie tylko jako idea, uosobienie naszych własnych demonów lub symbol zła, ale jako osoba. Jezus rozmawiał z nim, przebywając na pustyni. Leon XIII widział go, kiedy odprawiał mszę – potem polecił całemu miastu modlić się, by Bóg strącił diabła do piekła. W Rytuale rzymskim znajduje się egzorcyzm, który papież ułożył niedługo potem i który odmawiał kilkakrotnie każdego dnia.

Być może dzięki osobom tak gorliwym, jak Leon XIII, zło przez lata pozostawało w ukryciu. W pewnym momencie coś się jednak zmieniło.

Było to trzynastego kwietnia, cztery lata po tym, jak na dobre zdjąłem koloratkę i schowałem ją na dnie jednej z szuflad. Wcześniej spędziłem sześć lat w seminarium, po prymicji jeszcze przez kilka podążałem drogą, która wydawała mi się jedyną słuszną. Zszedłem z niej niedługo po tym, jak poznałem Anetę.

Przychodziła na msze, które celebrowałem jako wikariusz parafialny. Spowiadałem ją kilkakrotnie, bywałem u niej na kolędzie. Udzieliłem nawet ślubu jej siostrze, nie przypuszczając, że kiedyś sam stanę z Anetą na ślubnym kobiercu.

A raczej, że niemal to zrobię.

Stało się to możliwe tylko dlatego, że po zrezygnowaniu z kapłaństwa dzięki mojemu biskupowi uzyskałem papieską dyspensę. Wprawdzie sakramentu święceń wyrzec się nie mogłem i duchownym miałem pozostać do końca życia, ale wolno mi było uczestniczyć w życiu Kościoła jak każdemu innemu wiernemu. Także poprzez zawarcie małżeństwa.

Trzynastego kwietnia dzieliło mnie od tego raptem kilka miesięcy. Razem z Anetą mieliśmy wybrać się w podróż przedślubną do Ziemi Świętej. Długo to planowaliśmy, odłożyliśmy pieniądze, ale pech chciał, że sytuacja zmusiła mnie, bym został w Polsce. Może gdyby nie zaciągnięte kredyty i opłakana sytuacja finansowa, stałoby się inaczej. Ostatecznie jednak nie miałem wyjścia – musiałem wybierać między podróżą do Izraela a perspektywą pożegnania się z pracą.

Moja narzeczona po długich namowach poleciała sama. A ja niedługo potem miałem przekonać się, że dług we frankach okaże się błahostką w porównaniu z tym, co przyjdzie mi spłacać przez resztę życia.

Tamtej nocy miałem problemy z zaśnięciem – może dlatego, że puste łóżko przypominało mi samotne życie, które niegdyś wiodłem. Obawiałem się, że nie zmrużę oka, ale w pewnym momencie sen w końcu mnie zmorzył. Nie na długo. Kwadrans, może dwa po tym, jak zasnąłem, obudziła mnie komórka.

Wibrowała na szafce nocnej, ale miałem wrażenie, jakby to rzeczywistość drgała.

Jęknąłem, żałując, że wyrwano mnie z błogiej nicości snu, którego już nie pamiętałem. Dopiero po chwili zreflektowałem się, że najpewniej dzwoni Aneta, by powiedzieć, że bezpiecznie wylądowała.

Spojrzałem na wyświetlacz i przekonałem się, że mam kilka nieodebranych połączeń. Może spałem mocniej i dłużej, niż mi się wydawało. Zmrużyłem oczy, rozdrażniony blaskiem

wyświetlacza i faktem, że to nie narzeczona próbowała się ze mną skontaktować, ale mój ojciec.

Jedna z ostatnich osób, z którymi chciałbym rozmawiać. Szczególnie w środku nocy.

Mimo to przesunąłem palcem po ekranie.

– Tak? – zapytałem.

– Chryste… – powiedział na wydechu ojciec. – Myślałem…

– Co się dzieje?

– Myślałem, że jesteś na pokładzie tego samolotu.

Podsunąłem się do wezgłowia i włączyłem nocną lampkę. Wyraźna ulga w głosie ojca była niepokojąca, należał bowiem do wyjątkowo powściągliwych osób. Nie popadał w egzaltację nawet wtedy, kiedy sytuacja tego wymagała. Z punktu widzenia przeciętnego rozmówcy była to niewątpliwa zaleta – z punktu widzenia syna niekoniecznie.

– Nie poleciałem – odparłem, jeszcze niedobudzony. – Aneta w końcu dała się przekonać, żeby…

– Była tam?

Czas przeszły był jak cios prosto między oczy. Odchrząknąłem nerwowo.

– Co się dzieje? – powtórzyłem. – O co chodzi?

Milczał, ale słyszałem, jak łapczywie nabiera tchu. Zupełnie jakby dopiero wynurzył się spod wody po próbie pobicia rekordu w czasie nurkowania.

– Halo? – ponagliłem go.

Wiedziałem już, z czego wynika moja irytacja. Nawet gdyby powiedział mniej, a mój umysł wzbraniałby się przed zrozumieniem implikacji tego telefonu, pojąłbym, że wydarzyła się tragedia.

– Stracili kontakt z maszyną – oznajmił.

Nie odpowiedziałem.

– Włącz NSI – poradził. – Trwa relacja na żywo.

Podniosłem się powoli, spokojnie. Nie docierał do mnie sens słów ojca. Poszedłem do salonu, odnosząc wrażenie, jakby

każdy krok był okupiony wręcz absurdalnym wysiłkiem. Włączyłem telewizor i stanąłem przed nim jak przed ołtarzem.

Ojciec przez chwilę podawał mi te same informacje, które przekazywano na antenie stacji informacyjnej. Na koniec zapytał, czy to na pewno ten samolot.

Lot tanich irlandzkich linii lotniczych Air Hibernia z wrocławskich Strachowic na lotnisko Bena Guriona w Tel Awiwie. Numer rejsu AH 3836. Boeing 747-100-SR-46. Nie mogło być mowy o żadnej pomyłce.

Nogi się pode mną ugięły i opadłem ciężko na fotel. Słyszałem głos w słuchawce, ale nie rozumiałem już żadnych słów.

– Filip? – zapytał z niepokojem ojciec. – Słyszysz mnie?

Właściwie tylko on mówił do mnie po imieniu. Wszyscy inni używali pseudonimu Bergkamp – lub skrótu Berg – którego nabawiłem się, kiedy w latach dziewięćdziesiątych kupiłem na bazarze koszulkę holenderskiego piłkarza.

– Słyszę.

– Mówiłem, że ostatni kontakt z maszyną był na ponad pół godziny przed planowanym lądowaniem. Gdzieś nad Morzem Śródziemnym.

– Nad Lewantyńskim – poprawiłem go, potrząsając głową. – Właśnie mówią o tym na NSI.

Przejęty głos prowadzącego nocne pasmo informacyjne zdawał się złowróżbny, jakby mężczyzna zaraz miał zapowiedzieć huk siedmiu archanielskich trąb zwiastujących koniec świata.

Być może w pewnym sensie tak było. Przynajmniej dla mnie.

– Są jakieś hipotezy? – zapytałem, wciąż zbity z tropu. – Wiedzą, co się stało?

– Mogło dojść do awarii transpondera. Rozważają też porwanie…

Nie wspomniał o najbardziej prawdopodobnej przyczynie, która sama się nasuwała. Byłem mu za to wdzięczny. Gdybym

usłyszał z jego ust słowo „katastrofa”, zapewne byłoby mi jeszcze trudniej ogarnąć umysłem to, co się działo.

– Za kwadrans oświadczenie ma wydać rzecznik linii lotniczych – dodał.

Spojrzałem na zegarek, zastanawiając się, ile osób w środku nocy będzie słuchało przedstawiciela Air Hibernia. Zapewne niewiele, większość rodzin nie miała pojęcia, że coś złego stało się z ich bliskimi. Prześpią tę noc spokojnie. Jako jedną z ostatnich.

Rano zacznie się gehenna.

– Takie awarie się zdarzają – dodał ojciec.

– Transpondera?

– Oczywiście.

Nie sądziłem, by to było przyczyną braku sygnału. Może przemawiał przeze mnie pesymizm, a może fakt, że od pewnego czasu media skrupulatnie relacjonowały każdy przypadek zaginięcia samolotu.

Nie trzeba było kończyć zaawansowanego kursu z astronautyki, by wiedzieć, że na pokładzie każdej maszyny znajduje się zapasowy transponder. Wystarczyło śledzić doniesienia choćby na temat katastrofy samolotu EgyptAir lecącego z Paryża do Kairu.

Przez moment obaj milczeliśmy, słuchając dziennikarza NSI. Podawał wciąż te same informacje, nie siląc się nawet na szukanie synonimów. W materiale wideo powtarzały się ujęcia z wrocławskiego lotniska, wykonane przy jakiejś innej okazji. Na pierwszym planie widoczny był dreamliner LOT-u, w oddali startowała maszyna Air Hibernia, być może ta sama, którą dziś leciała Aneta.

Ledwo ta myśl nadeszła, poczułem chłód na całym ciele, jakby ktoś otworzył wszystkie okna w mieszkaniu. Mimowolnie potarłem ręce.

– Próbowałeś do niej dzwonić? – zapytałem.

– Kilkakrotnie. Nie ma sygnału.

Milczałem.

– To jeszcze nic nie znaczy – dodał. – Tak naprawdę nic jeszcze nie wiemy.

Wiedzieliśmy jednak dużo więcej, niż byliśmy w stanie przyznać.

– No tak… – odpowiedziałem, a potem spojrzałem na telefon. – Za chwilę oddzwonię.

– W porządku.

Zdawał sobie sprawę, że muszę sam spróbować. Dopiero usłyszenie mechanicznego komunikatu z centrali mogło mi uświadomić, że naprawdę nie ma kontaktu z moją narzeczoną.

Nabrałem tchu i lekko dotknąłem jej zdjęcia na widgecie szybkiego wybierania. W słuchawce zaległa absolutna cisza, co wydało mi się dziwne. Byłem przekonany, że usłyszę sygnał wybierania numeru, a potem kobiecy głos, który oznajmi po polsku i angielsku, że abonent jest tymczasowo niedostępny.

Na linii jednak rozbrzmiało coś innego. Cichy, metaliczny chrzęst, kojarzący się z dźwiękami fabrycznymi. Niepokojący i w jakiś sposób dotykający tych strun w duszy, które zazwyczaj się nie poruszają.

Nieprzyjemny pogłos szybko ucichł i zamiast niego usłyszałem sygnał nawiązywanego połączenia. Oplotło mnie uczucie gorąca. W jakiś sposób złowieszcze, pochmurne. Okazało się jednak niczym w porównaniu z tym, co poczułem chwilę później.

Usłyszałem kilka słów w nieznanym języku.

Wypowiadanych moim własnym głosem.

Potem nastała cisza.

II

Rankiem odwiedziła mnie Kinga, starsza siostra mojej narzeczonej. Mieszkała kilka klatek dalej, na tym samym wrocławskim osiedlu przy Gerberowej, na Krzykach. W przeciwieństwie do nas nie musiała jednak się zadłużać, stać ją było na mieszkanie.

Chciała nawet dołożyć się do zakupu naszego – i właściwie mnie to nie dziwiło. Ona i Aneta nie należały do sióstr, które uporczywie ścierałyby się ze sobą przez całe dzieciństwo. Przeciwnie, mimo kilkuletniej różnicy wieku były nierozłączne.

Zaparzyłem Kindze herbatę, zastanawiając się, czy powiedzieć jej o głosie, który słyszałem w nocy. Kilka godzin po tym zdarzeniu nie mogłem przesądzić, czy rzeczywiście należał do mnie. Ani tym bardziej w jakim języku mówił.

Właściwie nie byłem nawet pewien, czy go słyszałem.

Przez jakiś czas łudziłem się, że to omamy, i próbowałem złożyć wszystko na karb szoku. Ostatecznie doszedłem jednak do wniosku, że to tylko marna próba ucieczki udręczonego umysłu, który boi się prawdy. Tak czy inaczej, postanowiłem zachować wszystko dla siebie. Przynajmniej na razie.

– Wiadomo coś? – zapytała Kinga, kiedy podałem jej kubek.

Miała zapuchnięte oczy, mówiła łamiącym się głosem.

– Nie – odparłem ciężko i usiadłem po drugiej stronie stołu. – Nie ma po nich śladu.

– Przecież… – zaczęła i urwała, kręcąc głową. – To ogromny samolot, ponad pięćset osób na pokładzie… nie może zniknąć ot tak. Są przecież radary, cała przestrzeń wokół Ziemi jest naszpikowana satelitami…

Na antenie NSI i TVN24 wałkowano to od wczesnych godzin porannych. Mimo że nie było jeszcze siódmej, obejrzałem

wystąpienia dwóch specjalistów lotnictwa, którzy właściwie tylko potwierdzili to, co już wiedziałem.

– Urządzenia cywilne namierzają tylko aktywne transpondery – powiedziałem. – Te wojskowe musiałyby zostać odpowiednio wymierzone.

Niestety, prawda była taka, że nawet An-225 Mrija, największy samolot na świecie, mógłby zniknąć bez śladu. Co dopiero dużo mniejszy boeing.

– Ale…

– W dodatku cywilne stacje mają niewielki zasięg, raptem czterysta kilometrów. Nie wyłapią maszyny nad oceanem.

– W takim razie wojsko mogłoby pomóc. Przecież samolot zniknął niedaleko przestrzeni powietrznej Izraela. Gdzie jak gdzie, ale na Bliskim Wschodzie muszą trzymać rękę na pulsie.

– I trzymają.

– Więc nie rozumiem, w czym problem?

– W tym, że wojskowe radary przy takiej odległości śledzą pułap powyżej trzech tysięcy metrów. A kiedy ten samolot był w ich zasięgu, leciał już dużo niżej.

Przez moment po prostu na siebie patrzyliśmy, prowadząc bezgłośny dialog. Potem oboje spuściliśmy wzrok. Wiedzieliśmy, że im dłużej trwa cisza, tym gorzej.

– Jak to możliwe, że nie istnieje jakiś awaryjny system satelitarny na taki wypadek? – zapytała Kinga.

Wzruszyłem ramionami, a potem podniosłem się i zrobiłem herbatę także sobie. Czarną earl grey, innej nie piłem. Ominęła mnie moda na wszystkie te białe, zielone, matche, yerby i pu-erhy. Zanurzyłem kilkakrotnie torebkę, zastanawiając się, czy nie zacząć dnia od czegoś mocniejszego, ale może lepiej było przynajmniej przez jakiś czas zachować trzeźwy umysł.

– Byle komórka za kilkaset złotych ma nadajnik GPS, Berg – dodała nieobecnym głosem Kinga.

– Bo komórkę wymieniasz co rok czy dwa.

– Co? – zapytała, ogrzewając dłonie kubkiem, jakby był środek zimy.

– Sprzęt, o którym mówimy, kosztuje krocie. A projektowano go na początku dwudziestego wieku – odparłem.

– W takim razie najwyższa pora na zmiany.

– I może do nich dojdzie. Po katastrofie MH 370 podjęto jakieś próby, ale w skali globalnej koszt wymiany całego sprzętu byłby gigantyczny.

Starałem się skupić na tym, co mówię, ale myśli wciąż wracały do głosu, który słyszałem. Głosu, który zdawał się wżerać we mnie jak rdza w metal. Korodowałem od środka, a w dodatku sam do tego doprowadziłem, wybierając numer Anety. Nieopatrznie wtłoczyłem w siebie coś, co zaczynało mnie niszczyć.

– Zanim stracono kontakt, nie doszło do żadnej zmiany kursu – odezwałem się z nadzieją, że dalsza rozmowa pomoże mi przestać o tym myśleć. – Nic nie wskazuje na porwanie.

– To dobrze.

Milczenie znów się przeciągało, a ja nie wiedziałem, czy powinienem je przerywać.

– Ale… na Boga, gdzie jest ten samolot? – zapytała Kinga.

Miałem wrażenie, że bardzo daleko. Dalej, niż ktokolwiek z nas mógłby przypuszczać. Zachowałem jednak tę uwagę dla siebie.

Godzinę później zaczęły się pojawiać szczątkowe informacje. Okazało się, że maszyna była wyposażona w system ACARS, sprawny i systematycznie wysyłający sygnały radiowe. Te również w pewnym momencie po prostu się urwały.

Ostatni komunikat wysłany przez kapitana do wieży kontroli lotów sugerował, że nie dzieje się nic złego, a załoga niebawem rozpocznie przygotowania do procedury podejścia na lotnisko Bena Guriona w Tel Awiwie.

Około południa potwierdziło się, że maszyna Air Hibernia w istocie nie została porwana. Za najbardziej prawdopodobną wersję przyjęto, że spadła do morza. Kiedy po raz pierwszy powiedziano o tym otwarcie na antenie NSI, Kinga zaniosła się płaczem.

Podobnie jak wszystkie inne siostry na świecie, Aneta i Kinga nierówno podzieliły się hartem ducha. Jedna była silną, dominującą osobowością, druga raczej podążała tam, gdzie jej siostra.

Patrząc na Kingę, pomyślałem, że moja narzeczona nigdy nie uroniłaby łzy, gdyby sytuacja się odwróciła. Odchodziłaby od zmysłów, złorzeczyła na wszystko i wszystkich, ale z pewnością by nie płakała. W tym względzie przypominała mojego ojca – większość emocji zachowywała dla siebie. Najłatwiej przychodziło jej okazywanie tych negatywnych, mimo że często wynikały z troski, sympatii czy nawet miłości.

Ale może właśnie dlatego tak bardzo pociągał mnie jej charakter. Może to dla niego zdjąłem raz na zawsze koloratkę.

Tak przynajmniej powtarzałem sobie przez pewien czas. Prawda była jednak taka, że myśl, żeby porzucić celibat, pojawiła się w mojej głowie nie kiedy poznałem Anetę, ale kiedy udzielałem ślubu Kindze i jej ówczesnemu narzeczonemu.

Co jakiś czas walczyłem z tą konkluzją jak z natrętną muchą, która nieustannie gdzieś brzęczy, ale nie sposób jej znaleźć. Pod tym względem poranek trzynastego kwietnia niczym nie różnił się od innych dni.

Odsunąłem jednak myśli o przeszłości, starając się skupić na obecnych problemach. Kinga długo siedziała przy stole w milczeniu, a ja nie miałem zamiaru silić się na bezowocne próby pocieszenia jej.

Oprócz tego oboje wyjątkowo sprawnie oszukiwaliśmy samych siebie, że wszystko dobrze się skończy, a Aneta do nas wróci. Przypuszczam, że każdy na naszym miejscu stawał się

podobnym naciągaczem – dilerem handlującym złudną nadzieją i nieracjonalną ufnością w szczęśliwy finał.

– Co teraz? – zapytała w końcu słabym głosem.

Oderwałem wzrok od stojącego na stole laptopa. Przeglądałem zachodnie serwisy informacyjne, właściwie czując się jak chomik w klatce. Po kilku rundach na tym informacyjnym kołowrocie uznałem, że najwięcej sensownych wieści pojawiało się na portalu BBC. Spodziewałem się, że niebawem to się zmieni i prym będzie wiodła CNN. W Atlancie była dopiero szósta rano, więc Amerykanie uaktywnią się zapewne za godzinę lub dwie.

– Berg? – dopomniała się o uwagę Kinga.

Spojrzałem na monitor. Brytyjczycy podali kilka nowych, niewiele wnoszących szczegółów. Do tego pojawiły się wzmianki, które należało traktować wyłącznie jako plotki – wyraźnie zresztą zaznaczono, że są niepotwierdzone.

– Rozszerzyli obszar poszukiwań do pięciu tysięcy kilometrów kwadratowych.

– Czyli…

– Szukają wraku – dodałem.

Choć ledwo przeszło mi to przez gardło, czułem, że powinno zostać powiedziane.

– Nie ma już wątpliwości, że samolot spadł do morza – ciągnąłem. – W akcję poszukiwawczą zaangażowanych jest teraz kilka krajów, kolejne dołączają.

Zreferowałem jej to tak urzędowym tonem, że sam poczułem się nieswojo.

– Może ktoś przeżył – jęknęła. – Jest jeszcze nadzieja…

– Jest – przyznałem. – Nieraz zdarzało się, że w podobnych sytuacjach odnajdywano ocalałych.

Nie zabrzmiało to dobrze. I na dobrą sprawę dopiero teraz uświadomiłem sobie, że rozmawiamy o katastrofie, do której doszło naprawdę. Rzeczywistość przez moment wydawała się oplatającą mnie cienką, wątłą błoną, która powoli pękała.

– W nocy czytałam w internecie, że mogło dojść do zderzenia z wojskowym dronem. W końcu to teren, który armia ma na oku.

Ja zaś czytałem o tunelu czasoprzestrzennym, który miał wessać AH 3836 do innego wymiaru, o uprowadzeniu przez rząd USA, o zestrzeleniu przez Koreę Północną, o porwaniu przez dżihadystów lub w końcu przez obcych. W ten ostatni scenariusz nie byłem gotów uwierzyć – od kiedy w telefonach komórkowych zaczęto montować wysokiej jakości obiektywy, liczba zdjęć niezidentyfikowanych obiektów latających drastycznie spadła. W tej chwili wynosiła chyba zero, co w porównaniu z niegdysiejszym zalewem nagrań dawało do myślenia.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie wyczekująco. Nie wiem, czego się po sobie spodziewaliśmy. Że jedno z nas doda drugiemu otuchy? Odnajdzie w sobie choć nieco nadziei?

Nie było na to miejsca. I potwierdziły to słowa Kingi.

– Powinniśmy… – zaczęła niepewnie. – Powinniśmy założyć najgorsze, prawda?

Nie odpowiedziałem.

– Nigdy nie słyszałam o ocalałych po katastrofach lotniczych – dodała, zawieszając nieobecny wzrok gdzieś za oknem. – A chyba byłoby o tym głośno.

– Było – odparłem. – Choćby w osiemdziesiątym siódmym, kiedy lot 225 Northwest Airlines rozbił się w Detroit zaraz po starcie. Zginęły sto pięćdziesiąt cztery osoby ze stu pięćdziesięciu pięciu znajdujących się na pokładzie. Przeżyła tylko czteroletnia dziewczynka, Cecelia Cichan.

Kinga spojrzała na mnie z powątpiewaniem, jakbym wymyślił to naprędce.

– Najgłośniejszy przypadek to Yemenia 626 z dwa tysiące dziewiątego roku. Maszyna spadła do Oceanu Indyjskiego podczas podchodzenia do lądowania. Ze stu pięćdziesięciu pięciu osób na pokładzie przeżyła tylko czternastoletnia Bahia

Bakari, mimo że nie potrafiła pływać ani nie miała kamizelki ratunkowej.

Niewielki, ledwo dostrzegalny błysk pojawił się w oczach Kingi.

– Naprawdę?

– Mhm – potwierdziłem. – Cuda się zdarzają. A ja pół nocy spędziłem na czytaniu o nich. Było więcej takich przypadków.

Pokiwała głową bez przekonania, jakby chciała mi zakomunikować, że tyle nie wystarczy, by zaczęła się łudzić, że siostra nadal żyje. Czekała na więcej, nie miałem jej jednak nic do zaoferowania.

I oczywiście kłamałem, mówiąc, że pół nocy rozeznawałem się w optymistycznej materii. Cudowne ocalenia znałem już wcześniej, a kilka ostatnich godzin spędziłem na raczej przygnębiających rozważaniach.

I na obracaniu w głowie nieznanych słów, które usłyszałem.

– Wiadomo coś o pilotach? – zapytała Kinga.

– Wszystko i nic.

– Słucham?

– Linie lotnicze podały tyle informacji, że można by napisać dwie biografie, ale na ile byłyby konfabulacją, a na ile oddaniem faktów, trudno powiedzieć.

– Myślisz, że ci ludzie mogli celowo rozbić samolot?

– Nie – odparłem stanowczo. – BBC podaje, że to dwóch Irlandczyków z dziada pradziada, nie mieli żadnych powiązań z organizacjami terrorystycznymi.

– Mogło odbić któremuś z nich… a poza tym byli tam przecież inni członkowie załogi, nawigator…

– Wszyscy czyści jak łza, jeśli wierzyć dziennikarzom Sky News. To oni jako pierwsi dotarli do manifestu pokładowego.

Przez kwadrans Kinga zadawała kolejne pytania, a ja odpowiadałem, jakbym miał wcześniej przygotowane szablony. Powtarzałem wszystko to, co usłyszałem w mediach. Tak, szukają z powietrza plam oleju unoszących się na wodzie. Nie,

na obrazie z satelity nie widać tak małego punktu, jakim jest samolot. Tak, czarne skrzynki wysyłają sygnały. Nie, obszar jest zbyt duży, by bez konkretnej lokalizacji odebrać to, co emitują nadajniki.

W końcu oboje spasowaliśmy, uświadamiając sobie, że ponad siedemdziesiąt procent naszej planety stanowi woda, więc samoloty naprawdę mają się gdzie zgubić. Samo Morze Śródziemne rozciąga się na przestrzeni przeszło dwóch i pół miliona kilometrów kwadratowych – a jest to ośmiokrotność terytorium Polski. W dodatku średnia głębokość wynosi półtora kilometra.

To nie było szukanie igły w stogu siana. Raczej źdźbła w stogu igieł.

Nikt nie mógł mieć dla nas żadnych informacji, mimo to Kinga próbowała skontaktować się z ambasadą w Izraelu, a potem z naszym ministerstwem spraw zagranicznych. Pracownicy obydwu placówek zapewnili ją, że służby robią wszystko, by ustalić, co w istocie miało miejsce.

Tym samym w niezbyt wymyślny sposób dano nam do zrozumienia, że jest naprawdę źle.

Przez kolejne godziny wypiliśmy hektolitry herbaty i kawy, a wraz ze wzrostem poziomu kofeiny w organizmach rósł także niepokój w naszych głowach. Na tym etapie mogliśmy – i powinniśmy – być już pewni, że nikt nie przeżył.

Przynajmniej do piętnastej. Wtedy pojawiła się wiadomość, która zelektryzowała wszystkich i sprawiła, że nawet tych, którzy do tej pory nie interesowali się losem zaginionej maszyny, przykuło do telewizorów i monitorów.

Jako pierwsza informację o odebraniu sygnału transpondera podała CNN. Wieść rozeszła się po całym świecie lotem błyskawicy. Może nawet szybciej, niż podróżują udostępniane na Facebooku posty o znęcaniu się nad zwierzętami.

Gdyby wiadomość nie pochodziła od CNN, zapewne wszyscy bylibyśmy bardziej sceptyczni. Dziennikarze tej stacji trzymali

się jednak pewnych standardów. Jeśli upublicznili informację, należało przyjąć, że potwierdzili ją przynajmniej u dwóch, może trzech niezależnych źródeł.

Sygnał zarejestrowała kontrola lotów w Dżeddzie, na zachodnim wybrzeżu Arabii Saudyjskiej. Dane sugerowały, że AH 3836 znajduje się gdzieś nad Morzem Czerwonym.

Po tym, jak pierwszy raz o tym usłyszeliśmy, potrzebowaliśmy kilku minut absolutnej ciszy, by przyswoić tę wieść. Czułem na sobie wzrok Kingi – ponaglający, pytający i sugerujący, że to we mnie szuka ratunku.

Ja tymczasem zmagałem się z tym, żeby nie pozwolić błonie rzeczywistości pęknąć. Miałem jednak wrażenie, że dzieli mnie od tego już niewiele.

– Jak to możliwe? – spytała. – Lecieli dalej? Minęli Izrael i skierowali się na południe?

Czym prędzej wszedłem na Google Maps. Miałem szczątkową wiedzę na temat Bliskiego Wschodu, ale trudno było powiedzieć, czy nowy kurs był przedłużeniem poprzedniego, czy może boeing zmienił trasę.

Szybko przekonałem się, że Kinga miała rację.

– Wygląda na to, że po prostu polecieli dalej – powiedziałem.

– Autopilot?

– To by wiele tłumaczyło.

– Może załoga straciła przytomność i nikt nie mógł dostać się do kokpitu.

Pokręciłem głową, a ona popatrzyła na mnie z pretensją, jakbym był winny całej sytuacji. Wydawało mi się, że po katastrofie airbusa Germanwings każdy zdawał sobie sprawę, na jakiej zasadzie działała blokada drzwi kokpitu.

– Personel zna kod, dzięki któremu może wejść do kabiny – wyjaśniłem. – Chyba że w ciągu trzydziestu sekund ktoś w środku zablokuje dostęp.

– Może więc tak się stało?

Wydawało mi się to mało prawdopodobne.

– I porywacz kierowałby się dalej na południe? – zapytałem. – Raczej zawróciłby w kierunku jakiegoś europejskiego miasta.

– Arabia Saudyjska też nieraz podpadła ekstremistom.

W tym musiałem przyznać jej rację. Saudów nienawidzili wszyscy szyici, ale to nie ten odłam islamu stanowił dla nich główny problem. Na cel brali ich także ekstremiści sunniccy z ISIS i Al-Kaidy. Teoretycznie możliwe było, że któraś z tych organizacji porwała samolot.

Tylko teoretycznie. W praktyce wiązałoby się to ze zbyt dużym ryzykiem, którego można było uniknąć, decydując się na wybuch bomby, użycie ciężarówki czy inny samobójczy atak. Jeśli ktoś rzeczywiście miałby porwać boeinga, to jedynie po to, by uderzyć w miejsca inaczej niedostępne.

Chwilę później dowiedzieliśmy się, że transponder był aktywny tylko przez moment. Potem kontakt się urwał i po samolocie znów nie było śladu. Spekulowano, że na pokładzie rzeczywiście mogą być terroryści oraz że w pewnym momencie pasażerom lub załodze udało się dostać do kokpitu. Zanim jednak zdążyli włączyć cokolwiek poza urządzeniem wysyłającym sygnał, zostali obezwładnieni.

Była to logiczna koncepcja. Spójna.

Przynajmniej do czasu, aż pojawił się kolejny sygnał. Tym razem znad Sahary Zachodniej, oddalonej od wybrzeża Arabii o mniej więcej pięć tysięcy kilometrów.

III

Byłem przekonany, że czeka mnie kolejna nieprzespana noc. Echem w głowie odbijały mi się głosy zagubionych komentatorów, którzy starali się doszukać logiki w czymś, co zasadniczo stało z nią w sprzeczności.

Błąd systemu, usterka techniczna innego urządzenia, fałszywe odczyty wieży kontroli lotów. Ten ostatni scenariusz wydawał się najbardziej sensowny, choć i on do mnie nie przemawiał. Do błędu musiałoby bowiem dojść zarówno w Dżeddzie, jak i na Teneryfie, gdzie znajdowała się stacja, która odebrała drugi sygnał.

Trzeci pojawił się z samego rana, kiedy obudziłem się zdziwiony, że udało mi się zmrużyć oko. Tym razem lot AH 3836 został zlokalizowany gdzieś w pobliżu Zatoki Gwinejskiej, w przestrzeni powietrznej Nigerii.

Wszystkie trzy punkty znajdowały się w północnej Afryce. Były jednak od siebie tak oddalone, że nawet najbardziej szaleni pasjonaci lotnictwa nie byli gotowi przyjąć hipotezy, że samolot mógłby naprawdę znajdować się w tych miejscach.

Zrobiono więc to, co zazwyczaj robi się w przypadku, gdy pojawia się nowy, wcześniej nieznany problem – złożono wszystko na karb nowych technologii. Winnymi okrzyknięto hakerów, którzy albo działali na zlecenie organizacji terrorystycznych, albo skorzystali z okazji, by pokazać, na co ich stać. Nie było zgody co do tego, która wersja jest prawdziwa, ale dla wszystkich komentatorów stało się jasne, że trzeciej możliwości nie ma.

Przez pewien czas byłem gotów się z tym zgodzić. Wciąż zakładałem, że nie dzieje się nic, co kłóciłoby się z racjonalnością. Głos w słuchawce właściwie wpisywał się w strategię obwiniania technologii – uznałem, że doszło do

omyłkowego przekierowania połączenia i zamiast do Anety, dodzwoniłem się do przypadkowej osoby w innym kraju. Osoby o głosie podobnym do mojego.

W jakiś sposób sprawiło to, że poczułem się jeszcze gorzej. Być może dlatego, że ostatecznie wykluczyłem udział sił nadprzyrodzonych. A to oznaczało, że nie mogę liczyć na żaden cud.

Straciłem narzeczoną w wypadku. Należało zmierzyć się z tą świadomością.

Pomóc mi w tym próbował ojciec, który zjawił się u mnie w mieszkaniu późnym rankiem. Paweł Szumski był wysokim, postawnym człowiekiem, o twarzy znaczonej zbyt dużą ilością trudnych przejść. Aneta twierdziła, że wizualnie stanowi starszą o kilkadziesiąt lat wersję mnie, i być może miała rację. U siebie także dostrzegałem już pierwsze zakola wśród ciemnych jak smoła włosów, podłużne zmarszczki powoli rysowały się na moim czole, a oczy jakby się zapadały.

Ani on, ani ja nie nadawaliśmy się na okładki czasopism, chyba że redaktorzy poszukiwaliby zmęczonych życiem, niezbyt przyjaznych mężczyzn. Żaden z nas się jednak tym nie przejmował.

Ojciec przyniósł ze sobą dwa hot dogi ze stacji benzynowej. Przypuszczałem, że po drodze zatrzymał się w Statoilu przy Karkonoskiej i byłem mu za to dozgonnie wdzięczny, bo od pobudki przyjmowałem jedynie earl greya i kawę.

Umniejszył nieco swoje zasługi, kiedy zaczął dopytywać, czy wszystko w porządku.

– Jak mam ci na to odpowiedzieć? – zapytałem.

– Zgodnie z prawdą.

– W takim razie nie muszę nic mówić.

Skinął głową. Usiedliśmy przy stole i jedliśmy hot dogi w milczeniu, nawet na siebie nie patrząc.

– Terroryzm wszedł na nowy poziom – odezwał się w końcu.

– Co?

– To musiał być cyberatak.

Postanowiłem nie podejmować tematu.

– Kiedyś zamachowiec musiał przemycić na pokład samolotu ładunek wybuchowy – ciągnął ojciec. – Teraz wystarczyło pewnie, by za boeingiem leciał dron.

– Z prędkością niemal jednego macha? Na takim pułapie?

– Wszystko jest teraz możliwe.

– Ale nie to.

Skończył przeżuwać i zgniótł papierek.

– W takim razie może nie potrzeba było nawet drona.

Nie miałem ochoty snuć teorii spiskowych, ale ojcu najwyraźniej to nie przeszkadzało. W typowy dla siebie, pozbawiony emocji sposób perorował jeszcze przez chwilę.

Urwał dopiero, kiedy zreflektował się, że go nie słucham. Cmoknął z dezaprobatą i pokręcił głową.

– Jeśli masz inny pomysł, chętnie go usłyszę – oznajmił.

– Nie mam.

– A jednak nie sądzisz, żeby to było porwanie.

– Nie.

– W takim razie jak wytłumaczysz te absurdalne odczyty nadajnika?

Nie miałem dla niego żadnej odpowiedzi. Westchnąłem, a potem na moment zamknąłem oczy. Wyobraziłem sobie północną część Afryki i starałem się zlokalizować wszystkie trzy punkty.

Z tymi nad Morzem Czerwonym i Saharą Zachodnią nie miałem problemu. Nie bardzo jednak wiedziałem, gdzie umiejscowić Zatokę Gwinejską.

Otworzyłem laptopa, a potem wyświetliłem mapę. Zaznaczenie odpowiednich miejsc zajęło mi tylko chwilę.

Ledwo to zrobiłem, naszło mnie dziwne uczucie, jakby zbliżał się front burzowy, a powietrze gęstniało i elektryzowało się. Mój umysł połączył trzy punkty i nagle się wyłączył.

– Filip? – odezwał się ojciec, widząc mój niepokój. – Co się dzieje?

– Te punkty…

– Co z nimi?

– Tworzą kształt.

– Oczywiście, że tworzą. Trójkąt.

– Foremny.

– I?

Oderwałem wzrok od ekranu i spojrzałem mu w oczy.

– Sądzisz, że to przypadek? – spytałem.

Wzruszył ramionami i się nie odezwał.

– W dodatku jest zwrócony czubkiem w dół – dodałem. – Wiesz, co oznacza taki symbol?

– Nie.

– Pogardę dla Ojca, Syna i Ducha Świętego.

Temperatura w kuchni zdawała się spaść o kilka stopni. Ojciec ściągnął poły starej, znoszonej koszuli.

– Taki kształt wyznacza kierunek do piekła – dodałem. – Co więcej, utożsamia się go z demoniczną obecnością.

– Nie chcę tego słuchać.

– Jak zawsze, kiedy poruszam temat religii.

Ojciec był człowiekiem bogobojnym, w znacznie większym stopniu niż ja i Aneta. Z trudem przełknął fakt, że zdjąłem koloratkę i przez pewien czas nie potrafił mi tego wybaczyć. Nie byłem nawet pewien, czy przyjdzie na ślub.

Co jakiś czas mu się odmieniało. Przenosił ciężar winy z Anety na mnie, a od czasu do czasu także na Kingę. Twierdził, że to od niej wszystko się zaczęło, mimo że nigdy nie zająknąłem się na ten temat słowem.

Chabon pisał, że ojciec to człowiek, który myli się codziennie. Być może miał rację, ale w tym wypadku nie mogłem odnieść tego do Pawła Szumskiego. Nie mylił się.

Kiedy przyszło mi połączyć węzłem małżeńskim Kingę i jej narzeczonego, coś we mnie pękło. Poczułem się, jakbym przez

całe życie szedł szlakiem ku wierzchołkom skrytym gdzieś w gęstej mgle, a potem, w jednej chwili, doszło do nagłej poprawy pogody. Jakby z oparów wyłonił się widok tak imponujący, że kazał wszystko przewartościować.

Doskonale pamiętam bezbrzeżne szczęście w jej oczach, promieniejący uśmiech i ciepło, którym zdawała się emanować. Spojrzała na mnie na moment przed tym, jak państwo młodzi się pocałowali.

Oblał mnie wtedy zimny pot. Wszystkie pozytywne uczucia w jednej chwili znikły, a imponujący widok znów zasnuła mgła. Tym razem ciemna jak dym z komina, nieprzenikniona. Niepokojąca.

To był początek końca mojej posługi. I potrzebowałem wiele czasu, by zrozumieć, dlaczego miał on miejsce akurat wtedy. Ojciec być może wciąż nie potrafił tego pojąć.

Teraz jednak nie miało to już znaczenia.

– Czy ty w ogóle siebie słyszysz? – zapytał. – Nie wiem, co przez ciebie przemawia, ale przypuszczam, że ma to związek z…

– Poczuciem winy? – wpadłem mu w słowo. – Nie, zapewniam cię, że nie czuję skruchy po odejściu z Kościoła.

– Nie odszedłeś. Nadal jesteś częścią wspólnoty.

Na papierze tak było. W istocie jednak nie czułem się, jakbym nadal do niej przynależał. Podczas całego procesu, który ostatecznie znalazł szczęśliwy finał w postaci dyspensy, przeżuto mnie i wypluto. Gdyby to ode mnie zależało, planowalibyśmy z Anetą jedynie ślub cywilny.

Ojciec patrzył na mnie z wyrzutem, jakby chciał skarcić mnie za to, że wyciągam nieprawdopodobne wnioski, a nie jestem w stanie przyjąć wersji z atakiem hakerskim.

Właściwie mu się nie dziwiłem. Sam nie byłem pewien, dlaczego myśl związana z odwróconym trójkątem tak mocno mnie uderzyła. Tym bardziej nie wiedziałem, skąd bierze się głębokie przekonanie, że to wytłumaczenie słuszne.

Wszystko wyjaśniło się w nadchodzących godzinach.

Ojciec został u mnie, mimo że po rozmowie w kuchni zamieniliśmy może jeszcze kilka słów. Wyszedł jednak z założenia, że sama jego obecność jest niezbędna, bym się nie załamał.

Miał rację. Być może właśnie dzięki temu nie odszedłem od zmysłów, kiedy media dotarły do informacji, że sygnał z transpondera pojawił się w trzech kolejnych miejscach. Wysłuchaliśmy tego z niedowierzaniem, nie odrywając wzroku od telewizora choćby na ułamek sekundy.

– Teraz nie może być już żadnych wątpliwości – oznajmił ojciec. – To cyberatak.

Milczałem.

– Nie wiem, co chcieli osiągnąć, ale najwyraźniej coś poszło nie po ich myśli – dodał. – Teraz chcą po prostu pokazać, ile mogą.

Nie interesowało go, że specjalista na antenie NSI właśnie dowodził, iż sfabrykowanie takiego sygnału było praktycznie niemożliwe. Każda z sześciu stacji naziemnych działała niezależnie od pozostałych, nie istniał żaden wspólny system, do którego ktoś mógłby się włamać.

Jedyny logiczny wniosek był taki, że ktoś nadał te sygnały z miejsc, w których się pojawiły.

Spojrzałem na laptopa. Zakładka z Google Maps nadal była otwarta.

– Przestrzeń powietrzna Etiopii… – mruknąłem. – Potem Morze Śródziemne, mniej więcej między Sycylią a Libią. I ostatni punkt…

Nawet bez informacji medialnych wiedziałbym, w którym miejscu go zaznaczyć. Tylko jego brakowało, by utworzyć znany mi kształt.

Kliknąłem niepewnie na niewielką zatokę na granicy wód przybrzeżnych Liberii i Sierra Leone.

Nagle opadła mnie zupełna bezsilność. W okamgnieniu poczułem się jak nic nieznaczący element wszechświata, którego nie potrafiłem objąć rozumem.

Błona rzeczywistości pękła. Byłem jak nowo narodzone, bezbronne dziecko w zupełnie innym, obcym świecie.

Racjonalność blakła w świetle faktów. A fakty były takie, że telefon, który wykonałem, połączył mnie z czymś, co nie miało prawa odebrać. Tak jak boeing nie miał prawa nakreślić na mapie heksagramu. Symbolu okultystycznego wykorzystywanego do przywoływania demonów.

IV

Jakie siły są na tyle potężne, by sprawić, że ważąca ponad sto sześćdziesiąt tysięcy kilogramów maszyna wyrysowała na półkuli północnej tak wyraźny komunikat? Starałem się uniknąć odpowiedzi na to pytanie, ale doskonale ją znałem.

Wiedziałem też, że to deklaracja. I zapowiedź zmian, jakich świat jeszcze nie widział.

Ojciec w końcu przyjął do wiadomości, że miejsca pojawienia się sygnału nie są przypadkowe, a kształt został stworzony z premedytacją – upierał się jednak przy wersji z hakerami. On i cała reszta świata. A przynajmniej tak mi się wydawało.

Jego determinację mogłem zwalczyć tylko w jeden sposób. Mówiąc mu o głosie, który usłyszałem po wybraniu numeru Anety.

Przez moment patrzył na mnie jak na szaleńca. Potem jak na zwyczajnego łgarza, ostatecznie zaś po prostu jak rodzic na dziecko, które nie udźwignęło ciężaru dorosłości.

– Byłeś w szoku – ocenił. – Nic dziwnego, że…

– Słyszałem ten głos wyraźnie. Mój głos.

– Ale nie potrafisz przypomnieć sobie nawet, co mówił.

– Bo nie znam tego języka.

Znów poczułem na sobie taki sam wzrok, jakim obrzucił mnie na samym początku. Na powrót stałem się w jego oczach szaleńcem. Pokręcił głową, podniósł się z krzesła, a potem zaczął chodzić po kuchni.

– Powinieneś z kimś porozmawiać – zauważył. – Ministerstwo podało numer dla tych, którzy kogoś stracili.

Linia zapewne była rozgrzana do czerwoności. Polacy wybierali tanie loty Air Hibernia równie często jak Ryanaira. Większość pasażerów pechowej maszyny pochodziła z naszego

kraju – i właściwie dziwne było, że załoga składała się z Irlandczyków.

– Nie zwariowałem – odparłem.

– Nie mówię, że…

– Więc co mówisz?

– Że ktoś mógłby pomóc ci przypomnieć sobie, co konkretnie usłyszałeś.

Popatrzyłem na niego z rezerwą. Nie wierzył w ani jedno moje słowo, to ojcowska przebiegłość kazała mu podejść do sprawy od tej strony. Zupełnie jak do alkoholika, któremu początkowo okazuje się zrozumienie i wobec którego pozoruje się, że wszystko jest w porządku – tylko po to, by uśpić jego czujność i zaraz zacząć udowadniać mu, że jest uzależniony.

Być może w pewnym sensie byłem – od nadziei. Była bowiem tym większa, im bardziej absurdalne wersje zaczynałem przyjmować. Starałem się tego nie robić, ale okazało się to silniejsze ode mnie.

Na tyle, że trzeciego dnia wszystko się zmieniło.

Założyłem, że nie mogę nie znać wypowiadanych przez siebie słów. Mimo że brzmiały obco, nie powinny takie być.

Zastanawiałem się nad tym na tyle długo, że ostatecznie wszystkie elementy niewielkiej układanki znalazły się we właściwych miejscach.

Znałem te słowa. Nie znałem jedynie ich wymowy.

Kluczowe dla zrozumienia tego było skojarzenie jednego ze słów z liczbą dni, które upłynęły od zaginięcia lotu AH 3836. I to, że z jakiegoś powodu pomyślałem o łacinie, choć przekaz, który usłyszałem, zdawał się nie mieć z nią wiele wspólnego.

Powiedziałem o tym ojcu, kiedy przyszedł do mnie z samego rana z kolejną porcją hot dogów, najwyraźniej rozpoczynając kultywowanie nowej tradycji. Uniósł wysoko brwi, patrząc na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

– Przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem – powiedziałem.

Konsternacja na jego twarzy jeszcze się pogłębiła, mimo że doskonale znał *veni, vidi, vici*, jak każdy.

– Wiesz, jak to brzmi po łacinie? – dopytałem.

– Zwyczajnie.

– Czyli?

– „Weni, widi, wiczi".

– Nie, według polskiej wymowy „weni, widi, wici". Na tej zasadzie czytamy łacińskie „c", ale ze względu na to, że fraza przyszła do nas z Włoch, przyjęliśmy niepoprawną wymowę.

Nadal nie wiedział, do czego zmierzam.

– Właściwie jedna i druga jest niepoprawna – dodałem. – Przynajmniej wedle wszelkiego prawdopodobieństwa. Nie ostało się przecież żadne nagranie z tamtych czasów, Rzymianie mogli mówić zupełnie inaczej, niż sobie to dzisiaj wyobrażamy.

– Więc…

– Więc większość krajów ma swój sposób czytania łaciny – kontynuowałem. – Jest jednak grupa ludzi, którzy przez lata pracowali nad odtworzeniem najbardziej prawdopodobnej oryginalnej wymowy. I jeśli im wierzyć, ten znany cytat z Cezara powinien brzmieć „łeeni, łiidii, łiikii".

Ojciec skinął głową, najwyraźniej wyłowił coś na ten temat z pamięci, bo nie musiałem go przekonywać.

– Dlatego nie poznałem znaczenia tamtych słów – skwitowałem. – Ale dwa wyraźnie oddzielone człony nie dawały mi spokoju.

– Jakie?

– Coś brzmiącego jak *die* i *tertio*.

– Trzeci dzień?

Skinąłem głową, choć bynajmniej nie było to dosłowne tłumaczenie. Nabrałem głęboko tchu, a potem na moment zamknąłem oczy. Zobaczyłem poszczególne słowa, jakby ktoś wyrył mi je na powiekach.

– *Die autem tertio* – odezwałem się. – *Elevatis oculis, vidit locum procul.*

Ojciec milczał tak długo, jakby miał zamiar już nigdy się nie odezwać. Trwał w bezruchu i dopiero po kilku chwilach lekko potrząsnął głową.

– Co to znaczy? – zapytał.

– Dnia trzeciego, podniósłszy wzrok, zobaczył to miejsce z oddali.

– Przecież to…

– Księga Rodzaju – dokończyłem. – Czwarty okres życia Abrahama.

Oczywiście po polsku doskonale kojarzył passus. Nie bez powodu uważałem go za człowieka bardziej bogobojnego ode mnie.

– Ofiara Izaaka… – dodał zamyślony. – Ale co to oznacza?

Według mnie oznaczać mogło to tylko jedno. Ktokolwiek lub cokolwiek się ze mną kontaktowało, wyraźnie chciało zwrócić uwagę na trzeci dzień. Dzień, w którym zobaczyłem z daleka to miejsce.

Z daleka, z perspektywy satelity na orbicie.

Miejsce, czyli obszar, na którym pojawiły się sygnały.

Ojciec nie był gotów przyjąć tak nieracjonalnych wniosków, jak ja. Pokręcił więc tylko głową, być może licząc na to, że dzięki temu uda mu się zakłamać rzeczywistość. Przynajmniej trochę.

Nie powinienem dziwić się jego reakcji. Fakt, że mój własny głos, używając pierwotnej wymowy łaciny, zdawał się wskazywać na heksagram, był głęboko niepokojący. Szczególnie biorąc pod uwagę, że symbol miał przywoływać demony.

I że passus z Księgi Rodzaju odnosił się do składania ofiary.

Minęło trochę czasu, nim wraz z ojcem na powrót zebraliśmy myśli na tyle, by się odezwać. Każdy z nas oczekiwał od

drugiego sensownych wniosków, ale żaden nie potrafił do nich dotrzeć.

– Samo w sobie to nic nie znaczy – zauważyłem.

– Otóż to.

– Jest niepokojące, ale… do niczego nie prowadzi.

– Oczywiście, że nie.

Dopiero po chwili zrozumiałem, że ojciec traktuje moje słowa jako próbę pocieszenia. Siebie czy jego, nie wiedziałem – tak czy inaczej, jego ocena moich zamiarów była błędna. Zupełnie nie to miałem na myśli.

– Chodzi mi o to, że ten przekaz nie niesie żadnej wiadomości – wyjaśniłem. – Jeśli ktoś… coś… próbuje się ze mną skontaktować, to na razie jedynie zwraca na siebie uwagę. Nie daje mi żadnych konkretów.

– Mnie to wygląda na konkrety, Filip – odparł zatroskany, jakbyśmy rozmawiali nie o głosie w słuchawce, ale o zaawansowanym stadium nowotworu.

– Jakie?

Wzruszył ramionami.

– To nic nie znaczy – uparłem się. – Co mi po tym, że zrozumiałem łaciński passus, przyporządkowałem go do Księgi Rodzaju i odniosłem go do symbolu na mapie satelitarnej?

– Nie wiem.

– Właśnie. Ja też nie – odparłem stanowczo. – A gdyby chodziło o wiadomość, byłaby w tym przekazie jakaś treść.

– Więc co to twoim zdaniem jest?

Nie miałem dla niego dobrej odpowiedzi.

– Zaznaczenie swojej obecności? – spytał.

„Obecność” w kontekście rozmowy o potencjalnym demonie zabrzmiała złowróżbnie, a ja poczułem nieprzyjemne ciarki na plecach. Postanowiłem pozostawić pytanie ojca bez odpowiedzi i dłużej się nad nim nie zastanawiać.

Brakowało jednak alternatywy dla jego wersji. Chyba że gotów byłbym przyjąć własne szaleństwo. Być może powinienem, skoro naprawdę roztrząsaliśmy tak niestworzone rzeczy. Tyle że obaj byliśmy ludźmi wierzącymi – a jeśli wierzyło się w Boga, należało przyjąć za pewnik także istnienie sił, które toczą z nim walkę.

Namyślałem się przez chwilę. Poniewczasie zorientowałem się, że mój hot dog dawno wystygł. Zawinąłem go w papierek i odłożyłem na stół.

– Musi być coś jeszcze – powiedziałem. – Coś, co przegapiłem.

– Co?

– Może jakiś ukryty sens w tym passusie z Księgi Rodzaju.

– Są w nim tylko trzy elementy, Filip. Trzeci dzień, podniesienie oczu, ujrzenie miejsca z oddali.

Nie byłem gotów przyjąć takiej wersji, szczególnie że interpretacja tego rozdziału mogła być dość szeroka. Każdy znał historię o złożeniu Bogu w ofierze Izaaka, jedynego i długo wyczekiwanego syna Abrahama. Mogła być traktowana jako wystawienie na próbę miłości do Wszechmogącego, jako akt łaski ze strony Boga, gotowość do wypełniania jego przykazań przez wiernych czy w końcu jako przykład bogobojności. I tego, jak popłaca.

Spędziłem pół dnia na analizowaniu, czy którykolwiek z tych elementów pasuje do mojej układanki. Problem sprowadzał się do tego, że nie wiedziałem, jak ostatecznie ma ona wyglądać.

Jedyną przerwę zrobiłem, gdy w mediach miała miejsce nagła eksplozja nowego zainteresowania. Była jak rozbłysk bliskiej gwiazdy na nocnym niebie – wyraźna, nie do przegapienia, ale chwilowa. Pojawił się amatorski filmik, rzekomo nagranie pochodzące ze Snapchata, które wykonała jedna z pasażerek lotu AH 3836.

Snap trwał tylko dziesięć sekund, nie przedstawiał niczego, co miałoby jakiekolwiek znaczenie. Na nagraniu widać było

stewardesę, która udzielała standardowych instrukcji awaryjnych. Kiedy pokazywała wyjścia ewakuacyjne, chustka odwinęła się jej z szyi i spadła na ziemię. W ciągu półgodziny urosło to niemal do rangi symbolu, złowieszczego znaku, zapowiedzi tragedii.

Nie poświęciłem temu wiele uwagi. Filmik nie miał dla mnie żadnej wartości, oprócz tego, że stanowił prawdopodobnie ostatnie nagranie z pokładu samolotu. Anety nigdzie na nim nie dostrzegłem.

Szybko wróciłem do swoich spraw – ojciec przez jakiś czas mi pomagał, potem odpuścił. Raz czy dwa przerwał mi, pytając, czy wziąłem urlop w pracy. Popatrzyłem na niego, jakby to on, a nie łaciński głos, pochodził nie z tego świata.

– Ktoś musi trzymać rękę na pulsie rzeczywistości, kiedy ty zajmujesz się tymi wymysłami – usprawiedliwił się.

Wyprostowałem się, uświadamiając sobie, że przez dobre dwie godziny tkwiłem pochylony nad laptopem. W plecach coś mi strzeliło, kiedy założyłem ręce na oparcie krzesła.

– Dyrektor sam mi zaproponował wolne – odparłem.

– Słusznie. Powinien czuć się zobligowany.

– Raczej zwęszył okazję do zrobienia dobrego PR-u.

Przypuszczałem, że faktycznie tak było, bo z pomysłem wyszedł sam szef wydziału spraw obywatelskich urzędu miejskiego, nie mój bezpośredni przełożony. Pracowałem w dziale rejestracji pojazdów, a swojej pracy szczerze nienawidziłem. Nie miałem jednak wielkiego wyboru – CV, w którym głównym osiągnięciem kandydata było stanowisko wikariusza parafialnego, nie robiło na nikim przesadnie wielkiego wrażenia.

Plus był taki, że administracja publiczna starała się dbać o obywateli. Nawet jeśli jednocześnie byli jej pracownikami.

– Na długo dał ci wolne?

– Na kilka dni.

Ojciec pokręcił głową z dezaprobatą.

– Ile konkretnie?

– A to takie istotne? – odparłem pod nosem, przeciągając się. – Powiedziałem mu, że nie potrzebuję…

Urwałem i zmarszczyłem czoło, przypatrując się ojcu. Pytanie o liczbę dni odbiło mi się echem w głowie. Odniosłem wrażenie, jakby samym wzrokiem ojciec starał się zakomunikować mi, że to jest właściwy trop.

– Coś nie tak? – spytał.

Zabrzmiało to niemal jak kpina.

– Żartujesz sobie ze mnie? – odparłem. – To chyba ja powinienem o to zapytać.

– O czym ty mówisz?

– O twojej sugestii.

– Nic nie zasugerowałem, Filip.

– Wręcz przeciwnie. Starasz się dać mi do zrozumienia, że liczba dni jest istotna.

– Oczywiście, że jest – powiedział i też odgiął się na krześle. – Należy ci się znacznie więcej odpoczynku.

– Nie to mam na myśli.

Uniósł brwi, jakby naprawdę nie wiedział, o co chodzi. Poczułem się dziwnie, jakby coś było nie w porządku z całym światem. Z ojcem, z Kingą, ze wszystkimi dziennikarzami, którzy trzeci dzień z rzędu rozprawiali na ten sam temat.

Trzeci dzień.

Wracał jak bumerang, nie chciał dać mi spokoju. Potrząsnąłem głową, uznając, że to wszystko pogłosy zmęczenia, które stopniowo przesłaniało moją racjonalność. Ojciec nic nie sugerował, trzeci dzień miał znaczenie jedynie w kontekście tego, że to dziś zobaczyłem heksagram.

Nic ponadto.

Oszukiwałem się tak jeszcze przez jakiś czas. Ostatecznie jednak uznałem, że jeśli działają moce, których nie potrafię zrozumieć, powinienem przyjąć, że mogą podsuwać mi sugestie. Może nawet prowadzić mnie za rękę.

Zacząłem szukać. Przeczesywałem meandry pamięci, moje stare podręczniki, notatki z zajęć, a w końcu na chybił trafił także wyniki wyszukiwania w Google. Sprawdzałem wszystko, co przychodziło mi do głowy. Każdą kombinację, każde powiązanie nawet co do zasady niezwiązanych ze sobą faktów.

Dotarłem do takiego stopnia ogólności, że łaciński przekaz wydawał się łączyć z trzema dniami, jakie Chrystus spędził w grobie, trzema dniami, podczas których zaginął w wieku dwunastu lat, czy trzema dniami, w trakcie których Szaweł był oślepiony. Oprócz tego nasuwały mi się także starotestamentowe skojarzenia – trzy dni spędzone przez Jonasza w brzuchu Lewiatana, rozdzielenie ziemi i wody dnia trzeciego po stworzeniu świata, objawienie się Boga na Górze Synaj trzy dni po tym, jak przybyli tam ludzie…

Nie miało to żadnego sensu. Z impetem zamknąłem pokrywę laptopa i zakląłem cicho. Ojciec krzątał się za moimi plecami, myjąc naczynia po kolacji. Zjedliśmy niewiele lepsze danie niż podczas śniadania, choć tym razem fast food pojawił się za sprawą dostawcy z lokalnej pizzerii.

– Może podchodzisz do tego od złej strony – zauważył ojciec.

– Tylko trzeci dzień ma sens. Sam dałeś mi to do zrozumienia.

Wcześniej oponował, twierdząc, że niczego takiego nie zrobił. Najwyraźniej jednak miał już dosyć rozmowy na ten temat, bo nie skomentował.

– Jeśli rzeczywiście to ten element jest kluczowy, może chodzi o mniejszy stopień ogólności – dodał.

– To znaczy?

– O konkretny dzień. Trzeci od zniknięcia samolotu. Dzisiejszy.

– Piętnasty kwietnia? Nie ma żadnego znaczenia symbolicznego.

Wydawało mi się, że wiedziałbym, gdyby tak miało być. Nie musiałem tego sprawdzać w notatkach, w materiałach ani

w internecie, moja pamięć w zupełności wystarczała.

Ostatecznie jednak nie pozostało mi nic innego, jak pójść drogą, którą zasugerował ojciec. Niechętnie znów otworzyłem laptopa, a potem zacząłem wprowadzać kolejne zapytania do wyszukiwarki.

Piętnasty kwietnia. Księga Rodzaju. Dwudziesty drugi rozdział.

Nic. Zero punktów stycznych i ani jednego wyniku, który mógłby pomóc w połączeniu wszystkich tych elementów. Dodałem do tego „poświęcenie Izaaka", ale to także niczego nie zmieniło. Google zaproponowało mi skreślenie kilku parametrów, a ja w odpowiedzi zwiesiłem głowę.

Po chwili spróbowałem po angielsku. Powtórzyłem ostatnią kombinację z Izaakiem, a potem zacząłem powoli przeglądać wyniki wyszukiwania. Wyglądały podobnie jak w przypadku rezultatów w języku polskim. Niemal same odniesienia do tekstu źródłowego.

Jeden z wyników, ostatni na pierwszej stronie, różnił się jednak od pozostałych.

Sformułowanie „tajemnice Biblii" od razu przykuło moją uwagę. Zazwyczaj prowadziło do pokrętnych teorii spiskowych bez podparcia w rzeczywistości, ale tym razem wyglądało na to, że ktoś przygotował rzetelny materiał.

– Co znalazłeś? – rozległ się głos ojca, a ja dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że wpadłem w dziwny trans.

Spojrzałem na niego, jakby dopiero się przede mną zmaterializował.

– Coś masz – ocenił. – Oczy zrobiły ci się jak pięciozłotówki.

– Coś – przyznałem.

Przysunął sobie krzesło, kiedy ja wyświetlałem już stronę. Spojrzał na monitor, a potem skrzywił się, widząc, że nic z tego nie zrozumie. Był jednym z tych, którzy w młodości chcąc nie chcąc nauczyli się rosyjskiego, a po transformacji

uznali, że jest już za późno, by opanować jakikolwiek inny język.

– Co to znaczy? – spytał, wskazując na nagłówek.

– Zaginione plemiona Japonii – powiedziałem. – Dalej jest mowa o Izraelitach, którzy niegdyś przybyli do tego kraju i o tym, że wpłynęli na kształt wielu dzisiejszych japońskich ceremonii.

Obejrzeliśmy parę zdjęć, na których widać było zarówno gwiazdy Dawida, jak i niezrozumiałe znaki w *kanji*. Ostatnie z nich przedstawiało coś zupełnie odmiennego. Scenę, którą obaj znaliśmy z Księgi Rodzaju.

Abraham jedną ręką trzymał syna, gotów odebrać mu życie, ale w ostatniej chwili interweniował anioł, chwytając starca za drugą dłoń.

Popatrzyliśmy na siebie nierozumiejącym wzrokiem, a ja dopiero przewinąwszy niżej, zrozumiałem, dlaczego wyszukiwarka skierowała mnie akurat na tę witrynę.

– Co tu jest napisane? – spytał ojciec, mierząc palcem w podpis pod zdjęciem.

– „Japoński festiwal przedstawia historię Izaaka" – odparłem automatycznie, ale wzrokiem przebiegłem już pierwszy akapit tekstu.

Zrobiło mi się słabo.

– A dalej? – dodał ojciec.

Milczałem, czytając kolejne wersy.

– Filip!

– Już… poczekaj moment.

– Widzę przecież, że jest zarówno liczba piętnaście, jak i dwadzieścia dwa. I słowo „genesis". To jest to, czego szukaliśmy, prawda?

Skinąłem lekko głową, choć jego słowa docierały do mnie, jakby mówił zza grubej szyby. Mój umysł potrzebował jeszcze chwili, by wszystko ogarnąć. Nabrałem głęboko tchu i w końcu

popatrzyłem na ojca. Wyraźnie pobladł, jak gdyby fakt, że rzeczywiście odkryliśmy związek, napełnił go głęboką zgrozą.

– W prefekturze Nagano, w Japonii, znajduje się jedna z największych świątyni *shintō*…

– Czego?

– Tradycyjnej japońskiej religii politeistycznej.

Skrzywił się jak przykładny katolik, który słysząc o wyznaniach zakładających istnienie wielu bogów, czuje wewnętrzny sprzeciw.

– To mieszanka kultów – dodałem. – *Shintō* nie ma jednej hierarchii, jednego zbioru zasad czy świętej księgi. Istnieje mnóstwo odłamów, wszystkie łączy jedynie japońska mitologia. A jeden z nich ma swoją świątynię w Nagano.

Ojciec odchrząknął niepewnie.

– W tamtejszej świątyni, zwanej Suwa-Taisha, obchodzi się festiwal zwany *Ontohsai*. Miejsce powstało już w siódmym wieku, a na ukształtowanie tego odłamu *shintō* mieli wpływ właśnie żydowscy osiedleńcy.

Czekał na konkrety, a ja niechętnie do nich docierałem. Wszystko to zdawało się zbyt niepokojące, by o tym myśleć, co dopiero mówić. Mimo to byłem mu to winny. W końcu to on nakierował mnie na właściwy trop, nawet jeśli zrobił to nieświadomie.

– Ta politeistyczna religia, jak każda inna tego rodzaju, wchłonęła część innych wierzeń, z którymi na przestrzeni wieków stykali się jej wyznawcy. Reszty pewnie się domyślasz.

– Wolę niczego się nie domyślać.

Wypuściłem ciężko powietrze.

– Od Izraelitów miejscowi zaczerpnęli zwyczaj, który celebrowany jest co roku piętnastego kwietnia. Polega na inscenizowaniu tego, co my znamy z Księgi Rodzaju. A konkretnie z rozdziału dwudziestego drugiego.

– Scena poświęcenia Izaaka.

Powiedział to z niedowierzaniem, najwyraźniej po raz pierwszy słyszał o synkretyzmie religijnym. Skupiał się przede wszystkim na swoim wyznaniu, więc nie mogłem mu się dziwić. Ja przy tej czy innej okazji musiałem czytać także o tym, jak przenikały się światowe religie, jak na siebie wpływały i wzajemnie się kształtowały. Swojego czasu z jakiegoś względu nawet mnie to interesowało.

Najwymowniejszym przykładem było chyba Święto Zmarłych. Jego korzenie łatwo było odnaleźć w przedchrześcijańskich zwyczajach – święcie Samhain w wierzeniach celtyckich czy dziadach w naszych dawnych obrzędach.

– *Ontohsai* jest najistotniejszym festiwalem, jaki odbywa się w świątyni Suwa-Taisha – dodałem. – Czy może obok niej, bo uczestnicy idą na górę Moriya-san, gdzie odgrywana jest scena. Młody chłopak kładzie się na bambusowym kobiercu, przywiązuje się go do drewnianego słupa, a duchowny *shintō* przygotowuje się do zadania mu ciosu. W ostatniej chwili inny kaznodzieja go powstrzymuje, a zamiast chłopaka w ofierze składa się zwierzęta.

Nie miałem pojęcia, że w japońskich wierzeniach dochodzi do ofiarowania zwierząt, ale najwyraźniej wpływ Izraelitów na tę grupę był wyjątkowo silny. Kiedy doczytałem materiały na stronie, utwierdziłem się w tej ocenie.

– Festiwal ma oddawać cześć bogowi Misakuchi.

– Pierwsze słyszę – odparł ojciec.

Nie skomentowałem, choć może warto byłoby mu uświadomić, że nie słyszał zapewne o większości bóstw z Kraju Kwitnącej Wiśni.

– Źródłosłów i pochodzenie tego boga są co najmniej ciekawe – powiedziałem, mrużąc oczy. – „Mi” oznacza wielki, a „isaku” to najpewniej przeinaczony Izaak, co by świadczyło, że wzięli chłopaka za bóstwo.

– A „chi”?

– Hę?

– Ostatni człon imienia tego bożka?

Przewinąłem niżej.

– „Chi” oznacza mniej więcej… koniec świata.

Popatrzyliśmy na siebie, ale żaden z nas nie znalazł odpowiednich słów. Mgła niezrozumienia zdawała się gęstnieć wokół nas, obaj straciliśmy trop i nie potrafiliśmy znaleźć drogi wyjścia. A jeszcze przed chwilą wydawało się nam, że na coś trafiliśmy.

Wiedziałem, że czekają nas długie godziny analizowania każdego elementu festiwalu, szukania źródeł najmniej istotnego zwyczaju i poznawania dawnych obrzędów żydowskich. Nie byłem przy tym pewien, czy wyłowimy z tego gąszczu cokolwiek pomocnego.

Podzieliliśmy się obowiązkami, a potem zaczęliśmy zgłębiać tę materię. Jeszcze przed dziesiątą ojciec przysnął, mnie sen chciał zmorzyć około pierwszej w nocy, ale szybko zaaplikowałem sobie dawkę earlgreyowskiej teiny.

Nie pomogła.

Głowę miałem coraz cięższą, powieki opadały mi coraz bardziej. Ostatnią myślą, zanim zasnąłem przy laptopie, było to, że informacji jest zbyt wiele. Materia jest zbyt skomplikowana, a dwóch amatorów będzie potrzebowało co najmniej kilku miesięcy, by ją dobrze poznać.

Kiedy obudziłem się dwie godziny później, zrozumiałem, że się mylę. Gdyby sprawa była tak zawiła, siły, które zdawały się odpowiadać za zniknięcie AH 3836, nigdy nie naprowadziłyby mnie na Japonię.

I miałem rację.

Odpowiedzi były na wyciągnięcie ręki.

V

Nie wszyscy mogli się cieszyć dobrodziejstwami pracy w administracji publicznej. Wprawdzie przychylność mojego przełożonego była podszyta względami PR-owymi, ale motywacje były sprawą drugorzędną – liczyło się to, że mogłem bez konsekwencji nie przespać całej nocy, a rano kontynuować moje małe śledztwo.

Ojciec nie mógł sobie pozwolić na taki luksus. Mimo że przekroczył już magiczną barierę wieku emerytalnego, musiał dorabiać. Przed siódmą pożegnał mnie i niczym widmo opuścił moje mieszkanie.

Żałowałem, że nie poczekał chwili dłużej, bo pół godziny po jego wyjściu w końcu rozgryzłem, o co chodziło. Nie było trudno. Wystarczyło zmęczyć umysł na tyle, by mimowolnie zastosował brzytwę Ockhama i przyjął to tłumaczenie, które wydawało się najprostsze.

– Japonia – powiedziałem. – Po prostu Japonia.

Rozejrzałem się z niepokojem, jakbym mógł się spodziewać, że ktoś mnie słucha. W kuchni nie było nikogo, panowała absolutna cisza. Radio wyłączyłem, by mnie nie rozpraszało, a z zewnątrz nie dochodziły żadne dźwięki. Taka pora. Osiedle znajdowało się niemal na samym końcu Krzyków, mieszkańcy dojeżdżający do centrum opuszczali je o znacznie wcześniejszej godzinie.

– Japonia… – powtórzyłem cicho.

Zacząłem szukać.

Najpierw miejsc na terytorium tego kraju, w których doszło do wypadków lotniczych. Spodziewałem się, że kilka ostatnich może utworzyć znany mi kształt. Co do tego się jednak pomyliłem i na nic pomocnego nie udało mi się trafić.

Spróbowałem więc od innej strony. Prześledziłem zaginięcia japońskich maszyn. Na tym froncie też nic nie rzuciło mi się w oczy.

A jednak byłem przekonany, że wszystkie wskazówki zostają mi dostarczone tak, bym bez większego wysiłku trafił na kolejne. Coś prowadziło mnie do określonego miejsca. Nie wiedziałem tylko co i dokąd.

Część moich wątpliwości wyjaśniła się, kiedy przeanalizowałem katastrofy lotnicze ostatnich lat. W powszechnym odbiorze okres ten był jak żniwa śmierci w przestworzach – obserwując programy informacyjne, można było odnieść wrażenie, że samoloty spadają jak muchy.

Większość komentatorów była jednak zgodna, że ostatni rok był najbezpieczniejszym spośród ostatnich pięciu lat. Liczba wypadków miała drastycznie spaść, a pasażerowie powinni czuć się bezpieczni jak nigdy wcześniej.

Tak powtarzano nam coraz częściej, a my w to wierzyliśmy. Nie mieliśmy powodów, by tego nie robić, skoro tak twierdziła międzynarodowa organizacja odpowiedzialna za ruch lotniczy na świecie.

Problem polegał na tym, że IATA zliczała jedynie katastrofy spowodowane przez wadliwy sprzęt, błąd ludzki lub złe warunki meteorologiczne. Nie uwzględniano ani aktów terroryzmu, ani działań pilotów, którzy zamierzali popełnić samobójstwo.

W dodatku IATA skupiała niewiele ponad osiemdziesiąt procent wszystkich przewoźników, więc ostatecznie nie były to do końca rzetelne dane. Pozwalały jednak spać spokojnie wszystkim tym, którzy chcieli wierzyć, że latanie wciąż jest bezpieczne.

Przykład AH 3836 pokazał, że tak nie jest. I że nowe zagrożenia nie mają nic wspólnego ani z rozwojem technologicznym, ani z rozprzestrzeniającym się terroryzmem.

Zanim dotarłem do konkretów w moich poszukiwaniach, rozległ się dzwonek do drzwi, a ja drgnąłem, jakby poraził mnie prąd. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że pochylałem się nad laptopem jak nad cenną relikwią.

Miałem przed sobą wszystko, co było mi potrzebne, by odkryć prawdę. Wystarczyło tylko trochę cierpliwości.

Ponowny dźwięk dzwonka mnie rozdrażnił. Podniosłem się, a krzesło wydało nieprzyjemny dźwięk, przesuwając się po podłodze. Szybkim krokiem podszedłem do drzwi, otworzyłem je i zobaczyłem Kingę.

Cała złość w jednej chwili zapewne by znikła, gdyby nie to, że obok stał jej mąż. Mimo wczesnej pory Mariusz Rudyk wyglądał jak… Mariusz Rudyk. Zawsze był zadbany, modnie ubrany i wymuskany do tego stopnia, że sprawiał nieco metroseksualne wrażenie. Podczas jednej z rodzinnych popijaw zwierzył mi się, że nie potrafi wyjść z domu bez choćby delikatnego przypudrowania niedoskonałości. Może z tego wynikał mój krytycyzm – a może powód był zupełnie inny.

– Chryste… – jęknął, patrząc na mnie.

Pomyślałem, że tego dnia stanowię raczej antytezę Jezusa. Nie pamiętałem nawet, czy zmieniłem ubranie od wczoraj.

– Spałeś choć trochę? – dodał Rudyk.

Cofnąłem się o krok i wpuściłem ich do środka. Kinga posłała mi zdawkowy uśmiech, który w zamierzeniu miał podnieść mnie na duchu, a w rzeczywistości potwierdził tylko, jak beznadziejna jest sytuacja.

– Trochę – przyznałem.

– Długo tak nie pociągniesz, Berg – odezwała się Kinga.

– Już wyglądasz, jakbyś jechał na oparach.

Powoli zaczynałem się czuć, jakby rzeczywiście tak było. Zaprosiwszy ich do kuchni, zniknąłem na moment w łazience, by doprowadzić się do porządku. Po krótkim spojrzeniu w lustro wiedziałem, że nie przesadzają. Wyglądałem jak

upiór. Cienie pod oczami zdawały się wypływać na policzki, spojówki miałem przekrwione, a włosy w zupełnym nieładzie.

Złapałem za umywalkę, lekko pochyliłem głowę i przez moment się sobie przypatrywałem. Nie było sensu próbować zakamuflować oznak zmęczenia. To nie był czas na tworzenie pozorów.

Powinienem jednak się przebrać, uznałem. W sypialni szybko narzuciłem na siebie strój, który dawał mi najwięcej komfortu. Nie wiem dlaczego, być może miało mi to rekompensować brak koloratki. Założyłem jasnoniebieską koszulę, rozpiąłem ostatni guzik, a potem naciągnąłem sweter z niewielkim dekoltem w serek.

Kiedy wróciłem do kuchni, na stole stały trzy kubki, we wszystkich parzył się earl grey. Klasyczny, od Liptona. Lubiłem go najbardziej, pewnie z sentymentu, bo to od tej firmy zaczęło się moje zbliżenie z tym rodzajem herbaty, jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Aromat bergamotki był trochę zbyt delikatny jak na wyrafinowane gusta smakoszy herbat, ale moje pewnie do takich nie należały.

– Z wkładką? – spytałem, opadając ciężko na krzesło.

– Nie – odparła Kinga, zajmując miejsce obok. – Ale może jakaś by ci się przydała. Nerwy masz napięte jak postronki, trochę by puściły.

Rudyk pokiwał głową w zamyśleniu.

– Piwo – orzekł. – Tego ci trzeba.

– Nie piję piwa.

Popatrzył na mnie, jakbym pochodził z innej planety. Często spotykałem się z podobnymi reakcjami, szczególnie kiedy zrezygnowałem z posługi i przez jakiś czas w ogóle nie tykałem alkoholu.

Człowiek, który w towarzystwie mówi, że nie pije, bo przestał, zasługuje na ogólny szacunek. Ten zaś, który oznajmi, że nigdy nie pił, brany jest za dziwoląga. Przywykłem do tego.

– Wolę wlać coś do earl greya – wyjaśniłem.

Mariusz wciąż świdrował mnie oceniającym spojrzeniem.

– Jest sporo takich drinków – dodałem, jakbym rzeczywiście musiał się tłumaczyć. – Earl grey pasuje do wielu rodzajów alkoholu, robi się koktajle z martini, rumem, whisky, nawet z szampanem.

Od rozmowy na ten temat rzeczywiście miałem ochotę wlać coś do herbaty. Zamiast tego jednak w milczeniu kilkakrotnie wyciągnąłem i zanurzyłem torebkę. Cisza się przeciągała, a ja zastanawiałem się, ile z moich odkryć powinienem zdradzić tym dwojgu. Kindze gotów byłbym powiedzieć właściwie wszystko, niechętnie jednak dzieliłem się czymkolwiek z Rudykiem.

Popatrzyliśmy na siebie, jakbyśmy obaj pomyśleli o tym samym. Mariusz poruszył się nerwowo i wyjął torebkę z kubka. Okręcił ją na łyżeczce, a potem odłożył na spodek. Działał mi na nerwy takimi gestami, choć na dobrą sprawę nie były niczym, co powinno mnie irytować.

– Nie było już żadnych sygnałów z transpondera? – zapytał.

– Nie.

– Ale teoria o cyberterroryzmie nadal jest aktualna?

Pokiwałem głową bez przekonania.

– I słusznie – ocenił. – To jedyna możliwość.

– Nie jedyna – odparłem.

– Masz inną?

Nie odezwałem się, a on najwyraźniej potraktował milczenie jako najwymowniejszą odpowiedź. Popatrzył najpierw na mnie, a potem na Kingę. Ta jednak wzruszyła ramionami.

– Berg? – spytała. – Wiesz coś więcej?

Wiedziałem już stanowczo zbyt wiele. Zbyt wiele, by zachować trzeźwy umysł. Zbyt wiele, by samemu poradzić sobie ze świadomością tego wszystkiego, do czego dotarłem.

Nie było sensu dłużej zastanawiać się nad tym, czy powinienem się tym z nimi podzielić. Prędzej czy później

opowiem o wszystkim Kindze, a ona przekaże to jedynej osobie, do której ma bezgraniczne zaufanie.

Potarłem nerwowo skronie i wypuściłem powietrze z płuc. Podjąwszy decyzję, poczułem się, jakbym zrzucił z barków przynajmniej część ciężaru.

– Dotarłem do pewnych informacji, które świadczą, że to nie ma nic wspólnego z cyberatakiem – odezwałem się.

– W takim razie z czym? – spytał Mariusz.

– Dobre pytanie.

Oboje unieśli brwi, czekając na więcej. Nie miałem zamiaru przeciągać. Zacząłem od głosu, który usłyszałem tej nocy, gdy samolot zaginął. Opisałem, jak udało mi się ustalić, że to pierwotna wymowa łaciny. Potem przeszedłem do heksagramu, Izaaka, trzeciego dnia i piętnastego kwietnia. I w końcu dotarłem do związku z Japonią.

Kinga i Rudyk potrzebowali chwili, by to wszystko przetrawić. Wiedziałem doskonale, jakich reakcji mogę się spodziewać. W Kindze tliła się jeszcze nadzieja na tyle duża, by siostra mojej narzeczonej uczepiła się choćby najbardziej irracjonalnego scenariusza. W Mariuszu było wystarczająco dużo niechęci wobec mnie, by uznał, że jestem niezrównoważony.

– Co ty właściwie sugerujesz? – odezwał się po chwili. – Że siły zła wyrysowały na globie demoniczny symbol, porywając samolot? I że kontaktują się z tobą, żeby naprowadzić cię… na co?

Nie potrafiłem wymyślić żadnych dobrych odpowiedzi.

– Tego nie powiedział – zauważyła Kinga.

– Wprost nie, ale między wierszami tak.

– Nie wiem, co to znaczy – zastrzegłem i wziąłem łyk earl greya. – I do wczoraj nie wiedziałem, czy chcę się kiedykolwiek dowiedzieć.

Kinga wyprostowała się na krześle jak przykładna uczennica, która ma zaraz usłyszeć od nauczyciela coś

naprawdę istotnego.

– Co się od tamtej pory zmieniło? – zapytała.

Rudyk przewrócił oczami.

– Poszedłem tropem japońskim – oznajmiłem. – I prześledziłem wszystkie wypadki lotnicze maszyn z tego kraju.

– Brzmi jak mozolna robota, która do niczego nie prowadzi – ocenił Mariusz.

– A jednak do czegoś mnie doprowadziła – zaoponowałem. – I przesadnie trudna nie była, bo wypadków wcale nie było tak wiele.

Popatrzyłem na Kingę, czekając, aż da mi znak, że nie podchodzi do tego tak krytycznie, jak jej mąż. Aż da mi przyzwolenie, żebym kontynuował.

– Nic dziwnego – odezwała się. – Japończycy dbają o bezpieczeństwo.

– Jak mało kto – przyznałem, a potem nabrałem tchu.

Uznałem, że czas wyłożyć karty na stół. Otworzyłem laptopa i podłączyłem go do zasilania.

– W latach pięćdziesiątych niewielki samolot rozbił się w okolicy góry Mihara – zacząłem. – W siedemdziesiątym drugim doszło do dwóch wypadków śmiertelnych, w obydwu brały udział małe maszyny. W osiemdziesiątym drugim rozbił się samolot Japan Airlines, McDonnell Douglas DC-8 i…

Kinga spojrzała na mnie pytająco, kiedy urwałem.

– Żaden z tych wypadków nie był tak tragiczny w skutkach, jak ten, do którego doszło w połowie lat osiemdziesiątych.

– To znaczy?

– Japan Airlines 123. Rozbił się dwunastego sierpnia osiemdziesiątego piątego roku. To najtragiczniejsza katastrofa, jeśli chodzi o liczbę osób na pokładzie jednej maszyny. I trzecia najtragiczniejsza w historii.

– Sądzisz, że…

– Spójrz – przerwałem jej, a potem obróciłem laptopa.

Oboje wbili wzrok w ekran, mrużąc oczy.

– Co to jest? – zapytał Mariusz.

– Popatrz tu – powiedziałem, przechylając się przez stół i wskazując odpowiednią rubrykę w tabelce na Wikipedii. – Widzisz?

– Nie.

– Model samolotu.

– Boeing 747-100-SR-46 – odczytała.

Obróciłem laptopa z powrotem do siebie.

– Dokładnie ten sam, który wykonywał rejs dla Air Hibernia.

Kinga spojrzała mi w oczy, jej mąż nadal nie odrywał wzroku od oznaczenia maszyny.

– Jesteś pewien? – zapytał, jakbym rzeczywiście mógł się pomylić w tak istotnej kwestii.

– Absolutnie – odparłem.

Właściwie sam zadawałem sobie to pytanie, kiedy odkryłem punkt styczny między Japan Airlines 123 i Air Hibernia 3836. Początkowo nie mogłem uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Sprawdzałem kilkakrotnie, jakby istniała szansa, że jednak któryś element oznaczenia się różni.

Zgadzały się jednak w stu procentach.

– Ale to było lata temu… – zauważył Rudyk.

– Stare boeingi nadal latają, najczęściej w tanich liniach. To wciąż porządne maszyny.

Mariusz głośno przełknął ślinę. Miał problem z zaakceptowaniem prostego faktu, ja miałem na to sporo czasu. Zresztą spodziewałem się tego, wychodząc z założenia, że prędzej czy później znajdę spoiwo, którym połączę zaginięcie AH 3836 z którymś japońskim lotem.

Miałem wrażenie, że mój umysł powoli się otwierał, a ja zaczynałem dostrzegać nowe możliwości. Być może zanurzałem się coraz głębiej w szaleństwie, ale towarzyszyło mi przekonanie, że robię dokładnie to, co w tej sytuacji powinienem.

– To przypadek – ocenił Rudyk. – Owszem, dziwny… ale przypadek.

Pokręciłem głową tak, by nie uszło to jego uwadze.

– Zdajesz sobie sprawę, ile jest takich maszyn na świecie? – spytałem.

– Nie.

– Policzyłbyś je na palcach jednej ręki. To rzadko spotykana modyfikacja boeinga 747 z mniejszymi zbiornikami paliwa, ale większą ładownością. W klasie ekonomicznej może zmieścić nawet 550 pasażerów. Zmiany wykonano na specjalne zamówienie Japan Airlines, a maszyny przeznaczono do dwudziestoletniej eksploatacji. Potem linie sprzedały je innym przewoźnikom. Jedna z nich trafiła do Air Hibernia.

Mariusz wyglądał na zaniepokojonego, więc uznałem, że coś do niego dociera. Na tym etapie zapewne jeszcze niewiele, uznałem, ale kwestią czasu było, nim sam zrozumie, że są na świecie rzeczy, które wymykają się logice.

Kinga wydawała się znacznie bardziej ufna.

– Zbudowano ich jedynie dwanaście – dodałem. – Wiesz, jaki to odsetek wszystkich wyprodukowanych samolotów?

Nie odpowiadał.

– Nazwać to dziwnym przypadkiem, to jak powiedzieć, że wygrana w lotto jest miłym akcentem.

– Nie przesadzaj.

– Nie przesadzam – zaoponowałem. – Prawdopodobieństwo takiego zrządzenia losu jest marginalne. A jeśli dodasz do tego fakt, że zostałem skierowany na ten trop przez…

Mariusz uniósł dłoń, jakby dokończenie zdania mogło sprowadzić na nas dziesięć egipskich plag. Może był to sposób dobry jak każdy inny, by obronić się przed świadomością tego, co się dzieje.

Podobnie jak zaprzeczenie.

– Powinieneś dać sobie z tym spokój – powiedział Rudyk, patrząc na Kingę w poszukiwaniu wsparcia. – Inaczej

zwariujesz.

– Może – przyznałem. – Ale wydaje mi się, że jestem jedynym, który może odkryć prawdę.

Mariusz uśmiechnął się lekko, z pobłażliwością.

– Czy ty w ogóle siebie słyszysz?

– Tak. Czasem nawet zdarza mi się usłyszeć, jak mówię w obcym języku.

Pokręcił bezradnie głową, nadal czekając, aż żona go wesprze. Kinga jednak trwała w bezruchu, zawieszając wzrok gdzieś za oknem. Odniosłem wrażenie, że jest znacznie dalej niż drzewa, które widać było z kuchni.

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak to wszystko brzmi – zauważył Mariusz.

– Niestety, zaczynam zdawać sobie sprawę.

– Nie wydaje mi się. Gdyby tak było, może zorientowałbyś się, że czas zająć się ważnymi sprawami.

– I jakie to twoim zdaniem sprawy?

Nabrał głęboko tchu, siląc się na karykaturę wyrazu twarzy, który ćwiczą lekarze, kiedy przychodzi im przekazać smutną wieść o śmierci członka rodziny.

– Doszło do wielkiej tragedii – powiedział. – Czas, żebyś przyjął to do wiadomości. Żebyście oboje to zrobili.

Spojrzałem na Kingę, ale ta zdawała się nie słyszeć naszej rozmowy.

– Więc co? – zapytałem. – Czas kupić dla Anety miejsce na cmentarzu?

– Tego nie powiedziałem, ale…

– Czas zrezygnować, pożegnać się z nadzieją i zacząć umartwiać?

– Żałoba to nie powód to wstydu – odparł ciężko. – Pogodzenie się ze stratą kogoś bliskiego tym bardziej nie.

Co do zasady miał rację, tyle że ten przypadek nie miał nic wspólnego z regułami, które wszyscy znaliśmy. Nie mogłem mieć pewności, że Aneta zginęła. Moja narzeczona i pozostali

pasażerowie mogli wciąż żyć. Na tym etapie nie powinienem wykluczać niczego.

Mariusz przypatrywał mi się przez chwilę, jakby potrafił przejrzeć moje myśli.

– Ona nie żyje – powiedział.

Kinga drgnęła nerwowo, ale nie oderwała wzroku od koron drzew.

– Nie mamy pewności – odparłem. – I dopóki jej nie uzyskamy, nie mam zamiaru nikogo opłakiwać.

– To zwykłe szaleństwo, Berg.

– Nie, to namiastka racjonalności w całym tym szaleństwie.

Przez chwilę milczeliśmy, mierząc się wzrokiem, jakby każdy z nas czekał, aż drugi rzuci mu wyzwanie. W końcu zrobił to Rudyk, przynajmniej w pewnym sensie.

– W porządku – powiedział. – Więc co twoim zdaniem stało się z tym samolotem?

– Nie wiem.

– Gdzie jest? Ktoś go porwał? Coś?

Wzruszyłem lekko ramionami, nie mając zamiaru się powtarzać. Nie chciałem też snuć kolejnych hipotez. Im więcej pojawiało ich się w mediach, tym silniejsze było moje wrażenie, że oddalają się od tego, co się naprawdę wydarzyło.

– Nie masz żadnych odpowiedzi? – spytał Mariusz.

– Nie.

– Sam więc widzisz, że…

– Widzę tylko tyle, że odpowiedzi znajdę w historii lotu Air Japan 123 – przerwałem mu, bo powoli kończyła mi się cierpliwość. – Musi istnieć powód, dla którego ten lot jest istotny.

Kinga w końcu jakby się ocknęła. Popatrzyła na mnie pytająco.

– Jaki? – odezwała się.

– Ustalę to, prędzej czy później.

Zerknęła na klapę laptopa.

– Przeanalizowałeś listę pasażerów?

– Tak, ale nie ma żadnych punktów stycznych z AH 3836.

– Może chodzi o miejsce docelowe?

Pokręciłem głową.

– Leciał do Osaki, a to miasto nie ma żadnego związku z niczym, co pojawiło się do tej pory – odparłem i ciężko westchnąłem. – Miejsce katastrofy też wydaje się bez znaczenia. Podobnie załoga, okoliczności wypadku i… właściwie wszystko inne. Chociaż…

Zawiesiłem głos, Kinga i Mariusz spojrzeli na mnie z niepokojem.

Poczułem ciarki przemykające mi po kręgosłupie, jakby wąż prześlizgiwał się po nagiej skórze. Kiedy dotarły do karku, głowa mimowolnie mi się zatrzęsła, a na rękach i nogach poczułem lekkie mrowienie.

Co się ze mną działo?

Lekkie dreszcze przeszły w uczucie paraliżu, jakby krew przestała dopływać mi do dłoni i stóp. Miałem wrażenie, że jeślibym się podniósł, nogi by się pode mną ugięły.

Zamrugałem kilkakrotnie, jakby to mogło w jakiś sposób pomóc mi zrozumieć, co właśnie się wydarzyło.

– Berg? – odezwała się Kinga. – Co się dzieje? Zbladłeś, jakbyś…

– Chryste – jęknąłem.

Z jakiegoś powodu wydało mi się niewłaściwe, że to powiedziałem. Oplotło mnie nieprzyjemne uczucie, jakbym zrobił coś zakazanego – coś, przed konsekwencjami czego nie będę potrafił uciec.

Kinga podniosła się i podeszła do mnie. Położyła mi rękę na ramieniu, a potem nachyliła się.

– Co się stało?

– Jest… jest punkt styczny między tymi lotami – powiedziałem, a potem spojrzałem jej prosto w oczy. – Przed

startem… podczas instrukcji… stewardesie też odwinęła się apaszka.

– Co?

Spojrzeli najpierw na siebie, a potem na mnie. Nie rozumieli, do czego zmierzam. Na Boga, ja też nie chciałem tego rozumieć.

– O czym ty mówisz? – jęknął Rudyk.

– Apaszka jednej ze stewardes Japan Airlines 123 – wyrzuciłem z siebie, potrząsając głową. – Też jej się odwinęła. Upadła na podłogę.

Mariusz skrzywił się, jakby usłyszał największą bzdurę. Kinga wciąż się nade mną pochylała, a ja dostrzegałem w jej oczach głęboki niepokój.

– Skąd o tym wiesz? – zapytała.

– Bo byłem na pokładzie tamtego samolotu – odparłem.

VI

Niełatwo wytłumaczyć komuś rzeczy, których sami nie rozumiemy. Na co dzień robią to niektórzy nauczyciele, wykładowcy, eksperci telewizyjni lub dziennikarze, część z nich opanowała nawet grę pozorów tak dobrze, że potrafią to ukryć. Ja nie umiałem.

Kiedy Mariusz zaśmiał się z niedowierzaniem, nie zareagowałem w żaden sposób. Nie miałem zamiaru przekonywać go, że w osiemdziesiątym piątym naprawdę znajdowałem się na pokładzie Japan Airlines 123. Mimo że byłem tego absolutnie pewien.

Rudyk wstał, przeszedł po kuchni, a potem spojrzał w kierunku korytarza.

– Na nas chyba już czas – oświadczył. – Potrzebujesz pomocy, Berg, ale nie naszej. My nic nie możemy dla ciebie zrobić.

Nie musiał dodawać, że w jego przekonaniu pomóc mogłaby wyciągnięta dłoń psychiatry.

– Kinga?

– Poczekaj moment…

– Na co? – żachnął się Mariusz. – Aż zacznie przekonywać nas, że nie zwariował? Że kontaktują się z nim istoty z zaświatów? A może sam Bóg do niego mówi?

Spojrzeli na mnie, jakby rzeczywiście oczekiwali, że odpowiem. Być może bym to zrobił, gdybym tylko znał prawdę. Miałem jednak wrażenie, że jeśli cokolwiek przenika do naszej rzeczywistości, to z siłami dobra nie ma nic wspólnego.

Powinno zaniepokoić mnie to bardziej. Fakt, że mogłem być prowadzony za rękę przez demony, był wystarczający, bym poczuł przemożny strach. Tak się jednak nie stało. Z jakiegoś powodu czułem się komfortowo.

– To absurd. Chodźmy.

– Zaczekaj – powtórzyła Kinga.

Obeszła stół, usiadła naprzeciwko mnie, a potem złowiła mój wzrok. Przywodziła na myśl śledczego, który stara się ocenić, czy ma przed sobą przestępcę, czy może niewinnego człowieka.

– Co masz na myśli, mówiąc, że byłeś na pokładzie?

– Nie wiem.

Rudyk pokręcił głową i z niedowierzaniem rozłożył ręce.

– Możesz mi to wytłumaczyć?

– Nie.

Patrzyła na mnie długo, czekając, aż dodam coś jeszcze. Było w tym spojrzeniu nie tylko chorobliwe wyczekiwanie, ale także przestroga. Zdawała się dotyczyć tego, że jej cierpliwość się kończy.

– Nie potrafię powiedzieć, skąd ta pewność – powiedziałem. – Ale wiem, że tam byłem. Widziałem, jak stewardesie spadła chusta. Stała się identyczna rzecz, jak na tym snapie, który wszyscy widzieliśmy.

– Na Boga… – odezwał się Mariusz.

Wróciło uczucie niewłaściwości, które miałem chwilę wcześniej, gdy jęknąłem „Chryste". Tym razem było jeszcze bardziej przejmujące, a towarzyszyło mu coś jeszcze. Smród.

Nie, nie smród, prawdziwy odór. Nagle poczułem zapach, który przywodził na myśl mieszankę gnoju, gówna i rzygowin. Zdawał się wypełniać moje nozdrza, przenikać aż do płuc. Po chwili odniosłem wrażenie, że fetor nabrał smaku. Poczułem go w ustach, a potem w żołądku.

Zrobiło mi się niedobrze.

– Kurwa… – mruknąłem, krzywiąc się. – Co to jest?

Miałem wrażenie, że żółć podchodzi mi do gardła. Zerwałem się z krzesła i ruszyłem w kierunku łazienki. Zatrzymałem się w połowie drogi, opanowując odruch wymiotny. W jednej chwili objawy ustąpiły.

Otarłem czoło, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że się spociłem.

Dlaczego tak reagowałem na wspomnienie Boga i Chrystusa? Odpowiedzi nasuwały się same. Istniały tylko dwie możliwości. Pierwsza była taka, że to Bogu nie odpowiadało wymienianie jego imienia nadaremno. Druga taka, że jakakolwiek wzmianka o nim drażni siły piekielne.

Jedno ani drugie wytłumaczenie było nie do przyjęcia. A zarazem obydwa w tej sytuacji wydawały się możliwe.

Kinga stanęła obok mnie, a kiedy znów położyła mi dłoń na ramieniu, wzdrygnąłem się, jakby poraziła mnie prądem.

– Wszystko w porządku?

– Nie – odparłem. – Nic nie jest w porządku. Nie rozumiem, co się ze mną dzieje, i nie wiem, jakim cudem pamiętam sceny z tamtego lotu.

– Sceny? – zapytała niepewnie. – Mówiłeś tylko o jednej.

– Przypominam sobie więcej, ale… nie mogę, nie potrafię złożyć ich w całość. Nie widzę ich wyraźnie. Są jak dawne wspomnienia.

Właściwie pamiętałem je tak, jak większość innych rzeczy z połowy lat osiemdziesiątych. W moim umyśle były to wspomnienia równie realne jak te z seansu kinowego ówczesnej głośnej premiery, *O-bi, O-ba. Koniec cywilizacji*. Pamiętałem, że grali Stuhr i Janda, że była to produkcja science fiction, którą chyba kilkakrotnie musiał w młodości widzieć Dmitrij Glukhovsky, ale niewiele ponad to potrafiłem wyłowić z umysłu. Wspomnienia z pokładu Air Japan 123 były równie mętne.

Ale były tam.

Gdzieś na wyciągnięcie ręki. Czekające na mnie, wyzywające.

Miałem wrażenie, że coś zagnieżdża się w rzeczywistości, prosząc mnie o pomoc. Wgryza się w nasz świat, a każda kolejna informacja, jaką mi przekazuje, pozwala mu wbić kły coraz głębiej.

Czym było to coś? Nadnaturalną obecnością? Demonem? A może moimi własnymi urojeniami, które zdawał się nader klarownie widzieć Rudyk? Pewne pytania powinno się pozostawić bez odpowiedzi. Te jednak do takich nie należały.

– Skontaktujemy go z kimś – odezwał się Mariusz. – Nie zostawimy go na lodzie, rozumiesz?

Dopiero teraz zorientowałem się, że na moment musiałem odpłynąć. Kinga stała przy stole, ja wciąż znajdowałem się w korytarzu. Obok niej stał Rudyk, który trzymał jej dłoń i mówił do niej, jakby była dzieckiem.

– Nigdzie się nie wybieram – zaoponowała. – Nie zostawię go tak.

– Nie pomożesz mu.

– A skąd pewność, że on w ogóle potrzebuje pomocy?

Rudyk uniósł błagalnie wzrok. Obawiałem się, że znów przywoła Boga, ale na szczęście tego nie zrobił. Odetchnąłem w duchu.

Wiedziałem doskonale, jak potoczy się dalsza rozmowa tych dwojga. Jako ksiądz rzadko widywałem rodzinne kłótnie, ludzie w obecności duchownego potrafili powściągnąć nawet te najmocniej targające nimi emocje. Jako „cywil" miałem jednak aż nadmiar okazji, by przekonać się, co mnie wcześniej ominęło.

W przeciwieństwie do Kingi, Aneta była wulkanem. Do erupcji dochodziło często nie tylko bez zapowiedzi, ale i bez powodu. Odnosiłem wrażenie, że co jakiś czas po prostu musi się wyładować, bo w przeciwnym wypadku odejdzie od zmysłów. Przyczynkiem do kłótni mogło być wszystko lub nic. Przy czym najczęściej w grę wchodziło to drugie.

Gdyby tu była, szybko zaprowadziłaby porządek. Mnie odsądziłaby od czci i wiary, twierdząc najpewniej, że zacząłem coś brać. Na miejscu swojej siostry wyciągnęłaby stąd Mariusza siłą, nie zważając na jakiekolwiek protesty. Zawsze

stawiała na swoim, a sposób, w jaki to robiła, był jednym z powodów, dla których tak mnie pociągała.

Zostawiłem Kingę i Rudyka samych, kiedy sprzeczka jeszcze się tliła. Nie miałem zamiaru obserwować, jak zmienia się w pożar. Wziąłem prysznic, łudząc się, że opłukanie się chłodną wodą nieco mnie otrzeźwi.

Wychodząc z łazienki, czułem się jednak tak samo otumaniony, jak kwadrans wcześniej. Powiodłem wzrokiem po korytarzu, przypuszczając, że Mariusz ostatecznie postawił na swoim. Spodziewałem się kartki z lakoniczną informacją, że wrócą pod wieczór, by sprawdzić, czy u mnie wszystko okej.

Zastałem jednak w kuchni Kingę. Sprawiała wrażenie, jakby wszystko było w jak najlepszym porządku, więc przypuszczałem, że kłótnia okazała się bardziej intensywna, niżby to wynikało z czystej logiki.

Być może wszystkie między zakochanymi odbywały się na takich zasadach.

Usiadłem przy stole i przesunąłem ręką po nieco mokrych włosach. Kinga posłała mi niewyraźny uśmiech, jakby chciała zasugerować, że sprzeczka między nią a mężem to nie moja wina.

Wydawało mi się, że napięcie jeszcze wypełnia kuchnię, że powietrze wciąż jest naelektryzowane. Oboje wiedzieliśmy, o czym chcemy rozmawiać. Żadne z nas jednak nie wiedziało, jak się do tego zabrać.

W końcu Kinga wybrała najprostsze możliwe rozwiązanie.

– Pamiętasz coś jeszcze?

Nie upewniała się, czy naprawdę widziałem to, o czym wspominałem. Nie próbowała roztrząsać, jakim cudem mogłoby się to zdarzyć. I nie kwestionowała mojej pewności. Byłem jej za to wszystko wdzięczny.

– Tak i nie – powiedziałem, pocierając dłońmi o uda. – Mam przebłyski z tamtego lotu, wiem, jak wyglądały fotele, pamiętam zapach na pokładzie, buczenie silników,

demonstrację procedury awaryjnej przed startem i kilka innych rzeczy. Ale widzę to wszystko niewyraźnie.

Kinga przyglądała mi się w milczeniu.

– Nie wiem, do czego to przyrównać – dodałem.

– Spróbuj.

Na moment się zamyśliłem.

– Mam wrażenie, że wyobraźnia na bieżąco łata wszystkie dziury w pamięci – oznajmiłem. – Przez co nie wiem, co stało się naprawdę, a co sobie wymyśliłem.

– Więc możliwe, że ta spadająca chusta pojawiła się, bo widziałeś snapa.

– Nie – zaoponowałem stanowczo. – Od tego wspomnienia wszystko się zaczęło. Jego prawdziwości jestem pewien.

Kinga podniosła się, przeszła po kuchni, a potem stanęła przed szafkami. Powiodła po nich wzrokiem i bez ostrzeżenia zaczęła inwentaryzację moich zapasów. Niespecjalnie było co przeglądać. Ani ja nie byłem dobrym kucharzem, ani Aneta. Rzadko porywaliśmy się na kuchenne wyczyny, a jeśli już, to przynajmniej połowę dania musieliśmy kupić w gotowej formie.

– *Ex nihilo nihil fit* – odezwałem się.

Obejrzała się przez ramię i popatrzyła na mnie z niepokojem. Uśmiechnąłem się i machnąłem ręką.

– Nic nie rodzi się z niczego – wyjaśniłem. – Jeśli chcesz coś ugotować, nie obejdzie się bez wizyty w spożywczaku.

Wciąż nie odrywała ode mnie wzroku, jakby jakiekolwiek wspomnienie łaciny wydawało jej się nie na miejscu. Może tak było.

– Spożywczak może okazać się niewystarczający – odparła. – Potrzeba raczej hurtowego zamówienia.

– To też możemy załatwić.

– Przydałoby ci się – zauważyła. – Przynajmniej wyszedłbyś na zewnątrz. Ile już siedzisz zamknięty w tych czterech ścianach?

– Niedługo.

– Mhm – mruknęła bez przekonania. – Nie służy ci to.

Skinąłem głową, spodziewając się, że temat zastępczy szybko się wyczerpie i wrócimy do tego, co istotne. Kinga otworzyła lodówkę, wyciągnęła kulkę mozzarelli i skrzywiwszy się, posłała mi znaczące spojrzenie.

– Miesiąc po terminie – powiedziała.

– Wygląda nie najgorzej.

– Bo jest zamknięta – odparła, odsuwając kosz pod zlewem. Wrzuciła do niego ser i przez moment patrzyła na odpadki, jakby chciała na ich podstawie ustalić, jak źle ze mną jest.

Po chwili popatrzyła na mnie i uniosła brwi.

– Mówiłeś, że nie wychodzisz – odezwała się.

– Bo tak jest. Nie mam po co.

Ani dokąd, dodałem w duchu.

– A na stacji benzynowej kto był?

– Hm?

– Widzę papierki po hot dogach ze Statoila.

– A, no tak – przyznałem. – Ojciec mi przyniósł. Najwyraźniej mamy jakąś nową tradycję.

Patrzyła na mnie w milczeniu, nie poruszając się, nawet powieka jej nie drgnęła. Dopiero po chwili przerwała ten bezruch, mrużąc oczy. Wyglądała, jakby na coś czekała.

– Coś nie tak? – zapytałem.

– Ty mi powiedz, Berg.

Podeszła do mnie i jeszcze bardziej przymknęła powieki, jakby mogła przeskanować mnie wzrokiem.

– O co ci chodzi? – spytałem.

– Ty… mówisz poważnie?

– A dlaczego miałbym nie mówić? Wprawdzie nasze kontakty nigdy nie były dobre, a swojego czasu zarzekałem się, że nie chcę mieć z nim nic wspólnego, ale wiesz, jak jest w obliczu tragedii. Rodzinne więzy się zacieśniają.

Potrząsnęła głową i w końcu rozluźniła mięśnie twarzy. Nie sprawiło to jednak, że znikł z niej wyraz niepokoju. Przeciwnie, pogłębił się.

– Berg… – zaczęła. – Twój ojciec nie żyje.

– Co takiego?

Wrócił nieprzyjemny zapach, jakby pękł ropiejący pęcherz i uniósł się z niego fetor tego wszystkiego, co się w nim kotłowało. Znów zrobiło mi się niedobrze.

– Co ty próbujesz…

– Zginął w wypadku samochodowym – ucięła Kinga. – Ponad rok temu.

Nie potrafiłem przełknąć śliny, zgęstniała i smakowała ohydnie, jakby treść żołądka podeszła mi do gardła.

– Zidentyfikowałeś ciało – dodała. – Nie pamiętasz?

Nagle gdzieś z głębin mojego umysłu wypłynął obraz poharatanej twarzy, ledwo przypominającej ludzką. Bladej, ściągniętej, jakby coś wyssało z ojca całą wodę. Nos był zmiażdżony, na szyi widniały ciemne plamy opadowe.

Widziałem to aż nazbyt wyraźnie.

I zrozumiałem, że mój ojciec naprawdę nie żyje.

VII

Miałem wszystkiego serdecznie dosyć, a zarazem wiedziałem, że to dopiero początek. Wierzchołek góry lodowej, która zatrzęsła się w posadach.

Właściwie do wieczora nie mogłem pogodzić się ze świadomością, że to wszystko dzieje się naprawdę. Omówiliśmy z Kingą każdy aspekt, rozważyliśmy każdy scenariusz i zabrnęliśmy w każdą ślepą uliczkę, która kusiła nas, by sprawdzić, co znajduje się na końcu.

Jedyny sensowny wniosek sprowadzał się do tego, że nic nie działo się bez powodu.

Przed północą wróciła do siebie. Zostałem sam, a przynajmniej chciałem wierzyć w to, że tak naprawdę jest.

Ojciec mnie odwiedzał, nie mogło być co do tego wątpliwości. Na dowód tego miałem cztery papierki po hot dogach. Przynajmniej do momentu, aż nie wyniosła ich Kinga – twierdziła, że ma znajomego policjanta, który bez trudu ściągnie z nich odciski palców. W racjonalnym świecie to wystarczyłoby do rozstrzygnięcia, co się wydarzyło. Ale ten przestał nim być w momencie, gdy zaginął samolot Air Hibernia.

Miałem opory przed położeniem się do łóżka. Czułem niepokojącą obecność, która wciąż próbowała wgryźć się w naszą rzeczywistość. W mieszkaniu panowała absolutna cisza, nawet lodówka zdawała się nie buczeć. Na zewnątrz cicho zawodził wiatr, korony drzew widoczne z kuchni poruszały się nieznacznie.

Wytrzymałem w sypialni tylko kilka minut. Potem zerwałem się z łóżka, zapaliłem światło w całym domu, włączyłem NSI, po czym usiadłem z laptopem na kanapie. Zastanawiałem się,

czy nie puścić jakiejś płyty, ale muzyka nie mogła zagłuszyć moich myśli.

Rozejrzałem się, uspokajając nieco. Wszystko było w porządku, w mieszkaniu byłem tylko ja. Nic mi nie groziło.

Wiatr nieco się wzmógł, jakby natura chciała temu zaprzeczyć. Zaczęło lekko padać, a podmuchy niosły krople wprost w okno salonu. Wpatrywałem się w nieprzenikniony mrok nocy, jakby coś miało się z niego wyłonić.

Uznałem, że muzyka jednak nie zaszkodzi. Wszedłem na YouTube'a i nie musiałem zastanawiać się ani przez chwilę, co wpiszę w pole wyszukiwania. Blink 182, „All the small things". Numer z młodości, który miał sprawić, że poczuję się beztrosko. Przy odrobinie szczęścia wesoło, może nawet głupkowato.

Kiedy rozległy się pierwsze dźwięki i zobaczyłem pajacujących Marka, Toma i Travisa, zrobiło mi się lepiej. Zamknąłem na moment oczy i nabrałem głęboko tchu. Pokonałem strach, wracała mi racjonalność.

Potem nagle nagranie się zatrzymało. Spojrzałem na pasek ładowania – zatrzymał się i nie chciał ruszyć dalej. Na nagraniu pokazały się irytujące, obracające się kropki. Zerknąłem na dół ekranu i zobaczyłem, że nie mam dostępu do sieci.

Nic dziwnego. Moje Wi-Fi protestowało, ilekroć padał deszcz i wiał mocny wiatr. A teraz wyglądało na to, że za oknem pogoda odgrywa jedynie preludium do tego, co miało nadejść.

Wbiłem wzrok w ekran laptopa. Stanąłem przed jednym z najpowszechniejszych problemów w krajach pierwszego świata. Co robić na komputerze, kiedy nie ma internetu? Uśmiechnąłem się lekko, a potem zamknąłem klapę i odłożyłem laptopa.

Skupiłem się na NSI, nie mając zamiaru się niepokoić. Nie było czym.

Przynajmniej do momentu, aż rozległ się charakterystyczny, krótki dźwięk gasnącego nagle telewizora. Wraz z nim wyłączyło się w mieszkaniu wszystko inne.

Drgnąłem nerwowo, gardło zacisnęło mi się, jakbym zjadł coś, na co byłem uczulony. Rozejrzałem się, ale oczy nie mogły przyzwyczaić się do mroku.

Latarka, gdzie miałem latarkę?

Nie było sensu jej szukać po omacku, znacznie łatwiej będzie znaleźć komórkę, uznałem. Podniosłem się i ruszyłem do sypialni, skupiając się tylko na tym, by mieć jakiekolwiek źródło światła. By rozgonić choć trochę mrok.

By pokonać go? Nie, wiedziałem, że cokolwiek się w nim kryje, jest znacznie silniejsze ode mnie. W starciu z tym nie miałem żadnych szans, byłem dla niego niczym.

Wiedziałem, że potrzebuję pomocy.

Kiedy tylko znalazłem telefon i użyłem go, by oświetlić sobie drogę, skierowałem się do sypialni. Otworzyłem szufladę, w której znajdowały się koloratka i inne rzeczy stanowiące pozostałości dawnego życia.

Powinny tu być, powtarzałem sobie gorączkowo, przetrząsając zawartość.

Niczego jednak nie znalazłem. Ani krzyżyka, ani różańca, ani modlitewnika, ani koloratki. Szuflada została wyczyszczona ze wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z moją posługą.

Zamarłem, pochylony nad meblem, jedną ręką oświetlając wnętrze szuflady, drugą starając się wyczuć gdzieś z tyłu, na dnie, znajomy kształt. Na próżno. Nie było w niej nawet drewnianego krzyża, który niegdyś wieszałem nad łóżkiem.

Wyprostowałem się i poczułem, że robi mi się zimno. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że w całym domu nie było żadnego religijnego symbolu. Nic, dzięki czemu poczułbym się bezpieczniej.

Jak do tego doszło? Aneta była wierząca, ja też. Powinniśmy mieć choćby niewielki krzyżyk przybity nad drzwiami. Może

wyszliśmy z założenia, że i bez tego Bóg jest obecny.

Teraz odniosłem jednak wrażenie, że jest wprost przeciwnie.

Rozejrzałem się, ale wiedziałem, że nie patrzę na swoje mieszkanie. Spoglądałem w głąb własnej duszy – i zobaczyłem tam obraz zniszczonego świata.

Odepchnąłem od siebie tę myśl i uspokoiłem emocje na tyle, by przemówić sobie do rozsądku. Jeśli działo się coś, co nie powinno mieć miejsca, musiałem reagować. Nie potrzebowałem do tego ani mojej koloratki, ani żadnego symbolu.

Uklęknąłem przy łóżku, odnosząc wrażenie, że gdzieś w okolicy znów pojawiło się źródło smrodu.

Podniosłem prawą rękę i dotknąłem czoła.

– W imię Ojca i…

Urwałem, kiedy targnął mną spazm i poczułem kwaśny smak w ustach. Coś zabulgotało mi w żołądku.

Opanowałem odruch wymiotny, ale poczułem, że coś wycieka mi z ust, jak śluz z jątrzącego się wrzodu. Otarłem dłonią wargę i zobaczyłem czarną maź na palcach.

Wiatr stawał się coraz głośniejszy, deszcz padał z większym impetem, a temperatura wciąż zdawała się spadać. Coraz bardziej, jakby wszystkie okna były otwarte, a na zewnątrz szalała śnieżyca. Zatrząsłem się z zimna, nie mogąc przestać myśleć o tym, że wszystkie relacje demonicznych nawiedzeń łączyło jedno. Nagły spadek temperatury.

Spróbowałem przeżegnać się jeszcze raz.

– W imię Ojca i Syna, i…

Szarpnęło mną, jakby złapała mnie jakaś siła. Zdążyłem obrócić się w bok, by nie zwymiotować na łóżko. Wylał się ze mnie czarny śluz, rozbryzgując się na podłodze w kształcie przypominającym atramentowe plamy używane w teście Rorschacha.

Kaszlnąłem, wypluwając ostatnie porcje kleistej mazi. Natychmiast wykonałem znak krzyża, ale znów nie udało mi

się zrobić tego do końca.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! – krzyknąłem.

Wszystko, co miałem w żołądku, podeszło mi do gardła. Znów zwymiotowałem, tym razem czując, jakbym wyrzygał swoje organy wewnętrzne. Fetor, który wydobył się z moich ust, był nie do zniesienia. Potęgował nudności, nie pozwalał opanować odruchu wymiotnego.

Kiedy torsje w końcu na moment ustąpiły, zacząłem czołgać się po podłodze. Metr za metrem zmierzałem do drzwi, ciągnąc za sobą czarny ślad.

W połowie drogi zabrakło mi siły. Poczułem, jakby ktoś obwiązał mi kostki i umocował do czegoś koniec sznura.

– *In nomine Patris…* – zacząłem.

I tym razem jednak organizm zaprotestował. Czarny śluz stawał się coraz bardziej rzadki, cuchnął też coraz gorzej. Przywodził na myśl smród, który czułem wcześniej, ale teraz było w nim znacznie więcej zgnilizny. Kojarzył mi się z zepsutymi jajami i skwaśniałą śmietaną.

Zostawiając smugi na podłodze, torowałem sobie drogę do wyjścia, zupełnie jakby to mogło mnie uratować.

Dopiero po chwili zrozumiałem, że niepotrzebnie tracę siły. Przed tym, co mnie związało, nie było ucieczki. Nie w taki sposób.

Obróciłem się na plecy i otworzyłem szeroko oczy, patrząc w sufit.

– *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti…* – wydukałem, czyniąc znak Krzyża Świętego. – *Amen…*

Na moment zaległa zupełna cisza.

Powietrze, które przed momentem zdawało się naelektryzowane, nagle jakby stężało.

Rozległ się cichy, jednostajny, narastający szum.

Potem usłyszałem głos, który starał się przez niego przebić. Basowy, ryczący, wymykający się wszelkiej logice.

– *Dominus vobiscum*! – rozległ się, dudniąc mi w uszach.

Wymiociny, które podeszły mi do gardła, były jeszcze bardziej odpychające niż poprzednio. Było ich też znacznie więcej, przybrały konsystencję wody. Wiedziałem, że muszę natychmiast obrócić głowę, by się nie zadławić.

Nie mogłem się jednak poruszyć. Po przeżegnaniu się zastygłem, byłem zupełnie bezbronny.

Coś rzuciło mną w bok. Wylewając z siebie czarny płyn, w końcu znalazłem ratunek. Czekał na mnie w ostatnim oddechu, jaki zrobiłem, zanim straciłem przytomność.

VIII

Dzwonek do drzwi zdawał się wprawiać w ruch otaczające mnie powietrze. Ocknąwszy się, powiodłem wzrokiem po zasyfionej podłodze, starając się zignorować unoszące się nade mną opary ohydnego fetoru.

Ruszyłem z trudem w stronę drzwi, czując, że całe ubranie mam mokre. Górę od potu, dół od szczyn i kału. Czołgałem się przez korytarz, jakby od tego zależało moje życie. Być może tak było.

Zdołałem podnieść się tylko na moment, ale tyle wystarczyło, żebym przekręcił zamek. Potem osunąłem się z powrotem na podłogę. Kątem oka zobaczyłem tylko, że drzwi się otwierają. Potem znów straciłem przytomność.

Odzyskałem ją dopiero po kilku godzinach. Było południe, promienie słońca leniwie wpadały do sypialni. Leżałem w łóżku, ale nie miałem pojęcia, jak do niego trafiłem.

Wciąż czułem się brudny, skażony i trwale oszpecony. Ale tylko wewnętrznie. Moje ciało było czyste, po smrodzie nie było śladu.

Podniosłem się z trudem, jęcząc przy tym z bólu. Każdy mięsień zdawał się płonąć żywym ogniem.

– Berg? – rozległ się głos Kingi.

Wpadła do sypialni i omiotła wzrokiem wnętrze, jakby spodziewała się zastać tu kogoś oprócz mnie. Natychmiast znalazła się obok, położyła mi rękę na czole, a potem obie dłonie umieściła na policzkach. Przypatrywała mi się przez moment.

– Powinieneś jeszcze odpoczywać – odezwała się.

Nie to spodziewałem się usłyszeć.

Powinna zapytać, co się stało, upewnić się, że wszystko ze mną w porządku. Z jakiegoś powodu jednak w jej oczach był

spokój.

– Spałeś niecałe dwie godziny.

– Dwie…

Spojrzałem na zegarek i przekonałem się, że zgodnie z moimi przypuszczeniami jest już południe.

Najwyraźniej coś mi umknęło.

– Co… co się ze mną działo? – zapytałem.

– Miałeś odpoczywać.

– Nie, nie… wcześniej.

Zmarszczyła czoło i popatrzyła na mnie jak na wariata. Chwilę zajęło mi ustalenie kilku istotnych szczegółów.

Najwyraźniej początkowo na zmianę odzyskiwałem i traciłem przytomność. Kiedy sytuacja się unormowała, Kinga pomogła mi się położyć na kanapie w salonie. Opisałem jej wtedy to, co się stało.

Kiedy zapytała mnie, do czego w istocie doszło, miałem odpowiedzieć jej krótko: do przedstawienia się.

Relacjonując mi to, robiła wszystko, by głos jej się nie trząsł, ale skutek był marny. Uspokoiła się dopiero, kiedy skończyła opisywać zdarzenia z nocy i przeszła do tego, jak w końcu zwlokłem się z kanapy, wziąłem długi prysznic i ostatecznie położyłem się do łóżka. Miałem spać przynajmniej kilka godzin.

– Nic nie pamiętasz? – spytała. – Nie masz żadnych przebłysków?

– Nie.

Nie chciałem myśleć o tym, co to mogło oznaczać. A ona najwyraźniej nie miała ochoty roztrząsać tego ze mną. Podniosła się i odeszła na krok.

– Potrzebuję pomocy – powiedziałem.

– Chciałam wezwać kogoś z twojej parafii, ale stanowczo zaoponowałeś.

– Żaden ksiądz mi nie pomoże – odparłem.

– Więc kto?

Dobre pytanie, pomyślałem. Równie dobre jak to, skąd brała się moja pewność, że nie ma sensu szukać pomocy u jakiegokolwiek duchownego. Potrzebowałem chwili, by się nad tym zastanowić.

– Przede wszystkim potrzebuję krzyża, różańca… czegokolwiek…

Zbliżyła się niepewnie, przyjrzała mi się, a potem znów przysiadła na łóżku. Na tyle blisko, by jej obecność dała mi namiastkę komfortu, ale jednocześnie dostatecznie daleko, by w każdej chwili się wycofać.

– Znajdę coś – zapewniła. – Ale…

Nie dokończyła. I właściwie nie musiała. Wątpiła, że taki czy inny symbol religijny może w czymkolwiek pomóc. Ja jeszcze w nocy wychodziłem z podobnego założenia, ale tylko po to, by podnieść samego siebie na duchu. Zapewnić się, że nie potrzebuję krzyżyka, by korzystać z Bożej pomocy.

Prawda była jednak inna.

– To pomoże – powiedziałem. – Przynajmniej częściowo.

– Jesteś pewien?

– Tak – odparłem bez wahania. – Symbolika w Kościele jest nie do przecenienia. Symbolika i mistycyzm. Nie mówi się o tym otwarcie, bo to w pewien sposób ujmuje podniosłości całego nauczania, ale… – Zawiesiłem głos i spojrzałem za okno. – Weź pod uwagę choćby świece w kościele.

– To znaczy?

– Te, których używa się podczas mszy, muszą zostać wykonane z odpowiedniego materiału.

Nie musiała odpowiadać, żebym widział, że nie ma pojęcia, do czego zmierzam.

– *Luminaria cerea*. Wydzielina pszczelich gruczołów. To jedyny rodzaj, który jest dopuszczalny – powiedziałem. – Ma symbolizować czystość ciała, jakie Chrystus otrzymał od Maryi Dziewicy. To jeden z trzech elementów symboliki świec. Dwa pozostałe to knot, który odnosi się do duszy Jezusa,

i płomień, który ma oddawać jego boski charakter. Wszystkie świece wykonane z innych materiałów stanowią symboliczne oddanie dwóch ostatnich rzeczy, ale tylko te z wosku pszczelego zawierają wszystkie elementy.

– Mhm.

– Takie rzeczy mają znaczenie – powiedziałem. – Bo wbrew temu, co uważają ci, którzy zwracają uwagę na wymiar duchowości, czasem on sam nie wystarcza. Mamy przeciwko sobie siły zbyt potężne, żeby radzić sobie bez odpowiednich narzędzi.

Nie dostrzegałem w jej oczach przekonania, ale powinna zdawać sobie sprawę, że doskonale wiem, o czym mówię. Przez lata miałem z tymi sprawami styczność na co dzień.

– Wiele przedmiotów podczas mszy ma ogromne znaczenie – dodałem. – Sam ołtarz reprezentuje ciało Chrystusa, a biały obrus okrycie, w którym został złożony do grobu. Ucałowanie go przez duchownego to symbol szczerości, zaprzeczenie pocałunku, który złożył Judasz.

– W porządku, ale…

– Kazanie ksiądz może wygłaszać tylko siedząc na krześle lub stojąc na ambonie. W drugim wypadku chodzi o przekładanie Bożych słów, ale w pierwszym wyłącznie o symbolikę. Krzesło reprezentuje pozycję władzy, autorytetu. – Na moment urwałem, czekając, aż Kinga dokończy myśl, ale najwyraźniej zrezygnowała.

Nie miałem zamiaru opisywać każdego pojedynczego elementu liturgii, właściwie każdy miał znaczenie. Jak choćby to, że do transsubstancjacji hostii nie można było używać wyrobu bezglutenowego. Takich rzeczy było mnóstwo, z części wierni nie zdawali sobie sprawy. Jedna z mojego punktu widzenia była jednak kluczowa.

– I w końcu humerał – dodałem.

– Co takiego?

– Biała chusta, którą zakłada się, by okrywała szyję i ramiona. Niewidoczna, ale absolutnie kluczowa, każdy duchowny zakłada ją przed rozpoczęciem sprawowania mszy.

– Bo?

– Bo jest to konieczne dla jego ochrony.

Czekałem, aż zapyta przed czym, ale na dobrą sprawę nie musiała tego robić.

– Ma uodpornić duchownego na wodzenie Szatana podczas mszy.

Zaległo niekomfortowe milczenie, Kinga patrzyła na mnie, jakbym powiedział coś gorszącego. Relacjonowałem jednak tylko generalne zasady, znane każdemu, kto nosił koloratkę.

Widząc jej pełne niepokoju spojrzenie, mogłem zrozumieć, dlaczego ci, którzy humerału ani alby nie zakładali, nie byli we wszystko wtajemniczani. Powodowało to zrozumiały niepokój. Dla duchownych normalne było, że potrzebują dodatkowej ochrony, kiedy ma miejsce coś nadnaturalnego, coś tworzącego pomost pomiędzy naszą rzeczywistością a innym światem – bo czymże innym było przeistoczenie, kiedy dochodziło do eucharystycznej, rzeczywistej przemiany substancji?

Z punktu widzenia zebranych w kościele msza wiązała się z poczuciem bezpieczeństwa. Dla tych, którzy ją sprawowali, mogła jednak okazać się także zagrożeniem. W przeciwnym wypadku na całym świecie nie zakładano by obowiązkowo humerałów.

O ile dobrze wiedziałem, nie doszło nigdy do odprawienia liturgii bez tego elementu. Nie bez powodu. Był to ważny, wręcz kluczowy symbol.

– Potrzebuję czegokolwiek – powtórzyłem. – Książeczki do nabożeństwa, krzyżyka, choćby medalionu, Kinga.

– Coś załatwię, ale powiedz mi…

– Potrzebuję tego w tej chwili – przerwałem jej i rozejrzałem się niepewnie. – Dopóki to trzyma się z daleka.

– Nie masz niczego takiego w domu?

– Nie.

– Jesteś pewien? Może w którejś szafce albo…

– Na pewno niczego nie mam – odparłem. – Wszystkiego się pozbyłem.

– Dlaczego?

Nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie, tak samo jak nie wiedziałem, kiedy i jak wszystkie chrześcijańskie symbole znikły z mieszkania. Nie pamiętałem, jak je wyrzucałem, ale nie ulegało wątpliwości, że musiałem zrobić to stosunkowo niedawno. Na kilka dni przed wylotem Anety widziałem jeszcze w szufladzie mój komunijny krzyżyk.

Podniosłem się z łóżka i przeszedłem do kuchni, rozglądając się. Własny dom wydawał mi się obcy, jakby pod moją nieobecność wszystko się zmieniło – każda ściana zdawała się w innym kolorze, każdy mebel stał w innym miejscu.

Powiodłem wzrokiem po podłodze.

– Wszystko wytarłam – odezwała się słabo Kinga. – Co… co to było, Berg?

– Nic dobrego.

– I skąd tyle się tego wzięło?

Przypuszczałem, że z miejsca, którego nikt ani nic nie powinno opuszczać. Zachowałem jednak tę uwagę dla siebie. Odwróciłem się do Kingi i zobaczyłem, że ona też wbija wzrok w podłogę. Sprzątanie czarnej, kleistej mazi musiało ją co najmniej zaniepokoić. Miała styczność z czymś, co stanowiło fizyczne potwierdzenie istnienia zła.

– Dziękuję, że… – zacząłem i rozłożyłem ręce.

– Daj spokój.

– Wielu by po prostu spanikowało – zauważyłem.

– Nie ma o czym mówić – zbyła temat. – Wiesz, że zrobiłabym dla ciebie dużo więcej.

Zanim te słowa zdążyły zagnieździć się w mojej świadomości, odchrząknęła i sięgnęła po swoją koszulę, którą zawiesiła na

jednym z krzeseł przy stole. Często w takich chodziła – były typowe, niespecjalnie wyszukane, najczęściej w kratę i dostępne w każdej sieciówce. Przód zawsze wkładała pod sprzączkę paska, a mnie z jakiegoś powodu wydawało się to wyjątkowo pociągające.

– Na razie załatwię ci jakąś tarczę – powiedziała. – Na pewno mamy w domu krzyżyk czy medalik.

Skinąłem głową, odprowadzając ją wzrokiem. Każda minuta miała znaczenie, a to, co mnie nawiedziło, mogło wrócić nawet w tej chwili. Kiedy Kinga zamknęła za sobą drzwi, poczułem prawdziwy ciężar tej świadomości.

Byłem zupełnie bezbronny.

Przyszło mi na myśl, żeby się pomodlić, ale obawiałem się jakiegokolwiek zbliżenia ze światem, z którego wychynęła tamta obecność. Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli poczekam na mój nowy, własny amulet.

Dzwonek do drzwi rozległ się chwilę po tym, jak Kinga wyszła na korytarz. Stanowczo za szybko, bym uznał, że to ona wróciła.

Zmarszczyłem czoło, patrząc na drzwi, jakby stanowiły nie tylko wejście do mojego mieszkania, ale też drogę do miejsca znajdującego się znacznie, znacznie dalej. Podszedłem do nich niepewnie i wyjrzałem przez wizjer.

Zobaczyłem staruszkę w chuście. Stała przed drzwiami zgarbiona, z pochyloną głową, podpierając się na drewnianej lasce, jakich już się w zasadzie nie widywało. Ci, którzy potrzebowali tego typu pomocy, decydowali się na aluminiowe kule łokciowe za kilkadziesiąt złotych czy czworonogi, zapewniające znacznie lepszą stabilizację.

Otworzyłem drzwi, a kobieta leniwie podniosła wzrok. Twarz miała znaczoną latami doświadczeń i przeżyć, przypuszczałem, że dobija już dziewięćdziesiątki. Chusta była spłowiała, kojarzyła się z dawnymi ludowymi ubiorami.

Kobieta była przy ciele, co w tym wieku właściwie należało zapisać jej jako osiągnięcie. Wpatrywała się we mnie w milczeniu, mrużąc oczy.

– Myślała, że będzie tak barabanić bez końca – rzuciła.

Zaciągała z wyraźnym wschodnim, śpiewnym akcentem. Głos miała ciepły, choć nieco chrapliwy, jakby coś zalegało jej w gardle.

– Tyś jest Bergkamp – powiedziała.

– Skąd pani…

– Można wejść?

Potrząsnąłem głową i machinalnie cofnąłem się o krok.

– Kim pani jest?

– Łoj… – odparła, jakby odpowiedź była znacznie zbyt skomplikowana, bym ją zrozumiał. – Kimś, z kim żeś powinien się zobaczyć już dawno.

Ruszyła do środka, nie czekając na zaproszenie. Kołysała się lekko, przenosiła ciężar ciała na lewą stronę. Kiedy zamknąłem za nią drzwi, pociągnęła kilkakrotnie nosem, a potem skierowała się do kuchni.

Powiodłem za nią wzrokiem, niepewny, co powinienem zrobić.

– Ktoś tu przed chwilą był – zauważyła staruszka.

Wszedłem do kuchni.

– Tak, moja przyszła szwagierka – odparłem automatycznie, dopiero po fakcie orientując się, że określenie, którego dotychczas używałem, najpewniej stało się już bezzasadne. – To znaczy…

– Nie o tym gadam – przerwała mi kobieta.

Stanęła przy stole, obróciła się, a potem spojrzała w kierunku korytarza. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że wodzi wzrokiem po miejscach, gdzie w nocy leżałem. Znów wciągnęła powietrze nosem, a potem się skrzywiła.

– Furt to hadztwo… – powiedziała, a potem spojrzała na mnie. – Ale już go tu nie ma.

Przynajmniej kilka pytań cisnęło mi się na usta, ale nie potrafiłem zdecydować, które powinienem zadać jako pierwsze. Zanim zdążyłem postanowić, kobieta wskazała na telewizor.

– Roztworz to – poradziła.

– Ale…

– No, pośpieszaj. Bo ważne rzeczy będą gadać, żadne banialuki.

Zrobiłem, jak mi kazała, z jakiegoś powodu czując, że to nie ostatni raz. Na antenie NSI zobaczyłem relację, która najwyraźniej dopiero się rozpoczynała. Czerwony ticker na dole rozszerzył się, zajmując jedną czwartą ekranu. Technik odpowiedzialny za wprowadzenie tekstu najwyraźniej się wahał, bo komunikatu próżno było szukać.

Dziennikarka w studiu była wyraźnie skonsternowana. Patrzyła w kamerę, jakby nie dowierzała temu, co pokazało się na prompterze.

Po chwili pasek informacyjny w końcu wypełnił się tekstem.

„UTRACONO KONTAKT Z KOLEJNYM SAMOLOTEM PASAŻERSKIM”.

IX

Świat zdawał się coraz bardziej niepokojącym miejscem, ale kiedy tylko zjawiła się Kinga, poczułem się znacznie lepiej. Nie wiedziałem, czy to dlatego, że znów ją widzę, czy ze względu na to, co ze sobą przyniosła.

Dała mi metalowy medalion z wizerunkiem Matki Bożej, stary i lekko zardzewiały, ale w zupełności wystarczający. Szybko założyłem go na szyję, a potem głęboko nabrałem tchu.

Kinga patrzyła nierozumiejącym wzrokiem na staruszkę siedzącą przy stole, nie dostrzegając tego, co działo się na antenie NSI.

– Dobre cacko na giabła… – mruknęła kobieta z przekąsem, patrząc, jak chowam medalik pod T-shirtem. – Ale tera patrzają na telewizor, bo będą wsio tołkować.

Spojrzeliśmy na siebie, a potem odwróciliśmy się w stronę ekranu. Dźwięk był wyciszony, więc szybko podgłośniłem.

– Agencja Associated Press, która jako pierwsza dotarła do informacji, podaje, że zaginioną maszyną jest airbus A318 chorwackich linii lotniczych. Jest to najmniejszy samolot pasażerski należący do tego przewoźnika, wykonywał lot z Zagrzebia do Sarajewa, lądować miał na lotnisku Butmir za niecałe pół godziny. Kontakt utracono, kiedy maszyna rozpoczynała procedurę podejścia. Nic nie wskazuje na to, by doszło do katastrofy lub awarii technicznej. Na chwilę obecną agencja nie podaje więcej informacji.

Oboje obejrzeliśmy się na staruszkę, jakby to ona mogła mieć odpowiedzi. Zignorowała nas i przesunęła dłonią po stole. Kinga posłała mi długie, pytające i pełne niedowierzania spojrzenie, jakby niespodziewany gość pojawił się tutaj

podczas jej nieobecności wprost przez jakąś wyrwę w czasoprzestrzeni.

Wzruszyłem bezradnie ramionami. Znów skupiliśmy się na telewizorze.

– To niemożliwe – jęknęła Kinga.

– Na razie nic nie wiemy na pewno. Mogło dojść do awarii sprzętu, może ten samolot wciąż gdzieś tam jest.

– Sam w to nie wierzysz.

– Nie wiem, w co wierzyć, a w co nie – odparłem.

Tego jednego byłem akurat pewien.

– Dwa samoloty w ciągu kilku dni? – spytała, kręcąc głową.

– Poczekajmy, może…

– Nie ma na co – weszła mi w słowo kobieta. – Darem czekać, bo samolotu jak nie ma, tak nie będzie.

Zbliżyliśmy się do stołu, ale kątem oka oboje kontrolowaliśmy, co się dzieje na antenie NSI. Kolejne informacje z pewnością zaczną spływać szybko. Jeśli doszło do katastrofy, ktoś w okolicy Sarajewa z pewnością dostrzeże dym.

Wszyscy wiedzieliśmy jednak, że tak się nie stanie.

Usiedliśmy z Kingą przy stole, obok siebie, lekko dotykając się ramionami. Dawało to niewielkie poczucie komfortu w sytuacji, która do beztroskich nie należała.

– Gotowi? – spytała staruszka.

– Zaraz…

– Kim pani jest? – zapytałem po raz kolejny, teraz nie mając już zamiaru odpuszczać, dopóki nie otrzymam odpowiedzi. – I co pani tu robi?

– Apolonia – odparła. – Ale wszyscy mówią Pola.

Kaszlnęła, a z jej płuc dobiegł niepokojący chrobot, świadczący o tym, że z pewnością paliła przez więcej lat, niż ja spędziłem na tym świecie.

– Ale nie o mnie się tu rozchodzi – dodała. – A o ciebie, czyżyku. Miałeś góruje?

– Co takiego?

Westchnęła z politowaniem, jakby trudno jej było pojąć, dlaczego nie rozumiemy wschodniej gwary.

– Ciągle zapominam, że tu u was trzeba inaczej gadać – odezwała się. – Naszły cię już bóle?

Nie miałem zamiaru rozmawiać o mnie, przynajmniej dopóty, dopóki kobieta nie wyjaśni mi nieco więcej. Jeszcze raz powtórzyłem wszystkie pytania, które wcześniej jej zadałem, a potem próbowałem z niej wyciągnąć, skąd wiedziała, że dojdzie do zniknięcia kolejnej maszyny.

W odpowiedzi wzruszyła ramionami.

– Takie rzeczy się po prostu wie.

– Dosyć tego – włączyła się Kinga. – Albo skończy pani te zabawy, albo…

– Co? Wygonicie mnie i zostaniecie z tym sami? Niedobrze by było.

Wymieniliśmy się z Kingą spojrzeniami, dochodząc do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli zamilkniemy. Nie było sensu ciągnąć kobiety za język. Przyszła tu w konkretnym celu, sama prędzej czy później go wyjawi.

Pola jednak się nie kwapiła. Podniosła się ociężale, a potem zagotowała wodę, mamrocząc coś o „kipiatoku". Przez kilka chwil prowadziła cichy monolog, a ja przypuszczałem, że układa to, co ma zamiar nam przekazać.

Kiedy zaparzyła sobie herbaty i usiadła z powrotem przy stole, sprawiała wrażenie, jakby była u siebie.

Nie, już wcześniej tak wyglądała. Wiedziała doskonale, gdzie znajdzie earl greya, otworzyła od razu tę szufladę, w której znajdowały się łyżeczki, a oprócz tego bez trudu znalazła cukier.

– Jak wy nic nie pojmujecie… – zaczęła, a potem napiła się niemal jeszcze wrzącej herbaty. Skrzywiłem się na samą myśl, że jej usta zetknęły się z parującym napojem. – Jestem szeptuchą.

– Wiejską znachorką? – spytała Kinga.

– Oj tam, znachorka. Szepczemy ze zmarłymi, wot i wsio. Czasem wiadomo dzięki nim, komu co i jak trzeba dać, czasem inne rzeczy.

Siorbnęła głośno, a ja zerknąłem na telewizor. Wyglądało na to, że w sprawie airbusa nie ma żadnych nowych informacji. Obawiałem się, że ten stan już się nie zmieni.

– Widziałam już to – powiedziała Pola, obrzucając wzrokiem ekran. – Pokazał mi to jeden. Nic ciekawego.

Znów popatrzyliśmy na siebie z Kingą.

– I co tak się na siebie hledziecie? – burknęła staruszka. – Odezwaliby się, a nie…

Urwała i w końcu wyciągnęła torebkę liptona. Podałem jej spodek, ale zignorowała mnie, kładąc herbatę na stole. Potem znów chrapliwie kaszlnęła.

Uznałem, że czas najwyższy wyciągnąć z niej coś więcej. W normalnych okolicznościach zapewne bym ją odprawił, nie mając ochoty na wysłuchiwanie o jakichkolwiek ludowych zwyczajach. Te okoliczności jednak do zwykłych nie należały. Być może wyciągnięto do mnie pomocną dłoń, a mnie nie było stać na to, by ją zignorować.

Poza tym miałem medalion. Coś, co zapewniało mi namiastkę bezpieczeństwa. Mogłem w końcu przejść do ofensywy – tym bardziej że sytuacja tego wymagała. Jeśli drugi samolot naprawdę przepadł, oznaczało to, że mamy do czynienia z czymś jeszcze bardziej niepokojącym, niż do tej pory sądziłem.

– Przed wejściem powiedziała pani „Bergkamp” – zauważyłem. – Dlaczego?

– Tak na ciebie mówią.

– Skąd pani o tym wie?

Założyłem, że „oni” odnosi się do mojego otoczenia.

Pomyliłem się.

– Bo mi powiedzieli – odparła. – Twój baćko mówił, że mu się to nie podobało, bo nie po to dał ci imię. Ale w końcu to on ci tę koszulkę kupił na tym straganie, sam sobie winny.

Nadal zaciągała tak mocno, że musiałem się skupić, by zrozumieć każde słowo, ale przynajmniej zrezygnowała z gwary.

– Mówił, że Filip to dobre imię – ciągnęła. – No i miał rację, w końcu to od ojca Aleksandra Wielkiego.

Ojciec powtarzał mi to wielokrotnie, jakby rzeczywiście miało to jakiekolwiek znaczenie.

– Posłał mi tylko kilka wiadomości – dodała Pola. – Więcej nie dał rady.

Milczałem, nie odrywając wzroku od kobiety. Kinga robiła dokładnie to samo.

– Każdą razą bądź starczyło, prawda? I żebyś mnie wpuścił, i żebyś uwierzył.

– Może, tylko że…

– Nie ma żadnego „tylko że” – ucięła. – Nie ma czasu na upieranie się. I szkoda sił, bo będziesz ich potrzebował.

– Do czego?

– Do rozmówienia się z ojcem – odparła, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie na jutro, a nie nawiązywaniu kontaktów ze zmarłymi. – I nie ma co dziamgać. Wiesz, co się dzieje, widzę przecież, żeś smugi zostawił na podłodze. Czuję jeszcze ten swąd …

Skrzywiła się i znów zakaszlała.

– Zbierają się tu ciemne chmury – oznajmiła. – Trzeba działać, póki pora. Potem już nawet relikwie nas nie ustrzegą.

– O czym pani mówi? – wtrąciła Kinga.

– Trzeba przywołać obecność ojca.

– Co? – wypaliłem.

– Chce z tobą kontaktu, trzeba mu to zapewnić.

– Zaraz…

– Ojciec chce z tobą rozmawiać – powtórzyła tonem, który miał chyba wykluczyć wszelką dyskusję. – To się nie zdarza normalnie, więc coś jest na rzeczy. Zwyczajnie to stąd się o to zabiega, a nie odwrotnie.

Cieszyło mnie, że siedzimy z Kingą tak blisko. Jej dotyk był jak kotwica, która trzymała mnie w rzeczywistości – mimo że szalone prądy starały się mnie z niej wyrwać.

To, co mówiła ta kobieta, było absurdem. A jednocześnie rozumiałem, że każde słowo oddaje prawdę.

– Ojciec…

– No, no. Twój baćko.

– Odwiedził mnie już.

Z trudem przeszło mi to przez gardło.

– Ta? – spytała niepewnie szeptucha, po czym spojrzała na Kingę. – Prawda to?

– Tak.

– W takim razie to jeszcze większe dziwy, niż sobie myślała… – odparła Pola i wykrzywiła usta. – No, ale nigdy nic nie wiadomo. Na razie trzeba robić, o co proszą.

Odniosłem wrażenie, że cały czas mówi nie tylko do nas, ale także w pewnym sensie do siebie. Może nawet przede wszystkim do siebie.

– Będzie ojciec, wszystko wyjaśni – dorzuciła, poprawiając chustę, jakby zrobiło jej się chłodno.

Przypatrywałem jej się, zastanawiając, kim tak naprawdę jest ta kobieta i co tutaj robi. Czy rzeczywiście miała kontakt z duszą ojca? I to właśnie on skierował ją do mnie? Było to założenie równie szalone, co nieprawdopodobne. Gdyby nie to, że w nocy wymiotowałem smołą, być może szybko bym je odrzucił.

O szeptuchach słyszałem już dawno, każdy ksiądz pełniący posługę w centrum czy na wschodzie kraju o nich słyszał. Niejednokrotnie stanowiły zmorę lekarzy – bo to do nich

mieszkańcy miasteczek i wsi chodzili po porady zdrowotne – ale często krzyżowały plany także duchownym.

Działały przede wszystkim tam, gdzie powszechne było wyznanie prawosławne, ale niejeden katolik w momencie kryzysu wolał zwrócić się do nich niż do swojego księdza. Szczególnie że ich rady często okazywały się pomocne, a kobiety nie brały za nie żadnych pieniędzy.

Nie były zbyt medialne, mimo że lokalni i krajowi dziennikarze nieraz próbowali nakręcić o nich taki czy inny materiał. Główny problem sprowadzał się do tego, że w tych historiach brakowało pikanterii. Szarlatani zazwyczaj tworzyli news – wyzyskiwali lokalną społeczność, mącili, inkasowali opłaty za porady, które nieraz prowadziły do tragedii. W przypadku szeptuch było inaczej. Trudno było o kontrowersyjny materiał, który przykuje uwagę widza na dłużej.

Może nie bez powodu ich określenie pochodziło od niemal bezdźwięcznego głosu.

– No? – upomniała się o uwagę Pola. – Zrobimy, co trzeba?

– Pani oszalała – odezwała się Kinga.

– Ano nie. To wyście poszaleli, jak myślicie, że sami dacie sobie radę.

– Ale z panią mamy dać?

– Ze mną jak ze mną. Z Bogiem.

Byłem wdzięczny, że to powiedziała. Właściwie do tej pory nie mogłem być pewien, z jakim rodzajem szeptuchy mamy do czynienia. Jedne odwoływały się do Szatana, inne do Boga. Te drugie podkreślały, że ich dar pochodzi właśnie od niego, jest nierozerwalnie połączony z wiarą chrześcijańską i nie ma nic wspólnego z pogańskimi zabobonami.

Źródła swojej mocy upatrywały w Chrystusie, który niegdyś miał przekazać pierwszym z nich zarówno wiedzę, jak i dar uleczania. Twierdziły, że wszystko, co robią, jest możliwe tylko dzięki Bogu lub aniołom.

Sprawiło to, że poczułem się znacznie lepiej. Jeśli ojciec rzeczywiście przysłał do mnie tę kobietę, wiedział, co robi.

Uczucie było krótkotrwałe. Zaraz na powrót zastąpiły je niepokój i wrażenie, że mam do czynienia z rzeczami, od których powinienem trzymać się z daleka.

– Czas go przyzwać – powiedziała Pola, a potem rozejrzała się krytycznie. – Ale trzeba tę chałupę przygotować.

– Jak? – spytałem.

– Przede wszystkim zatrzymać zegary.

Rzuciła to mimochodem, jakby odpowiadała na takie pytania na co dzień. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że nie rozumiem, czemu miałoby to służyć. Położyła pomarszczone dłonie na stole i przechyliła głowę, przypatrując mi się uważnie.

– No – powiedziała, jakby miało to cokolwiek znaczyć. – Nie dziwne. Nie zajmujecie się w Kościele takimi sprawami.

– Nie – przyznałem. – Spirytyzm to jeden z najcięższych grzechów.

– A gdzie mnie tam do spirytyzmu – odparła i machnęła ręką.

Miała rację, ten termin nijak nie odnosił się do tego, co robiły szeptuchy. Spirytyzm nie miał żadnego związku z chrześcijaństwem, przeciwnie, stał w sprzeczności z zasadami tej religii. Zakładał, że dusze przemieszczają się z jednego ciała do drugiego, dochodzi do reinkarnacji.

To, co miała zamiar zrobić Pola, należało nazywać spirytualizmem. Wywoływaniem duchów w zgodzie z tym, co zakładały dogmaty wiary chrześcijańskiej.

– Ja po prostu potrafię ich wysłuchać – zauważyła szeptucha. – A wy zatykacie uszy.

– My?

– No, kaznodzieje. Albo w ogóle zaprzeczacie, że duchy schodzą do nas, albo uciekacie przed nimi.

– Nikt nie zaprzecza samemu zjawisku. Ale wywoływanie go jest grzechem.

Pola zaśmiała się, choć przywodziło to na myśl raczej przedśmiertne rzężenie.

– To król Saul też zgrzeszył, jak się przed bitwą z Filistynami radził zmarłych? – spytała.

Znałem tę historię. Pierwszy przywódca Izraela rzeczywiście prosił Boga o pomoc przed starciem, a kiedy ten milczał, polecił odnaleźć nekromantkę, która miała przywołać ducha proroka Samuela. Kiedy przeprowadziła obrzęd, a Saul zapytał ją, co widzi, odpowiedziała: „Widzę istotę pozaziemską, wyłaniającą się z ziemi".

Zapadło mi to w pamięć. I teraz, kiedy przypomniałem sobie tę przypowieść, poczułem nieprzyjemne ciarki na plecach. Niebawem miałem być jak Saul.

– To był grzech – powiedziałem. – Król postąpił wbrew prawu Mojżeszowemu.

Pola machnęła ręką.

– Przegrał tamtą bitwę – dodałem. – Umarł zresztą nie tylko on, ale także wszyscy jego synowie. Władza nad Izraelem przeszła w ręce Dawida.

Szeptucha milczała, najwyraźniej uznając, że w przeciwieństwie do tego, co spotkało Saula, nam nie grozi gniew Boży. Prawda była jednak taka, że interpretacja tego zdarzenia w Kościele była jednoznaczna. Podkreślano, że wywoływanie duchów, owszem, jest możliwe, ale istnieje pewien kłopot – każdorazowo odbywa się to za pośrednictwem demonów.

I że zamiast ducha może objawić się sam diabeł.

– Zaczynamy? – zapytała Pola, wskazując na jeden z zegarów.

X

Dopiero kiedy zatrzymaliśmy wszystkie elektroniczne urządzenia odmierzające czas, staruszka wyjaśniła nam, do czego ma to prowadzić. Według niej czas ziemski dla przywoływanych dusz nie miał żadnego znaczenia, więc mierzenie go stanowiło dla nich swojego rodzaju obelgę.

Oprócz zatrzymania zegarów poleciła nam rozstawić miski z wodą, choć nie wytłumaczyła, w jakim celu. Zrobiliśmy jednak, jak przykazała. Miałem wrażenie, że jeśli chcemy wyjść z tego obronną ręką, powinniśmy wypełniać jej instrukcje co do słowa.

W końcu usiedliśmy przy stole, a Pola zmierzyła nas wzrokiem, jakby była rekruterką oceniającą potencjalnych kandydatów do pracy.

Czekałem, aż wyciągnie tabliczkę ouija albo wyrysuje na stole dwa okręgi – w wewnętrzny wpisze cyfry, w zewnętrzny litery alfabetu. Nic takiego jednak nie zrobiła.

– Pomódlmy się – powiedziała, a potem przeżegnała się. – Za Pawła Szumskiego. Cześć niech będzie jego pamięci.

Zamknęła oczy i pochyliła się lekko. Potem cicho recytowała modlitwę za duszę mojego ojca. Spojrzałem na siedzącą naprzeciwko mnie Kingę, ale ta tylko wzruszyła ramionami, po czym wykonała znak krzyża.

Zrobiłem to samo, mając wrażenie, jakbym tym samym bluźnił.

Echem w głowie odbiły mi się czytane moim własnym głosem passusy z Księgi Powtórzonego Prawa. Rozdział osiemnasty, wersety dziesiąty i jedenasty. Fragment o tym, że żaden wierzący nie powinien uczestniczyć w wywoływaniu duchów.

I wers dwunasty. „Obrzydliwy jest bowiem dla Pana każdy, kto to czyni. Z powodu tych obrzydliwości wypędza ich Pan,

Bóg twój, sprzed twego oblicza”.

Wzdrygnąłem się, zacisnąłem mocniej powieki i zacząłem odmawiać modlitwę. Słyszałem, jak Pola powtarza swoją po raz drugi, a potem trzeci.

Udało mi się odsunąć od siebie brzmienie biblijnych ostrzeżeń.

Niestety tylko na chwilę, zaraz bowiem przypomniał mi się fragment z Księgi Kapłańskiej, który odnosił się do tego, co miałem zamiar za moment zrobić. Rozdział dwudziesty, wers szósty.

„Także przeciwko każdemu, kto się zwróci do wywołujących duchy albo do wróżbitów, aby uprawiać z nimi nierząd, zwrócę oblicze i wyłączę go spośród jego ludu”.

Naszły mnie wątpliwości, ale jakby nie moje. Ktoś lub coś w ostatnim momencie zdawało się próbować odwieść mnie od tego, by przywołać ojca.

Znów poczułem ciarki, w kuchni lekko zaśmierdziało, ale odniosłem wrażenie, że tylko ja to wyczuwam.

– Czasem przychodzi Nieznany – odezwała się nagle Pola.

Popatrzyłem na nią ze strachem w oczach.

– Nieznany? – odezwała się Kinga.

– Tak go nazywam – odparła staruszka. – Nie wiem, kim jest ani po co mi tu wchodzi do tego świata. Ale czasem zamiast tego, kogo wołam, przychodzi on. Nieznany. Musicie mieć na to baczenie.

– Będziemy mieli.

– No – mruknęła Pola. – To możemy zaczynać.

Położyła jedną dłoń na stole, drugą trzymała na kolanie. Przez moment trwała w bezruchu, po czym drgnęła i wyrysowała na blacie znany mi kształt. Stanowczo zbyt znany.

– Pieczęć Salomona – oznajmiła.

Ja znałem ją jako heksagram. I oczami wyobraźni wciąż widziałem ją na mapie, wyrysowaną przez pojawiające się

odczyty z transpondera.

To był ostatni moment, kiedy mogłem zaoponować i powstrzymać to szaleństwo. Powinienem to zrobić. Zanim będzie za późno.

Pola znów się przeżegnała, tym razem bardziej gorliwie, z wyraźnym i głębokim niepokojem. Zacisnęła mocno powieki, cała twarz jej się zmarszczyła. Zaczęła mamrotać coś niezrozumiałego i robiła to tak cicho, że nie mogłem wyłowić choćby jednego słowa.

Nie trzymaliśmy się za ręce, nie recytowaliśmy wspólnie żadnych formułek. Rzeczywistość różniła się od tego, jak wyobrażałem sobie przywoływanie zmarłych z zaświatów.

Jeden element był jednak stały. Spadek temperatury.

Poczułem przemożny chłód, który zdawał się przenikać przez skórę i dotykać samej duszy. Uświadomiłem sobie, że wstrzymuję oddech, i byłem pewien, że jeśli wypuszczę powietrze, zobaczę kłęby pary wydobywające się z ust.

Obserwowałem, co dzieje się z szeptuchą, spodziewając się najgorszego. Ona jednak wciąż jednostajnie bełkotała. Nie wyglądało na to, by czyniła jakiekolwiek postępy.

A jednak coś się działo. Nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości, a na potwierdzenie tego zobaczyłem, że woda w ustawionych przez nas miskach zaczęła zabarwiać się na żółto.

– Berg…

– Spokojnie, nic się nie dzieje – odparłem bez przekonania.

Przypomniała mi się msza dla młodzieży, którą niegdyś odprawiałem. Było to przed wakacjami, w okresie, kiedy wystawiono już w szkole oceny, a uczniowie szukali sposobów na zabicie czasu przed wyjazdami. Wielu kołatały się w głowie pomysły na imprezy, a wywoływanie duchów zawsze stanowiło niemałą atrakcję.

Starałem się przekonać ich, że to nigdy nie jest dobry pomysł. Nawet przeprowadzony dla żartów, nawet

z pominięciem zasad, ten proces nie kończył się dobrze. Pozwalał demonom nawiązać relację z uczestnikami. Niewiele było trzeba, by pomylić duszę przywoływanego zmarłego z duszą potępionego. A ta druga była niczym innym, jak diabłem we własnej osobie. Jeszcze mniej było trzeba, by zaprosić go do naszego świata.

Ale teraz nie miało to znaczenia. Już tutaj był.

Szeptucha nagle zamilkła. Podniosła głowę, ale nie otwierała oczu. Obawiałem się, co zobaczę, kiedy podniesie powieki. Przez moment nic się nie działo, cały świat zdawał się zastygły.

Wiedziałem – i czułem – że za moment to się zmieni. Że nawiążę kontakt z ojcem.

Być może odnalazłbym w sobie jakąś dozę racjonalności, choćby pierwiastek zwątpienia, ale po tym, co przeżyłem, na wątpliwości nie było już miejsca. Ojciec sam wcześniej mnie odwiedził. Był tutaj, siedział przy stole, rozmawiał ze mną i podsuwał mi kolejne sugestie. To dzięki niemu brnąłem dalej. I to dzięki niemu miałem odkryć, co się tak naprawdę dzieje.

Szeptucha w końcu drgnęła, a wraz z nią zatrzęsła się rzeczywistość. Sen i jawa zlały się ze sobą w dziwny twór, a ja czułem się, jakbym nagle znalazł się pod wodą. Wszystko odbywało się w zwolnionym tempie.

Pola otwierała oczy powoli, jakby wiązało się to z nieludzkim wysiłkiem.

Powieki lekko się uniosły, pojawiły się niewielkie szparki, w których dostrzegłem nieznaczny błysk. Potem stało się coś, co stać się nie powinno. Oczy, zamiast się otworzyć, zostały wyciśnięte na zewnątrz. Powieki zawinęły się, cofnęły do oczodołów, wypychając z nich resztę.

Usta szeptuchy powoli się otworzyły, obnażając braki w uzębieniu i pożółkłe szkliwo. Dziąsła miała czerwone, jakby szalała w nich jakaś infekcja. Smród, który przed momentem poczułem, stał się wyraźniejszy.

Otworzyliśmy przejście.

Nie wiedziałem tylko, dokąd prowadzi.

– Nie… – szepnęła staruszka.

Znów zaczęło robić mi się niedobrze. Oczami wyobraźni widziałem już, jak po raz kolejny cierpię katusze, skręcając się na podłodze i wylewając z siebie czarną maź.

– Nie… – powtórzyła szeptucha.

Jakie było prawdopodobieństwo, że trafimy na demona zamiast na duszę ojca? Nie wiedziałem. Nikt nie mógł mieć najmniejszego pojęcia.

– Nie… ja…

Przeszło mi przez myśl, że powinniśmy to zatrzymać. Teraz, póki nie jest jeszcze za późno, póki ta obecność tkwi jedynie w ciele szeptuchy, nie w naszej rzeczywistości. Nie mogłem jednak się poruszyć, byłem jak przywiązany do oparcia krzesła.

Popatrzyłem na Kingę i przekonałem się, że ona musiała czuć się podobnie.

– Nie ja… – powtarzała kobieta chrapliwym głosem.

Oczy miała uniesione, jakby usilnie starała się wypatrzeć coś nad sobą, ale nie potrafiła podnieść głowy. Przez moment trwała w zupełnym bezruchu i wydawało mi się, że nawet nie oddycha. Potem lekko się poruszyła, jak liść na lekkim wietrze. Gałki oczne drgnęły.

Kiedy Pola na mnie spojrzała, poczułem się, jakbym zbliżył się do nicości. Do zupełnej pustki, kompletnie opuszczonego, porzuconego miejsca.

Potem głowa kobiety nagle opadła.

Temperatura w pokoju zdawała się wrócić do normy, ciarki na plecach znikły. Nabrałem głęboko tchu, Kinga kaszlnęła. Oboje natychmiast potrząsnęliśmy głowami, jakbyśmy musieli potwierdzić, że odzyskaliśmy kontrolę nad swoimi ciałami.

Szeptucha siedziała ze zwieszoną głową. Chciałem zapytać, czy wszystko z nią w porządku, ale właściwie nie musiałem.

Przez chwilę obawiałem się, że coś jej się stało, oddech był jednak wyraźnie słyszalny.

– Nigdy więcej – odezwała się Kinga.

Pokiwałem głową, a potem potarłem dłońmi o spodnie, wycierając pot. Nagła zmiana temperatur sprawiła, że poczułem uderzenie gorąca.

– I co to znaczyło? – dodała Kinga. – „Nie ja”?

– Że wywołaliśmy nie tę duszę? – podsunąłem. – A może to tylko początek dłuższego zdania?

Oboje spojrzeliśmy na Polę, ta jednak wciąż nie podnosiła głowy.

– Kosztowało ją to sporo sił – dodałem. – Możliwe, że nie udało się przekazać całości.

Kinga podniosła się powoli i skrzywiła, dotykając nóg.

– Czuję się, jakbym miała zakwasy.

Wstałem i przekonałem się, że w moim przypadku jest podobnie. Miałem wrażenie, jakbym przez wiele miesięcy nie uprawiał żadnego sportu, a potem wybrał się na dziesięciokilometrowy bieg.

Zbliżyliśmy się do szeptuchy i oboje nachyliliśmy się nad nią.

– Wszystko z panią w porządku? – spytałem.

Pola mruknęła coś pod nosem, a potem wyciągnęła dłoń w kierunku Kingi. Ta szybko ją ujęła, a staruszka, skorzystawszy ze wsparcia, powoli wstała z krzesła. Spojrzałem na nią z przestrachem, spodziewając się zobaczyć ślady po obecności, która się w niej zagnieździła.

Szeptucha wyglądała jednak zwyczajnie. Była wyraźnie zmęczona, ale próżno było szukać u niej jakichkolwiek ran, krwawych wykwitów czy czegokolwiek świadczącego o tym, że to, co widzieliśmy, wydarzyło się naprawdę.

– Nic pani nie jest? – upewniłem się raz jeszcze.

– Nic, nic. Ale niech mnie stąd wyprowadzi…

Poszliśmy w kierunku salonu, ale kobieta zatrzymała się w połowie drogi.

– Nie, nie… – jęknęła. – Wyprowadzi mnie z tego domu. Nie chcę tu być.

– Ale…

– Nikogo nie powinno tu być… Biedy… biedy sobie napytaliście…

Nieraz słyszałem o tym, że miejsce, w którym dochodzi do nekromancji, pozostaje na zawsze skażone. Nie bez powodu nawet najodważniejsi nastolatkowie, traktujący wywoływanie duchów jako zwykłą zabawę, nie chcieli urządzać seansów spirytystycznych w swoich domach. Można było wyśmiewać sam proces, nie wierzyć w istnienie zaświatów, ignorować wędrówkę dusz, ale koniec końców nawet największy niedowiarek nie pozwalał, by takie rzeczy robić u niego.

– Muszę stąd wyjść… – powiedziała cicho Pola. – Nyje mnie…

Zabraliśmy jej laskę i pomogliśmy wyjść na korytarz. Zdawała się w transie, ale ocknęła się z niego, kiedy zamknąłem za sobą drzwi. Dopiero wtedy głęboko nabrała tchu i się wyprostowała.

Spojrzała mi prosto w oczy, a ja mimowolnie przywołałem w myślach widok cofających się powiek.

– To nie on – powiedziała.

– Słucham?

– Właśnie to chciał ci przekazać – dodała. – Ale trudził się pieruńsko… coś go tam chciało powstrzymać. Pierwszy raz się spotykam z takim hadztwem…

Nie brzmiało to dobrze.

– Niech się pozbędą tej brudnej wody – poradziła. – Im mętniejsza, tym więcej zła było… trzeba to wyrzucić.

Szczerze wątpiłem, że woda w miskach mogła stanowić jakikolwiek filtr przed siłami nieczystymi. W innych okolicznościach być może byłbym w stanie przyjąć to tłumaczenie – w tych nie, zła bowiem było stanowczo za dużo. Obawiałem się, że nawet cały basen by nie wystarczył.

– Co on miał na myśli? – zapytała Kinga.

Staruszka odtrąciła jej dłoń i oparła się na lasce.

– Że to nie był on.

– To znaczy?

Spojrzała na mnie.

– Że to nie on cię tu odwiedził, czyżyku.

– Nie on? Więc…

– Nie wie, czym to było. Ale mówi, że to nie miało z nim nic wspólnego.

Z trudem przełknąłem ślinę, nie chcąc się nawet zastanawiać nad tym, co to mogło oznaczać.

– Musiał się skontaktować, musiał ci to powiedzieć. Nie mnie wiedzieć, jakim kosztem. Ale pewnie dużym.

– Co jeszcze pani powiedział? – zapytała Kinga.

– To samo, co i wszystkie inne dusze mówią.

– Czyli?

– „Módlcie się”.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Pola nabrała tchu zbyt łapczywie i zaniosła się nieprzyjemnym kaszlem. Coś oderwało jej się z płuc, a ona charknęła, po czym przełknęła flegmę.

– Każden mnie to mówi – dodała. – Czy mam mówienie z wrzaskunami, czy ze spokojnymi duszami, co to na tym świecie zbyt długo się błąkały, czy z tymi milczkami, co muszę z nich wyciągać wszystko… każden jeden mówi to samo. Niektórzy nawet tylko to. Powie i znika, przepada gdzieś w tej otchłani.

Popatrzyła najpierw na Kingę, a potem na mnie.

– Zostawiają mnie z tymi słowami – ciągnęła. – A ja przekazuję dalej. Módlcie się.

W końcu wyswobodziła dłoń z mojej ręki, a ja dopiero teraz uświadomiłem sobie, że ją podtrzymywałem. Zamiast poczuć, jakbym pozbył się ciężaru, odniosłem wrażenie, że jest wprost przeciwnie.

– Twój baćko dał z siebie wszystko – dodała Pola. – Ale potrafił powiedzieć mnie tylko kilka rzeczy. Nie wyszedł z otchłani, tylko na moment się wynurzył. Nie powiodło nam się.

Dopiero teraz zrozumiałem, skąd jej wyraźna gorycz. Poniosła fiasko, być może po raz pierwszy, od kiedy wywoływała dusze z zaświatów. Wprawdzie ojciec się jej objawił, ale nie zdołała przeciągnąć go do naszego świata. Udało jej się osiągnąć jedynie namiastkę tego, co chciała.

– Na koniec powiedział, że nie może przyjść – dodała, ruszając w kierunku schodów. – Ale że czeka, aż ty zjawisz się u niego.

XI

Wylaliśmy zasyfioną wodę, z trudem radząc sobie z nudnościami. Cuchnęła, jakby w miskach ktoś wymieszał sfermentowane ryby, przeterminowany bigos i najgorszej jakości nawóz.

Potem zacząłem wietrzyć mieszkanie. Planowałem sprzątnąć, przestawić nieco meble, być może zmienić coś jeszcze, ale Kinga szybko odwiodła mnie od wcielenia tych pomysłów w życie.

– Wychodzimy – rzuciła.

– Dokąd?

– Gdziekolwiek, Berg – powiedziała, zbliżając się do mnie. – Byleby nas tu przez jakiś czas nie było.

– Prędzej czy później i tak muszę tu wrócić.

– Nie musisz – odparła. – Możesz spać u nas, przynajmniej do czasu, aż…

– Aż co? Mam sprzedać mieszkanie, bo doszło tutaj do rzeczy, które nie powinny się wydarzyć? Na tej zasadzie cały świat powinien pójść do wymiany.

Dwa samoloty. Setki zaginionych osób. Heksagram wykreślony nad Afryką. Tyle wystarczyło, by uznać sytuację za analogiczną.

Kinga rozejrzała się niepewnie.

– Po prostu trzymaj się z dala od tego miejsca przez jakiś czas – zaproponowała.

Pokręciłem głową.

– To nie miejsce jest problemem, ale ja – odparłem z pełną stanowczością. – Nie ma znaczenia, gdzie będę, całe to gówno pójdzie za mną.

– Nie możesz być tego pewien.

– Niczego nie jestem. Nie, kiedy wszystko wokół zdaje się przeczyć rozsądkowi. Ale akurat ta jedna sprawa wydaje się oczywista.

– Więc co? Ciąży na tobie jakaś klątwa?

Wzruszyłem ramionami.

– Czy te siły uwzięły się na ciebie na chybił trafił? A może czymś im podpadłeś?

To ostatnie pytanie zadała, zmuszając się do lekkiego uśmiechu. Miał rozładować sytuację, ale efekt był odwrotny do zamierzonego. Kiedy zobaczyła moją reakcję, kąciki ust szybko jej opadły.

– Nie wiem, dlaczego to spotkało akurat mnie – powiedziałem.

Zabrzmiałem, jakbym miał zamiar się nad sobą użalać, ale byłem od tego daleki. Mimo to Kinga spojrzała na mnie współczująco, co podniosło mnie na duchu. Kiedy zbliżyła się do mnie jeszcze bardziej, uznałem, że powinienem jak najszybciej się wycofać.

Jeśli chodziło o nasze relacje, każdy kolejny krok stawiałem, jakbym stąpał po kruchym lodzie. Wiedziałem, jak niewiele trzeba, żeby doszło do tragicznej w skutkach pomyłki.

– W porządku – odezwałem się. – Chodźmy gdzieś, przynajmniej dopóki się nie wywietrzy.

Nie musiałem jej tego dwa razy powtarzać. Wyszliśmy na zewnątrz, w ciepłe, letnie popołudnie. Leniwie operujące słońce i brak wiatru zdawały się aberracją, nienaturalnym odstępstwem od tego, co naprawdę się działo.

Ruszyliśmy w kierunku Gałczyńskiego i po chwili przed szkołą skręciliśmy w prawo. Krzyki wyglądały tutaj nawet nie jak przedmieścia, a kawałek ogródków działkowych Wrocławia. Ruszyliśmy powoli przed siebie, nie dostrzegając żywej duszy. Kiedy mijaliśmy kościół Wniebowstąpienia Najświętszej Maryi Panny, omiotłem wzrokiem ceglane ściany i spojrzałem na górujący nad okolicą krzyż wieńczący wieżę.

– Chcesz wejść?

– Nie – odparłem.

– Może powinniśmy…

– Po tym, co zrobiliśmy?

Mimo to zatrzymała się przy niewysokim murku, przesunęła po nim dłonią i wbiła wzrok w świątynię. Wiedziałem, że czeka, aż powiem więcej. Nie zwlekałem długo i przywołałem wszystko, co pamiętałem z Księgi Powtórzonego Prawa i Księgi Kapłańskiej.

– Cóż… – skwitowała, kiedy skończyłem. – Chyba powinnam być ci wdzięczna, że wcześniej o tym nie wspomniałeś.

– Uznałem, że i tak wiesz, w co się ładujesz.

– Orientowałam się mniej więcej. Szczegóły mogłyby sprawić, że zastanowiłabym się dwa razy.

– Dlatego zachowałem je dla siebie.

– I zaskarbiłeś sobie tym samym moją dozgonną wdzięczność. Na tyle dużą, że kiedy już stanę się jedną z potępionych dusz, możesz być pewien, że będę cię regularnie odwiedzać.

– Przypuszczam, że robiłabyś to tak czy inaczej.

– Może – przyznała.

Jej uśmiech był delikatny, ale zdawał się rozwiewać mrok, który mimo słonecznej pogody zbierał się wokół nas. Przez moment oboje patrzyliśmy na kościół. Poczucie, że wewnątrz możemy szukać bezpiecznego schronienia, było złudne.

Nie po tym, czego się dopuściliśmy. Teksty, o których przed momentem jej mówiłem, precyzowały dobitnie, że jeśli będziesz uczestniczyć w takich praktykach, Bóg się od ciebie odwróci.

Był to jeden z nielicznych przypadków, kiedy kara została wyrażona tak kategorycznie. Bez wyjątków, bez przebaczenia, bez wyrozumiałości, która cechowała przecież relacje Boga i jego dzieci.

Przypuszczałem, że jest tak nie bez powodu.

– Co to wszystko znaczy, Berg?

– Nie wiem. I może lepiej, żeby tak zostało.

Obróciła się do mnie i oparła na murku. Kawałek koszuli po boku wymknął się zza sprzączki paska, ale szybko ją poprawiła. Zanim którekolwiek z nas się odezwało, rozległ się dzwonek jej komórki.

Rozmawiała z mężem tylko chwilę – i nie była to jedna z tych miłych konwersacji, które mogłyby podnieść ją na duchu. Powiedziała krótko, że wciąż mi pomaga, Mariusz z pewnością odparł, że nie powinna zajmować się moimi urojeniami, a ona oznajmiła, że będzie mnie wspierała tak długo, jak będę tego potrzebował.

Potem się rozłączyli.

Wiedziałem, że sytuacja wymaga, bym wygłosił jakiś banał. Zapytał, czy wszystko między nimi jest okej, a potem złożył szumną deklarację, że nie chciałbym być powodem jakichkolwiek konfliktów między nimi.

Tylko czy mogłem szczerze tak powiedzieć? Nie, z pewnością nie. Od kiedy zobaczyłem ich na ślubnym kobiercu, nie mogłem z czystym sumieniem życzyć im jak najlepiej.

Ojciec miał rację, to Kinga była powodem, dla którego zrezygnowałem z kapłaństwa. Nie wyobrażenie o hipotetycznej dziewczynie, z którą kiedyś ułożę sobie życie. Chodziło o tę konkretną dziewczynę.

Tę, którą potem starałem się odnaleźć w Anecie. Trafiłem jednak na zupełnie inną osobę – i choć ją kochałem, wiedziałem doskonale, że jest to tylko namiastka tego, co czułbym, będąc z tą właściwą z sióstr.

Wzdrygnąłem się na tę myśl. Zdawała się herezją równie poważną, jak twierdzenie, że przywoływanie dusz z zaświatów jest nieszkodliwe.

– Nie przejmuj się – odezwała się Kinga.

– Hm?

– Widzę, że obracasz to w głowie.

– Co?

Spojrzała wymownie na telefon.

– Między nami bywa różnie – powiedziała. – Spokojnie jest tylko w tych okresach, kiedy szukamy nowych powodów, żeby się pokłócić.

Znów lekko się uśmiechnęła, tym razem jednak na jej twarzy nie było cienia wesołości. Niechętnie dopuszczałem do siebie świadomość, że jestem tylko jednym z wielu powodów, dla których się z sobą ścierali. Umniejszało to rolę, jaką chciałbym odgrywać w jej życiu.

Skorzystałem z okazji, że Kinga zawiesza wzrok na wieży kościelnej, i przypatrzyłem się jej. Czy kiedykolwiek dała mi do zrozumienia, że moja rola jest większa, niżby to powinno być?

Nie, chyba nie. Owszem, wspierała mnie, traktowała z życzliwością, ale nigdy nie było w tym nic więcej. Jeśli coś w ten sposób zinterpretowałem, wynikało to jedynie z mojego własnego uczucia. Któremu nadal starałem się zaprzeczyć.

Oderwałem od niej wzrok i skarciłem się w duchu. Serce nie sługa, ale też nie pan. Powinienem skupić się na tym, co istotne. I na tym, co nie sprawia, że czuję się winny.

Moja narzeczona zaginęła raptem kilka dni temu. A ja już porzuciłem myśl, że kiedykolwiek ją odnajdę? Owszem, wszyscy inni byli przekonani, że AH 3836 przepadł bezpowrotnie. Ale my przecież wiedzieliśmy lepiej.

Wiedzieliśmy, że możliwy jest powrót nawet z zaświatów.

– Może jednak powinniśmy wejść, Berg.

– Nie – odparłem bez wahania. – Nie ma tam dla nas miejsca.

Westchnęła lekko, ale z wyraźnym bólem.

– Jak ostatnio sprawdzałam, nie można było z automatu wylecieć z Kościoła.

– Takie rzeczywiście jest powszechne przekonanie.

– Powszechne, czyli błędne?

– Mhm – potwierdziłem. – W Kościele katolickim w wielu przypadkach obowiązuje *excommunicatio latae sententiae*. Wykluczenie z mocy samego prawa kanonicznego.

Na szczęście w naszym przypadku do tego nie doszło, a przynajmniej taką miałem nadzieję. Niektóre przepisy były nieostre, można było interpretować je szeroko lub w wąskim znaczeniu.

– Dzieje się tak między innymi przy herezji – dodałem. – A nawet w przypadku aborcji, zarówno jeśli chodzi o jej przeprowadzanie, jak i poddawanie się jej. Niewiele osób o tym wie.

Powiedziałem to tak, jakby dla osób decydujących się na aborcję miało to jakiekolwiek znaczenie. W zdecydowanej większości przypadków ci ludzie mieli wówczas ważniejsze sprawy na głowie.

– Automatyczna ekskomunika grozi też za napaść na papieża, apostazję, dawanie kobiecie święceń czy…

– A kontakty ze zmarłymi?

– Cóż…

– Może lepiej nie odpowiadaj.

– Wszystko zależy od okoliczności – powiedziałem wymijająco. – Gdybyś zaczęła dowodzić, że to logiczne następstwo świętych obcowania, podważała przy tym dogmaty wiary, mogłoby to prowadzić do herezji, a za nią żegnasz się ze wspólnotą automatycznie.

– Niczego takiego nie robiliśmy. Wręcz przeciwnie. – No tak. Poza tym w razie czego w tym akurat wypadku zawsze możesz liczyć na biskupa ordynariusza, który ma władzę, by uwolnić cię od ekskomuniki.

– Więc nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy tam weszli – odparła, a potem wzięła mnie za rękę i ruszyła w kierunku wejścia na teren kościoła.

Zaprotestowałem, ale niezbyt zdecydowanie. Być może gdyby nie jej dotyk, byłbym bardziej stanowczy. Trzymała mnie za

rękę o wiele za długo. Starałem się nie myśleć o tym, że zamężna kobieta i były ksiądz, wchodzący do świątyni, trzymając się za dłonie, raczej nie mają tam czego szukać.

Wypuściła moją dłoń dopiero, gdy znaleźliśmy się przed drzwiami. Sięgnęła do klamki, nacisnęła ją, a potem zmarszczyła brwi.

– Zamknięte – powiedziała.

Uznałem, że to znamienne. Bóg nie miał zamiaru ot tak dopuszczać nas przed swoje oblicze. Nie po tym, co zrobiliśmy z pełną świadomością grzeszności naszych czynów.

– Myślałam, że kościoły zawsze są otwarte.

– Co do zasady od godziny do godziny – powiedziałem. – Chociaż w miastach księża czasem zostawiają otwarte.

– Na wsiach nie? Spodziewałabym się, że jest na odwrót.

– Im mniejsza wioska, tym większa okazja, która może uczynić złodzieja – odparłem, wzruszając ramionami. – Jak nikt nie patrzy, potrafią wynieść nawet ławki.

Spojrzałem w kierunku bocznego wejścia.

– Ale kruchta zazwyczaj jest otwarta – powiedziałem. – Jeśli bardzo chcesz, możemy…

– Nie. Może to znak, że powinniśmy najpierw zrobić rachunek sumienia.

Skinąłem głową, bo miałem podobne wrażenie. Wejście do domu Bożego zaraz po tym, jak uczestniczyliśmy w nekromancji, wydawało się niewłaściwe.

Usiedliśmy na murku niczym dwójka dzieci, które nie mają co zrobić z czasem. Liczyliśmy chyba oboje na namiastkę beztroski, choć w głębi ducha zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że na próżno.

– Co miał na myśli twój ojciec? – odezwała się Kinga.

Powiodłem wzrokiem za przejeżdżającym w kierunku szkoły samochodem. Kierowca się nie spieszył, pewnie jechał odebrać dziecko, miał jeszcze trochę czasu. O tej porze, w połowie tygodnia, życie tutaj wydawało się sielankowe. Zazdrościłem

wszystkim tym, którzy wiedli je spokojnie, a każdy ich dzień toczył się wedle jednego, utartego schematu.

– Berg?

– Tak?

– Twój ojciec powiedział, że na ciebie czeka.

Odchrząknąłem nerwowo. Poczułem się niewygodnie we własnym ciele.

– Jak każdy zmarły na swoich bliskich.

– Nie rób sobie jaj.

– Nie robię, ale całkiem możliwe, że on tak.

– Bynajmniej nie brzmiało to jak żarty – zauważyła i odniosłem wrażenie, jakby chciała mnie przy tym szturchnąć, ale w ostatnim momencie się powstrzymała. – Więc? – spytała. – Co to twoim zdaniem znaczy?

– Jeśli wykluczymy wersję z zaświatami?

– Tak. Załóżmy na razie, że twój ojciec jednak nie życzy ci śmierci.

– Możemy tak założyć – odparłem cicho. – Choć to znaczy, że nie znałaś go zbyt dobrze.

Posłała mi krytyczne spojrzenie, a ja odpowiedziałem lekkim uśmiechem i skinąłem głową. Nie chciałem zastanawiać się nad znaczeniem słów, które usłyszeliśmy, ale prędzej czy później musiałem to zrobić.

– Jest jakieś miejsce, które uznawałby za swoje? – spytała Kinga.

– Pomijając większość wrocławskich barów?

Ostatecznie jednak mnie szturchnęła.

– Jego mieszkanie, dom rodzinny… sam nie wiem. Nic nie wysuwa się na pierwszy plan. W każdym razie nic, co mogłoby mieć jakiekolwiek znaczenie religijne. Bo przypuszczam, że na coś takiego próbował zwrócić moją uwagę.

– Chyba że była to przenośnia.

– W takim razie nie wiem, co miała oznaczać.

Kinga przez moment się zastanawiała.

– Jeśli nie zaświaty, to może coś bardziej przyziemnego?

– Jego grób? – spytałem.

– To chyba najbardziej logiczne założenie.

Właściwie miała rację. Jeśli odrzucić wersję z zaświatami, cmentarz wydawał się pierwszym miejscem, które ojciec mógłby mieć na myśli, mówiąc „u mnie". Konkluzja napawała mnie pewnym niepokojem, ale wydawała się słuszna.

– Gdzie jest pochowany? – odezwała się Kinga.

– Na Osobowickim.

Popatrzyła na mnie bez cienia wątpliwości. Widziała, że podjąłem już decyzję.

– Chcesz pojechać od razu?

– Chcę czy nie, chyba powinienem.

– Z całą pewnością.

Nie mieliśmy żadnego wyboru, zarówno jeśli chodziło o decydowanie, jak i środek transportu. Rudyk pojechał samochodem do pracy, a ja ani Kinga nie mieliśmy swojego. Pozostał nam jedynie biały ford ka, który należał do Anety.

Kiedy go kupiła, ze względu na gabaryty nazwała go kijanką, ale określenie szybko ewoluowało i auto stało się „kajanką". Według mojej narzeczonej była to jedynie marna imitacja samochodu, ale mnie wystarczała w zupełności. Wciąż miałem w pamięci malucha, którego używaliśmy w parafii, kiedy zaczynałem pełnić posługę. Do tego czasu księża dawno się go pozbyli, ale trochę kilometrów nim przejechałem. Głównie modląc się, by sam z siebie nie zgasł.

Ford ka w porównaniu z nim gabarytowo nie wypadał dużo lepiej, ale był znacznie pewniejszy. Dowiózł nas bez problemów na cmentarz Osobowicki. Zaparkowałem tuż przy samym wjeździe na parking, a potem podeszliśmy do jednego ze straganów. Tylko dwa w całym długim ciągu były otwarte.

Wydało nam się właściwe, by kupić choćby niewielki znicz.

– Cały czas zastanawiam się nad tym, co chciał ci przekazać – odezwała się Kinga, kiedy ruszyliśmy w kierunku nekropolii.

– „Nie ja” – powtórzyła, mrużąc oczy. – Skąd pewność, że w ogóle dobrze go zrozumieliśmy?

– Szeptucha twierdziła, że dobrze.

– I myślisz, że ona nigdy się nie myli?

– Nie wiem – przyznałem. – I może lepiej nie wiedzieć.

W milczeniu weszliśmy na teren cmentarza boczną bramą, a potem skręciliśmy w lewo, w stronę pola sto dwadzieścia siedem, gdzie znajdował się grób ojca.

– Może to część niedokończonego zdania? – zapytała Kinga. – Może jedno słowo?

– To znaczy?

– Mogę pomyśleć przynajmniej o kilku, które się zaczynają od tych liter. Niejaki, niejasność, niejadowitość…

– Niejadek – dodałem. – Możemy tak w nieskończoność, ale to do niczego nie prowadzi.

– Może prowadzi – zaoponowała Kinga. – Tylko nie poświęciliśmy temu wystarczającej uwagi.

Przypuszczałem, że jej umysł po prostu szuka drogi ucieczki. Przyjęcie założenia, że to nie mój ojciec wcześniej mi się ukazał, było dość niepokojące. Prowadziło do wniosku, że siły zła w istocie bez trudu potrafią przedostać się do naszego świata.

Zanim zdążyłem podzielić się z nią tym spostrzeżeniem, wyjęła smartfona, a potem zaczęła szukać słów, które zaczynały się od „nieja”. Wbrew temu, co sądziliśmy, nie było ich wiele. Raptem kilka – i żadne nam się nie przydało.

– Jest też taka rzeka i miasto w Rosji – oznajmiła Kinga.

– Mhm.

– Ojciec nigdy o tym nie wspominał?

– Nie.

– I nie miał nic wspólnego z Rosją?

– Na szczęście nie.

Kinga pokiwała głową zamyślona.

– Jest też koszykarka w Atlancie, Nieja Crawford.

Milczałem, uznając, że nie muszę mówić jej, że ta kobieta z pewnością nie miała nic wspólnego z moim ojcem.

– Ciekawe – mruknęła Kinga, bardziej do siebie niż do mnie.

– Co takiego?

– Jest też wątek religijny.

– Związany z „nieja”?

– Tak – potwierdziła i na chwilę oderwała wzrok od ekranu. – W książce o antropologii filozoficznej i inspiracjach biblijnych. Autorzy dowodzą koncepcji istnienia „ja” i „nie-ja”. To drugie występuje, kiedy strach bierze nad tobą górę. I kiedy w rzeczywistości decyduje za ciebie. Nie ponosisz wtedy winy za swój grzech, bo to nie twoje „ja” podjęło decyzję, tylko „nie-ja”.

– Świetnie.

– Nie jesteś przekonany.

– Nie – przyznałem. – To wszystko nie ma znaczenia. Ojciec przekazał mi dokładnie to, co chciał. A szeptucha dopowiedziała resztę. To nie on wcześniej mnie odwiedził.

– A więc kto?

– Demon – odparłem bez cienia wątpliwości. – Demon, który przybrał postać mojego ojca.

– I naprowadzał cię na kolejne elementy układanki? – spytała z powątpiewaniem Kinga. – Dlaczego miałby to robić?

Zatrzymaliśmy się przy grobie. Omiotłem wzrokiem nową, ale niezbyt zadbaną mogiłę. Pomyślałem, że powinienem przychodzić do ojca częściej, lepiej zajmować się grobem.

– Jaki miałby w tym cel, Berg?

– Przychodzi mi na myśl tylko jedna odpowiedź.

– Czyli?

– Żebym dotarł do Japan Airlines 123 – odparłem, podnosząc wypalony znicz. – Wszystko prowadziło właśnie do tego samolotu.

– W takim razie powinieneś trzymać się od niego z daleka.

Rozejrzałem się za koszem na śmieci.

– To nie będzie trudne, biorąc pod uwagę, że rozbił się przeszło trzydzieści lat temu.

Nie odpowiedziała, a ja zacząłem uprzątać płytę nagrobną z pojedynczych liści, które przy którejś ulewie musiały przylepić się do granitu. Po chwili wyprostowałem się, czując, że napinają mi się mięśnie ud, wciąż obolałe po tym, co zdarzyło się w kuchni przy Gerberowej.

Zorientowałem się, że Kinga mi się przypatruje.

– Dalej mam zakwasy.

– Ja też – odparła. – Ale nie to mnie martwi.

– No tak. Są lepsze powody.

– O co chodzi z tą maszyną, Berg? Dlaczego to właśnie ona jest istotna?

– Mniejsza z tym – odpowiedziałem z pełnym przekonaniem, przesuwając dłonią po płycie. – Bo jeśli rzeczywiście jest ważna dla demona, to nie mam zamiaru nigdy wracać do…

Urwałem, a zaraz potem poczułem, że ktoś złapał mnie za ramię.

Przeszło mi jeszcze przez myśl, że ten człowiek wbił mi szpony w skórę.

Potem zrozumiałem dwie rzeczy. To nie był człowiek.

A ja nie znajdowałem się już na cmentarzu.

Rozdział II

Doxologia in honorem Sanctissimae Trinitatis

I

Pierwszym, co usłyszałem, był przeciągły, głośny szum, przywodzący na myśl dźwięki wydawane przez kineskopowe telewizory, kiedy nie odbierały sygnału z anteny.

Charakterystyczne zgrzyty zawsze napawały mnie niepokojem. Szczególnie od kiedy dowiedziałem się, że nie jest to nic innego, jak mikrofalowe promieniowanie tła z kosmosu. Dźwięk docierał na Ziemię prosto z najgłębszych, najmroczniejszych zakątków wszechświata. I pomyśleć, że wystarczył zwykły odbiornik, by go usłyszeć.

Kiedy szum ucichł, usłyszałem spokojne, ale liczne głosy ludzi rozmawiających po japońsku. Przez moment nic nie widziałem. Efekt śnieżenia najwyraźniej występował nie tylko jeśli chodziło o zmysł słuchu, ale także wzroku.

Potem zacząłem dostrzegać pierwsze rzeczy. Znajdowałem się na pokładzie samolotu, wokół mnie siedzieli sami skośnoocy. Japonka tuż obok przyglądała mi się, jakby wszystko było w jak najlepszym porządku. Dopiero po chwili zmarszczyła czoło.

– Nic ci nie jest, Katashi? – zapytała.

Uderzyło mnie, że mówi po polsku. Dopiero po chwili zrozumiałem, że tak nie jest. Że to ja rozumiem japoński tak,

jakby był moim ojczystym językiem.

– Co tu się dzieje? – spytałem.

Popatrzyła na mnie z nagłym niepokojem, po czym wyprostowała się i poszukała wzrokiem stewardesy. Ta szybko wychwyciła zaniepokojone spojrzenie pasażerki i ruszyła w naszą stronę.

Rozejrzałem się i potrząsnąłem głową.

– Gdzie ja jestem? – spytałem.

– Spokojnie, Katashi. Nic się nie dzieje.

Działo się. Działo się więcej, niż ta dziewczyna mogła sobie wyobrazić. Zanim jednak zdążyłem się nad tym zastanowić, stewardesa stanęła przy naszych fotelach, spoglądając na mnie, jakbym był chory.

– Wszystko z panem w porządku? – zapytała.

– Nie, coś mu się stało – odparła siedząca obok mnie Japonka.

Spojrzały na mnie, oczekując, że coś powiem, ale nie mogłem niczego wydusić.

– Mój narzeczony boi się latać – podjęła dziewczyna. – A teraz dopadły go jakieś drgawki, szarpnęło nim i nagle… niech pani zobaczy, jak pobladł.

Ślina gęstniała mi w gardle, nie byłem w stanie przepchnąć jej dalej.

– Proszę pana? – zapytała stewardesa, pochylając się.

Zamknąłem na moment oczy i w końcu udało mi się przełknąć ślinę. Zaczynałem powoli odzyskiwać kontrolę nad swoim ciałem i umysłem. Przyszło mi jednak do głowy, że to pierwsze może w istocie do mnie nie należeć.

Wszystko zdawało się nierealne. Poza tym, co miałem przed oczami. Ten świat był równie rzeczywisty jak ten, który opuściłem.

– Proszę pana? – powtórzyła pracowniczka linii lotniczych.

W końcu udało mi się skupić na niej wzrok. Wskazała na kontrolki świecące się nad moją głową.

– Pańska sygnalizacja jest włączona – powiedziała.

Miała rację, najwyraźniej przywołałem w pewnym momencie kogoś z obsługi. Oprócz tej kontrolki świeciła się także znajdująca się obok, obecna chyba na wszystkich samolotach. Zakaz palenia.

Normalnie nie zwróciłbym na to uwagi. W tym wypadku było jednak inaczej, wokół mnie bowiem popielniczek było w nadmiarze.

Ale nie były to jedyne relikty przeszłości, które zauważyłem. Cały pokład zdawał się nimi wypełniony. Japonka obok mnie nosiła czerwony T-shirt z napisem „EXPO Tsukuba 1985" i spodnie jak ze starego lumpeksu. Pozostali pasażerowie sprawiali wrażenie aktorów grających w szpiegowskim filmie z czasów cesarza Hirohito.

Z okresu zwanego Erą Oświeconego Pokoju, trwającego od tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego do osiemdziesiątego dziewiątego.

Tylko skąd o tym wiedziałem?

Wolałem nie szukać odpowiedzi na to pytanie, jeszcze nie teraz. Były pilniejsze sprawy, którymi powinienem się zająć. Powiodłem wzrokiem w poszukiwaniu jakiejkolwiek osoby o europejskich rysach twarzy. Wokół byli niemal sami Azjaci. Nie mogłem dłużej wmawiać sobie, że nie wiem, gdzie jestem.

– Proszę cię, Katashi… – zaapelowała cicho dziewczyna. – Wiem, że się denerwujesz, ale wprawiasz tym wszystkich w zakłopotanie.

– Co?

– Spójrz, inni się niepokoją.

Miała rację, pozostali pasażerowie bacznie mi się przyglądali. Jak na Japończyków przystało, nie robili tego jednak z obawą czy niepewnością. Zachowywali pełen spokój, mimo że musiałem wyglądać, jakbym balansował na cienkiej granicy między życiem a śmiercią.

Dopiero po chwili dostrzegłem parę osób, które nie miały azjatyckich rysów twarzy. Z nich wszystkich najuważniej patrzył na mnie mężczyzna w białej koszuli. Był łysy, miał gęstą, jasną brodę i około czterdziestki na karku.

Oprócz niego kawałek dalej dostrzegłem troje Hindusów i jeszcze jednego Europejczyka. W jakiś sposób ich obecność sprawiła, że poczułem się nieco lepiej. Tylko nieco.

Otarłem pot z czoła, dopiero teraz odnosząc wrażenie, jakby wdech i wydech na powrót stały się normalnymi czynnościami. Powoli się uspokajałem, ale nadal dyszałem, jakbym przebiegł sprintem kilka kilometrów. Czułem też, że jestem blady jak śmierć.

Uniosłem dłoń i dotknąłem twarzy. Była obca, oczy miały dziwny kształt.

Serce zabiło mi szybciej, a przyspieszyło jeszcze bardziej, kiedy uświadomiłem sobie, że samolot zaczyna kołować. Moja towarzyszka położyła mi dłoń na ramieniu, a potem sięgnęła do schowka w fotelu przed nią.

– Weź *Baribari Densetsu* – powiedziała. – Ja poczytam później.

– Co takiego?

Położyła mi na kolanach komiks. Popatrzyłem na niego, jakby pochodził z innego świata. W pewnym sensie być może tak było.

– Co to jest? – wypaliłem.

– Gun Koma jeździ na nowym motocyklu – odparła z niemal dziecięcym entuzjazmem, ignorując pytanie. – Suzuki GSX-R.

Otworzyła mangę na pierwszej stronie, wprawiając mnie w jeszcze większą dezorientację. Wszystko prócz nadruku na koszulce głównego bohatera było zapisane alfabetem zupełnie mi nieznanym… a jednocześnie całkowicie zrozumiałym.

Na tyle, bym wiedział, że to w istocie nie alfabet, nie pismo fonetyczne, a system zapisu oparty na wcale nieobcych mi ideogramach.

– Co tu się dzieje? – powtórzyłem.

Pokręciła tylko głową. Potem przestała reagować na kolejne pytania.

Gdy doszedłem do siebie na tyle, by ostatecznie uznać, że nie śnię, pilot podrywał potężnego boeinga 747SR z płyty lotniska w Tokio. Silniki pracowały na pełnym ciągu, a skrzydła wygięły się lekko, walcząc z oporem powietrza.

Rozumiałem, co się stało. Przynajmniej na tyle, by opanować emocje.

– Mówiłam, że wszystko będzie dobrze – odezwała się Japonka.

Spojrzałem na nią i miałem wrażenie, jakbym ją rozpoznawał. Jakbyśmy znali się bardzo dobrze.

Powtórzyłem sobie w duchu, że nazywam się Filip Szumski, mieszkam we Wrocławiu, przy Gerberowej. Wszyscy mówią na mnie Berg. Nie mam nic wspólnego z człowiekiem, który siedzi na pokładzie japońskiego samolotu.

Poczułem się, jakbym był chory umysłowo – i być może wcale nie była to złuda. Rozejrzałem się, tym razem z większym spokojem, oceniając moje położenie.

Zajmowałem jedno z miejsc w klasie ekonomicznej, siedzenia były rozmieszczone w trzech rzędach – po trzy przy oknach, po cztery w środku.

Pasażerowie byli zajęci swoimi sprawami. Kobieta siedząca obok mojej towarzyszki przeglądała najnowszy numer „Young Beat Weekly”. Na okładce była Madonna, najwyżej dwudziestoletnia. Choć na dobrą sprawę to samo można było powiedzieć o niej w każdym momencie jej kariery.

Pasażer siedzący po mojej prawej, w środkowym rzędzie, przeglądał gazetę. Widziałem wielkie nagłówki informujące o występach Queen, Scorpionsów, Acceptu, Foreignera, Bon Joviego, Depeche Mode i Dio. Ściągnąłem brwi, potrzebując chwili, by oswoić się z takim stanem rzeczy. Żadnego Biebera,

One Direction czy Miley Cyrus. Znajdowałem się w zupełnie innym świecie.

– Użyczyć panu? – zapytał mężczyzna.

Skinąłem niepewnie głową, a on podał mi gazetę. Spojrzałem na zbiory typograficznych dziwolągów, ze zrozumieniem których nie miałem żadnej trudności.

– Poniedziałek, dwunasty sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku…

Siedząca obok Japonka mruknęła potwierdzająco, a ja poczułem, że zaczynamy zwiększać pułap. Zerknąłem za okno i znów zrobiło mi się gorąco.

Mimo wszystkich moich przypuszczeń nie mogłem być pewien, na pokładzie jakiej maszyny się znajduję. Przyjmowałem kolejne założenia, kierując się logiką, a być może w tym wypadku powinienem odsunąć ją na boczny tor.

– Dokąd lecimy? – zapytałem.

– Przestań, Katashi. To nie jest zabawne.

– Dokąd? – powtórzyłem.

– Do Osaki.

– Po co?

Dziewczyna westchnęła i spojrzała na mnie zawiedziona.

– Wiem, że poznanie moich rodziców to nie wymarzony urlop, ale sam wiesz, jak bardzo chcą cię zobaczyć.

– Tak, wiem – odparłem nieswoim głosem.

– Poza tym przecież skorzystamy.

– Na wizycie u twoich rodziców? Jakoś nie jestem przekonany.

Ze zgrozą pomyślałem, że zaczynam zachowywać się dziwnie. Zupełnie jakby moje myśli i słowa odrywały się od siebie.

– Nie mam na myśli rodziców, tylko koncert.

– Koncert?

– Dwudziestego piątego. W Osaka-jo Hall.

– Ale…

– Będzie czadowo – zapewniła mnie.

Skierowałem wzrok na gazetę. Wczoraj Rudolf Powarnicyn z ZSRR pobił rekord świata w skoku wzwyż, a prom „Challenger" odbył lot do Centrum Kosmicznego imienia Kennedy'ego. Chciałem przeczytać więcej, ale w okamgnieniu lektura przestała mnie interesować.

Rozległ się huk, a samolotem zatrzęsło.

Zimne krople potu spłynęły mi po rozgrzanych plecach.

Dziewczyna siedząca obok spojrzała na mnie z obawą, spodziewając się kolejnej fali paniki. Wszyscy inni sprawiali wrażenie, jakby nic się nie stało. Pomyślałem, że Japończycy są szkoleni do takich reakcji od dziecka, w polskim samolocie w takich momentach zaczynano już odmawiać modlitwy.

Na moment zamknąłem oczy, uspokajając się. Nic się nie stało, głośne stuki były w starych samolotach z pewnością normą.

Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że ta maszyna to nie przedpotopowa wersja boeinga. Takie same latały w moich czasach.

Ten sam model należał do Air Hibernia, przemknęło mi przez myśl.

Otworzyłem oczy i spojrzałem przed siebie, na zamknięte drzwi kokpitu. Po chwili usłyszałem dźwięk włączanego interkomu.

– Proszę państwa o zapięcie pasów, zgaszenie papierosów oraz założenie masek tlenowych – odezwał się kapitan.

Rozejrzałem się przestraszony. Maski tlenowe? W kabinie nic się nie działo, samolot leciał spokojnie, nie czułem żadnych wstrząsów, niczego niepokojącego. Ludzie zachowywali pełen spokój – a w dodatku nie było żadnych masek.

Dopiero po chwili wypadły znad głów.

I było to jak zwiastun końca czasów.

– Proszę pamiętać o pasach – powtórzył spokojnie kapitan i wyłączył głośnik.

Sytuacja była surrealistyczna. Podniosłem rękę jak we śnie, chwyciłem za maskę tlenową i pociągnąłem. Nic. Spróbowałem jeszcze raz, tym razem bardziej zdecydowanie. Po chwili uporałem się z nią i założyłem na usta.

Wszyscy posłusznie wykonali polecenie, choć nic niepokojącego zdawało się nie dziać. Wśród pasażerów rozeszły się ciche szmery, ale nic poza tym. Żadnej paniki.

Odciągnąłem maskę.

– Chyba przesadzają – odezwałem się.

– To pewnie taka procedura – odparła moja towarzyszka. – Może za bardzo obniżyliśmy lot.

W duchu przyznałem jej rację. Takie sytuacje w latach osiemdziesiątych mogły być na porządku dziennym, a ja nie miałem przecież pojęcia, jak wyglądało latanie w tamtym czasie. Do pierwszego samolotu wsiadłem w dziewięćdziesiątym ósmym.

Spojrzałem na zegarek. Wybiła osiemnasta dwadzieścia cztery.

Przez kolejne dziewięć minut załoga i pasażerowie zachowywali spokój.

W pewnym momencie wszystko jednak się zmieniło. Samolotem szarpnęło w prawo, potem trochę w dół, a następnie w lewo i znów w dół. Poczułem się otumaniony, jakbym wypił za dużo na raz.

– Spadamy! – krzyknął ktoś.

Było to jak katalizator reakcji, która tylko czekała, by coś ją wywołało. Podniosły się kolejne okrzyki. Maszyną szarpało w każdą stronę, a pasażerowie zaczęli wyć wniebogłosy. Toczyłem półprzytomnym wzrokiem wokół, trzymając się kurczowo fotela. Dziewczyna obok zacisnęła dłoń na mojej ręce, piszcząc z przerażenia.

– Proszę pamiętać o założeniu masek! – huknął przez interkom kapitan. – I naciągnięciu gumowego paska na tył głowy!

Nikt go nie słuchał. Japońska dyscyplina przestała mieć znaczenie.

Mężczyźni płakali, kobiety i dzieci ryczały wniebogłosy, a ja nie rozumiałem, co się dzieje. Przed chwilą byłem na cmentarzu, oczyszczałem mogiłę. Kinga stała obok, przyglądała mi się.

A teraz umierałem tutaj, w samolocie.

– Katashi! – krzyknęła mi do ucha dziewczyna.

Spojrzałem na nią w momencie, gdy załodze udało się ustabilizować nieco maszynę. Nadal skręcaliśmy, szybko obniżając pułap, ale zdawało się, że pilot odzyskał kontrolę. Miałem wrażenie, że mój mózg unosi się i dotyka górnej części czaszki. Uszy miałem niemal całkowicie zatkane.

Zacisnąłem palce na nosie i dmuchnąłem mocno. Poprawiło to trochę sytuację, ale nadal czułem się, jakbym oberwał od kogoś mocnym ciosem. Pozostali pasażerowie robili podobne wrażenie, ale wszyscy powoli się uspokajali.

Gdzieś z tyłu zawodziło jakieś dziecko, w powietrzu wciąż wisiało widmo niebezpieczeństwa, powoli jednak zaczynała przesłaniać je nadzieja na to, że było to tylko dużo krzyku o nic.

Wiedziałem, że to złuda.

– Chyba już dobrze… – odezwała się Japonka.

– Nie.

– Odzyskali kontrolę nad samolotem, wszystko będzie dobrze.

– Nie będzie – odparłem. – Rozbijemy się.

– Przestań tak mówić!

Kilku pasażerów obejrzało się na nas, ale zignorowałem ich krytyczne spojrzenia. Zdjąłem maskę, odpiąłem pas, a potem podniosłem się gwałtownie. Dwie stewardesy natychmiast do mnie doskoczyły, jakby tylko na to czekały.

– Proszę siadać!

– Muszę porozmawiać z…

– Niech pan natychmiast wraca na miejsce!

Kobiety złapały mnie pod ręce i posadziły. Mogłem się stawiać, ale były tak zdeterminowane, że ich upór byłbym w stanie pokonać tylko czystą siłą fizyczną. Nie miałem zamiaru podnosić na nie ręki.

Opadłem na fotel, a stewardesy zamarły w bezruchu, wbijając wzrok w niewielkie okienko. Wokół panowało przejmujące milczenie.

Nie, więcej – przejmująca cisza. Silniki samolotu bowiem przestały pracować.

Dryfowaliśmy w powietrzu, a maszyna zachowywała się jak spadający liść. Pasażerowie siedzący na wysokości skrzydeł wychylali się i wpatrywali w niepracujące wirniki.

Nikt nie zdobył się na to, by przełamać ciszę.

Zniżaliśmy się spokojnie, choć w końcu wiatr zrobił swoje. Zaczęło miotać nami jak pustą torebką foliową podczas wichury. Potem – tuż przed osiemnastą pięćdziesiąt jeden – przez chwilę było spokojnie.

Gdy ta chwila minęła, boeing 747SR linii Japan Airlines rozbił się na zboczach góry Takamagahara. A potem znów otworzyłem oczy. Tym razem siedziałem w kokpicie.

II

– W porządku, Takehiko?

Zamrugałem nerwowo, a potem otworzyłem oczy i zrobiłem głęboki wdech, jakbym wynurzył się spod wody. W oczach mi szumiało, ledwo rozumiałem, co mówił do mnie kapitan. Przed oczami miałem jeszcze powidoki śnieżenia na ekranie.

– Takehiko? – zapytał dowódca, obejrzawszy się przez ramię.

Skinąłem głową, uświadamiając sobie niejasno, że znalazłem się w ciele innej osoby. Podobnie jak poprzednio, teraz także potrzebowałem chwili, by wdech i wydech stały się normalnymi czynnościami.

– Nic mi nie jest – odezwałem się.

Takehiko musiał być mechanikiem lub nawigatorem. Siedział z tyłu, tuż przy wyjściu z kokpitu.

– Nie wyglądasz najlepiej – odezwał się drugi pilot.

– Jakoś mi słabo – odparłem.

– To będzie chyba nowy rekord. Sześć minut od startu.

Podniosłem rękę i podciągnąłem rękaw. Mój nowy gospodarz nie miał jednak zegarka.

– Która godzina?

– Osiemnaście po szóstej – odparł kapitan. – Spieszy ci się gdzieś?

Do pierwszego huku pozostało sześć minut. Istniała teoretyczna możliwość, że znalazłem się na pokładzie innego samolotu, ale właściwie graniczyła z cudem. Byłem tam, gdzie poprzednio. I czekało mnie to samo.

– Mamy problem – odezwałem się.

– My? – rzucił z przekąsem drugi pilot. – Mnie się wydaje, że raczej ty. Za dużo sashimi.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi, ale nie miało to żadnego znaczenia. Czas naglił, nie mogłem pozwolić sobie na tracenie

go w ten sposób. Nie, jeśli miałem zamiar coś zrobić.

A nie ulegało dla mnie wątpliwości, że właśnie tak powinienem się zachować. Znalazłem się tu z jakiegoś konkretnego powodu, być może właśnie po to, by ocalić wszystkich tych ludzi.

Siebie i ich.

W tej chwili nie mogłem być pewien, co się ze mną stanie, kiedy samolot rozbije się po raz kolejny. Trafię do innego ciała? Na to wskazywałaby logika, ale przecież nie mogłem przemieszczać się tak w nieskończoność, jak potępiona dusza.

Zresztą ludzi na pokładzie było kilkaset. Co, kiedy znajdę się w ciele ostatniego z nich? Wrócę do swojego czasu, do miejsca, w którym powinienem być? Czy przestanę istnieć?

Popatrzyłem na kapitana, który leniwie pilotował maszynę, jakby był to dzień jak co dzień.

– Lądуj – powiedziałem.

– Co takiego?

– Posadź ten samolot. Natychmiast.

– Uspokój się, Takehiko – zabrał głos drugi pilot. – I nie zwracaj się do kapitana, jakby był…

– Musimy jak najszybciej zawracać i lądować – przerwałem mu.

Spojrzeli na mnie jak na trędowatego. Gdybyśmy znajdowali się w czasie, który dla mnie stanowił teraźniejszość, z pewnością spojrzenia byłyby jeszcze bardziej krytyczne. Być może wyprowadziliby mnie na wszelki wypadek z kabiny, obawiając się tego, do czego zdolny może być jeden szaleniec.

Ci ludzie jednak nie mieli takich doświadczeń, nigdy nie słyszeli o Andreasie Lubitzu i jemu podobnych. Nie odezwali się słowem. W przeciwieństwie do nich, ja nie miałem zamiaru milczeć.

Wspiąłem się na wyżyny sztuki perswazji, starając się ich przekonać, że doszło do usterki, która może okazać się tragiczna w skutkach. Nie potrafiłem jednak określić jakiej,

nie znałem żadnych szczegółów – co wzięli za wystarczający powód, by uznać, że problem jest ze mną, nie z maszyną.

– Błagam was… – jęknąłem.

– O to, żebyśmy zawrócili, bo wydaje ci się, że coś jest nie tak? – spytał z powątpiewaniem drugi pilot. – Zdajesz sobie sprawę, ile paliwa trzeba będzie spalić, robiąc kręgi nad Hanedą?

Oczywiście, że wiedziałem. Po tych wszystkich katastrofach, które relacjonowano w mediach, orientowałem się, że samolot nie może podejść do lądowania z pełnym bakiem. Zdawałem sobie też sprawę z tego, jak duży koszt poniosłyby linie lotnicze w osiemdziesiątym piątym.

– Jako mechanik powtarzam: mamy usterkę.

– Ale nie wiesz, jaką konkretnie.

– Mimo to powinniście…

– Nie potrafisz nawet wskazać, skąd o tej rzekomej usterce wiesz.

Mieli przed sobą odczyty z aparatury, widzieli, że wszystko jest w porządku. Nie mieli powodu, by mi wierzyć – choć obaj pewnie gorączkowo zastanawiali się nad tym, dlaczego upieram się przy swojej wersji.

Pozorowałem racjonalność jeszcze przez jakiś czas, zanim ostatecznie uznałem, że muszę spróbować podejść do problemu od innej strony. Zacząłem mówić o tym, że widziałem katastrofę, że wiem, co się za moment zdarzy, i że wszyscy na pokładzie zginą.

To był moment, kiedy najwyraźniej przestali mnie słuchać.

Zaraz potem wybiła osiemnasta dwadzieścia cztery i wraz z głośnym hukiem wszelkie dyskusje skończyły się raz na zawsze.

W kokpicie rozległo się paniczne wycie systemów alarmowych. Nie trzeba było znać się na samolotach, by wiedzieć, że głośne biiiip-biiiiiip to dźwięk zapowiadający tragedię. Załoganci popatrzyli po sobie z przestrachem, ale

konsternacja trwała tylko ułamek sekundy. Potem górę wzięło wyszkolenie.

– Squawk 77! – krzyknął kapitan do radia[1].

Biip-biiip-biiip-biiiip.

Kojarzyłem ten dźwięk z filmów, znał go każdy, kto wychował się na amerykańskiej popkulturze lat osiemdziesiątych. Gdy rozlegał się z głośników telewizora, wiadomo było, że za moment maszyna zacznie pikować, a ostatecznie wbije się w ziemię, zwijając jak harmonijka. W tym przypadku miało być jednak inaczej.

– Podwozie?! – krzyknął pilot.

– Tylne drzwi! – odparłem, sam nie wiedząc dlaczego.

– Co? – zapytał drugi oficer.

– Sprawdźcie podwozie!

– Squawk 77!

– Silniki? – dopytywał kapitan.

Widziałem, jak wolant zaczął żyć własnym życiem w rękach pilota. Potem rozległ się dźwięk umierającej maszyny – metaliczny, złowrogi pomruk, dochodzący z tylnej części samolotu. Pilot głęboko odetchnął, zdenerwowanie natychmiast znikło z jego oczu.

– Proszę państwa o zapięcie pasów – powiedział do interkomu. – Zgaszenie papierosów oraz założenie masek tlenowych.

Zrobiło mi się gorąco.

– Proszę pamiętać o pasach – dodał.

Gdy tylko wyłączył głośnik, przerażenie znów wykwitło na jego twarzy. Z radia dochodziły komunikaty z kontroli lotów w Tokio – i chyba to przypomniało załodze, by szukać tam ratunku.

– Tokio, Japan Air 123, proszę o… natychmiastową…

Kapitan urwał, kręcąc głową.

– Problem, mamy problem. Proszę o pozwolenie na powrót na Hanedę. Schodzę na dwa dwa zero, odbiór.

BIIIP-BIIP.

Krótszy, inny dźwięk. Wiedziałem, co oznacza.

Spadek ciśnienia w kabinie.

– Przyjąłem – odezwał się gorączkowo ktoś z kontroli lotów. – Masz pozwolenie.

– Namiar wektorowy na Oshimę poproszę – odparł kapitan, a potem dodał pod nosem: – Cała hydraulika nie działa…

Omiotłem wzrokiem odczyty przyrządów na moim stanowisku. W ułamku sekundy zacząłem rozumieć, co oznaczają – podobnie jak wcześniej z alfabetem, wiedza ta tkwiła gdzieś w mojej głowie.

– Przyjąłem – odezwała się kontrola lotów. – Chcesz skręt w prawo czy w lewo?

– Prawo, odbiór.

– Dobra, kierunek dziewięć-zero-dziewięć, namiar wektorowy na Oshimę.

Kapitan zaczął wykonywać manewr – i było to ostatnie polecenie, które przyjął samolot. Potem rozległ się kolejny trzask, a towarzyszył mu paniczny krzyk człowieka, który trzymał stery.

Zaczęło szarpać nami w pionie i w poziomie. Fachowo nazywano to niestatecznością holendrowania bądź po prostu holendrowaniem. Nie było zapowiedzią niczego dobrego.

– Spadł poziom ciśnienia w hydraulice – odezwałem się.

– Odzyskaj! – krzyknął kapitan.

Nie miałem pojęcia jak.

– Nic z tego – odparł drugi pilot.

– Cała hydraulika poszła? – zapytał kapitan.

– Tak.

– Schodzimy! Szybko!

Siedzący przede mną załoganci zaczęli walkę z samolotem. Na tym etapie jego sterowność była już minimalna. To tak, jakby jechać samochodem ze skręconymi kołami, którego

układ kierowniczy nie działa. Można do woli kręcić kierownicą.

– Schodź! – krzyknął drugi pilot.

Kapitan robił wszystko, by utrzymać samolot w pozycji nośnej. I zważywszy okoliczności, wywiązał się z tego wzorowo. Przypuszczam, że wielu na jego miejscu doprowadziłoby maszynę do pikowania – i szybko byłoby po sprawie.

W kokpicie zaległa cisza. Po kilku chwilach przerwał ją pilot.

– Jak to możliwe, że to nie działa…

Pokręcił głową, a potem znów aktywował interkom.

– Proszę pamiętać o założeniu masek! – odezwał się. – I naciągnięciu gumowego paska na tył głowy! – Potem wydał kilka komend personelowi, po czym zamilkł. Wszyscy wbijaliśmy wzrok przed siebie, obserwując, jak zataczamy krąg nad pofałdowanym krajobrazem.

– Japan Air 123 – odezwała się kontrola lotów. – Potwierdź, zgłaszaliście awarię, tak?

– Potwierdzam.

– 123, przyjąłem – odparł kontroler. – I co to za awaria?

– Proszę zgasić papierosy – rozległo się automatyczne nagranie z głośników. – Ma miejsce lądowanie awaryjne. Ma miejsce lądowanie awaryjne. Proszę założyć maski tlenowe.

Trzęsłem się w swoim fotelu, odnosząc wrażenie, jakbym uczestniczył w jakimś tragikomicznym przedstawieniu.

– Proszę zapiąć pasy. Proszę zgasić papierosy. Ma miejsce lądowanie awaryjne.

Kątem oka dostrzegłem, że wszystkie wskaźniki na mojej konsoli zwariowały. Poinformowałem kapitana, że ciśnienie w układzie hydraulicznym spadło do zera. Drugi pilot upewniał się dwa razy, czy nie zaszła jakaś pomyłka.

– Japan Air 123 – odezwała się znów kontrola. – Kierunek zero-dziewięć-zero, namiar wektorowy na Oshimę.

– Ale… – zaczął kapitan. – Nie mam… nie mam kontroli.

Przerażenie w jego głosie sprawiło, że miałem dosyć. W tle rozbrzmiewał beznamiętny głos mężczyzny, który z amerykańskim akcentem informował wszystkich na pokładzie, że ma miejsce lądowanie awaryjne i należy zapiąć pasy. Ktoś z personelu dodał, by rodzice zadbali o założenie masek dzieciom.

– Brak kontroli, przyjąłem, zrozumiałem – odparł kontroler.

Kapitan obrócił się do drugiego pilota.

– Hej! Uważaj na przeciągnięcie!

– Tak jest, będę uważać.

– Żadne „tak jest”!

– Wiem, kapitanie!

Krzyczeli do siebie, jakby wzajemnie się nie słyszeli.

– Schodzimy – powtórzył pilot.

Miałem wrażenie, że tragikomizm rośnie z każdą sekundą. Mężczyźni sterujący samolotem musieli wiedzieć, że nawet cud nie jest w stanie sprawić, że wyjdziemy z tego cało. Szykowali się na śmierć, choć nie potrafili się z tym pogodzić.

Ich umysły odmawiały przyjęcia do wiadomości tego, co musiało się stać. W moim przypadku było zupełnie inaczej.

Wiedziałem, że obudzę się po raz kolejny. Miałem tylko nadzieję, że tym razem uda mi się coś zdziałać.

– Japan 123 – odezwał się spokojnie kontroler. – Jeśli jest możliwość, squawk 2072 normal.

Nikt nie odpowiedział.

– Japan 123 – upomniała się kontrola lotów. – Em… możesz obniżyć lot?

– Tak, przyjąłem – odparł nieprzytomnie kapitan.

Patrzył na aparaturę, jakby na którymś ze wskaźników mogła kryć się nie tylko odpowiedź na to, co się stało, ale także wskazówka, jak się uratować.

– Obniżam… – dodał.

– W porządku. Podaj mi wysokość.

– Dwieście czterdzieści.

– W porządku. Twoja pozycja: siedemdziesiąt dwie mile od Nagoi. Możesz tam wylądować?

– Nie – odparł trzęsącym się głosem dowódca. – Proszę o pozwolenie na powrót na Hanedę.

– W porządku… słuchaj, przejdź na japoński.

– Zrozumiałem – odparł w swoim języku kapitan. Mogli to zrobić od początku, rezygnując z przesadnego formalizmu w przestworzach. Byli jednak Japończykami – nawet w obliczu śmierci trzymali się konwenansów.

Zaczęły się dyskusje. Załoganci spekulowali, że odpadła część bagażowa w ogonie samolotu, a zatem może istnieje szansa, by posadzić samolot. Choć nie było ku temu powodu, pojawiła się nadzieja. Być może zawsze się pojawia.

Systemy alarmowe wyły wniebogłosy, teraz już krótkimi, nieustającymi salwami. Bip-bip-bip-bip-bip-bip. Kręciło się od tego w głowie, nikt ich jednak nie wyciszył.

– Kapitanie – podjąłem, widząc, że nośność samolotu spada drastycznie. – Musimy natychmiast lądować awaryjnie. Już!

– Nos w dół! – krzyknął dowódca.

– Tak jest – odparł drugi pilot.

Powtórzyli te kwestie po raz drugi, jakby nie mogli zrozumieć, że samolot nie wykonuje rozkazów. Zasugerowałem wypuszczenie podwozia, by opór powietrza był większy. Maszyna jednak i tym razem nie usłuchała.

Szybko traciliśmy wysokość w niekontrolowanym locie. Świst powietrza był tak głośny, jakby wywaliło nam dziurę w tylnej części samolotu. Zastanawiałem się, czy mogę coś zmienić.

Wcześniej, gdy się pojawiłem w ciele Takehiko, być może by się udało. Teraz było już za późno. Nagle pojawiła się jednak iskierka nadziei. Sam przez moment nie wierzyłem w to, co widzę.

Przyszło mi do głowy, że może sama moja obecność coś zmieniła.

– Podwozie wypuszczone! – oznajmiłem.

– Przyjąłem! – odparł drugi pilot.

– Japan Air 123 – odezwała się kontrola. – Możesz zmienić częstotliwość na sto trzydzieści cztery?

Nie odpowiadaliśmy. Na tym etapie mieliśmy już pełne ręce roboty.

– Japan Air 123, Japan Air 123, kontrola z Tokio. Jeśli słyszysz, daj IDENT, proszę.

Chodziło mu o wciśnięcie przycisku na transponderze, byśmy potwierdzili, że wciąż mamy z nim kontakt.

– Nos w dół! – krzyknął kapitan. – Zapomnij o tym teraz!

Bip-bip-bip.

– Przeciągniemy go! – dodał pilot.

– Wiem, dowódco – odparł mężczyzna siedzący obok.

Radio zaskrzeczało.

– Wszystkie stacje poza Japan Air 123, kontakt z kontrolą w Tokio. Zmieńcie częstotliwość na sto trzydzieści cztery. Cisza w eterze do odwołania.

– Nos w dół, jeszcze trochę!

– Tak jest.

– To wszystko?

– Więcej nie mogę zrobić.

Odezwała się baza wojskowa Yokota, zapewniając o wsparciu. Kapitan po raz kolejny oznajmił beznamiętnie, że samolot utracił sterowność.

– Japan Air 123, nadawaj – natychmiast odezwał się kontroler z Tokio.

Pilot już się nie odzywał. Patrzyliśmy na zbliżającą się ziemię.

– Japan Air 123, chcesz skontaktować się z Hanedą?

– Niech będzie, jak jest – odparł kapitan.

Widziałem, jak obaj trzęsą się wraz z samolotem.

– My mamy się skontaktować? – zapytał kontroler.

– Niech będzie, jak jest.

– Japan Air 123 – odezwał się inny głos. – Yokota obserwuje podejście. Jeśli mnie słyszysz, squawk 5423.

Kapitan obejrzał się przez ramię i popatrzył na mnie.

– Wygląda na to, że nic nie mogliśmy zrobić.

– Powtórz, Japan 123 – rzekł kontroler z Tokio.

Dowódca skinął głową, po czym odpowiedział:

– Tak… proszę o wektor podejścia na Hanedę… Kisarazu…

– Przyjąłem! Trzymaj kurs zero-dziewięć-zero, pas dwadzieścia dwa! Masz kontrolę nad maszyną?

– Brak kontroli.

– Przyjąłem.

– Góra przed nami – dodał kapitan.

– Widzę – odparł drugi pilot.

Ja też widziałem. Zbliżaliśmy się do niej w zastraszającym tempie. Gdybyśmy mieli realny ogląd sytuacji, uświadomilibyśmy sobie, że to miejsce stanie się naszym wspólnym grobowcem.

Kapitan potrząsnął głową, jakby obudził się z głębokiego snu. Po raz pierwszy doświadczyłem tego, jak osobliwie potrafią zachować się ludzie w obliczu pewnej śmierci. Jeśli przychodzi nagle, wszystko odbywa się wedle scenariusza, który da się przewidzieć. Jeśli widmo zbliża się przez pewien czas, dzieją się rzeczy dziwne. Tak jak w tym wypadku.

Kapitan jęknął cicho, a potem wybałuszył oczy.

– Skręć w prawo! – krzyknął. – Tam jest góra!

– Widzę, sir.

– W prawo! Skręt w prawo!

– W prawo.

– Uderzymy w nią!

Gdyby samolot w tym momencie zaczął zachowywać się tak, jak powinien, mielibyśmy jeszcze wystarczająco dużo czasu, by uniknąć zderzenia. Nic jednak nie zapowiadało cudu. Kapitan powtarzał „prawo skręt” jak mantrę, a drugi pilot zapewniał, że robi wszystko, co w jego mocy.

– Lewo skręt! – krzyknął w końcu dowódca. – Więcej mocy! Lewo skręt teraz!

Dopiero wtedy zorientowałem się, że źle interpretowałem sytuację. To nie były krzyki spanikowanego człowieka.

Dowódca chciał rozbujać samolot, a potem posadzić go gdzieś u stóp góry. Gdy udało się skręcić nieco w lewo, krzyknął, by dać nos w dół. Drugi pilot wykonał polecenie.

– Dobrze – odparł kapitan.

Usłyszałem w jego głosie nutę spokoju. Bynajmniej nie dlatego, że pogodził się z losem – przeciwnie, walczył dalej, a samolot w końcu zaczął wykonywać polecenia. Wyglądało na to, że miniemy górę. Przynajmniej przez moment.

– Zbliżamy się do niej – zauważył.

– Widzę, sir.

– Niedobrze… będzie przeciążenie…

Włączyły się wszystkie możliwe systemy alarmowe, tworząc ogłuszającą kakofonię dźwięków.

– Pełna moc! Pełna moc!

– Za szybkie zejście! – krzyknąłem.

– Zbyt duża prędkość! – dodał z przerażeniem drugi pilot.

– Po prostu spróbuj! – starał się przebić przez wycie alarmów kapitan. – Trzymać się!

– Tak jest!

– Pełna… – zacząłem.

– Nos w dół!

– Tak jest!

– Trzymać się!

– Mam szczątkową kontrolę!

– Pełna moc! – krzyknąłem.

Zbocze było już niedaleko. Silniki wyły wniebogłosy, jakby miały za moment eksplodować. Powiedziałem drugiemu pilotowi, by wykorzystał ciąg. Kontrola lotów chciała, byśmy zmienili częstotliwość radia. Wbijaliśmy wzrok w górę, licząc na to, że jakimś cudem ją ominiemy. Potem włączyły się

jeszcze dwie osoby z innych wież kontroli lotów. Trudno było usłyszeć, co mówią.

– Jak daleko? – zapytał kapitan.

– Mówił, że dwadzieścia pięć mil od Kumagai – odparł drugi pilot.

– Nos w górę!

– Tak jest.

– Nos w górę! Nos w górę! Moc!

Krzyczał tak przez kilkadziesiąt sekund. Jego słowa odbijały mi się echem w głowie na długo po tym, jak obudziłem się w nowym miejscu. Wciąż słyszałem też beznamiętny głos mężczyzny z nagrania systemu ostrzegania o bliskości ziemi.

– *Sink rate* – zapowiedział. – *Pull up*.

– To koniec! – krzyknął kapitan.

– *Pull up. Pull up. Pull up.*

[1] Od tego miejsca wszystkie dialogi pochodzą z zapisu czarnych skrzynek lotu Japan Airlines 123.

III

Byłem przekonany, że ocknę się gdzieś z tyłu samolotu. W ciele kolejnego Japończyka, znów od początku przyzwyczajając się do rzeczy tak prostych i naturalnych, jak oddychanie. A potem po raz kolejny przeżyję to samo.

Stało się jednak inaczej.

Kiedy otworzyłem oczy, leżałem na wznak na mokrej ziemi. Wbijałem wzrok w wiszące nade mną chmury, łapczywie biorąc kolejne hausty powietrza. Kiedy kaszlnąłem, coś zarzęziło mi w płucach, jakbym nałykał się wody podczas pływania.

– Berg!

Rozpoznałem głos bez problemu. Usłyszenie go było jak powrót do domu.

Kinga klęczała obok, nachylona nade mną, jakby przygotowywała się do resuscytacji. Popatrzyłem na nią, chciałem ją uspokoić, ale coś targnęło mną od środka. Obróciłem się na bok i odkaszlnąłem, wypluwając czarną flegmę. Skrzywiłem się, smakowała jak coś zsiadłego, zgniłego.

– Przepraszam – rzuciłem nieobecnym głosem.

Kinga złapała mnie za ramię i obróciła do siebie. Uważnie mi się przyjrzała, z niepokojem marszcząc brwi. Z jakiegoś powodu sprawiło to, że poczułem się dobrze. Dopiero po chwili zrozumiałem, jak bardzo cieszy mnie jej troska.

Miałem ochotę się podnieść, przyciągnąć ją do siebie i objąć. Odnosiłem wrażenie, jakbyśmy ostatnim razem widzieli się w innym życiu.

Z mojej perspektywy być może tak było. Z jej nie mogło minąć wiele czasu, od kiedy upadłem na ziemię.

– Co się stało? – odezwałem się.

– To chyba ja powinnam o to zapytać.

– Powinnaś – przyznałem, siadając z jej pomocą. – Ale odpowiedź może być trochę niepokojąca.

– To znaczy?

– Byłem na pokładzie JAL 123.

Zareagowała tak, jak zrobiłaby to każda inna osoba na jej miejscu – spojrzała na mnie z niedowierzaniem, jak na szaleńca. Tyle że Kinga nie była każdą inną. W ostatnich dniach doświadczyła rzeczy, które sprawiły, że stała się jednym z niewielu ludzi, którzy potrafili dopuścić niemożliwe.

Wydało mi się jednak, że potrzebuje chwili, by to sobie uświadomić.

– Nie wiem nawet, od czego zacząć – dodałem.

– Od początku.

– W porządku – odparłem, kiedy pomagała mi wstać. Nogi miałem jak z waty. – Więc na początek powiem ci, że teraz rozumiem, dlaczego pamiętałem, że byłem w tym samolocie.

Kłóciło się to z logiką. Tamte wspomnienia pojawiły się dużo wcześniej, zanim dotknąłem mogiły ojca i znalazłem się na pokładzie.

Przemknęło mi przez głowę, że powinienem przestać patrzeć na to wszystko linearnie. Czas nie był prostą linią, biegnącą od punktu A do punktu B. Najwyraźniej stanowił twór, który wymykał się znanym mi zasadom.

Zacząłem opowiadać Kindze o śnieżeniu przed oczami i szumie w uszach, a potem przeszedłem do tego wszystkiego, co wydarzyło się w boeingu. Ani razu mi nie przerwała. Ani razu nie dostrzegłem już nawet cienia wątpliwości w jej oczach.

Kiedy skończyłem, oboje spojrzeliśmy na grób.

– Jeśli myślisz o tym, żebym znów przesunął ręką po mogile, nie ma mowy – zadeklarowałem.

– Nie… – powiedziała nieobecnym głosem. – Nie o tym pomyślałam.

Zanim zdążyłem zareagować, sama znalazła się tuż obok. Wykonała dokładnie taki sam ruch jak ja, kiedy zrzucałem liście z nagrobka. Popatrzyłem na nią z przestrachem, ale nic się nie stało.

Przez moment milczeliśmy.

– Jakkolwiek by było, ojciec cię prowadził – odezwała się.

– Albo on, albo jakaś potępiona dusza, która przedstawia się jako mój ojciec.

– Nie widziałeś go nigdzie?

– Na pokładzie? Nie.

– Miałam na myśli… sama nie wiem – odparła, poprawiając koszulę, która wysunęła jej się zza paska. – Nie czułeś jego obecności? Nie dostrzegłeś go gdzieś po drodze?

Pokręciłem stanowczo głową.

– Nie było żadnego tunelu, żadnego światełka na końcu, nic z tych rzeczy – powiedziałem. – Przejście było natychmiastowe. A potem pojawił się ten szum i śnieżenie.

Usiadła na ławce przy grobie, ja stałem kawałek dalej. Nie miałem zamiaru zbliżać się do mogiły.

Naraz ojciec wydał mi się podejrzany, niegodny zaufania, oszukańczy. Z jakiegoś powodu zacząłem zrzucać na niego całą winę za sytuację, w której się znalazłem.

Chwilę później upomniałem się w duchu, że istota, która się ze mną kontaktowała, mogła nie mieć z ojcem nic wspólnego. Nic oprócz fasady, pod którą kryło się coś… zupełnie obcego.

– Dobrze się czujesz?

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że wbijam wzrok w krzyż na nagrobku, a Kinga intensywnie mi się przygląda.

– Nie. Nie wiem, co się stało, nie wiem dlaczego ani…

– Jakiś powód musiał być.

– I to martwi mnie najbardziej.

– Ojciec nieprzypadkowo sprowadził cię na pokład tamtego samolotu.

– Obyś się myliła.

Cofnąłem się, a potem podszedłem do ławki od drugiej strony. Usiadłem obok Kingi i założyłem rękę za oparcie. Gdybym poświęcił chwilę, by się nad tym zastanowić, może bym tego nie zrobił.

Oparła się i dotknęła mojej ręki. Oboje udawaliśmy, że nic się nie dzieje.

– Może chodziło mu o to, żebyś uratował ten samolot?

– Jak?

– Ostrzegając wcześniej załogę, grożąc, uziemiając go?

– Próbowałem. I czegokolwiek bym tym ludziom nie powiedział, byli zdeterminowani, żeby lecieć.

Jeszcze przez chwilę zapewniałem ją, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by zapobiec katastrofie. Nie była to do końca prawda. Wtedy, na pokładzie, byłem oszołomiony, nie potrafiłem zebrać myśli. Gdybym teraz na powrót się tam znalazł, nie traciłbym czasu na próbę przekonania tych ludzi do prawdy – zamiast tego wymyśliłbym wiarygodne kłamstwo.

Na dobrą sprawę wystarczyłaby deklaracja, że w luku bagażowym umieściłem ładunek wybuchowy. Paranoja wywołana terroryzmem być może dopiero się wtedy rodziła, ale gdybym był odpowiednio przekonujący, mógłbym uziemić Japan Airlines 123.

Kinga sprawiała wrażenie, jakby była tego samego zdania. Przynajmniej do czasu.

W końcu musiała uznać, że naprawdę zrobiłem, co w mojej mocy.

– Może to po prostu niewykonalne – odezwała się.

– Zmiana przeszłości?

– Mhm – potwierdziła. – Na dobrą sprawę nie wiemy nawet, czy naprawdę tam byłeś, Berg.

– Mnie ta wizyta wydawała się dość realna.

– Ale może była czymś innym, niż ci się wydawało.

– Na przykład?

– Czyśćcem, czyimiś wspomnieniami, powidokami należącymi do zbłąkanej duszy, nie wiem… Możliwości są nieograniczone.

Pokiwałem głową, przyznając w duchu, że faktycznie tak jest. Nie miałem pewności, że naprawdę trafiłem na pokład JAL 123. A nawet jeśli, to dokonanie jakichkolwiek zmian mogło być niemożliwe.

Jeszcze raz spojrzałem na grób, zanim się oddaliliśmy.

Wszystko układało się w wyraźny ciąg przyczynowo-skutkowy. Od momentu zaginięcia maszyny Air Hibernia ojciec właściwie prowadził mnie za rękę. On lub istota, która się pod niego podszywała.

Szedłem od punktu do punktu, dokładnie tak, jak to sobie zamierzył.

A teraz dotarłem tutaj. I wydawało się, że była to ślepa uliczka.

Wróciliśmy do mieszkania Kingi i Rudyka. Siostra mojej narzeczonej była równie uparta jak Aneta. Nie przyjmowała możliwości, że mógłbym wrócić do siebie, uznając, że to w tej chwili najgorsze, na co mógłbym się zdecydować.

Jej mąż strategicznie zachował milczenie, choć przypuszczałem, że kiedy zostawię ich samych, wyleje z siebie wszystkie żale. Zamknąłem się w pokoju gościnnym z laptopem, wychodząc z założenia, że moja wizyta na pokładzie Japan Airlines 123 nie była przypadkowa.

Nic nie działo się bez powodu. Z jakiejś przyczyny miałem uczestniczyć w tej katastrofie, nawet jeśli nie mogłem nic zmienić.

Ale w takim razie dlaczego ten samolot? Dlaczego ten wypadek?

Od nowa rozgrywałem wszystkie zdarzenia w swojej głowie Nie potrafiłem znaleźć niczego, co mogłoby pomóc mi w odnalezieniu odpowiedzi. Zacząłem przeglądać listę załogi

i pasażerów, ale oprócz dwóch znajomych imion niczego znaczącego nie znalazłem.

Kilka godzin spędziłem na czytaniu wszystkiego, co na temat JAL 123 mogłem znaleźć w internecie. Kiedy się ściemniło, zrobiłem sobie przerwę na obejrzenie paru dokumentów związanych z katastrofą.

Kinga weszła do pokoju dwa czy trzy razy, upewniając się, że wszystko jest w porządku. Poczułem się jak pustelnik na wygnaniu, kiedy przyniosła mi coś do jedzenia. Zjadłem właściwie tylko po to, żeby się nie martwiła, nie miałem apetytu. Wciąż nie opuszczało mnie wrażenie, jakby coś ohydnego kotłowało się w moim żołądku.

Poskubałem trochę ryżu z kurczakiem i doceniłem danie lekkim uśmiechem. Kinga popatrzyła na mnie z zaciekawieniem.

– I jak oceniasz moje zdolności kulinarne?

Wzruszyłem ramionami.

– To niezbyt dobra odpowiedź.

– Przeciwnie – odparłem. – Z dobrym daniem jest jak z dobrym obrazem. Smakujesz je, ale nie potrafisz tego uczucia opisać.

Zaśmiała się cicho, chyba wyłącznie z uprzejmości, a potem przysiadła na niewielkiej kanapie. Ja wciąż nachylałem się nad laptopem przy biurku, jakbym był jednym z licznych pracowników korporacji, których gonił deadline i którzy zmuszeni byli zabrać pracę do domu.

– Znalazłeś coś? – spytała, a potem westchnęła.

Właściwie sama odpowiedziała na swoje pytanie.

– Nic – odparłem. – A z drugiej strony o jedną rzecz za dużo. Wedle niektórych materiałów tę katastrofę przeżyło kilka osób.

– Co takiego?

Włączyłem na YouTubie nagranie, które pokazywało akcję służb ratunkowych, a potem obróciłem laptopa w kierunku Kingi. Znałem już te obrazy zbyt dobrze. Mężczyźni w kaskach

nieśli szmaciane worki, w których bez cienia wątpliwości znajdowały się ciała.

Kinga spojrzała na ekran i mimowolnie uciekła wzrokiem.

– Jezu…

Ledwo to powiedziała, znów poczułem smród, a apetyt zmniejszył mi się jeszcze bardziej. Rozejrzałem się, niepewny, czy tym razem odór też był urojony. Kinga jednak zdawała się go nie czuć.

– Tyle ciał… – dodała.

– Zastanawiam się, czy w którymś z tych worków nie znajdowało się moje. To znaczy… czy ja nie… sama rozumiesz.

Nie odpowiedziała. A ja pomyślałem, że nie powinienem o tym wspominać.

– Dlaczego mi to pokazujesz?

– Bo chcę, żebyś zobaczyła, w jak dobrym stanie były zwłoki.

Skrzywiła się.

– Nie doszło do eksplozji, nie porozrywało ciał. Przynajmniej nie wszystkich.

Wychyliła się i odwróciła laptopa z powrotem w moją stronę.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś mógł przeżyć?

– Tak twierdziło kilka osób, które pojawiły się na miejscu katastrofy – odparłem. – Według nich ci, którzy nie zginęli podczas zderzenia z górą, żyli jeszcze przez jakiś czas. Nawet do kilku godzin.

Obawiałem się, że znowu usłyszę coś związanego z religią, i na samą myśl zrobiło mi się niedobrze. Kinga jednak się nie odezwała. Zawieszała pusty wzrok gdzieś za oknem, pewnie mimo woli wyobrażając sobie, co musieli przechodzić ocalali pasażerowie.

W końcu potrząsnęła głową.

– Dzięki Bogu, że nie trafiłeś do ciała jednego z tych ludzi.

Odłożyłem talerz i zerwałem się na równe nogi.

– Berg?

– Przepraszam…

Ruszyłem w kierunku łazienki, ale miałem wrażenie, że nie zdążę. Cała treść żołądka podeszła mi do gardła. Kiedy złapałem klamkę, udało mi się jednak pokonać odruch wymiotny. Zrobiłem kilka głębszych wdechów.

Odwróciłem się, oparłem o drzwi, a potem uniosłem błagalnie wzrok.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedziałem. – I mam dosyć.

– Wiem – odparła cicho Kinga. – Ale odpowiedzi muszą być na wyciągnięcie ręki.

– Może są, ale ja ich nie widzę. Ojciec najwyraźniej nie postarał się wystarczająco, co mnie nie dziwi. Przez całe życie tego nie robił, więc czemu miałby się zmieniać po śmierci?

Podniosła się i podeszła do mnie.

– Zastanowimy się nad tym na spokojnie z samego rana – powiedziała. – A teraz prześpij się.

– Chętnie. Ale tylko jeśli masz końską dawkę środków nasennych pod ręką.

– Piwo może być?

– Wolałbym earl greya z mocną wkładką. Najlepiej z rumem.

– Takich rzeczy u nas nie znajdziesz – odparła, unosząc brwi. – Wódka może być?

Nie musiałem odpowiadać. Po chwili siedziałem przed laptopem wyposażony w alkoholowe wspomaganie. Pierwszy łyk w niczym nie pomógł, przeciwnie, ciepło w żołądku zdawało się pogarszać sytuację. Po opróżnieniu kubka zrobiło mi się jednak znacznie lepiej.

Na tyle, że dostałem nowych sił do działania.

Zacząłem sprawdzać od początku wszystko, co wiązało się z lotami AH 3836 i JAL 123. Szukałem punktów stycznych, wychodząc z założenia, że oprócz tego, iż jest to ten sam model maszyny, coś więcej musiało łączyć oba boeingi. Coś znacznie istotniejszego od apaszki stewardesy.

Ale co?

Listy pasażerów nie miały ze sobą nic wspólnego, trasy lotu także nie. Nie doszło do żadnego zdarzenia, które występowałoby w jednym i drugim przypadku. Oprócz tego, że obie maszyny spotkał prawdopodobnie taki sam los.

Ogarnęło mnie poczucie zupełnej bezsilności. Miałem już zrezygnować, kiedy przyszło mi na myśl, że powinienem spróbować ustalić jeszcze jedną rzecz. Być może punkt styczny rzeczywiście znajdował się na pokładzie.

Ale nie na tym pasażerskim.

Zacząłem szukać informacji o tym, co w ładowni przewoziły obie maszyny. W przypadku JAL 123 nie było łatwo, dane sprzed kilkudziesięciu lat wprawdzie nie stanowiły żadnej tajemnicy, ale dotarcie choćby do szczątkowych informacji zajęło mi sporo czasu.

W przypadku AH 3836 było dużo prościej, sprawa wciąż była na tapecie, a specjaliści i komentatorzy analizowali każdy szczegół. Także taki, który mogliby wykorzystać do ukucia teorii o wybuchu w luku bagażowym.

Największy problem sprowadzał się do tego, że nie udało mi się dotrzeć do oficjalnych wykazów. Linie lotnicze nie miały żadnego interesu w upublicznianiu ich, zresztą mało kogo interesowały.

Musiałem zdać się na przekazy medialne, a te dotyczyły tylko tych rzeczy, które z takiej czy innej przyczyny mogły mieć dla kogoś znaczenie. Trudno było liczyć na to, że dowiem się, co znajdowało się w każdej walizce.

Przekonałem się jednak, że nie muszę.

W jednym z japońskich serwisów wyczytałem, że na pokładzie Japan Airlines 123 znajdował się pewien obraz, który miał trafić do Osaki, by stamtąd zabrano go do muzeum w Europie. W ładowni Air Hibernia 3836 przewożono zaś dzieło, które niegdyś zostało zrabowane z Jerozolimy i które wracało na należne mu miejsce.

Oba obrazy były Czarnymi Madonnami.

IV

Noc upłynęła mi na uzupełnianiu wiedzy o wizerunku Matki Bożej, który różnił się nieco od tych najbardziej powszechnych. Najlepiej znałem oczywiście ikonę z Jasnej Góry, ale kojarzyłem także szereg innych rzeźb czy obrazów. Było ich na świecie całkiem sporo – właściwie więcej, niż przypuszczałem.

Przez cały czas towarzyszyły mi nudności. Kilka razy musiałem zwymiotować, ale udało mi się nie obudzić ani Mariusza, ani Kingi. W tym drugim wypadku konsekwencjami byłyby wyrzuty sumienia – w pierwszym jednak zapewne musiałbym wracać do swojego mieszkania.

Najpierw wyrzuciłem z żołądka wszystko, co wypiłem, i ryż z kurczakiem. Nie było tego wiele, na dobrą sprawę wylewała się ze mnie sama herbata. Potem rzygałem już tylko żółcią. W normalnych okolicznościach byłoby to niepokojące – w tych jednak wiązało się z ulgą. Wszystko było lepsze od czarnej mazi.

Rankiem wszedłem do kuchni i szybko przekonałem się, że muszę wyglądać jak widmo. Kinga i Rudyk siedzieli przy stole, jedząc jajecznicę. Oboje spojrzeli na mnie tak, jakbym miał umierać. On z zadowoleniem, ona z głębokim niepokojem.

Zapewniłem ich, że czuję się dobrze, choć w rzeczywistości miałem wrażenie, jakbym jechał na oparach, a w okolicy próżno było szukać stacji benzynowej. Jedynym plusem nocnej serenady nad muszlą klozetową był fakt, że szybko wytrzeźwiałem. I mogłem zabrać się do roboty ze świeżym umysłem.

– Na pokładzie obu samolotów była Czarna Madonna – odezwałem się, patrząc na Kingę.

Nie była jeszcze umalowana, siedziała w piżamie i szlafroku. Emanowało z niej przyjemne ciepło, a kiedy popatrzyłem w jej oczy, zobaczyłem obietnicę, że wszystko będzie dobrze.

Znikła jednak równie szybko, jak się pojawiła.

– Znalazłeś związek? – zapytała, jeszcze niedobudzona.

Spojrzałem na Mariusza. Nie wyglądał na zaskoczonego ani zbitego z tropu, przyjąłem więc, że Kinga powiedziała mu wieczorem wszystko to, co wcześniej jej przekazałem. Nie miałem nic przeciwko. W połowę rzeczy i tak pewnie nie uwierzył.

– Tak – potwierdziłem. – To punkt styczny, którego szukałem.

– Bzdura… – mruknął Rudyk.

Popatrzyłem na niego pytająco.

– Czarna Madonna jest w sanktuarium w Częstochowie – powiedział. – Nie na pokładzie zaginionego samolotu. Ani tym bardziej jakiejś japońskiej maszyny, która rozbiła się kilkadziesiąt lat temu.

– Nie tylko – odparłem.

Dopiero teraz zauważyłem, że na stole leżał tablet z wyświetlonym artykułem na temat zaginięcia drugiego samolotu. Najwyraźniej przerwałem Kindze i Rudykowi w trawieniu nie tylko porannej porcji jedzenia, ale także wiadomości.

Zerknąwszy na nagłówek, wiedziałem już wszystko, co powinienem. Po maszynie nie było śladu, tym razem nie pojawiły się nawet sygnały z transpondera. Media roztaczały wizję złego fatum wiszącego nad naszymi czasami, przytaczano też relacje wszystkich tych, którzy mieli znaleźć się na pokładzie, ale z jakiejś przyczyny w ostatniej chwili albo zrezygnowali, albo nie mogli się stawić.

To ich świadectwo najwymowniej dowodziło skali tragedii. A raczej jej początku – odnosiłem bowiem wrażenie, że wszystko, co się dzieje, to jedynie niewinna przygrywka przed właściwym wydarzeniem.

– Berg?

– Tak?

– Pytałam, czy to konkretnie ten sam obraz?

W pierwszej chwili uznałem, że to absurdalne pytanie. Potem jednak przypomniałem sobie sceny z nagrania na zboczu góry Takamagahara. Przetrwało nie tylko kilka ciał, ale także część tego, co znajdowało się w luku bagażowym. Przy odrobinie szczęścia relikwia także mogła.

– Nie, chyba nie – powiedziałem. – Wydaje mi się, że to inne obrazy. Nie wiem, co się stało z tym z JAL 123, ale ten drugi miał trafić do Jerozolimy.

Tak jak Aneta, pomyślałem.

– Ile ich w sumie jest? – spytała Kinga.

– Trudno zliczyć, tym bardziej że nie wszystkie zostały odnalezione. W większości pochodzą ze średniowiecza, przedstawiają Matkę Bożą i dzieciątko o charakterystycznym, ciemnym kolorze skóry.

Rudyk spojrzał na mnie, jakbym bredził.

– To jakieś afrykańskie malowidła? – odezwał się.

– Nie. Obrazów przedstawiających Maryję jako Afrykankę nie zalicza się do Czarnych Madonn.

Kinga pochyliła się nad tabletem i przesunęła palcem po ekranie. Po chwili wyświetliła najbardziej znany wizerunek. Wizerunek, który kojarzył każdy Polak, obojętnie, czy wierzący, czy nie.

Nie musiałem patrzeć na wyświetlacz, by mieć naszą Czarną Madonnę przed oczami. Obraz wyrył się w mojej pamięci na dobre już lata temu, podczas mojej pierwszej pielgrzymki na Jasną Górę.

Zniszczona, stara ikona w bogato zdobionej ramie zrobiła na mnie wrażenie, choć Matka Boska wyglądała mizernie. Przywodziła na myśl głęboki smutek, żal, a może nawet rozpacz. Nijak nie pasowało to do wizerunku matki

trzymającej dziecko. I może dlatego tak dobrze ją zapamiętałem.

Kinga obróciła tablet w moją stronę. Mimowolnie skierowałem wzrok na ekran i znów poczułem mdłości.

– Coś nie tak? – zapytał Rudyk.

– Nie, po prostu…

– Zbladłeś jeszcze bardziej – dodała Kinga. – Choć przed chwilą wydawało się to niemożliwe.

Tak samo niemożliwe wydawało mi się, że kiedykolwiek spojrzę na obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i zobaczę coś, czego wcześniej nie widziałem. Wizerunek niby był znany, ale jednocześnie miałem wrażenie, jakbym patrzył na niego po raz pierwszy.

Ikona z jakiegoś powodu stała się niepokojąca. Maryja wyglądała, jakby zbierały się nad nią ciemne chmury, jakby na jej obliczu pojawił się… negatywny, zły ładunek. Poczułem się nieswojo.

W tym obrazie tkwiła niewypowiedziana groza.

Nie miał nic wspólnego z przedstawianiem Matki Boskiej jako ciepłej, troskliwej Orędowniczki, która przynosi ukojenie tym wszystkim, którzy o nie proszą. Przeciwnie, w jej oczach było coś alarmującego, srogiego.

Obrazu złowieszczości dopełniała rana na policzku. Widziałem ją wcześniej, ale teraz zdawała się nabrać znacznie większego znaczenia. Dwie pociągłe linie przywodziły na myśl celowe nacięcia.

Przełknąłem ślinę i oderwałem wzrok od tabletu. Mariusz świdrował go spojrzeniem znacznie dłużej.

– Mnie wygląda na Afrykankę – rzucił.

– Ale nie ma z nią nic wspólnego.

– Wyraźnie ją tak przedstawiono. Ma czarną skórę.

– Tak, ale… nie dlatego, że jest Afrykanką.

– Więc dlaczego?

Uniosłem wzrok i nabrałem tchu. Wiedziałem, że prędzej czy później będę musiał choćby zarysować, skąd wziął się ten wizerunek, dlaczego jest tak powszechny na świecie i dlaczego wierni przyjeżdżają do Częstochowy z całego świata, by modlić się do Czarnej Madonny.

– Teorii jest wiele – powiedziałem. – Wedle tej najmniej kontrowersyjnej pierwsza Czarna Madonna była reprodukcją dzieła, które dawno zaginęło i najprawdopodobniej nigdy się nie odnajdzie. Miało powstać w Bizancjum, gdzie…

– Mówiłeś, że to nie ma nic wspólnego z Afryką.

Kinga zaczęła przeglądać kolejne obrazy.

– A Bizancjum to wyłącznie Afryka? – odparłem. – Poza tym owszem, nie ma nic wspólnego. Przypatrz się tym wizerunkom. – Wskazałem tablet. – Widać wyraźnie europejskie rysy twarzy, nieprzywodzące na myśl rasy czarnej.

Zmrużył oczy, a potem lekko skinął głową.

– Wśród badaczy nie ma zgody co do dokładnego miejsca powstania wzoru ikonograficznego, wiadomo jedynie, że pochodzi ze wschodu. Jeśli nie z Bizancjum, to z Bałkanów, Rusi lub terenów Italii.

– No dobrze – rzucił Rudyk. – Ale nadal nie rozumiem, dlaczego jest czarna.

– Odpowiedź może być banalna.

– To znaczy?

– Nie wiem, jak jest w przypadku innych obrazów, ale niektórzy twierdzą, że jasnogórski obraz został po prostu wykonany techniką, która sprawiła, że farba po latach ściemniała.

Nie byłem zwolennikiem tej koncepcji. Jeśli bowiem założyć, że tak się stało, wszystkie inne, podobnie wykonane ikony powinny zmienić wygląd z upływem czasu. Tymczasem istniały jedynie Czarne Madonny. Żadne inne wizerunki postaci biblijnych nie przeszły analogicznej przemiany.

– Mówisz, że niektórzy tak twierdzą – zauważyła Kinga.

– Tak.

– A reszta?

– Utrzymują, że tempera nie jest jak farba olejna. Nie ciemnieje, więc to wytłumaczenie jest bez sensu. Przetrwało sporo obrazów wykonywanych tą popularną w średniowieczu metodą i trzymają się całkiem nieźle.

– Więc…

– Więc tak naprawdę niewiele wiemy – dokończyłem. – Niektórzy badacze twierdzą, że źle przygotowano obraz, a jeszcze inni, że zawiniła konserwacja wykonana w piętnastym wieku. Czarną Madonnę pokryto wtedy werniksem, który szybko ciemnieje, szczególnie jeśli uprzednio nie zagruntuje się dobrze obrazu.

– To by tłumaczyło kolor skóry na częstochowskim dziele – powiedziała Kinga. – Ale co z resztą?

Wzruszyłem ramionami. Na dobrą sprawę dawno przestało mnie interesować, dlaczego Matka Boża na tej ikonie wygląda tak a nie inaczej. Teorii było zbyt wiele, a do tego dochodziła polityka. Niektórzy za punkt honoru stawiali sobie dowiedzenie, że wizerunek nie ma nic wspólnego z rasą czarną – inni wręcz przeciwnie.

Mnie interesowało coś innego. Coś, przez co Matka Boża sprawiała niepokojące, groźne wrażenie. I coś, co najwyraźniej przykuło także uwagę Mariusza.

– A te dwie rany? – spytał. – Skąd się wzięły?

– Właściwie jest ich trochę więcej – odparłem. – Dwie na policzku, przecięte jedną na linii nosa. I sześć na szyi.

Zbliżył się do ekranu, ale tych ostatnich nie mógł dostrzec.

– Przyjmuje się, że to wynik napadu rabunkowego husytów. Złupili sanktuarium, pocięli płótno, ale z jakiegoś powodu go nie zabrali. Ówczesny władca postanowił go nie naprawiać. Blizny miały przypominać o haniebnym akcie.

Mariusz pokiwał głową, ale Kinga wydawała się nieprzekonana.

– No dobrze – odezwała się. – Ale te blizny występują też na innych wizerunkach.

– Pewnie.

– Trudno o wszystkie winić bandytów.

Nie miałem zamiaru tego kwestionować. I liczyłem na to, że Kinga nie zada pytania, które musiało paść.

– Więc skąd te szramy, Berg? – powiedziała. – Mówiłeś, że wzór ikonograficzny nie pochodzi od naszej Madonny, więc wersja z husytami odpada.

– Tak by wychodziło – przyznałem. – Ale nie znam odpowiedzi. Być może nikt nie zna.

Przez moment milczeliśmy, raz po raz zerkając na wyświetlacz tabletu. Linie widoczne na obliczu Maryi wszystkim nam wydały się znacznie głębsze, wyraźniejsze i alarmujące. W końcu Kinga znacząco odchrząknęła, biorąc na swoje barki ciężar przerwania ponurej ciszy.

– To ile ich w końcu jest? – zapytała. – Czarnych Madonn?

– Przypuszczam, że jeśli policzyć wszystkie rzeźby i obrazy, około pięciuset na całym świecie. Najwięcej we Francji.

– Wszystkie mają te rany?

– Nie.

– A jak Kościół je tłumaczy?

– Nie ma oficjalnego stanowiska.

Ilekroć zachodziła taka sytuacja, wierny miał pełne prawo odczuć pewien niepokój. Skoro sam Kościół nie wiedział, jak odnieść się do danej kwestii, trzeba było przyjąć, że wykracza ona nie tylko poza ludzkie pojmowanie.

– A nieoficjalne? – odezwał się Rudyk.

– Niektórzy sugerowali, że pierwowzór nie pochodzi z Bizancjum, a z zachodniej Europy. Że później trafił jeszcze dalej na południe, do Afryki. Tubylcy mieli go skopiować, łącznie z bliznami, dopasowując kolor skóry do swojej. A same szramy przy tym założeniu mogły powstać tak, jak choćby głosi to nasza, częstochowska, wersja.

Widziałem, że do moich rozmówców to wytłumaczenie nie przemówiło.

– Inni badacze wiążą to z haitańską religią voodoo.

– To chyba przesada – bąknął Mariusz.

– Niekoniecznie. Możliwe, że po tym, jak obraz trafił z Europy do Afryki, został zaadaptowany do tamtejszych warunków nie tylko pod względem koloru skóry. Niektórzy twierdzą, że proces przystosowania poszedł dalej, a blizny mają symbolizować walkę, jaką Matka Boża stoczyła o swoje dziecko.

– Potem koło się zamyka, wizerunek trafia z powrotem do Europy i staje się wzorem ikonograficznym? – spytała Kinga.

– Zwolennicy tej teorii tak twierdzą.

– Ale ty do nich nie należysz.

– Nie – przyznałem. – Bo francuskie Czarne Madonny nie mają blizn, a to one są najstarsze. Szramy pojawiają się dopiero na wizerunku z Jasnej Góry, więc wedle wszelkiej logiki to właśnie on był pierwowzorem.

To by tłumaczyło, dlaczego ikona była tak poważana na całym świecie. Dlaczego kłaniali się przed nią niezliczeni hierarchowie, dlaczego przykuwała tak duże zainteresowanie czy w końcu dlaczego naziści po zajęciu Polski za punkt honoru postawili sobie usunięcie jej i innych podobizn Maryi z kościołów. Coś było na rzeczy.

A ja wiedziałem, że jest tylko jeden sposób, by przekonać się co.

Musiałem ją zobaczyć.

V

Ford ka nie stanowił najlepszego środka transportu, ale na Jasną Górę szczęśliwie nie było zbyt daleko. Wraz z Kingą pojechaliśmy autostradą do Opola, a stamtąd czterdziestką szóstką do Częstochowy. Drugi odcinek miał zająć nam ponad półtorej godziny, ale drogi były puste i po godzinie dotarliśmy na miejsce.

Czas ten poświęciliśmy na rozważanie znaczenia, jakie Czarna Madonna ma dla tego wszystkiego, co się działo. Odpowiedzi nie było, a ja zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle powinniśmy określać w ten sposób wizerunek Matki Bożej.

Kinga zatrzymała się na parkingu przy Klasztornej. Był dziwnie pusty, przez co wywoływał we mnie pewien niepokój. Byłem przyzwyczajony do wzmożonego ruchu w okolicy klasztoru Ojców Paulinów, rzadko bywałem tutaj, kiedy nie było żadnej głośnej okazji.

Wyszliśmy z samochodu i skierowaliśmy się ku Klasztornej. Po wyjściu z parkingu powitała nas duża tablica informująca o tym, że znajdujemy się w miejscu świętym.

„THIS IS A HOLY PLACE. COME HERE AS A PILGRIM".

Wzdrygnąłem się.

Jako kto miałbym tu przybyć, jeśli nie jako pielgrzym?

– Dlaczego mówisz, że nie powinniśmy nazywać jej Czarną Madonną? – odezwała się Kinga.

– Upiera się przy tym wielu duchownych.

– Tak jak przy zakazaniu pigułki „dzień po". To nie jest odpowiedź, Berg.

Uśmiechnąłem się lekko, wodząc wzrokiem po wieży bazyliki.

– Niektórzy twierdzą, że słowo „czarna" ma pejoratywny wydźwięk w tym kontekście, bo używali go Rosjanie i Niemcy

na określenie tej ikony. Poza tym czerń właściwie na niej nie występuje, jedynie brąz, a sama nazwa ma mieć uzasadnienie związane ze znaną piosenką, a nie religijne.

– Organka?

Spojrzałem na nią z niedowierzaniem.

– Alicji Gołaszewskiej – odparłem. – A przynajmniej pierwszą wersją jej piosenki. Potem zmieniono interesujące nas określenie, a sama autorka przyznała, że tak jest nawet lepiej. Dlatego podczas pielgrzymek często możesz usłyszeć o „pięknej" zamiast „czarnej" Madonnie.

– Co komu przeszkadza czerń?

Wolałem nie roztrząsać tej kwestii. Można było podejść do niej dwojako – z nutą żartobliwości, podkreślając ewentualny rasizm, lub na poważnie, biorąc czarny kolor za symbol mroku.

To drugie tłumaczenie wydawało mi się bliższe prawdy. Tym bardziej niepokoiło mnie, że nie był to jedyny przypadek, kiedy Matka Boża wiązana była z tym kolorem.

– Berg?

– Nie wiem. Mnie nie przeszkadza – odparłem. – Zresztą motyw pojawia się też w łacińskiej antyfonie, którą…

– Czym?

– W wersie rozpoczynającym pewną modlitwę nieszporną – zbyłem temat. – Stoi tam jak byk: *nigra sum sed formosa*.

Kinga uniosła brwi.

– Jestem czarna – powiedziałem, tłumacząc dwa pierwsze słowa.

Szliśmy w kierunku bazyliki w milczeniu. Myślałem o tym, że być może to określenie razi nie tylko niektórych duchownych, ale także główną zainteresowaną. Im bliżej świątyni byliśmy, tym mocniejsze było wrażenie. Czułem niedookreśloną, irracjonalną nieprzychylność tego miejsca.

Kiedyś było wprost przeciwnie. Ale kiedyś nie obrażałem Boga, przynajmniej nie w takim stopniu, jak zrobiliśmy to

z Kingą i szeptuchą.

Poczucie pogłębiło się, kiedy weszliśmy do kościoła. Byłem tu nie na miejscu, zupełnie jakbym lata temu zerwał wszelkie kontakty z Bogiem, wszedł z nim w konflikt, a teraz próbował wprosić się na jego teren.

Popatrzyłem na Kingę, która przeżegnała się z nieudawaną nabożnością, i poczułem się lepiej. Jej obecność w jakiś sposób sprawiała, że nie byłem do końca intruzem.

Wiedziałem doskonale, gdzie powinniśmy się kierować. Poszliśmy do kaplicy, a potem zbliżyliśmy się do ołtarza. Uderzyło mnie, że jest w całości wykonany w czerni. Podczas wcześniejszych wizyt nie zwróciłem na to uwagi.

Mrok zdawał się emanować z miejsca, gdzie powinno być jedynie światło. Na tle czarnego ołtarza odznaczały się srebrne figury aniołów zwróconych do Matki Bożej, złota róża i inne elementy, które znacznie lepiej prezentowałyby się na jasnym tle.

Z jakiegoś powodu jednak tutaj z niego zrezygnowano.

Kinga uklękła w pierwszej ławce, a ja usiadłem obok. Przez chwilę się modliła, mocno przyciskając dłonie do czoła. Kiedy skończyła, podniosła wzrok na Czarną Madonnę i coś wyszeptała.

Popatrzyłem na nią pytająco.

– Co teraz? – powtórzyła.

– Poczekamy.

– Na co?

– Zakładam, że z jakiegoś powodu coś mnie tu doprowadziło – odparłem cicho. W kościele oprócz nas nie było nikogo, ale zbyt głośna wymiana zdań i tak zdawała się nie na miejscu.

Kinga oderwała wzrok od ikony i spojrzała na mnie.

– Spodziewasz się, że coś się stanie?

– Wolałbym, żeby tak nie było – przyznałem z lekkim uśmiechem, który oddawał raczej niepokój niż cokolwiek innego. – Ale…

Urwałem, zawieszając wzrok na Czarnej Madonnie.

Dlaczego mnie tu ściągnęłaś? – zakołatało mi się w głowie.

Naraz jednak upomniałem się, że jeśli działały jakiekolwiek siły, nie miały nic wspólnego z Matką Bożą. Związane były raczej z tym, co znajdowało się po drugiej stronie.

Snucie takich myśli w kościele nie należało do najprzyjemniejszych rzeczy. Wydawało się niewłaściwe, niczym bluźnierstwo. Mimo to nie mogłem się od nich opędzić.

– Ale co? – spytała Kinga.

– Przypuszczam, że zostanę dalej poprowadzony.

– Przez kogo?

Nie odpowiedziałem.

Opuściliśmy świątynię pół godziny później. Nic się nie wydarzyło.

Nie towarzyszyło mi żadne uczucie, które wykraczałoby poza normę. Oprócz natłoku myśli, przelotnych obaw i wciąż rosnącego ciężaru niewiedzy, nie odczuwałem niczego. Wizyta na Jasnej Górze okazała się zwyczajna. Stanowczo zbyt zwyczajna.

Kiedy przeszliśmy obok tabliczki informującej o świętości tego miejsca, Kinga wyciągnęła paczkę papierosów. Nie wiedziałem, że pali, wydawało mi się, że razem z Anetą rzuciły zaraz po studiach. Może jednak okoliczności były właściwe, by wrócić do nałogu.

– Nie skorzystałeś z okazji – odezwała się, zapalając papierosa.

– Hm? – mruknąłem.

– Mogłeś choćby się pomodlić. Nie zaszkodziłoby ci to.

– Może nie – przyznałem. – Choć z drugiej strony niespecjalnie by pomogło.

– Skąd ta pewność, Berg? – spytała, wskazując na medalion pod T-shirtem. – To cię broni przed siłami nieczystymi, a modlitwa nie?

– Przypuszczam, że wszystko zależy – odparłem, obserwując, jak smużki dymu wypływały z jej ust. – Medalik jest uniwersalnym symbolem. Tarczą. Nie potrzebuję znać techniki jej używania, żeby stanowiła osłonę. Wystarczy, że ją podniosę.

Kinga pokiwała głową.

– Z modlitwą jest trochę jak z mieczem. Muszę wiedzieć, jak go używać.

Nie byłem przekonany, czy jeszcze potrafię to robić. Ani czy powinienem przechodzić do ataku, dopóki nie wiem, kto jest moim przeciwnikiem. I czy w istocie jakiegoś mam.

Wiedziałem jedynie tyle, że wisi nad nami coś złego. Coś, co odciśnie piętno nie tylko na nas, ale na wielu innych ludziach.

– Tak czy inaczej, mógłbyś spróbować.

– Mogę to też zrobić w jakimkolwiek innym miejscu.

– Tak? A to nie jest wyjątkowe? – odparła stanowczo. – To przypadkiem nie przed tym obrazem dokonywały się cuda i uzdrowienia?

– Dokonywały – przyznałem. – Od piętnastego wieku.

Patrzyła na mnie wymownie, jakby oczekiwała, że przyznam jej rację i ruszę w stronę bazyliki z mocnym postanowieniem poprawy.

– Ale sam obraz nie ma przecież tajemnej mocy – dodałem. – Matka Boża dokonywała tych cudów, nie ikona.

– A mimo to pełni coś w rodzaju… funkcji pośredniczącej.

– Można tak powiedzieć.

Kinga głęboko się zaciągnęła.

– Potwierdzono któryś z tych cudów? – spytała.

– Niejeden – przyznałem. – Kuria wydała kilka dokumentów potwierdzających ich dokonanie.

Oczekiwała, że to da mi do myślenia. I być może tak się stało, bo zacząłem przyjmować możliwość, by wrócić przed oblicze Czarnej Madonny i chwycić się ostatniej deski

ratunku. Kiedy ostatnim razem modliłem się do Orędowniczki? Nie potrafiłem sobie przypomnieć.

A mimo to nosiłem teraz medalion z jej wizerunkiem. To do niej zwróciłem się o ochronę.

– Spróbuj chociaż – powiedziała Kinga.

– Czego konkretnie?

– Zwykłej modlitwy. Uklęknij, przeżegnaj się, zacznij od „Zdrowaś Maryjo", dalej samo pójdzie. Zobaczysz.

– Jedyne, co zobaczę, to czarny ołtarz, który mniej kojarzy mi się z chrześcijańskim, a bardziej z…

– Nie kończ.

– Z miejscem, gdzie odprawia się satanistyczne obrzędy – dopowiedziałem.

Spojrzeliśmy na siebie, jakbyśmy nagle znaleźli się w innych światach. Nie miałem pojęcia, dlaczego to powiedziałem. Owszem, oddawało to moje wrażenia, ale mogłem – i powinienem – zachować je dla siebie.

Kinga uniosła wzrok, jakby obawiała się Boskiego gniewu lub anielskiej interwencji. Potem znów się zaciągnęła.

– Proście, a będzie wam dane – powiedziała. – Z pewnością to znasz.

– Jak cały jedenasty rozdział Ewangelii według Świętego Łukasza.

– I kiedyś w to wierzyłeś.

– Nadal wierzę.

Zgasiła papierosa, uniosła lekko kąciki ust, a potem zbliżyła się do mnie.

– Więc co tu jeszcze robisz?

Dobre pytanie, uznałem. Jeśli naprawdę liczyłem na to, że otrzymam tu jakieś odpowiedzi, dlaczego tak szybko odpuściłem? Jeżeli miałem zamiar nawiązać kontakt z czymś wykraczającym poza nasze pojmowanie, czy modlitwa nie była najlepszym sposobem?

– W porządku – powiedziałem w końcu. – Spróbuję.

Zrobiłem krok w stronę bazyliki, ale Kinga nawet nie drgnęła. Patrzyła na mnie z zadowoleniem, a ja poczułem, że robię dobrze. Mimo to najwyraźniej uznała, że na tym jej rola się kończy.

– To coś, co powinieneś zrobić sam – powiedziała.

– Lepiej bym się czuł, gdybyś tam była.

– Ale może nie chodzi o to, żebyś się dobrze czuł.

– Sugerujesz, że to wystawienie mnie na jakąś próbę?

– Niczego nie sugeruję, bo niczego nie wiem na pewno.

– A jednak masz jakieś przypuszczenia – zauważyłem. – I to coraz więcej.

Miałem nadzieję, że tym są w istocie jej rady. Przypuszczeniami. Że nie wynikają z kontaktu z czymś pochodzącym z innego świata. Ostatnim, czego potrzebowałem, było wciągnięcie Kingi głębiej w moje własne bagno. Choć być może już to zrobiłem.

Posłała mi jeszcze krótkie, podnoszące na duchu spojrzenie, a potem odwróciła się i powoli odeszła, nie dając mi okazji, bym zastanowił się nad tym wszystkim. Widoczna w oddali świątynia skupiła na sobie całą moją uwagę.

Odprowadziłem Kingę wzrokiem, a potem ruszyłem w stronę bazyliki.

Przeszedłem powoli przez barokową nawę główną i zająłem miejsce w jednej z ławek oddalonych od ołtarza i prezbiterium. Nie czułbym się komfortowo, podchodząc bliżej. Było to absurdalne, ale nic nie mogłem na to poradzić.

Ukląkłem, położyłem łokcie na oparciu ławki przede mną i przeżegnałem się. Początek był nieskomplikowany, pamiętałem, co robić. Pierwszą trudność napotkałem po tym, jak skończyłem odmawiać „Zdrowaś Maryjo”.

Nudności nadeszły nagle, razem z falą gorąca, która spłynęła mi po plecach. Po chwili poczułem pierwsze krople potu na czole. Było to niepokojące, ale biorąc pod uwagę wszystko, co przeszedłem do tej pory, znacznie bardziej wolałem

przejmujące poczucie gorąca niż chłodu. Drugie było zwiastunem tego, co najgorsze – pierwsze tylko reakcją mojego organizmu na stres.

Uspokój się, powiedziałem sobie w duchu. Masz na szyi medalion, znajdujesz się w świętym miejscu, nic ci tutaj nie grozi.

Chciałem powtórzyć modlitwę, ale zapomniałem pierwszych słów. Musiałem się skupić, odmówić „Ojcze nasz", by przypomnieć sobie to, co znałem przecież lepiej od alfabetu. Odmówiłem „Pozdrowienie anielskie" jeszcze raz, czując, że tak powinienem postąpić. I że tylko w ten sposób mogę doprowadzić do jakiegoś przełomu.

Nic się jednak nie stało.

Powiodłem wzrokiem po ołtarzu, tym razem przyglądając się nie tylko aniołom i róży, ale także innym elementom. Były tu insygnia władzy suwerena, berło i jabłko. Do tego złote serce, na którym umieszczono inskrypcję „Totus Tuus". Wiedziałem doskonale, co oznacza, nawet ateiści śledzili przecież poczynania polskiego papieża.

„Cały Twój".

Na dowód tej deklaracji obok znajdowała się srebrna szkatuła. Umieszczono w niej pas od sutanny, którą miał na sobie Jan Paweł II, kiedy zaatakował go Ali Ağca. Materiał był przestrzelony i zabrudzony krwią.

Tylko skąd o tym wiedziałem? Nigdy go nie widziałem.

Naraz poczułem znajome uczucie chłodu. Znów wystąpiło mrowienie na karku.

Skrzywiłem się, czując dobrze znany smród, a kiedy ślina zgęstniała mi w ustach, nie miałem wątpliwości, że jest czarna jak smoła. Kaszlnąłem cicho, coś jakby oderwało mi się z płuc.

Przeszło mi przez myśl, że dostanę to, po co tutaj przyszedłem. Sam się o to prosiłem, odmawiając modlitwę.

Wbiłem wzrok w oczy Matki Bożej. Miałem wrażenie, jakby sama mnie przyciągała, sama kazała mi patrzeć prosto na nią. Zmierzyć się z nią.

Było w tym jakieś niewypowiedziane, ale rzucone wyzwanie.

Prowokacja.

Na Boga, Czarna Madonna mnie wyzywała.

Zerwałem się z miejsca i popędziłem w kierunku wyjścia. Nie przyszło mi do głowy, żeby się przeżegnać. Wypadłem na zewnątrz, dysząc ciężko i czując zimne krople potu na czole. Wszystko stało się tak szybko, że nie miałem czasu się zastanowić, czy było prawdziwe.

Pochyliłem się lekko, bo coś ścisnęło mnie w klatce piersiowej.

Przyjechanie tutaj nie było dobrym pomysłem.

Gdybym jednak wiedział, co czekało mnie nocą, potraktowałbym ten wniosek jak gigantyczne niedomówienie.

VI

Rozmiar swojej samotności uświadomiłem sobie dopiero, kiedy znajomi Anety przestali dzwonić z kondolencjami. Kiedy była przy mnie, żyłem ze świadomością, że pod względem towarzyskim jestem jak każdy inny, przeciętny człowiek – mam jedną najbliższą osobę, rodzinę, niewielki krąg zaufanych przyjaciół i znacznie większy dobrych znajomych.

Po tym, jak telefony ustały, zdałem sobie sprawę, że jestem sam. Ludzie obecni w moim życiu po tym, jak zdjąłem koloratkę, pojawili się w nim za sprawą Anety. Swoich znajomych właściwie nie miałem – wszyscy zostali po drugiej stronie barykady, niechętnie utrzymując kontakt z czarną owcą. Rodzina? Została mi tylko dalsza, w dodatku mieszkająca w niewielkiej wsi pod Wrocławiem, gdzie były ksiądz w hierarchii lokalnej społeczności plasował się gdzieś między zdeklarowanym liberałem a gorliwie praktykującym homoseksualistą.

Kiedy wróciliśmy z Kingą z Częstochowy i w końcu udało mi się ją przekonać, że powinienem być u siebie, zostałem sam. Wszedłem do pustego mieszkania, snułem się po nim jak cień i przyglądałem się rzeczom Anety, jakby były starożytnymi artefaktami.

Nie ruszyłem ani książki, którą ostatnio czytała, ani jej szczoteczki do zębów, ani nawet flakonika perfum, które zostawiła na szafce z butami, spiesząc się na lotnisko.

Wydawało mi się, że byłoby to w jakiś sposób niewłaściwe, jakbym tym samym dopuścił się zdrady. Ale w pewnym sensie robiłem to, od kiedy zniknęła. Może nawet zaczęło się dużo wcześniej, a z upływem czasu sytuacja tylko się pogarszała.

Bywały dni, nawet tygodnie, kiedy wydawało mi się, że coraz rzadziej myślę o Kindze. Cieszyły mnie te okresy, czułem się

wtedy dobrze sam ze sobą. Prędzej czy później dochodziło jednak do spotkania i wszystko wracało na dobrze znany mi tor.

Wizyta na Jasnej Górze rozchwiała mnie emocjonalnie nie tylko ze względu na to, co czułem, patrząc w oczy Czarnej Madonnie. Spędziłem stanowczo zbyt dużo czasu sam na sam z Kingą. Czułem się zbyt dobrze w jej towarzystwie. I miałem zbyt duże problemy, by przestać o niej myśleć.

Zaparzyłem sobie earl greya, dolałem nieco rumu, a potem usiadłem przy laptopie. Dochodziła dwudziesta trzecia, powinienem raczej próbować się wyciszyć, ale nie miałem złudzeń, że czegokolwiek bym nie zrobił, nie zasnę.

Zacząłem przeglądać portale informacyjne, nadrabiać to, co przegapiłem w ostatnim czasie w sprawie drugiego zaginionego samolotu. Zbliżała się pierwsza w nocy, kiedy uświadomiłem sobie, że czytam właściwie to samo, co w przypadku AH 3836.

Airbus A138 chorwackich linii znikł gdzieś nad Morzem Śródziemnym. A przynajmniej stamtąd odebrano ostatni sygnał transpondera. Nic nie wskazywało na usterkę, nie zgłoszono żadnych problemów.

Ekipy poszukiwawcze nie znalazły ani wraku, ani plam oleju na wodzie. Nie odbierano także sygnału z czarnych skrzynek, choć zmobilizowano do poszukiwań łodzie podwodne.

Ile czasu mieli na ich odnalezienie? Przy optymistycznym założeniu mniej więcej trzydzieści dni. Producenci zapewniali, że na tyle wystarczały baterie w tych urządzeniach. A przynajmniej powinny – w normalnych okolicznościach. Jeśli samolot spadł do morza, trudno było ocenić, ile czasu mają służby.

W przypadku tragicznego lotu Air France szukano do oporu, nawet po tym, jak czarne skrzynki przestały emitować sygnał. Odnaleziono je po dwóch latach, a obraz, który wyłonił się z zapisów, zdruzgotał rodziny ofiar.

Przez zamarznięcie rurek Pitota i złe odczyty systemu piloci byli przekonani, że samolot spada, podczas gdy maszyna znajdowała się na właściwym, stałym pułapie. Ciągnęli w górę, starając się ratować, w rzeczywistości podnosząc niebezpiecznie dziób airbusa. Doszło do przeciągnięcia, spadku ciśnienia w kabinie, a potem do pikowania. Wszyscy na pokładzie zginęli.

Przez długi czas nie było wiadomo, co się zdarzyło, nie sposób było wyciągnąć żadnych wniosków. Powołując się na ten przykład, na portalu NSI jeden z dziennikarzy przygotował długi wywód o konieczności wprowadzenia zmian w lotnictwie. Twierdził, że w erze powszechnego przesyłania sygnałów w czasie rzeczywistym przestarzałym rozwiązaniem było zapisywanie danych na fizycznym, pomarańczowym nośniku. Który w dodatku nazywaliśmy czarnym tylko dlatego, że taki kolor miały pierwsze australijskie urządzenia z lat pięćdziesiątych.

Rozprostowałem plecy, słysząc, jak pęcherzyki powietrza między kręgami pękają. Nagle poczułem senność i musiałem przyznać, że była to miła odmiana od tego, co ostatnio stało się dla mnie normą. Z pewnością nie była to zasługa earl greya, ale rumu, którego przed momentem dolałem sobie do kubka.

Położyłem się w łóżku z myślą, że nie pośpię długo. Najwyżej się zdrzemnę, na kilkugodzinny sen nawet nie liczyłem. Przypuszczałem zresztą, że poleżę chwilę i senność zniknie. Myśli w zmęczonym umyśle miały idealne warunki, by błądzić. Moje z pewnością z tego skorzystają.

Zanim się zorientowałem, powieki stały się ciężkie. Odpłynąłem w nicość z błogim poczuciem.

Nie wiem, jak długo spałem. Ani czy spałem w ogóle.

Wiem jedynie, że obudził mnie nieznany głos. Głos, który wypowiadał słowa w obcym języku.

Był chrapliwy, głęboki i stłumiony, jakby dochodził zza grubej bariery.

W rzeczywistości dobywał się jednak z moich ust.

Czułem ślinę spływającą z kącików i nie miałem wątpliwości, że jest czarna. Wylewała się ze mnie jak woda z kipiącego garnka. Była spieniona, robiło jej się coraz więcej, przez co słowa stawały się coraz bardziej zniekształcone.

Nie mogłem się ruszyć, byłem jak przykuty do łóżka. Odór, który unosił się w sypialni, zdawał się nie do wytrzymania. Nie wiedziałem, czy mam otwarte oczy, przed sobą miałem jedynie nieprzenikniony mrok.

Czułem, że moje usta się poruszają, krtań drga. Kolejne słowa wypływały zupełnie niezależnie ode mnie, tak jak czarna ślina.

Potrzebowałem chwili, by je zrozumieć. A zaraz potem pożałowałem, że mi się udało.

– *Et vidi de mari bestiam ascendentem…*

Obcy głos dźwięczał ponuro w ciemnej, pustej sypialni. Był złowrogi, mroczny i dudnił w nim niepokojący, nienaturalny podźwięk. Usta same układały się do łacińskich słów.

Słów, które znałem zbyt dobrze.

– *Habentem capita septem, et cornua decem…*

Wiedziałem, które fragmenty Pisma Świętego recytuję. Natychmiast zrozumiałem też dlaczego.

Nagle poczułem, jak coś ściska mnie w klatce piersiowej. Serce zabiło mi jak młotem, przejmujący ból rozszedł się gdzieś pod mostkiem, a potem nagle zamarłem. Usłyszałem cichy syk, który dobywał się z mojego gardła.

Odniosłem wrażenie, że po kilkudziesięciu szybkich, mocnych uderzeniach moje serce się zatrzymało. Sycząc, jakby ktoś przypalał mnie żywcem, poczułem skurcze mięśni na nogach i rękach.

Udało mi się unieść głowę na tyle, by zobaczyć, jak skręcają mi się kończyny. Przywodziły na myśl kurczący się, topiony

w wysokiej temperaturze plastik. Po chwili znów znieruchomiałem, nie mogłem już poruszyć głową.

Syk przerodził się w kolejne słowa.

Tym razem wypowiadał je nie jeden obcy głos, ale kilka. Nakładały się na siebie, drgały nieprzyjemnym tembrem i było w nich coś szalonego.

Coś demonicznego.

– *Et super cornua eius decem diademata…* – rozległo się. – *Et super capita eius nomina blasphemiæ!*

Skurcz pojawił się także w mięśniach twarzy. Czułem, że usta układają mi się w szeroki, upiorny uśmiech, jakby ktoś rozciągał mi na bok kąciki. Głowa zaczęła się obracać, a kark strzelił.

Targnęło mną coś nieokreślonego, coś wypływającego jednocześnie z mojej duszy, z jej najmroczniejszych zakamarków, ale także z zupełnie innego miejsca. Odległego. Miejsca, które powinno być niedostępne.

Zwymiotowałem na łóżko.

Potem szarpnęło moją głową w drugą stronę. Przetoczyłem się kawałek i upadłem na podłogę. Poczułem, że odzyskuję kontrolę nad ciałem. Uczucie było przejściowe, ale wystarczyło, bym zrozumiał, że muszę walczyć.

Przypomniałem sobie o medalionie, który mam na szyi. Powinien mnie bronić, powinien zapewnić mi osłonę przed siłami nieczystymi. Charcząc i plując czarną mazią, starałem się uspokoić chociaż na tyle, by zacząć odmawiać „Zdrowaś Maryjo”.

Naraz przemknęło mi przez głowę, że to bezcelowe. Spojrzałem dziś w oczy Czarnej Madonny, nie dostrzegłem w nich gotowości pomocy. Przeciwnie.

Odzyskałem władzę w rękach i natychmiast chwyciłem za pościel, chcąc się podnieść. Pokryta czarnymi wymiocinami kołdra zsunęła się, a ja znów padłem na podłogę. Wydałem z siebie krzyk, głośny i przeraźliwy, aż zdarłem sobie gardło.

Potem poczułem, że robi mi się mokro. Spojrzałem w dół i zobaczyłem plamę rozlewającą się na spodniach od piżamy. Poczułem, że puszczają mi zwieracze, a moje ciało jakby przedśmiertnie wiotczeje.

Sił miałem coraz mniej, ale coś we mnie narastało. Obcy głos. Nie, nie jeden, znów kilka lub kilkanaście. Wszystkie należały do kogoś innego, nie były echem jednego człowieka. Właściwie nie miały nic wspólnego z człowiekiem. Z niczym, co ludzkie.

– *Et vidi de mari bestiam ascendentem*! – ryknąłem wielogłosem.

Potem nagle znieruchomiałem. Poczułem, że kręgosłup wygina mi się w łuk. Zatrząsłem się, obleciało mnie poczucie przejmującego chłodu. Miałem wrażenie, że przenika każdy cal mojego ciała, wgryza się we mnie i sprawia, że zamarzam od środka.

Zrozumiałem, że tracę przytomność. Zanim to się stało, moje usta znów się poruszyły.

– *Bestiam ascendentem*… – powtórzyły głosy. – *Bestiam ascendentem*…

VII

Kinga potrząsała mną gorączkowo, krzycząc, żebym się ocknął. Otworzyłem oczy i łapczywie omiotłem wzrokiem pokój, nie mogąc uwierzyć, że jeszcze żyję. Był już ranek, promienie słońca wpadały przez niczym nieprzesłonięte okno.

Nabrałem głęboko tchu, nie rozumiejąc, co się stało. W ustach czułem odrażający smak, nieprzypominający niczego, z czym dotychczas miałbym do czynienia.

– Berg!

– Spokojnie…

– Jezus Maria… – jęknęła. – Co tu się stało?

Sięgnąłem do medalika. Spodziewałem się, że cały czas był na miejscu, tyle że po mojej wizycie na Jasnej Górze z jakiegoś powodu stał się bezużyteczny. Nie mogłem go jednak znaleźć. Nie miałem go na szyi.

– Gdzie medalion? – spytałem.

Kinga patrzyła na mnie, ale jakby mnie nie widziała. Nie dotarło do niej też moje pytanie, czemu chyba nie powinienem się dziwić, bo zadałem je chrapliwym szeptem. Miałem wrażenie, jakbym wrócił prosto z meczu ulubionej drużyny, podczas którego dziewięćdziesiąt minut upłynęło mi na wznoszeniu okrzyków.

Spróbowałem się podnieść, ale każdy mięsień w moim ciele zaprotestował. Znów wystąpiły skurcze, teraz jednak znacznie lżejsze. Kinga wciąż zadawała mi kolejne pytania, ale nie miałem zamiaru udzielać odpowiedzi, których i tak nie usłyszy.

Rozejrzałem się. Sypialnia wyglądała tragicznie, jakby mieszkał tutaj najgorszy element społeczny. Na podłodze rozlała się kałuża moczu i rozwolnionego kału, całe łóżko

pokrywała czarna bryja. Smród unoszący się wokół zdawał się sprawiać, że powietrze zgęstniało.

Było mi niedobrze, Kindze zapewne też.

Kiedy skończyła zasypywać mnie pytaniami, nie czekając właściwie na wyjaśnienia, pomogła mi się podnieść. Zaprowadziła mnie do łazienki, upierając się, że wezwie karetkę.

– I? – zapytałem. – Co to da?

– Coś zrobią, jakoś ci pomogą, może podadzą…

– Na to nie ma lekarstwa – przerwałem jej. – Przynajmniej nie takiego, które stworzył człowiek.

Pochyliłem się nad umywalką i przez moment zastanawiałem. Nie wiedziałem nawet, od czego zacząć. Od przepłukania ust? Umycia zębów? Opłukania twarzy? Prysznica? Nic, co bym zrobił, nie oczyściłoby mnie z tego, co do mnie przylgnęło.

– Dasz mi chwilę? – zapytałem.

Popatrzyła na mnie, jakby fakt, że spuści mnie z oka na kilka minut, mógł sprawić, że już mnie nigdy nie zobaczy.

– Berg…

– Spokojnie – powtórzyłem. – Nic się nie dzieje.

Nagle jej wzrok zupełnie się zmienił. W oczach pojawiła się bezbrzeżna, wyraźna złość.

– Nic… – zaczęła, rozkładając bezradnie ręce. – Nic się nie dzieje?!

– To po prostu…

– Czyś ty, kurwa, oszalał? – rzuciła, a potem obróciła się w kierunku sypialni i wymierzyła palcem w drzwi. – To, co tam jest…

– Wszystko ci wyjaśnię – powiedziałem.

– Proszę bardzo, zaczynaj. Co tu się stało?

Miałem dla niej odpowiedzi, przynajmniej kilka. Potrzebowałem jednak chwili, by je poukładać w głowie.

– Pozwól mi tylko wziąć…

– Co tam się wydarzyło, Berg?

Nabrałem tchu, mając wrażenie, jakbym wdychał trujące opary. Skrzywiłem się, a potem potrząsnąłem głową. Nie było to najlepszym pomysłem, szybko musiałem oprzeć się o framugę, by nie stracić równowagi. Kinga zrobiła krok w moim kierunku, a ja powstrzymałem ją wyciągniętą ręką.

– Daj mi chwilę – powiedziałem.

Zanim zdążyła zaoponować, zamknąłem drzwi. Unikając patrzenia na swoje odbicie w lustrze, umyłem zęby, szorując tak mocno, że po raz pierwszy od lat zaczęły krwawić mi dziąsła. Splunąłem czerwoną, spienioną śliną do umywalki i przez moment patrzyłem, jak spływa po białej ściance.

Po szybkim, gorącym prysznicu wszedłem do kuchni, gdzie czekał na mnie kubek parującego earl greya. Kinga siedziała przy stole z twarzą ukrytą w dłoniach. Wsunęła palce między włosy, a gdy podniosła wzrok, po starannie ułożonej fryzurze nie było już śladu.

– Pościel jest do wyrzucenia.

Uniosłem brwi w odpowiedzi.

– Od tego chcesz zacząć? – zapytałem, siadając po drugiej stronie stołu.

Zapewne sama nie wiedziała, dlaczego te słowa padły z jej ust, a ja nie miałem zamiaru drążyć. Szok robił swoje, coś o tym wiedziałem. Choć w moim przypadku z pewnością pomagał fakt, że niegdyś obcowałem z siłami potężniejszymi ode mnie na co dzień. Sam wypowiadałem przecież epiklezę, wzywając Boga Ojca, by mocą Ducha Świętego przemienił wino i chleb w krew i ciało Chrystusa.

Obserwowałem cuda, których dokonywali święci, wierzyłem w objawienia zsyłane na wiernych. Miałem styczność z tym wszystkim, w co Kinga niekoniecznie musiała wierzyć. I być może dlatego łatwiej mi było przyjąć to wszystko, co się działo.

Napiłem się herbaty i odsunąwszy kubek, popatrzyłem jej prosto w oczy.

– Mów – powiedziała, dostrzegając moje wahanie.

– Nie jestem pewien, czy…

– Chcę wiedzieć o wszystkim, co się stało.

Odczekałem chwilę, jakby istniała szansa, że jeszcze zmieni zdanie. Lepiej dla niej byłoby, gdyby trzymała się ode mnie z daleka. Wiedziałem jednak, że na tym etapie to już niemożliwe. Oboje zostaliśmy wciągnięci w coś, z czego się nie wyswobodzimy.

– W porządku – odparłem, a potem zacząłem opowiadać.

Początkowo słuchała z ufnością, ale kiedy opisywałem kolejne zdarzenia, słowa i uczucia, jakie towarzyszyły mi, gdy głosy recytowały łacińskie wersety, na jej twarzy pojawiło się zwątpienie. Potem nawet jakiś niewypowiedziany zarzut.

Kiedy skończyłem, długo milczała. Ostatecznie pokręciła głową, wstała od stołu, zaparzyła sobie kolejny kubek herbaty, a potem zaczęła nerwowo chodzić po kuchni. Nowa porcja earl greya dawno wystygła, zanim Kinga z powrotem usiadła naprzeciw mnie.

– To niemożliwe, Berg.

– Wiele rzeczy się takimi wydaje.

– Ale to… to, o czym mówisz, po prostu…

Urwała, licząc na to, że sam dokończę, przejrzawszy na oczy. Czego się spodziewała? Że po czymś takim uznam, że jestem szalony? Że to wszystko wytwór mojej wyobraźni? Chętnie przyjąłbym taką wersję. Bardzo chętnie.

– Musisz chociaż się przebadać – powiedziała.

– W niczym mi to nie pomoże.

– Skąd wiesz?

– Daj spokój – odparłem cicho. – Sama widziałaś, co się stało. I byłaś tutaj, kiedy szeptucha…

– Co? Twierdziła, że nawiązała kontakt z twoim ojcem?

– Mam na myśli to wszystko, co temu towarzyszyło.

– Pewne rzeczy da się wytłumaczyć.

– Może – przyznałem. – Ale pewnych nie.

Zaległo milczenie, które zdawało się nas dzielić.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odezwała się w końcu Kinga. – Ale ty powinieneś zrozumieć, że nie wszystko może być tym, czego się spodziewasz.

– To znaczy?

– Jeśli dzieje się coś, co wykracza poza nasze pojmowanie, to może mieć wpływ na twoją psychikę. Być może część rzeczy sobie uroiłeś, Berg, bo twój umysł nie udźwignął niektórych faktów.

Właściwie nie powinienem tego wykluczać. Jeden kontakt z demonicznymi siłami w zupełności wystarczyłby, bym zwariował. I bym zatracił umiejętność rozpoznawania, co jest rzeczywiste, a co nie.

– Chciałbym, żebyś miała rację.

– W takim razie spotkaj się chociaż z jakimś specjalistą.

– Tak zrobię – odparłem. – Ale obawiam się, że myślimy o zupełnie innej specjalizacji.

Znów wsunęła dłonie we włosy. Pokręciła głową, a potem popatrzyła na mnie z głęboką troską. Cisza, która zaległa, już nas nie dzieliła. Przeciwnie, przybliżała nas do siebie.

– Kogo masz na myśli? – zapytała.

– Duchownych, którzy mieli styczność z takimi sprawami.

– Egzorcystów?

Słowo wybrzmiało echem w moim umyśle. Było jak głośny dzwonek alarmowy, niewieszczący niczego dobrego.

– Nie – odparłem. – Nie sądzę, by któryś z nich w moim przypadku okazał się pomocny.

– Dlaczego nie?

– Bo recytowałem Nowy Testament, demony raczej do tego nie zmuszają. Przeciwnie, Szatan trzyma się jak najdalej od wszystkiego, co święte.

Skinęła niepewnie głową.

– Co to konkretnie za fragmenty? – zapytała.

– Nie poznajesz?

– Nie. Widocznie mam braki w łacinie.

– Apokalipsa Świętego Jana – powiedziałem.

Kinga wyraźnie się wzdrygnęła. Już kiedy przytaczałem kolejne passusy, widziałem niepokój w jej oczach, ale teraz zdawał się zwielokrotniony.

– Nie żartuj…

– Jestem od tego daleki.

– Recytowałeś zapowiedź Sądu Ostatecznego?

Na dobrą sprawę nie robiłem tego ja, a głosy, które przeze mnie przemawiały. Uznałem jednak, że najlepiej będzie zachować tę uwagę dla siebie.

– Mhm – potwierdziłem.

– Jedno z proroctw końca świata?

– Właściwie w Piśmie Świętym jest tylko to – odparłem dla porządku. – Nie ma innych proroczych ksiąg.

Widziałem, że miała ochotę zaprzeczać, próbować zakłamywać rzeczywistość, ale ograniczyła się do pokręcenia głową. Nie wiedziałem, czy powinienem kontynuować – przynajmniej do momentu, kiedy poczułem na sobie ponaglające spojrzenie.

– Słowa, które wypowiedziałem… czy raczej które wydobyły mi się z ust, były pierwszymi wersami trzynastego rozdziału.

– To te fragmenty o archanielskich trąbach i czterech jeźdźcach?

– Nie. Wizje związane z Barankiem, siedmioma pieczęciami i siedmioma trąbami są wcześniej, na początku drugiej części.

– Więc…

Z trudem przełknąłem ślinę.

– Chcesz, żebym to powtórzył?

– Słowo w słowo – potaknęła. – Ale z tłumaczeniem.

Wiedziałem, że prędzej czy później będę musiał to zrobić. Zamknąłem na moment oczy, żałując, że nie zacząłem od odnalezienia medalionu. Czułbym się znacznie lepiej, mając coś, co zapewniłoby choć namiastkę osłony.

Inaczej obawiałem się, że recytowanie po raz kolejny wersów z Apokalipsy może przywołać siły, od których należy trzymać się z daleka.

– *Et vidi de mari bestiam ascendentem* – odezwałem się mimo to, a potem odchrząknąłem. – *Habentem capita septem, et cornua decem, et super cornua eius decem diademata, et super capita eius nomina blasphemiæ.*

Kinga wstrzymała oddech. Wydawało mi się, że biorę go za nas oboje.

– „I ujrzałem Bestię wychodzącą z morza" – przetłumaczyłem. – „Mającą dziesięć rogów i siedem głów".

Kinga uciekła wzrokiem, jakby obawiała się na mnie patrzeć, gdy wypowiadam te słowa.

– „A na rogach jej dziesięć diademów, a na jej głowach imiona bluźniercze"[2].

Urwałem, nie chcąc dodawać nic więcej. Przez moment się nie odzywaliśmy, nawet na siebie nie patrzyliśmy. Oboje chcieliśmy znaleźć się gdzie indziej, w innych okolicznościach, w innym czasie.

– To wszystko? – odezwała się w końcu Kinga.

– Nie. Na koniec, zanim straciłem przytomność, powtórzyłem jeszcze pierwszy fragment.

– O ujrzeniu Bestii wychodzącej z morza?

Pokiwałem głową.

– Co to oznacza?

– Jest wiele interpretacji.

– Interesuje mnie tylko jedna. Twoja.

Było w tym coś, co ocierało się o bluźnierstwo, ale uznałem, że uwaga była zasadna. W końcu to z moich ust dobyły się te głosy, nawet jeśli należały do kogoś innego.

– W Kościele panuje zgoda co do znaczenia większości fragmentów – zacząłem. – Ale nie zawsze tak było. Do pewnego momentu Apokalipsa była nawet odrzucana przez niektórych

Ojców Kościoła, bo nie dało się jej jednoznacznie zinterpretować.

– Ale ostatecznie przyjęto wersję, z którą sam się zgadzasz?

– Dobre pytanie.

– Berg…

– Panuje szeroka zgoda co do tego, że Bestia z siedmioma głowami to królestwo Antychrysta.

Poczułem nieprzyjemne ciarki na plecach i karku, jakby wypowiedzenie tego określenia samo w sobie miało przywołać złe moce. Objąłem kubek z herbatą i poprawiłem się na krześle. Kinga czekała na dalszy ciąg w milczeniu.

– Jedna z głów to sam Antychryst – dodałem. – Przyjmuje się tak, bo w oryginalnym tekście jest odniesienie z użyciem rodzaju męskiego. Wobec drugiej z głów, symbolizującej fałszywego proroka, stosuje się rodzaj żeński, więc wedle wszelkiego prawdopodobieństwa chodzi o kobietę.

– Kobietę?

– Konkretnie o antytezę Dziewicy Maryi.

– To… to o niej mowa jako o Bestii?

– Nie – odparłem. – Bestia ma dwojakie znaczenie. Raz określa królestwo Antychrysta, raz jego samego. Ale nie fałszywego proroka.

Napiłem się earl greya.

– Symbolika ma ogromne znaczenie, bo cały tekst to właściwie zakodowany przekaz. Niewiele rzeczy jest wyrażonych wprost. Morze, z którego wyłania się Bestia, to ludzie różnych narodowości, mówiący różnymi językami, pochodzący z różnych krajów.

– Słowem: ludzkość.

– No tak – przyznałem. – Dziesięć rogów to przywódcy rządzący dziesięcioma krajami. Trudno powiedzieć, o które państwa chodzi, choć teorii nie brakuje. Pewne jest za to, że Antychryst ma zastąpić jednego z władców, a potem pokonać trzech z nich, którzy nie chcą do niego przystąpić. Ostatecznie

wszyscy stają się Bestią w tym drugim znaczeniu. Siedem głów, siedem krajów. I Antychryst na ich czele.

Kinga znów się podniosła.

– To wszystko? – spytała z nadzieją, że w istocie tak jest.

Potwierdziłem ruchem głowy.

– Tyle w jednym krótkim fragmencie?

– W innych jest znacznie więcej. Mówiłem ci, to symbole. Skróty myślowe, które dopiero po rozwinięciu mają jakikolwiek sens.

Kinga podeszła do okna, wyjrzała na zewnątrz, a potem odwróciła się do mnie. Przysiadła na parapecie i potarła ramiona, jakby zrobiło jej się chłodno.

– A Szatan? – zapytała. – Gdzie on jest w tym wszystkim?

Zaniepokoiło mnie to pytanie. Mimo to miałem zamiar odpowiedzieć.

– O tym jest w kolejnych wersach.

– To znaczy?

– Święty Jan opisuje, że bestia, którą widział, była podobna do pantery, łapy miała jak niedźwiedź, paszczę jak lew. A moc dawał jej smok, razem z jego tronem i władzą – odparłem, nie patrząc na Kingę. – Co symbolizuje, że Szatan steruje tym wszystkim, przekazuje Antychrystowi swoją moc, ale bezpośrednio nie ingeruje. Nie może.

– Bo?

– Bo upadłe anioły nie mogą mieć takiej władzy nad ludźmi, jaką ma Antychryst. Mogą wpływać na nich, ale nigdy nimi rządzić.

Kinga uniosła wzrok i zrobiła nerwowy wdech.

– Myślisz, że to właśnie dzieje się z tobą?

Zanim zdążyłem się nad tym zastanowić, zobaczyłem, że wycofałaby to pytanie, gdyby tylko mogła.

Zaraz potem odpowiedź przestała mieć znaczenie.

Wszystko zdawało się je stracić.

[2] Tłumaczenia wszystkich cytatów z Apokalipsy Świętego Jana pochodzą z Biblii Tysiąclecia.

VIII

Wieść, że świat już nigdy nie będzie taki sam, zastała nas w jednej z restauracji na Krzykach. Oboje musieliśmy się napić – i byliśmy zgodni co do tego, że niemądrze byłoby robić to u mnie lub u Kingi i Rudyka. Wybraliśmy knajpę ze względu na lokalizację – przejście na piechotę z Gerberowej zajmowało najwyżej kwadrans. Nazwa okazała się jednak znamienna.

Wcześniej bywałem w „Nigdy nie zapomnę" od czasu do czasu, właściwie chyba zawitał tu każdy mieszkaniec Ołtaszyna. Kiedyś było to jedno z niewielu miejsc w okolicy, gdzie można było dobrze zjeść, w dodatku wszystko przygotowywano z naturalnych składników. I podobała mi się nazwa. A teraz nabrała dla mnie zupełnie nowego znaczenia.

Pierwszym zwiastunem, że dzieje się coś wykraczającego poza normę, była kakofonia dzwonków komórek. Kilkunastu klientów niemal jednocześnie sięgnęło po telefony, Kinga zrobiła to samo.

Byłem jedynym, który nie wyjął smartfona. Jedynym, do którego nikt nie dzwonił, by poinformować, że stało się coś, co nie powinno mieć miejsca. Coś niewytłumaczalnego.

Zdałem sobie z tego sprawę, nie musząc nawet przysłuchiwać się prowadzonym rozmowom. Wystarczyło, że spojrzałem na twarze zebranych. Wszyscy, łącznie z obsługą, sprawiali wrażenie, jakby skończył się świat.

W uszach wciąż pobrzmiewało mi echo własnych słów wypowiadanych po łacinie. Kołatały mi się po głowie wersy z Apokalipsy Świętego Jana. Fragmenty z listów do siedmiu kościołów w Azji, z opisów siedmiu pieczęci, siedmiu trąb i siedmiu czasz. W końcu te dotyczące całej ludzkości, losów

wiernych i Kościoła, kary zesłanej na Wielki Babilon, zagłady wrogich narodów i… i powstania nowego Jeruzalem.

Zamarłem, czekając, aż ktoś z zebranych powie mi, co się stało. Wbijałem wzrok w Kingę, ale ta słuchała rozmówcy z lekko otwartymi ustami, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Pozostali wyglądali podobnie.

Usłyszałem głos w głowie, zupełnie jakby sam Święty Jan relacjonował mi swoje widzenie. Wzdrygnąłem się, bo nigdy nie znałem tych passusów na pamięć. Owszem, czytałem Apokalipsę, analizowałem ją tak, jak inne teksty podczas zajęć z egzegezy, ale nigdy nie powtórzyłbym kolejnych fragmentów co do słowa.

Tymczasem zdawały się wyryte w mojej pamięci.

Zamknąłem na moment oczy. Starałem się odsunąć od siebie słowa Jana i przekonać się, że to tylko majaki spowodowane zmęczeniem.

Głos jednak mówił dalej. Recytował rozdział szesnasty, który następował po opisie otwarcia w niebie świątyni, z której wyłoniło się siedmiu aniołów. Z siedmioma plagami, które miały zdziesiątkować ludzkość.

„Potem posłyszałem donośny głos ze świątyni, mówiący do siedmiu aniołów: «Idźcie, a wylejcie siedem czasz gniewu Boga na ziemię!»”.

Znów się wzdrygnąłem. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że Kinga całkowicie pobladła.

– Co się dzieje? – spytałem.

Potrząsnęła głową.

– Samolot… – urwała, a ja z trudem powstrzymałem się przed wystrzeleniem salwy pytań.

Kiedy jednak Kinga na dłużej zamilkła, uznałem, że muszę pociągnąć ją za język, inaczej niczego się nie dowiem. Odsunęła na moment słuchawkę od ucha, spojrzała na telefon, jakby pochodził z innego świata. Potem znów przyłożyła go do policzka.

– Zniknął kolejny? – zapytałem.

– O Boże… – jęknęła, jakby mnie nie słyszała.

– Kinga!

– Nie, nic z tych rzeczy, Berg…

– Co się stało?

Dopiero teraz spojrzała mi w oczy. Odniosłem dziwne wrażenie, jakby uczepiła się kurczowo mojego wzroku. Jakby znalazła w nim kotwicę, która przytrzymała ją w rzeczywistości.

– Air Hibernia – jęknęła. – Samolot Anety pojawił się na radarach.

– Co takiego?

– Sygnał z transpondera odebrała kontrola lotów w Izraelu.

Wiadomość była jak cios między oczy, ale spodziewałem się czegoś znacznie gorszego. Sygnał pojawiał się przecież już wcześniej w wielu miejscach, stanowił jednak wyłącznie wiadomość w postaci heksagramu. Nie oznaczało to, że samolot naprawdę był w tamtych miejscach. I podobnie mogło być teraz.

– To jeszcze niczego nie dowodzi – odezwałem się.

Ledwo jednak to powiedziałem, uświadomiłem sobie, że ludzie wokół mnie wiedzą o czymś jeszcze. Nie zareagowaliby w taki sposób z powodu samego sygnału.

Pomyślałem o najczarniejszym scenariuszu. Z jakiegoś powodu umysł zarysował przede mną wizję spadającego, trawionego językami ognia samolotu. Oczami wyobraźni zobaczyłem, jak wbija się w Stare Miasto, niszcząc święte miejsce chrześcijaństwa, islamu i judaizmu.

– Nie, Berg. Ten samolot naprawdę znów się pojawił.

– Potwierdzili to?

– Tak. Eskortują go dwa izraelskie myśliwce.

Uniosłem brwi, nie wierząc w to, co słyszę.

– Jest już w przestrzeni powietrznej Izraela, zniżył pułap i podchodzi do lądowania na lotnisku Bena Guriona w Tel

Awiwie.

– O czym ty…

Urwałem, bo nie było sensu kończyć zdania. Na myśl przychodziło mi wiele innych pytań, które powinienem zadać. I na które odpowiedzi znali już zapewne wszyscy w restauracji, oprócz mnie. Bliscy przekazywali im na bieżąco każdy najmniejszy detal.

Nie miałem wątpliwości, że Kinga słucha relacji rozgorączkowanego Rudyka. To na niej musiała się skupić w pierwszej kolejności. Dopiero potem na przekazaniu mi wszystkich informacji.

Wyobraziłem sobie, co musiało dziać się teraz w dowództwie izraelskiego i palestyńskiego wojska. Politycy też z pewnością odchodzili od zmysłów. Mogli spodziewać się właściwie wszystkiego, przede wszystkim oczywiście zamachu terrorystycznego.

Ja i Kinga byliśmy jedynymi osobami, które mogły mieć pewność, że to, co się dzieje, nie ma nic wspólnego z religijnym ekstremizmem.

– Jest jakiś kontakt z maszyną? – zapytałem.

– Nie. Starają się wywołać kogoś w kokpicie, ale nikt nie odpowiada.

Mężczyzna siedzący obok wyciągnął z torby laptopa, a potem odłożył telefon. Spojrzał na mnie przelotnie i czym prędzej wystukał coś na klawiaturze. Najpewniej adres pierwszego lepszego portalu informacyjnego.

– Nie wygląda to najlepiej – odezwał się, dostrzegając mój pytający wzrok.

Podniosłem się i podszedłem do niego.

– Wywołają go jeszcze kilka razy, a potem zestrzelą – dodał.

Spojrzałem na witrynę NSI. Jeden z nagłówków rzeczywiście informował o takiej możliwości, ale nikt nie przesądzał, że do tego dojdzie.

Dopiero teraz pomyślałem o samolocie nie jako o narzędziu w rękach sił ciemności, a maszynie, która znikła trzynastego kwietnia. Maszynie, na pokładzie której znajdowała się moja narzeczona.

Czy ciągle tam była? Czy ktokolwiek tam był?

Takie pytanie musiałem zadawać sobie nie tylko ja. W sztabach kryzysowych zapewne trwały gorączkowe narady, specjaliści przekrzykiwali się, przedstawiając swoje teorie.

Nie musiałem tam być, by wiedzieć, że większość doradców do spraw bezpieczeństwa będzie upatrywała w tym prostego scenariusza – samolot został porwany, posadzono go na jakimś dzikim lotnisku, prawdopodobnie w Afryce, a potem skierowano jako ogromny pocisk w stronę Izraela.

Pewnie uświadomiono sobie już, że może uderzyć w mnóstwo celów, nie tylko te na półwyspie Synaj. W rejonie znajdowało się wiele miejsc stanowiących punkty zapalne dla lokalnych konfliktów.

Jeden dobrze wymierzony atak mógł zachwiać i tak nadwątloną równowagę całego Bliskiego Wschodu. A co działo się tam, miało przełożenie na cały świat.

Tak mogła rozpocząć się apokalipsa.

Zerknąłem na zdjęcie, które znajdowało się na początku artykułu na stronie NSI. Przedstawiało izraelskie wielozadaniowe myśliwce F-16. Przypuszczałem jednak, że kolejne, należące do innych państw, już są w okolicy.

Musiała uaktywnić się Rosja, placówek należących do sił powietrznych miała w okolicy w nadmiarze. Z pewnością zmobilizowano żołnierzy służących w brytyjskiej bazie lotniczej na Cyprze. Maszyny bez wątpienia poderwano także w Egipcie, Syrii, Libanie i Iraku.

Choć nie było tego widać w przekazie medialnym, przypuszczałem, że świat stanął na krawędzi konfliktu.

– Nie będą ryzykować życia kilkuset osób – odezwałem się.

Mój głos zabrzmiał słabo, zabrakło w nim przekonania. Mężczyzna przy laptopie zerknął na mnie jak na szaleńca. Postrzelonego hipisa, który w najbardziej niebezpiecznym momencie zimnej wojny twierdził, że jesteśmy o krok od światowego pokoju.

– Nie zestrzelą tej maszyny – dodałem nieco pewniej.

– Ja na ich miejscu już otworzyłbym ogień.

– Ryzykując skandalem międzynarodowym?

– Skandal się rozpęta, jeśli ten samolot uderzy w Izrael – odparł, a potem pokręcił głową. – Nie, nie skandal. Wojna. Dojdzie do zwykłej wojny. Nie lokalnego konfliktu, nie jakichś tam przepychanek. Do wojny w pełnym tego słowa znaczeniu, proszę pana.

Nosiłem w sobie wystarczająco dużo pesymizmu, by mieć dosyć takich teorii. Wróciłem do stolika, kiedy Kinga odkładała telefon na blat. Zauważyłem, że trzęsą jej się ręce i musiałem upomnieć się w duchu, by nie złapać jej dłoni.

– Mariusz twierdzi, że samolot wciąż obniża lot – powiedziała. – Podobno nie ma już wątpliwości, że schodzi na Bena Guriona.

– Gdzie jest?

– Minął Hajfę.

– W takim razie nie mogą mieć pewności – odparłem. – Przy takiej odległości od lotniska równie dobrze może obniżać pułap, by uderzyć w Jerozolimę. To raptem czterdzieści kilometrów różnicy. Dla rozpędzonej maszyny chwila.

Pokiwała głową. Najwyraźniej traktowała wszystkie informacje jako niepotwierdzone, wstępne doniesienia, nie przyjmując ich za pewnik. Słusznie, na tym etapie w mediach musiało być więcej gdybania niż prawdy.

– Myślisz, że… że Aneta tam jest?

– Nie wiem.

– Naprawdę nie wiesz? – spytała z nadzieją, że zaprzeczę. – Może musisz tylko…

Urwała i przez moment się zastanawiała. Obawiałem się, że dokończy. Że powie, bym spróbował skontaktować się z ojcem. Lub z tym, co się za niego podawało. Kinga jednak się nie odezwała.

Zamiast tego nerwowo zaczerpnęła tchu i powiodła wzrokiem wokół, jak alkoholik szukający czegoś do picia.

– Co teraz będzie? – zapytała.

– Poczekają do ostatniej chwili – odparłem, przypuszczając, że nawet jeśli nie mam racji, powinienem okazać pewność. Kinga zdawała się tego potrzebować. – Jeśli samolot rzeczywiście zacznie podchodzić do lądowania, pozwolą pilotowi go posadzić. Jeśli zobaczą, że leci dalej, będą próbowali go zatrzymać.

– Zatrzymać? W powietrzu? To nie balon, który można złapać i przyciągnąć do siebie.

Pokiwałem głową, unikając jej wzroku.

– Zestrzelą go – dodała.

– Tylko jeśli będą mieli pewność, że leci dalej.

Przypuszczałem, że właśnie na taki scenariusz byli najlepiej przygotowani. Czterdzieści kilometrów między lotniskiem Bena Guriona a Jerozolimą to niewiele, ale wystarczająco, by gdzieś nad dawną linią demarkacyjną z czterdziestego dziewiątego roku strącić maszynę.

Wszyscy czekaliśmy w napięciu na rozwój wydarzeń. Część klientów zgromadziła się przed laptopem mężczyzny siedzącego obok nas, pozostali wbijali wzrok w wyświetlacze telefonów. Sieć komórkowa miała duże przeciążenie, okoliczne Wi-Fi już dawno odmówiły współpracy.

Podobnie musiało być na całym świecie. Jeszcze kilka lat temu wszyscy popędziliby do domów, usiedli przed telewizorami i w ten sposób oglądali to, co mogło stać się końcem świata, jaki znamy. Teraz każdy siedział pochylony nad smartfonem, przeskakując z jednego portalu

informacyjnego na inny – i licząc na to, że ktoś gdzieś doszedł już do tego, co się wydarzy.

Kinga co jakiś czas patrzyła na mnie, jakbym mógł wiedzieć więcej niż inni. Może w pewnym sensie tak było. Jeśli na pokładzie wciąż znajdowali się pasażerowie, a samolot naprawdę miał się rozbić, mogłem wyobrazić sobie ich reakcję.

Dwukrotnie przeżyłem katastrofę Japan Airlines 123. Nie było drugiego człowieka, który mógłby coś podobnego powiedzieć.

– Jest obraz z myśliwca – odezwał się mężczyzna przy laptopie.

Ledwo zerwałem się z krzesła, cała reszta klientów ustawiła się tak, by widzieć ekran. Razem z Kingą stanęliśmy z boku, obserwując krótkie nagranie, które udostępniły siły powietrzne Izraela.

– Wszystkie zasłony w oknach są zaciągnięte – zauważył ktoś.

– Ale widać załogę – dodała inna osoba. – Widział ktoś zdjęcia pilotów? To ci sami ludzie?

Wszyscy przyglądaliśmy się załodze w kokpicie, ale nikt nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Jakość nagrania nie była dostatecznie dobra.

– Maszyna minęła Tel Awiw – odezwała się kobieta z nosem w smartfonie. Najwyraźniej na bieżąco śledziła doniesienia zachodnich agencji, jeszcze zanim polskie portale zdążyły przetłumaczyć komunikaty. – Znajduje się teraz nad parkiem Ariela Szarona.

Kilka osób spojrzało na nią nierozumiejącym wzrokiem.

– Leci z prędkością dwustu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę – dodała. – Jest na pułapie raptem trzystu metrów.

– Czyli…

– Czyli że za niecałe dziesięć minut usiądzie na płycie lotniska Bena Guriona.

– Nie ma co do tego wątpliwości? – spytał jeden z mężczyzn.

– Nie – potwierdziła kobieta. – Gdyby chcieli w coś uderzyć, samolot byłby teraz gdzie indziej. Oprócz lotniska nic tam nie ma.

– Może ono jest celem – zauważył ktoś. – To duży hub, rocznie przewija się tam ponad siedemnaście milionów pasażerów.

– A ten rok jest rekordowy – dodał inny klient.

Mogłem się spodziewać, że teraz wszyscy będą specjalistami. Wystarczyło przeczytanie dwóch czy trzech lapidarnych artykułów. Zawsze działało to podobnie w takich sytuacjach.

Kobieta ze smartfonem nie pomyliła się dużo w oszacowaniu czasu lądowania. Minęło trzynaście minut, zanim boeing wylądował na jednym z pasów na obrzeżach Tel Awiwu. Cały port lotniczy został zamknięty i ewakuowany, wojsko otoczyło teren, a grupy antyterrorystów były gotowe, by w każdej chwili wkroczyć do akcji.

Wszyscy spodziewaliśmy się, że któraś ze stacji telewizyjnych będzie relacjonowała rozwój wypadków na bieżąco. Żadnej kamery nie dopuszczono jednak nawet w okolice płyty lotniska, a przestrzeń została zamknięta dla dronów, które mogłyby nagrać zdarzenia.

Trwaliśmy w nerwowym oczekiwaniu, niepewni tego, jak bardzo świat może zmienić się wraz z otwarciem drzwi maszyny.

Po kilku minutach zaczęły spływać pierwsze informacje.

Media wprawdzie były trzymane z dala, ale dotyczyło to jedynie zawodowych dziennikarzy. Ci z plakietkami prasowymi byli zatrzymywani przed lotniskiem. Zastąpili ich ci, którzy ich nie mieli – domorośli reporterzy z komórkami w dłoniach.

Pojawił się szereg przekazów na żywo na Facebooku i filmów wrzucanych natychmiast na Twittera. Wszystkie opatrzone hashtagiem „#powrótAH3836”, jakby była to współczesna wersja rozbrzmienia archanielskich trąb, wieszczących nieuchronną zagładę.

Jeden z pracowników lotniska nagrał moment, gdy podstawiono pod samolot krótkie schody. Spodziewałem się raczej awaryjnej wersji w postaci dmuchanej zjeżdżalni, ale najwyraźniej uznano, że na pokładzie wszystko właściwie jest pod kontrolą.

Maszyna wylądowała sprawnie. Nie stanowiła teraz żadnego zagrożenia. Jeśli na pokładzie znajdowali się terroryści, będą trzymać rękę na pulsie. Nie będzie miejsca dla paniki, samowolki ani tym bardziej nerwowej ucieczki z pokładu.

Oddziały antyterrorystów, które otoczyły samolot, nie miały zamiaru forsować drzwi i wpadać do środka – przynajmniej dopóty, dopóki nie wiadomo było, co dzieje się na pokładzie.

Po podstawieniu schodów obsługa lotniska się wycofała, a potem rozpoczęło się pełne napięcia wyczekiwanie. Drzwi się nie otwierały, maszyna sprawiała wrażenie posągu stojącego w jednym miejscu od wielu lat.

Funkcjonariusze na płycie postojowej też zdawali się zastygnąć. Podobnie jak bywalcy restauracji, w której z Kingą mieliśmy zamiar po prostu dobrze i zdrowo zjeść.

Przełknąłem ślinę, przypatrując się kabinie samolotu. Trudno było cokolwiek dostrzec. Przypuszczałem jednak, że izraelscy snajperzy mają znacznie lepszy ogląd sprawy. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że celują w pilotów, o ile ci wciąż znajdują się na swoich miejscach.

W końcu drzwi drgnęły.

Ktoś wypchnął je lekko na zewnątrz. Ze środka wydobyło się jasne światło, błysnęło jak mocny flesz, na okamgnienie oślepiając wszystkich, którzy na nie patrzyli. Potem z pokładu wyszła postać.

Miała białe szaty. Lekko rozłożyła ręce.

Nie miałem wątpliwości, na kogo patrzę.

IX

Mężczyzna był chyba jeszcze przed czterdziestką, miał jakieś sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i gęstą, ale równo rosnącą, przystrzyżoną brodę. To, co początkowo wziąłem za szaty, było jasną, luźną koszulą i lnianymi spodniami, również jakby nieco za dużymi.

Od razu zrozumiałem, że już go widziałem.

Mężczyzna z brodą stał tuż za wyjściem z lekko rozłożonymi rękoma. Przywodził na myśl polityka, który czeka na delegację powitalną. Nie, nie polityka, poprawiłem się w duchu. Raczej papieża.

Antyterroryści szybko ruszyli w jego kierunku. Film kręcony na żywo na moment się urwał, najwyraźniej któryś funkcjonariusz dostrzegł pracownika lotniska i w końcu zareagował.

– Niech pan spróbuje znaleźć inną relację – powiedział ktoś nerwowo.

– Gdzie?

– Nie wiem, na Boga… niech pan szuka.

Mężczyzna przy laptopie tak zrobił, ale szybko stało się jasne, że przeciążona sieć nie pozwoli na odnalezienie kolejnego przekazu z lotniska. Nie ładowały się nawet wyniki wyszukiwania z Google'a, co dopiero mówić o streamowaniu filmiku.

Odeszliśmy z Kingą na bok. Wyglądała, jakby potrzebowała wsparcia, więc objąłem ją na moment. Niezobowiązująco, krótko, jakbym chciał wysłać jedynie subtelny sygnał, że może na mnie liczyć.

Przylgnęła do mnie jednak, jakby od tego zależało jej życie. Przez chwilę tkwiliśmy w tym uścisku, czując się jednocześnie cudownie i okropnie.

Potem odsunąłem ją od siebie.

– Chodźmy na Gerberową – powiedziała, zerkając w kierunku laptopa. – Tutaj niczego się nie dowiemy.

– Może Wi-Fi zaraz odżyje.

– Przy takim ruchu? – spytała z powątpiewaniem. – Wszyscy w okolicy starają się czegoś dowiedzieć.

Nie tylko w okolicy, chciałem dodać.

– Chodź – rzuciła. – Ten jeden raz więcej dowiemy się z telewizji.

Wróciliśmy do mojego mieszkania i przekonaliśmy się, że rzeczywiście mogło tak być. Na antenie NSI powtarzano nagranie, które już znaliśmy, ale TVN24 dotarła do nowych informacji i filmików.

Pokazywano postać wyłaniającą się ze światłości pod innym kątem. Było widać nieco więcej. Mężczyzna miał łagodne rysy twarzy, był szczupły, ale nie wychudzony. Rozglądał się ze spokojem, mimo że oddziały antyterrorystyczne wycelowały w niego cały arsenał.

Poruszył ustami, wypowiedział jakąś krótką kwestię, a potem ruszył w dół po schodach. Nagranie urywało się zaraz potem, ale telefon zarejestrował jeszcze, jak domorosły reporter stara się go schować przed jednym z funkcjonariuszy.

Staliśmy z Kingą przed telewizorem. Oglądanie tego na kanapie z jakiegoś powodu wydawało się niewłaściwe.

Przeszło mi przez głowę, że wyglądamy jak dwoje ludzi czekających w kolejce po komunię. Odsunąłem od siebie tę myśl. Mogła okazać się zbyt bliska prawdy, bym czuł się z nią komfortowo.

Milczeliśmy przez długi czas. Tak samo reagowali zapewne ludzie na całym świecie, bez względu na to, czy gdzieś była druga w nocy, czwarta nad ranem czy samo południe. Cały glob obserwował to, co działo się na płycie lotniska w Tel Awiwie.

W Ziemi Świętej.

– Co on powiedział? – odezwała się w końcu Kinga.

Powtarzano materiał, starając się wyczytać coś z ruchu ust. Początkowo chyba nikt nie wróżył sukcesu tym, którzy podjęli próby, ale szybko okazało się, że brak wiary w tym wypadku był nieuzasadniony.

Tym bardziej, że postać przemówiła po angielsku.

Nie dziwiło mnie to. Gdyby pojawiła się w piątym czy czwartym wieku przed naszą erą, zapewne użyłaby greki. W pierwszym wieku naszej ery usłyszelibyśmy z pewnością łacinę. Dziś być może ktoś, kto chciał przekazać wiadomość całej ludzkości, powinien mówić po mandaryńsku – ale tylko jeśli chodziło o liczbę ludzi, którzy byliby w stanie zrozumieć słowa bezpośrednio. Użycie chińskiego wiązałoby się z problemami tłumaczeniowymi. W przypadku angielskiego takiego kłopotu nie było.

Dziennikarze szybko ustalili, jaka fraza została wypowiedziana.

– *It is consummated* – odczytał jeden z dziennikarzy na antenie TVN24.

Poczułem się nieswojo. Tym bardziej że Kinga spojrzała na mnie, jakbym mógł wszystko wytłumaczyć.

– To… – zaczęła, ale potem jej myśli musiały skręcić w inną stronę. Potrząsnęła głową. – O co chodzi, Berg?

– „Wykonało się" – powiedziałem.

– Tak, zrozumiałam, co powiedział, ale…

Znów potrzebowała chwili, by zebrać myśli. Oboje patrzyliśmy wprost w ekran telewizora, czekając na więcej.

– Wykonało? – odezwała się Kinga. – Powiedziałabym raczej, że dokonało lub że zostało dopełnione. Ewentualnie…

– Ty może tak – przerwałem jej. – Ale w Biblii Tysiąclecia jest inne tłumaczenie.

– W Biblii? – spytała słabo.

Skinąłem głową.

– To słowa Jezusa na krzyżu. Przytacza je Święty Jan w Ewangelii. Rozdział dziewiętnasty, wers trzydziesty. Według jego relacji ukrzyżowany Chrystus miał wypowiedzieć te słowa tuż przed śmiercią.

Zaległo ciężkie milczenie. Nie wiedziałem, na ile Kinga znała te przekazy. Jeśli dość dobrze, to wiedziała, że według Łukasza Jezus wypowiedział jeszcze inną, krótką kwestię, zanim Bóg wezwał go do siebie.

Może nie miało to znaczenia. A może było wręcz przeciwnie – i pojawienie się wersu z relacji akurat Jana było znamienne.

– Nazywa się to Słowem Triumfu – odezwałem się, czując, że muszę przełamać ciszę. – Symbolizuje zakończenie drogi doczesnej Chrystusa i rozpoczęcie oczekiwania na… na zmartwychwstanie.

Wiedziałem, że to ostatnie słowo wybrzmi niepokojąco głośno. Zdawało się rozejść echem w moim mieszkaniu. Mieszkaniu, które mogło być skażone obecnością sił, które w taki czy inny sposób były tym związane. Nie czułem się dobrze z tą świadomością.

– W teologii traktuje się te słowa nie jako wyraz porażki, poddania się, ale wręcz przeciwnie.

– No tak… – odparła cicho Kinga.

– Jezus odkupił nasze winy – dodałem. – Boski plan się dopełnił, jego miłość została nam okazana. Chrystus ofiarował się za nas.

Oboje popatrzyliśmy na powtarzany po raz kolejny materiał. I na postać w białych szatach, która zdawała się uosabiać spokój, harmonię i cnotę. Nijak nie pasowało to do zbliżających się oddziałów z wymierzonymi w nią karabinami szturmowymi.

W końcu przestano pokazywać to samo. Dziennikarze CNN dotarli bowiem do nagrania, które wykonał jeden z gapiów zebranych pod lotniskiem, kiedy airbus podchodził do lądowania. Widz musiał dysponować całkiem niezłym

sprzętem, bo jakość kojarzyła mi się z filmami w ultra HD. Nagranie pokazywało, jak na tle mocno operującego słońca samolot przelatywał tuż nad osobą, która trzymała aparat. Kształt airbusa przesłonił na chwilę niebo, obraz stał się ciemny, niewyraźny.

Światełka na skrzydłach i ogonie zamrugały, a maszyna minęła nagrywającego i podeszła do lądowania.

Miałem niepokojące skojarzenia. Z pamięci wyłowiłem słowa przytaczane przez Świętą Faustynę. Zawsze napawały mnie pewną obawą, bo według autorki stanowiły orędzie, które wygłosił do niej Jezus Chrystus.

Zresztą nie tylko według niej. O wiarygodności przekazu Heleny Kowalskiej, zakonnicy ze Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia, był przekonany także Kościół. Nie bez powodu kilka lat temu w „Gościu Niedzielnym" pisano, że jej zapiski stały się najczęściej tłumaczoną na świecie polską książką.

Czytałem ją kilkakrotnie, za każdym razem z wrażeniem, że to niemal mistyczne przeżycie. Zbliżone do samych doświadczeń Świętej Faustyny, która za życia miała niejedną wizję czy objawienie.

Jedno z nich skojarzyło mi się z nagraniem, które wyemitowano na antenie. Zaraz jednak porzuciłem tę myśl, uznając, że przesadzam.

– Co tam się teraz dzieje? – zapytała Kinga.

Skupiłem się na powrót na tym, co tu i teraz.

– Przypuszczam, że niedługo się przekonamy – odparłem. – I nie tylko my.

Kinga popatrzyła na mnie z ukosa.

– Tylko bez dramatyzmu, Berg. – Zmusiła się do lekkiego uśmiechu.

Pomógł mi bardziej, niż się tego spodziewałem.

– Dramatyzm? W takiej sytuacji? Gdzie tam – odparłem, wskazując na postać w białych szatach. – Dzień jak co dzień.

Mesjasz wraca po raz kolejny, właściwie nie powinno to nikogo dziwić, w końcu było zapowiadane.

Mówiłem lekkim tonem, ale osiągnąłem chyba skutek odwrotny do zamierzonego.

– Naprawdę tak sądzisz? – spytała Kinga. – Że to… jak to nazywacie?

– Ponowne przyjście Zbawiciela.

– Nie, miałam na myśli jedno słowo…

– Paruzja – odparłem, a potem westchnąłem i usiadłem na kanapie. Kinga zajęła miejsce obok, ale w przeciwieństwie do mnie nie skupiła całej uwagi na telewizorze. Przyglądała mi się, założywszy rękę za oparcie.

– W głowie mi się to nie mieści – powiedziała.

– Mnie też nie.

– Ale myślisz, że to możliwe?

– Wszystko jest możliwe – odparłem. – O ile potrafisz wygooglać, jak to zrobić.

Nie odpowiedziała na mój wyjątkowo kiepski żart. Nie miałem jej tego za złe, takie komunały potwierdzały tylko, że sytuacja jest na tyle opłakana, iż chwytam się wszystkiego, by nie popaść w całkowite przerażenie.

– Pytam poważnie – dodała.

– Wiem.

– Ale boisz się odpowiedzi? – spytała, obejmując się ramionami, jakby zrobiło jej się zimno. – To w sumie odpowiedź sama w sobie.

– Niczego nie wykluczam – odparłem. – Poza tym to nagranie… to, które przed chwilą widzieliśmy, spod lotniska… sam nie wiem.

Wbiła we mnie ponaglający wzrok.

– Przypomniało mi o wizjach siostry Faustyny.

– Czyli? Nie kojarzę.

– Myślałem, że każdy w Polsce kojarzy.

– Najwyraźniej nie. Faustynę znam, ale o wizjach nie słyszałam.

Pokiwałem głową, zastanawiając się, od czego zacząć.

– Doświadczała stanów mistycznych przez lata – odezwałem się. – Miała stygmaty, doznawała bilokacji i…

– Mówisz poważnie?

Chciałbym, żeby tak nie było. Do powszechnej świadomości takie detale się nie przebijały, ale działo się tak nie bez powodu. Powodowały pewien niepokój.

– Mhm – potwierdziłem. – W trzydziestym pierwszym po raz pierwszy objawił jej się Chrystus. Miała dawać świadectwo jego miłości, przekazać nam jego słowa. I chyba jej się powiodło, biorąc pod uwagę liczbę rzeczy, które dziś przyjmujemy jako pewnik, a które po raz pierwszy pojawiły się właśnie… tą drogą.

– To znaczy?

Nabrałem tchu.

– Koronka do Miłosierdzia Bożego – odparłem. – Została podyktowana Faustynie przez Chrystusa. On też nakazał jej, by namalować pewien obraz, który być może kojarzysz. Jezus Miłosierny.

– To ten wizerunek z promieniami światła wychodzącymi z serca?

– Tak. Oryginalnie pędzla Eugeniusza Kazimirowskiego – potwierdziłem. – W dodatku to w ten sposób doszło do ustanowienia Święta Miłosierdzia Bożego w pierwszą niedzielę po Wielkanocy.

Miałem nadzieję, że nie zagłębiając się w szczegóły, udało mi się uświadomić jej, jak istotne dla Kościoła były wizje siostry Faustyny. Wnosząc po minie Kingi, uznałem, że tak.

– Miała także kontakt z siłami nieczystymi – dodałem niechętnie. – Atakowały ją zapalczywie, zupełnie jakby… otwarcie dialogu z jedną stroną otwierało także możliwość kontaktu z drugą.

Na szczęście nie wnikała. A ja nie chciałem o tym myśleć w kontekście mojej sytuacji.

– No dobrze – powiedziała. – Ale co to ma wspólnego z samolotem i tą postacią?

– To, że Chrystus objawił Faustynie okoliczności swojego ponownego przyjścia.

Kinga głośno przełknęła ślinę.

– Mówił o tym, że zanim przyjdzie jako sędzia, da ludziom znak na niebie, że nadchodzi dzień sprawiedliwy – ciągnąłem. – Chodziło o symbol krzyża, który przesłoni słońce.

Nie musiałem dodawać, jak wyglądał samolot, kiedy przelatywał nad człowiekiem wykonującym nagranie.

– Jezus dodawał, że z otworów, gdzie miał przebite ręce i nogi, wyjdą światła – dodałem.

– I uważasz, że te mrugające…

Zawiesiła głos, nie odrywając ode mnie wzroku. Skinąłem lekko głową.

– Na koniec Chrystus przekazał jeszcze, że stanie się to na krótko przed nadejściem dnia ostatecznego.

Kinga poruszyła się nerwowo.

– Chyba nie chcę wiedzieć więcej.

– Przypuszczam, że nie – przyznałem. – Bo dalej była mowa o tym, że przez cały czas, jaki nas dzieli od tego dnia, możemy liczyć na miłosierdzie. Ale kiedy Jezus ponownie przyjdzie, zjawi się już nie jako miłosierny zbawiciel, ale sprawiedliwy sędzia.

Zawsze uznawałem, że było w tym coś wyjątkowo ponurego. A jednocześnie potwierdzało właściwie wszystko to, co wiedzieliśmy o Apokalipsie.

– To właśnie obserwujemy, Berg?

– Być może.

– A jeśli istniałby sposób, żeby to sprawdzić?

Zmarszczyłem czoło, nie wiedząc, do czego dąży.

– Jesteśmy w wyjątkowym położeniu.

– My?

Przez moment łudziłem się, że ma na myśli naród. W końcu samolot, który zaginął i wrócił, miał na pokładzie głównie Polaków. W dodatku to Święta Faustyna zapowiadała paruzję. Może coś w tym było.

Kinga jednak miała na myśli znacznie mniejszą grupę ludzi.

– Ty i ja – powiedziała. – To, czego doświadczyliśmy, sprawia, że możemy dowiedzieć się więcej.

– W jaki sposób?

– Nawiązując kontakt z twoim ojcem. Tutaj, z pomocą szeptuchy.

– Wykluczone.

– Berg…

– Nie wiemy nawet, czy to był mój ojciec. Co, jeśli nie? Co, jeśli w jakiś sposób wpuścimy tutaj samego Szatana?

Spojrzałem na telewizor. Przyszło mi do głowy, że mógł już tutaj być.

Poprzedzać ponowne nadejście Mesjasza miał przecież fałszywy prorok, Święty Jan wielokrotnie podkreślał to w Apokalipsie. Ale może to już miało miejsce? Może była to jedna z wielu przenośni, których nie dopasowaliśmy odpowiednio do naszej rzeczywistości?

– Miałeś z nim bezpośredni kontakt – odezwała się po chwili Kinga. – Przy jego grobie, na cmentarzu.

– Jaki kontakt? – odparłem nieco za ostrym tonem. – Na pokładzie Japan Airlines? Nie było go tam, nie miało to z nim nic wspólnego.

– A jednak to mogiła w jakiś sposób sprawiła, że się tam znalazłeś. Jego mogiła.

– Nie.

Moja stanowczość zadziwiała właściwie nawet mnie samego. Wynikała zapewne z tego, że to właśnie na pokładzie tamtej maszyny po raz pierwszy widziałem łysego mężczyznę z białą brodą.

Doskonale pamiętałem jego wzrok, choć wtedy wydał mi się zwykłą reakcją jednego z pasażerów na moje zachowanie.

Dlaczego nie zająknąłem się o tym przed Kingą? Dlaczego nie chciałem dopuścić do siebie tej myśli? Przecież od kiedy tylko drzwi się otworzyły, wiedziałem, że to ten sam mężczyzna.

Znałem powód swojej rezerwy.

Ta postać mogła być Antychrystem.

Przerażała mnie ta myśl. Podobnie jak ta, że równie dobrze może się okazać samym Szatanem. A także fałszywym prorokiem.

Najbardziej druzgocąca była jednak myśl, że mógł nie być fałszywy. Mógł okazać się tym, na którego czekaliśmy. A to oznaczałoby, że to ja stoję po złej stronie. Że moce, które mną zawładnęły, nie mają z dobrem nic wspólnego.

– Grób umożliwił ci przejście, Berg.

– I dlatego nie zamierzam się nawet do niego zbliżać.

– Ale odpowiedzi…

– Tkwią gdzieś indziej.

– Tego nie możesz być pewien.

– Tak jak ty nie możesz być pewna, że wracając na pokład Japan Airlines 123, cokolwiek odkryję – odparłem, myśląc o tym, że potrzebuję earl greya z wkładką. – Tak jak tego, że w ogóle mogę tam wrócić.

– Możesz.

Brzmiała na zdecydowanie zbyt pewną siebie, co sprawiło, że opadł mnie niepokój. Czekałem, aż wytłumaczy mi, dlaczego tak się upiera – choć na dobrą sprawę nie musiała, kierowała się przecież zwykłą logiką. W przeciwieństwie do mnie.

– Inaczej nie byłoby związku z Czarnymi Madonnami – dodała. – W jednym i drugim luku były te wizerunki, Berg.

– Tak, pamiętam – odburknąłem.

– Te samoloty są w jakiś sposób połączone.

– Mhm.

– I nie trafiłbyś na pokład JAL 123, gdyby nie mogło ci się to do czegoś przydać.

Nawet bez świadomości tego, że spotkałem tam mężczyznę z brodą, wyciągnęła słuszne wnioski. Mimo to wzbraniałem się przed ich zaakceptowaniem. I tym bardziej nie miałem zamiaru mówić jej o niespodziewanym spotkaniu.

– Nie wrócę tam – powiedziałem. – To wbrew naturze.

– W jakim sensie?

– Moja obecność tam była… trudno to określić.

– Spróbuj – odparła, przysuwając się i mrużąc oczy. – Bo na razie pieprzysz jak potłuczony, a ja nie rozumiem dlaczego.

Potrzebowałem chwili, by ubrać myśli w słowa. W końcu uznałem, że wpadłem na dość zgrabne określenie tego, co czułem na pokładzie. Pomijając lęk, niepewność, poczucie głębokiej dezorientacji, było coś jeszcze. Coś tak wyraźnego, że nie mogłem tego zignorować.

– Dlatego, że to aberracja naturalnego stanu wszechrzeczy – powiedziałem.

Kinga gwizdnęła cicho.

– No, no.

– Próbuję opisać coś nadnaturalnego – zacząłem się bronić. – Nie wymagaj ode mnie jasnych definicji.

– Wymagam tylko prawdy. I jej nie słyszę.

– Dorobiłaś się osobistego wykrywacza kłamstw?

– Gówno prawda śmierdzi, Berg. Nie potrzebuję żadnego wykrywacza, by ją poczuć.

Uśmiechnąłem się lekko, a ona odpowiedziała mi tym samym. Potrzebowaliśmy nieco rozluźnienia – i cieszyło mnie, że może ono płynąć nawet z takiej rozmowy. Właściwie odnosiłem wrażenie, że nawet gdybyśmy się kłócili, oboje spędzalibyśmy czas względnie miło.

Przez moment milczeliśmy, patrząc na siebie. Nie mogłem nie pomyśleć o tym, co robi i gdzie teraz jest Rudyk. I czy Aneta wciąż znajduje się na pokładzie samolotu.

Być może Kindze przeszło przez myśl to samo, bo odwróciła wzrok. Na antenie stacji informacyjnej nadal nie podano żadnych nowych informacji.

– Musimy spróbować – powiedziała. – Tylko tak możemy się czegoś dowiedzieć.

– Nie tylko.

Ściągnęła brwi, sądząc chyba, że wpadłem na jakiś nowy pomysł. Tak nie było. Sięgnąłem po znane nam rozwiązanie. To, które proponowała.

– Pola – powiedziałem.

Kinga traktowała pomysł skontaktowania się z szeptuchą wyłącznie jako środek zastępczy. Nie miałem złudzeń, że ostatecznie i tak wróci do przekonywania mnie, że powinniśmy pójść na cmentarz.

– Wiesz, jak się z nią skontaktować? – spytała.

– Nie mam pojęcia.

– W takim razie to świetne rozwiązanie.

– Ostatnim razem sama się zjawiła, kiedy była potrzebna.

– Bo dostała sygnał z zaświatów, by to zrobić.

Ton głosu Kingi był tak niejednoznaczny, że nie wiedziałem, czy kpi, czy mówi poważnie. Tak czy inaczej, miała rację.

– Więc nie wiemy, gdzie choćby zacząć szukać Poli, nie wiemy, czym może się skończyć kolejne przywoływanie dusz, nie wiemy, czy szeptucha w ogóle będzie gotowa nam pomóc.

– Nie wiemy, ale…

– Za to doskonale wiemy, gdzie znajduje się grób twojego ojca. Nie wspominając już o tym, że istnieje spore prawdopodobieństwo, że znów posłuży ci za pomost między światami.

– Światami?

– Jak zwał, tak zwał.

– To ten sam świat – zaoponowałem. – Tylko inny czas.

– Tak czy owak, mamy jedną wersję z pewnikiem i drugą z samymi znakami zapytania. I chcesz wybrać tę drugą.

– Zdecydowanie.

Pokręciła bezradnie głową, ale nie ciągnęła tematu. Znała mnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nie zmienię zdania. Przynajmniej dopóty, dopóki nie będę musiał. A teraz sytuacja bynajmniej mnie do tego nie zmuszała.

Zmieniło się to kilka godzin później.

Media nie podały żadnej nowej informacji w sprawie samolotu i wydawało się, jakby cały świat nałożył embargo na wiadomości z Izraela. Pojawiła się jednak inna wieść.

Niedaleko Wrocławia, w jednej z niewielkich wsi, dokonano makabrycznego odkrycia. W pustostanie na obrzeżach miejscowości odnaleziono ciało staruszki z heksagramem wypalonym na skórze.

Zwłok nie zidentyfikowano. Lokalny portal, który podał informację, upublicznił jednak także zdjęcie z miejsca zdarzenia. Samego ciała wprawdzie nie pokazano, ale zakrwawiona chusta, która leżała między porzuconymi, zniszczonymi meblami, była mi doskonale znana.

X

Zło przeniknęło do naszego świata i miało zadomowić się w nim na dobre. Nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości, mimo że zdecydowana większość ludzi, z którymi rozmawiałem przez kilka pierwszych godzin od pojawienia się AH 3836, miała nastawienie odwrotne.

Grupa znajomych Kingi i Mariusza zebrała się w ich mieszkaniu, najwyraźniej wychodząc z założenia, że im więcej ludzi w jednym miejscu, tym bezpieczniej. Nigdy bym się pod tym nie podpisał. Historia pokazała, że takie skupiska stanowią łatwy i kuszący cel dla wroga.

Tyle że nikt nie przypuszczał, że w istocie byliśmy na wojnie.

Kinga musiała zmusić mnie niemal siłą, bym poszedł z nią do mieszkania. Usiedliśmy w salonie, wpatrując się w telewizor jak w wyrocznię. Wydawało mi się, że wszyscy są już pijani – i jeśli się pomyliłem, to tylko trochę.

– Byłeś księdzem, prawda? – zapytała Maria, jedna z przyjaciółek Kingi.

Skinąłem głową.

– Co o tym wszystkim myślisz?

– Nic.

Zebrani popatrzyli po sobie, jakby mieli do czynienia z trędowatym lub chorym psychicznie.

– Nie wydaje ci się, że to może być powtórne przyjście?

– Nie.

– Możesz rozwinąć?

– Mogę, ale…

– To nie krępuj się – wtrącił się Rudyk. – Wszyscy jesteśmy ciekawi zdania profesjonalisty.

– Nie mam z profesjonalistą nic wspólnego, jeśli idzie o religię.

– Ale miałeś – zauważyła Maria. – Orientujesz się lepiej od nas.

– Każdy orientuje się tak, jak mu na to pozwala wiara – odparłem.

Towarzysz Marii zagwizdał cicho pod nosem, ale więcej było w tym uznania niż szyderstwa.

– Właśnie o tym mowa, Filip – orzekł. – Zasuwasz takie teksty, jakie tylko ksiądz potrafi. Mów, co myślisz.

Nic nie stało na przeszkodzie temu, bym tak zrobił. Nic, z wyjątkiem tego, że sam do końca nie byłem pewien, co myśleć. Jak traktować tę postać, która wyszła z samolotu? Jak postrzegać to, co się działo? Gdyby moja wiara była niezachwiana, nie stawiałbym wielu pytań, które teraz kołatały mi się w głowie. Na część z nich odpowiedzi znajdowały się bowiem w Ewangeliach.

– No, dalej – odezwała się Maria. – To on czy nie?

– On?

– Jezus Chrystus.

Jeszcze kilka godzin wcześniej brzmiałoby to jak kpina. Wraz z upływającym czasem coraz więcej osób zaczęło oswajać się z taką hipotetyczną możliwością. Ja także.

Choć miałem świadomość, że równie prawdopodobne jest, że z Synem Bożym ta osoba nie ma nic wspólnego.

– W Biblii na pewno to opisano – zauważył towarzysz Marii. – Prawda?

– Tak – przyznałem. – U Mateusza, Łukasza, Marka i wielu innych jest sporo elementów eschatologicznych.

Zaległa cisza, która dowodziła, że nie wszyscy moi rozmówcy wiedzą, co mam na myśli.

– Związanych z końcem świata – wyjaśniła Kinga.

Potwierdziłem ruchem głowy, a potem nabrałem tchu.

– Nie ma jednego tekstu, który opisywałby powtórne przyjście Mesjasza – odezwałem się. – Ale fragmenty związane z tym wydarzeniem przewijają się u Łukasza, który mówi

o deptaniu Jerozolimy przez pogan, o znakach na niebie, zmianach na świecie… a Marek i Mateusz określają to jako początek boleści. Obaj wspominają też o konfliktach, powszechnym głodzie i prześladowaniach.

– Ponury obraz – mruknął Mariusz.

– Ponuro zaczyna się robić dopiero, kiedy sięgniemy po pierwszy list Świętego Pawła do Tymoteusza – odparłem. – Paweł relacjonuje, że „w czasach ostatnich niektórzy odpadną od wiary, skłaniając się ku duchom zwodniczym i ku naukom demonów".

Z niepokojem pomyślałem o tym, że ten ostatni fragment może dotyczyć mnie samego. Próbując nawiązać kontakt z szeptuchą, chciałem powtórzyć właśnie to, co uczeń Jezusa określał jako odpadnięcie od wiary.

Starałem się nie myśleć o Poli. Za każdym razem oczami wyobraźni widziałem heksagram wypalony na jej ciele. Nie wiedziałem, czy był piętnem pozostawionym przez tych, którzy ukarali ją za skłanianie się ku naukom demonów, czy wręcz przeciwnie – świadectwem obecności tych istot.

Jedna i druga myśl były niepokojące. Wróciłem myślami do ponownego przyjścia. Czując na sobie spojrzenia wszystkich zebranych, wiedziałem, że muszę kontynuować. Oczekiwali konkretów, a nie tylko ogólnych podsumowań tego, co było w Biblii.

– Przed nadejściem Chrystusa ma pojawić się pięć tak zwanych prodromów paruzji.

– Czego? – jęknął Rudyk.

– Zwiastunów ponownego przyjścia. Znaków.

– I jakie to znaki? – spytała Maria, nachylając się w moją stronę.

– Pierwszy to nawrócenie Izraela – powiedziałem. – Interpretować to można oczywiście na wiele sposobów, ale wydaje się, że chodzi nie tyle o sam kraj, co historyczny region. Jeśli przyjąć taką wersję, to miało już miejsce,

chrześcijaństwo nie tylko się tam rozwijało, ale podjęło walkę. Odbudowało się choćby w patriarchacie antiocheńskim. Tym samym, który w Dziejach Apostolskich określany jest jako pierwszy, w którym uczniów Jezusa nazwano chrześcijanami i…

– A drugi parodrom? – spytała Maria.

– Prodrom – poprawiłem ją. – Dotyczy upowszechnienia się, rozwoju chrześcijaństwa na całym świecie. Szerokiego głoszenia Ewangelii. To także według niektórych już się dokonało.

– Ale chyba to islam rośnie w siłę najszybciej – zauważył Rudyk.

– Tak się spekuluje – przyznałem. – Ale szacunki na dwa tysiące pięćdziesiąty rok są też optymistyczne dla chrześcijaństwa. W tej chwili jest nas na świecie ponad dwa miliardy, za niewiele ponad trzydzieści lat niemal przekroczymy granicę trzech miliardów. Europa przestanie być drugim po Ameryce kontynentem, gdzie jest nas najwięcej, to miejsce zajmie Afryka.

Zebrani pokiwali głowami.

– Trzeci prodrom jest związany z zamętem – ciągnąłem. – Mateusz pisze o wojnach, powstaniach narodów przeciwko narodom, głodzie, zarazach, katastrofach naturalnych… nie muszę chyba dodawać, ile przykładów było w ostatnich latach.

Widziałem, że każdy z moich słuchaczy dopowiedział sobie resztę. Bliski Wschód, w szczególności Syria. Rosja i Ukraina. Trzęsienia ziemi we Włoszech, tsunami w Azji, huragany w Stanach Zjednoczonych… było z czego wybierać.

– Ma to się wiązać z ogólną niezgodą na świecie – dodałem. – Z prześladowaniem chrześcijan. Wielu twierdzi, że to właśnie dzieje się w wielu miejscach. Co roku za swoją wiarę ginie na świecie przeszło sto siedemdziesiąt tysięcy. Szacuje się, że w dwudziestym wieku te śmiertelne żniwa zabrały czterdzieści pięć milionów dusz. – Na moment urwałem. – Ale ostatecznie

Mateusz radzi, by podnieść głowy, bo zbliża się nasze odkupienie.

Kinga odchrząknęła niepewnie, Maria potarła się po karku.

– To trzeci prodrom – powiedziała. – A czwarty?

– Jest konsekwencją prześladowań. Mają przybrać na sile, wiele narodów ma się zwrócić przeciwko chrześcijanom. W końcu mają się pojawić fałszywi prorocy, którym wielu zawierzy.

– Do tego nie doszło – odezwał się Rudyk.

– Według ciebie.

– A twoim zdaniem jest inaczej?

– Nie wiem, co myśleć – odparłem, wzruszając ramionami. – Ale jest wiele interpretacji, według których czwarty prodrom się dokonał. Niektórzy twierdzą, że zarzynanie chrześcijan w Afryce to już kolejny etap prześladowań, że rugowanie religii z życia publicznego w Europie, wzrost liczby ateistów i ogólne uwielbienie dla ikon masowej kultury to właśnie to, o czym pisał Mateusz.

Zamilkłem, jakby chwilowa cisza była konieczna.

– Co miesiąc na świecie zabijanych jest średnio trzystu dwudziestu dwóch chrześcijan, czyli dziennie ginie ich około trzydziestu. Tak źle nie było nigdy – dodałem. – W dodatku Święty Mateusz wspominał o nieładzie, zamieszaniu w Kościele. Wielu łączy to z coraz większą liczbą nadużyć korupcyjnych, przypadków molestowania i tak dalej.

Obawiałem się, że wywiąże się dyskusja – jedna z tych, których miałem serdecznie dosyć. Nikt jednak nie podjął tematu, zapewne głównie dlatego, że wszyscy chcieli usłyszeć, jaki jest ostatni, piąty znak zapowiadający ponowne nadejście Mesjasza.

Zrobiłem głęboki wdech. Bardziej od dyskusji na temat eschatologii chciałem uniknąć mówienia o ostatnim prodromie. Nie miałem jednak wyjścia.

– Co ma stać się potem? – ponagliła mnie Maria.

– Pojawi się Antychryst.

Zaległa cisza. Wszyscy wbijali we mnie wzrok, a ja poczułem się, jakby ktoś chodził po moim grobie. Miałem ochotę bez słowa podnieść się i wyjść.

– Ma wywodzić się z naszego Kościoła – dodałem. – Ma mieć w nim jakieś ugruntowanie, odwoływać się do jego zasad. Wcześniej fałszywi prorocy mają przygotować nas na jego przyjście, przekonując, że to oni głoszą prawdziwą naukę chrześcijańską.

Przeszły mnie nieprzyjemne ciarki.

– Mateusz przytacza zresztą bezpośrednio słowa Chrystusa – dodałem. – „Strzeżcie się, żeby was kto nie zwiódł. Wielu bowiem przyjdzie pod moim imieniem i będą mówić: Ja jestem Mesjaszem".

Zgromadzeni czekali na więcej, ale właściwie powiedziałem już wszystko, co powinienem. Mimo to coś z tyłu głowy kazało mi dodać parę rzeczy.

– Rozpocznie się koniec czasów – odezwałem się, a głos wydawał mi się jakby nie mój. – Nastąpią cierpienie, lęk i rozpacz. Ludzie zaczną szukać pomocy, będą zwracać się do diabelskich postaci. Wtedy ukaże się sam Szatan.

Z trudem przełknąłem ślinę. Chciałem przestać, ale nie potrafiłem.

– Weźmie odpowiedzialność za dzieło zniszczenia – powiedziałem. – A ci, którzy mu się przeciwstawią, zostaną wystawieni na próbę. Doczekają odkupienia, niedługo potem zstąpi bowiem z nieba Chrystus.

Kinga otworzyła usta, ale się nie odezwała. Powiodłem wzrokiem po pozostałych.

– Swoją mocą, wszechwładzą i słowem, zjawi się, by zniszczyć Szatana – dodałem.

Kiedy nikt nie odpowiadał, poczułem się jeszcze bardziej nieswojo. Kaszlnąłem kilkakrotnie, zasłaniając usta, a potem

rozejrzałem się niepewnie. Napięcie zdawało się utrzymywać na stałym poziomie.

Podniosłem się i poszedłem do kuchni, nasłuchując. Wszyscy nadal milczeli, kiedy nastawiłem sobie wody na herbatę. Po chwili dołączyła do mnie Kinga. Dopiero wtedy usłyszałem pierwsze ciche i niepewne rozmowy.

– To ostatnie też z Mateusza? – spytała, jakby wcześniej czytała Ewangelię i wiedziała, że niektórych rzeczy tam nie było.

– Tak – potwierdziłem.

Poczułem lekkie nudności, jakby mój organizm chciał zasugerować mi, że nie tędy droga i nie ma sensu okłamywać Kingi. Stanęła przede mną i uśmiechnęła się lekko, widząc doskonale, jak bardzo tego potrzebuję.

Zerknąłem w stronę pokoju. Obawiałem się, że za moment w progu pojawi się Mariusz. Zobaczy, jak blisko siebie stoimy, wyczuje, że coś jest nie w porządku. Słyszałem jednak, że wdał się w dyskusję z jednym ze swoich kumpli.

– Mogłeś zakończyć jakimś optymistycznym akcentem – zauważyła Kinga.

– W wizjach końca świata nie ma ich zbyt wiele.

– A nie kończą się przypadkiem triumfem Jezusa?

– No tak – przyznałem bez przekonania. – „Syn Człowieczy przyjdzie z mocą i w chwale". Ewangelia według Świętego Marka.

Zalałem torebkę z herbatą, a potem rozejrzałem się za jakąś butelką. Byłem gotowy wlać do earl greya cokolwiek, nawet czysty spirytus.

– To się właśnie stało, Berg? – spytała Kinga. – Czy nie jesteśmy jeszcze na tym etapie?

Słowo „jeszcze" było kluczowe. Udowodniało, że oboje w istocie pogodziliśmy się z tym, co się działo. Byliśmy gotowi przyznać, że oto wypełniają się biblijne proroctwa.

– To jeden z fałszywych proroków? – dodała. – Czwarty prodrom? Czy piąty?

– Może ani jeden, ani drugi. Może to naprawdę on.

Mój głos znów zabrzmiał obco. Każda wersja wydawała się tak samo absurdalna. Każda jednak zarazem była tak samo prawdopodobna.

Nie mogłem przesądzić, czy którakolwiek interpretacja prodromów była słuszna. A nawet niewielka pomyłka mogła skutkować zupełnie innym oglądem na sprawę.

Niespodziewanie Kinga ujęła mnie za rękę.

Oboje spojrzeliśmy w kierunku pokoju, jakby zaraz miał tam wybuchnąć pożar. Właściwie nie było to tak dalekie od prawdy, jak mogłoby się wydawać. I to nie tylko dlatego, że gorąca dyskusja trwała w najlepsze.

Spojrzałem w oczy Kindze, a potem skierowałem wzrok na nasze dłonie.

– Ręce ci się trzęsły – powiedziała.

– Naprawdę?

– Nie.

Uniosłem lekko kąciki ust.

– Gdzie w tym wszystkim twoja rola, Berg?

Dobre pytanie, uznałem w duchu. Jedno z tych, na które nie chciałem znać odpowiedzi.

– Mam nadzieję, że nigdzie – odparłem.

– Naprawdę chcesz się łudzić, że tak jest?

– Tak – przyznałem z niemalejącym uśmiechem.

Miałem wrażenie, że jedną rozmowę prowadzimy za pomocą słów, zupełnie inną przy użyciu gestów i spojrzeń. W pewnym momencie nie wiedziałem już, na co czekam z większą niecierpliwością – czy na nowe wieści z Tel Awiwu, czy na rozwój sytuacji z Kingą.

W końcu przyznałem przed sobą, że oboje znaleźliśmy się na prowadzącej dokądś drodze. Nie w ślepej uliczce. Coś przed

nami było – nie wiedziałem tylko co. Podobnie jak w przypadku AH 3836.

Przypuszczałem, że niebawem w jednej lub drugiej sprawie czegoś się dowiemy.

Stało się jednak inaczej – pojawiła się trzecia.

– Hej! – rozległ się krzyk Rudyka.

Oboje spojrzeliśmy w kierunku drzwi.

– Chodźce! – ryknął. – Pojawił się ten drugi samolot!

XI

Airbus chorwackich linii lotniczych nie przykuł takiej uwagi całego świata, jak stało się to w przypadku maszyny Air Hibernii. Powód był prosty – samolot znalazł się w międzynarodowej przestrzeni powietrznej, gdzieś nad Morzem Tyrreńskim. Nie zagrażał nikomu, a przykład pierwszego z nich kazał sądzić, że i w tym wypadku scenariusz będzie podobny.

Maszyna siądzie na jakimś lotnisku, a potem ze środka…

Sam nie wiedziałem, czy powinniśmy spodziewać się powtórki z rozrywki. Jeśli tak, to należało przyjąć, że obserwujemy nadejście fałszywych proroków. Antychryst pojawiłby się bowiem sam. Chrystus także.

Serce zabiło mi szybciej, kiedy pomyślałem, jak blisko otrzymania odpowiedzi jesteśmy.

– Leci od strony Afryki – oznajmiła Maria.

Razem z Kingą znów stanęliśmy przed telewizorem, jakbyśmy mieli zamiar się do niego modlić.

– Przed chwilą wypowiadał się jakiś ekspert – dodał Rudyk. – Podobno tor lotu wygląda, jakby wystartował z Tunisu.

– Ale tak nie było? – spytałem.

– Nie. Pojawił się znikąd. I leci teraz w kierunku Europy.

Spojrzałem na mapę regionu, którą na całym ekranie wyświetliła NSI. Zaznaczono hipotetyczną trasę maszyny i wskazano, nad którymi europejskimi miastami może przelecieć, jeśli nie zmieni kursu.

W grę wchodziły Rzym, Wiedeń, Warszawa, a potem Ryga. Na dalszą podróż według komentatorów nie było szans, choć nie pokładałem przesadnej wiary w ich słowa. Nie mieli pojęcia, ile paliwa mogło znajdować się na pokładzie airbusa. Ani czy w ogóle mknął przez przestworza dzięki niemu.

Mapa znikła z ekranu. Zastąpiła ją prowadząca program informacyjny. Docisnęła do ucha słuchawkę i zmarszczyła czoło, najwyraźniej otrzymując z reżyserki informacje, w które nie do końca wierzyła.

Odchrząknęła i popatrzyła prosto w kamerę.

– Proszę państwa, otrzymujemy pierwsze, jeszcze oficjalnie niepotwierdzone informacje, że chorwacki airbus obniżył pułap – powiedziała. – Wygląda na to, że schodzi do lądowania.

– Rzym… – jęknęła cicho Maria. – Watykan.

Miało to sens. Najpierw Ziemia Święta, potem Stolica Piotrowa.

Dwa istotne miejsca, dwa samoloty, które wróciły Bóg jeden wie skąd. A może nawet on nie wiedział, pomyślałem.

Ale czy było to równoznaczne dwóm prorokom? Dwóm postaciom, które mogły stanowić odzwierciedlenie dobra i zła?

Jeśli tak, świat był już skazany. Walka między nimi rozegra się kosztem ludzkości, co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości.

– Z europejskich baz lotniczych zostały poderwane myśliwce – ciągnęła kobieta na wizji. – Operację koordynuje wojsko włoskie i w tej chwili wszystko wskazuje na to, że… że zmobilizowanych zostało…

Na moment urwała, znów przyciskając słuchawkę. Z wyraźnym trudem przełknęła ślinę, a jej milczenie zdawało się przeciągać w nieskończoność. Przypuszczałem, że w reżyserce osoby decyzyjne już odchodziły od zmysłów.

– Włoskie Siły Powietrzne poinformowały, że poderwano kilkanaście myśliwców wielozadaniowych Eurofighter Typhoon – odezwała się w końcu prezenterka. – Oraz kilka samolotów szturmowych AMX International.

Popatrzyłem na Kingę, a ona w odpowiedzi uniosła brwi.

– Wedle informatorów CNN piloci otrzymali rozkaz, by przyjąć pozycje do przeprowadzenia ataku na samolot

pasażerski. Komentatorzy twierdzą, że to standardowa procedura w takiej sytuacji i nie należy się spodziewać, że wojsko włoskie postąpi inaczej niż izraelskie.

Na tym konkretne wiadomości się kończyły, a dziennikarka przeszła do tego, ile osób było na pokładzie, kiedy i gdzie samolot zaginął i kim są pasażerowie. Wszystko to miało sprawić, że widz zainteresuje się jeszcze bardziej sytuacją, co do wiekopomności której nikogo nie trzeba było przecież przekonywać.

Być może wiedziała, co robi. Zaraz potem bowiem zaczęły napływać wieści z Izraela. Zainteresowany świat zwrócił oczy w tamtym kierunku.

Po przekazaniu krótkiej informacji, że premier Izraela wygłosi za moment oświadczenie, dziennikarka głęboko nabrała tchu. Wyraźnie miała dosyć, a ja doskonale ją rozumiałem.

– Wedle niepotwierdzonych informacji na pokładzie AH 3836 obecni są wszyscy pasażerowie – powiedziała drżącym głosem. – Zweryfikowano ich tożsamość i zgromadzono ich w wydzielonym miejscu na lotnisku Bena Guriona. Po przeprowadzeniu badań i ustaleniu, że nie stanowią żadnego zagrożenia, mają zostać wypuszczeni.

Sprawiała wrażenie, jakby sama nie dowierzała temu, co mówi.

Nie była jedyna. Jej słowa dudniły mi głośnym echem w głowie, miałem wrażenie, jakby odzywała się nie kobieta na wizji, a jedna z potępionych dusz, gdzieś z najgłębszych zakamarków zaświatów.

– Istnieje szansa, że na konferencji prasowej premier pojawi się w towarzystwie kapitana lotu – dodała kobieta. – Na chwilę obecną nie wiemy nic więcej.

Maria, Rudyk i kilka innych osób spojrzało na mnie, jakby chcieli pokrzepić mnie samym spojrzeniem. Jakby chcieli

powiedzieć: trzymaj się, chłopie, twoja narzeczona niebawem do ciebie wróci, to koniec koszmaru.

Koszmar jednak dopiero się zaczynał.

A ja nie miałem pojęcia, czy kobieta, która do mnie wróci, naprawdę będzie tą samą, która mnie opuściła. W ustach nagle mi zaschło, a w nozdrzach pojawił się znajomy smród.

Musiałem skierować myśli na inny tor.

Podszedłem do laptopa, którego Mariusz musiał przed momentem odłożyć na kanapę. Podniosłem go i wyświetliłem mapę. Włosi mieli gigantyczny problem. W przypadku Izraela było sporo czasu na decyzję, czy maszyna zagraża komukolwiek, czy nie. Mogła być bezpiecznie zestrzelona po minięciu lotniska.

W przypadku Włochów tak nie było. Jeśli samolot nie skieruje się ani na Fiumicino na zachodzie, ani na Ciampino na wschodzie, tylko poleci na wprost, ku Watykanowi, nie sposób będzie go już zatrzymać.

– Co robisz? – zapytała Kinga, stając obok.

Wskazałem mapę i wyjaśniłem. Przez moment się namyślała.

– Będą mieli problem, jeśli samolot poleci dalej.

– Niemały.

– Nie zestrzelą go nad Trastevere czy inną gęsto zaludnioną dzielnicą.

– Nie będą musieli.

– Tak myślisz? – spytałem pod nosem.

– Jeśli w przypadku AH 3836 nie było takiej konieczności, teraz też nie będzie.

– Oby.

Oboje wiedzieliśmy, że to temat zastępczy. I mimo że nas pochłaniał, to nie na nim się skupialiśmy.

– Bo jeśli zacznie się zniżać, ale minie obydwa lotniska, dojdzie do niemożliwej sytuacji. Będą mieli pewność, że maszyna traci wysokość, by w coś uderzyć, a jednocześnie nie będą mogli jej zestrzelić, bo…

– Nie bądź pesymistą.

Niewiele brakowało, a parsknąłbym śmiechem.

– W takiej sytuacji? – zapytałem. – Musiałbym być szalony, żeby znaleźć choć trochę optymizmu.

– Wręcz przeciwnie – zaoponowała stanowczo. – Aneta wróciła, Berg. Ci wszyscy ludzie żyją. Na tym powinniśmy się skupiać.

Na tym i człowieku z białą brodą, chciałem dodać.

– Wszystko się dobrze skończy, zobaczysz – zapewniła.

Byłem innego zdania – premier Izraela być może też, bo pojawiła się informacja, że przełożył konferencję prasową. Twierdzono, że polityk zamierza poczekać, aż chorwacki boeing wyląduje na którymś z dwóch rzymskich lotnisk.

Do tego miało jednak nigdy nie dojść.

Stało się to jasne, kiedy maszyna nie obrała kursu na żadne z tych dwóch miejsc, a pułap był już na tyle niewielki, że nie mogło być wątpliwości – zamierza wylądować gdzieś w Rzymie.

Nie, nie. Z lądowaniem nie będzie to miało nic wspólnego.

Wszyscy zamarliśmy, kiedy NSI podała tę informację. Na antenie nie pokazywano dziennikarki. Zamiast tego wyświetlono mapę z zaznaczoną obecną pozycją samolotu. Dokonano też symulacji trajektorii lotu, biorąc pod uwagę obniżanie pułapu i obrany kierunek.

– Na tym etapie wiemy już, że… wszystko wskazuje na to, że airbus uderzy w Watykan – wydusiła kobieta. – Ostatnie doniesienia mówią o tym, że piloci musieli zwiększyć ciąg silników. Zamiast tracić prędkość, samolot jej nabiera…

Urwała, a na antenie zaległa niecodzienna, budząca grozę cisza. Rzadko zdarzało się, by w studiach telewizyjnych tak się działo. Jeśli nawet prezenterowi zabrakło słów, ekipa produkcyjna szybko ratowała sytuację, emitując wypowiedź kogoś innego.

W tym wypadku nikt jednak tego nie zrobił. Milczenie wydawało się jedynym właściwym rozwiązaniem.

Trwało jeszcze chwilę. Potem dziennikarka znów zabrała głos.

– Powtórzmy… – szepnęła. – Samolot chorwackich linii lotniczych obrał kurs na Watykan. Wszystko wskazuje na to, że uderzy w… w…

Nawet nie próbowała kontynuować.

– Jest przecież jeszcze jedno lotnisko… – odezwał się Rudyk. – Przed chwilą o tym czytałem. Na północ od Rzymu. Mogą się tam kierować. Przecież rozbicie tego samolotu… to bez sensu.

– Na północ? – spytała Maria.

– Jakiś mały port. Regionalny.

– Widocznie uznali, że ma za niski pułap – odezwała się Kinga. – Nie pomyliliby się. Nie w takiej sprawie.

Niewielki, czerwony punkt na mapie przesuwał się w kierunku Watykanu. Był jak kontrolka alarmowa, sygnał, że zaraz dojdzie do tragedii i jest już zbyt późno, by cokolwiek zrobić.

– Ile osób jest teraz na placu Świętego Piotra? – odezwałem się.

Zanim ktokolwiek odpowiedział, zdałem sobie sprawę, że kiedykolwiek bym tego pytania nie zadał, po ułamku sekundy każda odpowiedź stawała się niezgodna z prawdą. Ludzie musieli masowo opuszczać Watykan, pędząc na złamanie karku. Nie chciałem nawet sobie wyobrażać, co musi się tam teraz dziać.

– Około miliona – odezwał się Mariusz. – Mówili przed chwilą, że nawet ponad…

– Czyli mniej więcej tyle, ile zebrało się podczas beatyfikacji Jana Pawła II – powiedziałem, przypominając sobie tamte tłumy.

Zatem pomyliłem się. Nie mogło być mowy o żadnej ucieczce. Ci ludzie byli tam zakleszczeni, znaleźli się w śmiercionośnym imadle stworzonym przez wszystkich zebranych. Pomyślałem, że mogło być znacznie gorzej. W tej sytuacji do Stolicy

Apostolskiej masowo zjeżdżali wszyscy turyści, mieszkańcy Rzymu i okolicznych miast, pielgrzymi… właściwie każdy katolik, którego było stać na podróż.

Spojrzałem na czerwony punkt. Wciąż zbliżał się do najgęściej zaludnionych dzielnic Rzymu.

Wiedziałem, że od podjęcia decyzji włoski rząd dzielą jedynie sekundy. Jeśli mieli zamiar strącić ten samolot, musieli działać natychmiast. Za kilka sekund jakikolwiek atak będzie się mijał z celem.

Wszystkie kamery w Rzymie zostały wycelowane w ogromnego airbusa. Stacje telewizyjne w okamgnieniu uzyskały aż nadmiar relacji, które mogły na bieżąco przekazywać swoim widzom.

NSI wyświetliło amatorskie nagranie na żywo. Jakość nie była najlepsza, ale w niczym to nie przeszkadzało. Na tle jasnego, bezchmurnego nieba mknął z zawrotną prędkością samolot pasażerski. Tuż za nim leciał rój myśliwców.

Wyglądało to dramatycznie. I musiało skończyć się dramatem.

Nie sposób było oszacować, ile ofiar pochłonie spadająca w Trastevere maszyna. Jeśli jednak pozwolono by jej dotrzeć do placu Świętego Piotra, nie trzeba byłoby nawet się zastanawiać. Zginąłby każdy.

Cenne sekundy mijały, a mimo to nic się nie działo.

Do czasu.

W pewnym momencie kobieta w studiu niemal zachłysnęła się powietrzem. Wiedziałem, co to oznacza. Znałem to z relacji meczów piłkarskich, kiedy włączone były dwa telewizory – na jednym był obraz z satelity, na drugim ze stacji naziemnych.

Obraz na żywo z Rzymu NSI otrzymywała o sekundę wcześniej niż my. Tyle wystarczyło, by między dziennikarką a odbiorcami powstała informacyjna wyrwa.

Z przerażeniem obserwowałem, jak lecące w równej formacji myśliwce w jednym momencie zwolniły zaczepy mocujące

pociski typu powietrze-powietrze. Rozległ się głośny huk, a potem w kierunku samolotu pasażerskiego pomknęła cała chmara cylindrycznych głowic.

Wtedy stało się to, co nie miało prawa się wydarzyć.

Na niebie przed airbusem pojawiła się czarna, nieregularna smuga, jakby tuż przed nim przed momentem leciała kilkaset razy większa, monstrualna maszyna. Chmura natychmiast oplotła samolot.

Wszyscy wstrzymaliśmy oddech, kiedy czarny, podłużny kształt zdawał się pochłonąć także wszystkie pociski rakietowe, a potem lecące za nimi myśliwce. Niebo przesłonił mrok.

A ja pomyślałem o tym, że to kolejny znak.

XII

Część z nas była przekonana, że to jakiś rodzaj osłony, która ma ochronić samolot i sprawić, by ten mógł dokonać dzieła zniszczenia. Ci, którzy wychodzili z takiego założenia, najwyraźniej uznali, że to siły zła sterują tym wszystkim.

Pozostali wierzyli, że Bóg jest miłościwy. Że chmura powstrzyma airbusa przed spadnięciem wprost na Watykan.

Prawda, jak zawsze, zdawała się leżeć pośrodku.

Mroczna smuga wisiała na niebie przez kilkadziesiąt minut, a kiedy zaczęła w końcu niknąć, po maszynach nie było żadnego śladu. Znikł nie tylko samolot pasażerski, ale także kilkadziesiąt statków powietrznych włoskiego wojska.

Po raz pierwszy w życiu doświadczyłem sytuacji, kiedy komentatorzy zaproszeni do studiów telewizyjnych nie wiedzieli, co powiedzieć – ani nawet jak udawać, że mają jakiekolwiek pojęcie o sprawie.

Wszyscy czekaliśmy na konferencję izraelskiego premiera jak na zbawienie. A kiedy zobaczyliśmy go za mównicą, bladego jak śmierć, od razu zrozumieliśmy, że nie usłyszymy niczego, co wytłumaczyłoby nam sytuację.

Sam zdawał się najbardziej skołowany z nas wszystkich.

Ledwo się odezwał, a zrozumieliśmy, dlaczego tak jest. Oświadczył, że wszystko, co się wydarzyło, zapowiedział mężczyzna z białą brodą. Według polityka to właśnie on miał sprawić, że samolot nie uderzył w Watykan.

Czekaliśmy na więcej. Liczyliśmy na jakieś wyjaśnienie.

Nie doczekaliśmy się już jednak niczego więcej ze strony premiera. Podziękował, przeprosił, a potem chwiejnym krokiem, ocierając pot z czoła, zniknął za kulisami. W sali konferencyjnej podniosła się wrzawa, a stacje telewizyjne

jeszcze przez jakiś czas pokazywały sam obraz bez komentarza.

Zanim ktokolwiek w mieszkaniu przy Gerberowej się odezwał, rozległ się dzwonek mojej komórki. Zaskoczył nie tylko mnie, ale także Kingę. Ona jako jedyna zdawała sobie sprawę, że właściwie nie ma nikogo, kto mógłby do mnie dzwonić.

Spojrzałem na wyświetlacz. Numer był zastrzeżony.

– Tak? – spytałem, przechodząc do przedpokoju.

Nikt nie zwrócił uwagi na to, że się oddaliłem. Nikt oprócz Kingi.

– Halo? – dodałem.

– Jak dobrze cię słyszeć…

Głos Anety odbił się echem gdzieś w mojej głowie, jakby błądził i szukał drogi, którą mógłby dotrzeć do świadomości. Chciałem powiedzieć to samo, odpowiedzieć identycznie jak ona, ale nie mogłem poruszyć ustami.

Zresztą byłoby to kłamstwo.

Usłyszenie jej nie wiązało się z żadną ulgą, wręcz przeciwnie. Wydawało mi się, że słucham pogłosu z innego świata. I że robiąc to, dokonuję rzeczy równie ohydnej, jak przywoływanie z tamtej rzeczywistości dusz zmarłych.

Czekałem na smród i nudności.

Znana mi reakcja jednak nie wystąpiła. Dało mi to do myślenia – przynajmniej na tyle, bym otrząsnął się z początkowego szoku i uświadomił sobie, że być może przesadzam.

– Aneta?

– Wiem, że niełatwo to ogarnąć umysłem, Berg. Ale spróbuj.

– Niełatwo? – jęknąłem.

– Spróbuj – powtórzyła. – Nie tylko dla mnie, ale dla wielu innych.

– Co?

– Pozwolono mi skontaktować się z tobą nie bez powodu.

– O czym ty mówisz?

Nie tak wyobrażałem sobie naszą pierwszą rozmowę. Rozgrywałem ją w głowie od jakiegoś czasu i przypuszczałem, że scenariusz może być tylko jeden. Ja zarzucę ją pytaniami, ona udzieli mi wszystkich odpowiedzi, które sama poznała, a potem wpadniemy w wir dzikiej, chorobliwej rozmowy o tym, co się stało. I co to wszystko miało oznaczać dla nas, dla świata.

– Nikt inny nie miał jeszcze okazji rozmawiać ze swoimi bliskimi – dodała. – Dla mnie zrobiono wyjątek. Ale nie mam wiele czasu.

– Poczekaj…

– Wiem, że masz sporo pytań, też bym miała.

Sporo? Musiała wiedzieć, że to słowo nijak nie oddawało liczby wszystkich spraw, o które zamierzałem ją zapytać.

Wyobraziłem ją sobie, jak stoi w jakiejś przestronnej hali razem z kilkuset pasażerami. Wszyscy patrzą na nią ponaglająco, być może to samo robią funkcjonariusze izraelskich służb, którzy ich pilnują.

Gdzieś obok stoją człowiek z białą brodą, premier i inne ważne persony. Wszyscy czekają.

Tylko na co?

– Chcę wiedzieć choćby kilka najważniejszych rzeczy – powiedziałem.

– Zdaję sobie sprawę, ale… nie teraz, Berg.

– Teraz.

– Nie – odparła w charakterystyczny dla siebie, nieznoszący sprzeciwu sposób. – Będę niebawem w Polsce. Wszyscy wracamy do swoich domów. Wtedy porozmawiamy.

– Nie ma mowy.

Usłyszałem stłumione, niewyraźne rozmowy. Potem głos mojej narzeczonej, równie zniekształcony. Przypuszczałem, że przesłania dłonią mikrofon, odbierając kolejne polecenia od ludzi, którzy decydowali w najważniejszych sprawach.

– Musisz mnie posłuchać – odezwała się w końcu. – To nie są żarty.

– Co ty powiesz?

– Nie mamy teraz czasu na…

– Chcę tylko wiedzieć, czy to naprawdę ty?

Nabrała głęboko tchu i zrobiła to na tyle głośno, by mi to nie umknęło.

– Oczywiście, że ja.

– Skąd mam mieć pewność? Skąd ktokolwiek ma ją mieć?

– Na razie musisz mi po prostu zaufać.

– W porządku – odparłem, bo tak naprawdę nie zależało mi na żadnych zapewnieniach przez telefon. Chodziło tylko o to, by pokazać, że mam coś do gadania. Że mogę stawiać warunki. – A teraz powiedz mi, czy cokolwiek pamiętasz?

– Naprawdę nie mamy teraz na to czasu.

– Jeśli się rozłączę, nie będziemy go mieć wcale.

Zamilkła, a ja skarciłem się w duchu za ostry ton, którego używałem. Do cholery, powinienem się cieszyć, że Aneta żyje, że słyszę jej głos i że niebawem do mnie wróci. Tymczasem zachowywałem się, jakby była wrogiem.

Na ile był to wynik tej przedziwnej sytuacji, a na ile odzwierciedlenie tego, co działo się w moim sercu, nie wiedziałem.

– Pamiętasz coś czy nie?

– Pytasz o…

– O zaginięcie samolotu.

Odpowiedziała mi cisza.

Zacząłem się zastanawiać, dlaczego w ogóle miała wątpliwości, co mam na myśli. Dla mnie pytanie było oczywiste. Do czego innego miałoby się odnosić? Co innego miałaby pamiętać?

Pomyślałem, że miejsce, w którym znalazła się wraz z pozostałymi pasażerami, mogło różnić się od naszego świata. Mogło nie mieć z nim nic wspólnego. Na dobrą sprawę mogło

stanowić jego zaprzeczenie. Może czas płynął tam inaczej. Może nie płynął wcale.

Mogła nie pamiętać naszego życia. Mogło być dla niej poprzednim, zakończonym etapem egzystencji.

Możliwości było zbyt wiele. I wszystkie zdawały się tyle prawdopodobne, ile niestworzone.

– Berg?

– Wciąż czekam na odpowiedź.

– Więc musisz uzbroić się w cierpliwość, bo porozmawiamy dopiero po moim powrocie.

Czasem była jak stanowcza, karcąca matka. Swojego czasu mnie to irytowało, potem przywykłem. Teraz uderzyło we mnie ze zdwojoną mocą.

– Chcę tylko wiedzieć, czy pamiętasz, co się z tobą działo.

– Tak – potwierdziła. – Wszyscy pamiętamy.

Pokiwałem głową, jakby mogła to zobaczyć.

– Więc co…

– Posłuchaj – przerwała. – Jest tu ktoś, kto chce z tobą rozmawiać.

– Ktoś?

Mój zmęczony, zmaltretowany tymi wszystkim wydarzeniami umysł zarysował najgorszy scenariusz. Mogłem już niemal usłyszeć głos ojca, co potwierdzałoby, że na zawsze zatarła się granica między światem żywych a umarłych.

– Tak – odezwała się Aneta. – On chce się z tobą spotkać.

– On?

– Poznaliście się już.

Naraz zrozumiałem, że bynajmniej nie chodzi o mojego ojca. Nie wiedziałem tylko, czy powinienem odetchnąć, czy może wręcz przeciwnie.

– Słyszysz?

– Aż za dobrze.

– Wiesz, kogo mam na myśli?

– Mężczyznę z białą brodą – powiedziałem cicho, by Kinga przypadkiem nie usłyszała. – Tak?

Milczenie zdawało się to potwierdzać.

– Mam się tak do niego odnosić? – zapytałem. – Czy ma jakieś imię?

Znów cisza. Tym razem napełniła mnie zgrozą, bo odpowiedź na moje pytanie nasunęła mi się sama.

Przywołałem z pamięci słowa Świętego Marka, który w swojej Ewangelii opisywał, jak Jezus wędrował po krainie Gerazeńczyków. Spotkawszy nawiedzionego przez demony, opętanego przez Szatana człowieka, miał wypędzić z jego ciała złe moce. Wyrwał je z mroku duszy tego Gerazeńczyka, a potem zapytał demona: jak ci na imię?

Na imię mi Legion, bo jest nas wielu – padła odpowiedź.

Zrobiło mi się słabo na samą myśl, że mogę usłyszeć coś podobnego. Pożałowałem, że w ogóle zadałem to pytanie.

– Wyjawi swoje imię, kiedy przyjdzie czas – odezwała się Aneta.

– Ale…

– W tej chwili chce tylko z tobą porozmawiać. Potem razem ze mną przyleci do Polski.

– Tutaj? Dlaczego… dlaczego akurat tutaj?

Odpowiedzi mogło być wiele. Polska wydawała się adekwatnym miejscem, by pojawił się tu Mesjasz, fałszywy prorok czy jakakolwiek inna postać religijna. Pod względem wiary w Boga, którą deklarowało prawie osiemdziesiąt procent ludności, wyżej znajdowała się w Europie jedynie Rumunia.

– Dlaczego ja? – dodałem.

Wiedziałem, że i na to pytanie nie uzyskam odpowiedzi. Nie to jednak budziło mój największy niepokój, a opory przed ujawnieniem imienia. Doskonale wiedziałem, że wzbraniają się przed tym głównie demony. To one, by nie dać się wypędzić z ludzkich ciał, kamuflują się i robią wszystko, by pozostać anonimowe.

– Wszystkiego się dowiesz, kiedy będziemy na miejscu – powiedziała Aneta. – A teraz porozmawiasz z nim?

– T-tak.

Po chwili usłyszałem ciche trzaski. Miałem nadzieję, że są spowodowane przekazywaniem komórki, a nie czymś, co miało związek z królestwem zmarłych.

– Filip?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, słysząc moje imię. Głos mężczyzny był ciepły, ale zdecydowany. Uprzejmy, wręcz potulny, ale jednocześnie pobrzmiewała w nim zasadniczość. Gdybym miał oddać go jednym słowem, powiedziałbym, że był miłościwy. Kojarzył mi się z królem przemawiającym do jednego ze swoich umiłowanych sług.

Chciałem ponownie zapytać o imię. Bałem się, otwarcie to przed sobą przyznawałem, ale ciekawość była ogromna. Co mogłem usłyszeć w odpowiedzi? To, co ksiądz Piotr u Mickiewicza, podczas swojego widzenia?

„Z matki obcej; krew jego dawne bohatery,

A imię jego będzie czterdzieści i cztery[3]".

Do dziś nie było wiadomo, co miał oznaczać ten fragment. I skąd wzięła się liczba. Szczęśliwie cały ładunek niepokoju, który tkwił w tych wersach, został rozwiany – tylko dlatego, że Mickiewiczowskie dzieło stało się szkolną lekturą. Obiektem przeciągłych ziewnięć, nawet kpin. Być może stanowiło to dobrą odpowiedź na niebezpieczeństwo. Być może powinienem zareagować w taki sam sposób.

Coś jednak kazało mi zachować powagę. I maksymalne skupienie, bo każde słowo wypowiedziane przez mojego rozmówcę mogło okazać się znaczące.

– Widzieliśmy się – odezwał się.

– Tak, pamiętam. Na pokładzie Japan Airlines 123.

Powoli zaczynało mi się robić chłodno.

– Chciałbym, żebyś nikomu o tym nie wspominał. Jeszcze nie teraz.

– Dlaczego?

– Jeszcze nie pora.

– Nie pora na co?

Temperatura zdawała się spadać z każdym kolejnym słowem, które słyszałem.

– Spełnij moją prośbę – odezwał się mężczyzna. – Wytłumaczę ci wszystko, kiedy ponownie się spotkamy.

Tylko tyle informacji dostałem. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, usłyszałem, jak rozmówca oddaje telefon Anecie. Zaraz potem odezwała się, podkreślając, że wszyscy liczą na to, iż spełnię prośbę.

Zapewniłem, że tak właśnie zrobię.

Godzinę później opowiedziałem o wszystkim Kindze.

Patrzyła na mnie z niedowierzaniem, jakbym wybrał ten moment, by zrobić sobie niezbyt dobry żart. W końcu jednak przyjęła wszystko, co mówiłem, za prawdę. Nie miała powodu sądzić, że mógłbym kłamać. A poza tym po prostu mi ufała. Tak jak ja jej.

Potem długo milczała. Myślałem, że na tym temat się skończy. Że będziemy jak dwoje ludzi, którzy podeszli do ula pełnego pszczół i zorientowawszy się w zagrożeniu, zaczęli powoli się wycofywać.

Lepiej było tego nie ruszać.

A mimo to Kinga zdecydowała, że nie tylko szturchniemy ul, ale i ogołocimy go z każdego cennego plastra miodu.

– Co to oznacza, Berg? – zapytała. – Że miało cię nie być na pokładzie? Że miałeś nie widzieć tego człowieka?

Określenie „człowiek” było nieco na wyrost, ale byłem gotów przyjąć ten skrót myślowy.

– Czy że jego miało tam nie być? I że znalazł się tam wbrew swojej woli?

– Wszystko to dobre pytania, ale…

– Ale tutaj nie znajdziemy odpowiedzi. Pozostaje nam grób twojego ojca.

– Nie ma mowy – odparłem natychmiast. – Nic, co się stało, nie sprawiło, że zmienię zdanie.

– Tylko tak możemy się czegoś dowiedzieć.

– Nie.

Zmarszczyła brwi i przyglądała mi się przez niepokojąco długą chwilę. W końcu skinęła głową.

– Masz rację – przyznała. – Jest jeszcze jeden sposób.

– Jaki?

– Nie chcesz wiedzieć – odparła.

[3] A. Mickiewicz, *Dziady*, Fundacja Nowoczesna Polska.

XIII

Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że rzeczywiście nie chciałem. Kinga bowiem założyła, że głosy, którymi recytowałem Apokalipsę Świętego Jana, wciąż we mnie siedzą. Nie, nie głosy, a istoty, do których należały.

Nieprzesadnie podobało mi się to założenie, ale jeśli czegoś nauczyło mnie życie z Anetą, to właśnie tego, że żadna z sióstr nie odpuszcza, jeśli już coś sobie ubzdura. Broniłem się, jak mogłem, ale do Kingi nie przemawiał żaden argument.

– Gdyby demony posiadły moje ciało, nie mógłbym nosić medalionu – powiedziałem, wyciągając go spod T-shirtu. – A jak widzisz, nie pali mi skóry. Nie mam też oporów przed zmówieniem modlitwy czy…

– Czy spojrzeniu Czarnej Madonnie prosto w oczy?

Wolałem nie odpowiadać, pamiętając aż za dobrze, co wtedy czułem. Było to jak niewypowiedziana deklaracja rozpoczęcia wojny.

– Czy może chcesz przywołać inne rzeczy? Nudności? Wymioty czarną mazią?

Wciąż milczałem.

– Jest w czym wybierać – dodała.

– Wiem, ale to wciąż nic nie znaczy. Gdyby to były złe moce, nie cytowałbym przecież Biblii.

– Jesteś pewien?

– I nie mógłbym nosić medalika – uparłem się, unikając odpowiedzi na pytanie.

Nie byłem pewien. Ani tego, ani niczego innego.

Ostatecznie musiałem więc zgodzić się na propozycję, która sprowadzała się do tego, byśmy nagrali mnie w nocy kamerą. Kinga wyszła z założenia, że jeżeli jakaś obecność we mnie tkwi, ujawnia się, kiedy moja jaźń odsuwa się na drugi plan.

– Nie sądzę, żeby tak było – powiedziałem.

– Chodzisz niewyspany od trzynastego kwietnia.

– Z prostej przyczyny: nie śpię.

– Całymi nocami?

– Czasem udaje mi się zdrzemnąć na parę godzin.

– A mimo to budzisz się zmęczony – zauważyła. – I wyglądasz jak widmo, ledwie niewyraźny powidok człowieka.

– Dzięki.

– Nie mówię, że nie do twarzy ci z taką… męską niedbałością, ale to daje do myślenia.

– Mnie nie.

– A powinno – odparła stanowczo. – Bo może znaczyć, że dzieje się więcej, niż pamiętasz.

– Więc chcesz mnie nagrać.

– Nie tyle chcę, co muszę – przyznała z lekkim uśmiechem. – Skoro nie masz zamiaru iść na grób ojca i spróbować jeszcze raz otworzyć przejścia, nie pozostaje nam nic innego, jak spróbować czegoś nowego.

Uniosłem wysoko brwi.

– Otworzyć przejście?

Wzruszyła ramionami.

– Jak zwał, tak zwał – zbyła temat. – Ustawimy niewielką kamerę, położysz się, prześpisz kilka godzin, a rano sprawdzimy, na ile moja kobieca intuicja działa w obliczu Sądu Ostatecznego.

– Reagujesz sarkazmem, to niedobry znak.

– Jeden z wielu, które nas otaczają.

Przyznałem jej rację, kiwając głową.

Zastanawiałem się, czego obawiam się bardziej – powrotu na pokład Japan Airlines 123 czy zweryfikowania jej intuicji. Uznałem, że jednak tego pierwszego. Szczególnie po tym, jak w rzeczywistym, moim własnym świecie zobaczyłem mężczyznę z białą brodą.

To on był powodem, dla którego nie chciałem wracać na pokład. Nie ojciec, nie doświadczenie po raz kolejny swojej śmierci w katastrofie lotniczej.

Przeszło mi przez myśl, że mężczyzna był na pokładzie obydwu samolotów, w ładowni których znajdowały się Czarne Madonny. Czy to miało jakiekolwiek znaczenie? Wydawało mi się, że tak. Trudno byłoby przyjąć, że to tylko przypadek.

Odchrząknąłem, podjąwszy decyzję.

– W porządku – powiedziałem. – Ustawimy kamerę.

– Świetnie.

– Ale optymizmu ci nie brakuje – zauważyłem. – Bo zakładasz, że tej nocy usnę.

– To nie ma nic wspólnego z optymizmem. Nafaszeruję cię środkami nasennymi.

Miałem nadzieję, że nie mówi poważnie – następnego dnia potrzebowałem trzeźwego umysłu. Samolot z Tel Awiwu miał wylądować we Wrocławiu skoro świt, a mnie czekały dwa spotkania, które mogły zapisać się nie tylko w historii mojego życia, ale i całego świata.

Ostatecznie stanęło na niewielkim wspomaganiu. Zamiast earl greya tego wieczoru wlewałem w siebie melisę i zieloną herbatę. Koniecznie po drugim parzeniu, Kinga bowiem twierdziła, że pierwsze pobudza.

Ustawiliśmy należącego do niej canona tak, by rejestrował, co dzieje się w sypialni, a potem położyłem się do łóżka z książką. Czytałem, popijając czerwone wino i licząc na to, że jakimś cudem poczuję senność, podczas gdy cała ludzkość tej nocy przypuszczalnie nie zamierzała zmrużyć oka.

Mnie jednak się to udało. Może był to wynik mikstury, może nudnej książki, a może mojego ogólnego zmęczenia. W pewnym momencie poczułem, jak opada mnie sen. Ocknąłem się i rozbudziłem, zaskoczony tym, że to w ogóle możliwe. Zaraz potem jednak na powrót zacząłem odpływać.

Nie wiedziałem, która była godzina. Prawdopodobnie po trzeciej – przynajmniej biorąc pod uwagę to, ile udało mi się przeczytać, od kiedy położyłem się do łóżka.

Kiedy się obudziłem, na dworze już świtało. Powieść jakiegoś pisarza z Wysp Owczych leżała otwarta na kołdrze. Podniosłem ją i spojrzałem na numer strony. Ta sama, na której skończyłem, co potwierdzało, że kilka godzin przeleżałem nieruchomo na plecach. Nic się ze mną nie działo.

Podniosłem się cały zbolały, jak co dzień. Podszedłem do aparatu, wyłączyłem go, a potem przeciągnąłem się. Niespecjalnie wypocząłem, ale nie spodziewałem się, że będzie inaczej. Do pełnego zregenerowania sił potrzebowałbym minimum ośmiogodzinnego snu, na który w najbliższym czasie nie liczyłem.

Alkohol też zrobił swoje. Zanim zmorzył mnie sen, wypiłem pół butelki wina.

Idąc do łazienki, wybrałem numer Kingi. Odebrała natychmiast, choć przypuszczałem, że będę musiał dobijać się do niej znacznie dłużej. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa siedziała do późna i dyskutowała ze znajomymi o wszystkim, co się wydarzyło. Podobnie jak inni ludzie na całym świecie. Z wyjątkiem mnie. Ja położyłem się do łóżka, samotny, pełen obaw i wątpiący we wszystko.

– I co? – spytała Kinga.

Nadzieja w jej głosie nie była tym, co chciałem usłyszeć.

– I nic – odparłem. – Przespałem parę godzin, nic się nie stało.

– Oglądałeś nagranie?

– Nie musiałem.

– Dobra, zobaczymy je razem.

– Nie ma potrzeby – zapewniłem ją. – Zasnąłem z książką, a kiedy się obudziłem, była na tej samej stronie. Jeśli się w ogóle poruszyłem w trakcie snu, to nieznacznie.

Miałem wrażenie, że określanie tego jako „sen” było trochę nieprecyzyjne. Zjawisko to wiązało się raczej z nagłą utratą przytomności na skutek zmęczenia. I przy pomocy wina. Było jak nokaut wymierzony pięścią rzeczywistości.

– To by było na tyle, jeśli chodzi o twoją koncepcję – dodałem.

– Niekoniecznie. Może coś mówiłeś, nie poruszając się.

– Ostatnio nieźle mnie sponiewierało, teraz pewnie byłoby podobnie.

Mruknęła z dezaprobatą, wiedząc doskonale, że mam rację. Jeśliby doszło do jakiegokolwiek kontaktu, przeżycie byłoby intensywne.

– Poza tym, o ile coś rzeczywiście we mnie siedzi, wie doskonale, kiedy jest nagrywane – ciągnąłem. – Chyba że jest skrajnie bezmyślne.

– Nie drażnij tego.

Mimowolnie się uśmiechnąłem.

– Bo możesz szybko pożałować – dodała.

– Dzisiaj też masz zamiar sobie ze mnie drwić?

– Tak. Bo dzisiaj szczególnie będziesz potrzebował trochę dystansu.

– Racja. Używaj więc sobie do woli – odparłem, idąc do kuchni. Postanowiłem zacząć dzień od mocnego earl greya, nic innego nie wchodziło w grę. – Wiadomo już, o której lądują?

– Chwilę przed ósmą. Jedziesz na lotnisko?

– Tak, ktoś rzekomo ma po mnie przyjechać.

– Opłaca się być wybrańcem.

– Tylko jeśli przyślą rządową kolumnę, a nie zwykłą taksówkę. A coś mi mówi, że nie będą chcieli robić rozgłosu.

– Oni?

– Rząd – odparłem. – Przypuszczam, że cała akcja koordynowana jest na szczeblu międzynarodowym.

Pewnie tak rzeczywiście było, od kiedy tylko izraelski premier dowiedział się, że mężczyzna z białą brodą zamierza niebawem

opuścić jego kraj. Polityk skontaktował się ze swoim odpowiednikiem w Polsce, uzgodnił szczegóły, a potem obaj pożegnali się, zapewniając o gotowości do współpracy. I przekonani, że choć w pewnym stopniu kontrolują sytuację.

– Pojawiły się jakieś nowe informacje? – spytałem.

– Powiem ci za moment.

– Nie możesz teraz?

– Nie, bo wolę to zrobić na żywo, nie przez telefon.

Nacisnąłem przycisk na czajniku, woda zaczęła się podgrzewać.

– Mówisz, jakbym miał się czego obawiać.

– Może masz – przyznała. – Tak czy inaczej, skoro jest okazja, wolę rozmowę na żywo.

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, zrozumiałem, że ta okazja jest bliżej, niż sądziłem. Natychmiast pożałowałem, że zacząłem od wykonania telefonu, a nie umycia zębów. Klnąc w duchu, otworzyłem Kindze drzwi, a potem cofnąłem się o krok.

– Zalej herbatę – rzuciłem. – Zaraz przyjdę.

Po chwili wróciłem do kuchni, czując się jeszcze gorzej niż przed momentem. Niepotrzebnie spojrzałem w lustro w łazience. Nieświadomość tego, jak wyglądałem, była prawdziwym błogosławieństwem.

– Więc co nowego wiemy? – spytałem, siadając przy stole.

– Sprawdzono wszystkich pasażerów lotu JAL 123 – odparła Kinga, biorąc niewielki łyk. – Nikogo nie brakuje.

– Tego można było się spodziewać. Ale mnie interesuje, czy jest ktoś nadprogramowy.

– Nie. Wygląda na to, że mężczyzna był wcześniej na pokładzie.

– Więc musieli ustalić, jak się nazywa. Kim jest, skąd się wziął i…

– Pewnie ustalili – przerwała mi. – Ale na razie żadna informacja nie wyciekła do mediów.

Syknąłem cicho, niezadowolony, że przed spotkaniem to on wciąż miał wszystkie mocne karty. Znał mnie, pewnie wiedział już o mnie wszystko. Ja zaś nie miałem o nim bladego pojęcia.

– Zinwentaryzowali też wszystko, co znajdowało się na pokładzie.

– I?

– Brakuje tylko jednej rzeczy.

Odstawiłem kubek i odsunąłem go.

– Obrazu Czarnej Madonny.

– Obawiam się, że tak, Berg.

Nagle poczułem ból w skroniach, jakby dopadła mnie wyjątkowo dokuczliwa migrena. Rozmasowałem czoło, niegotów przyjąć do wiadomości, że Czarna Madonna naprawdę zniknęła.

– To już druga – odezwałem się w końcu.

– Na to wygląda…

– Najpierw przepadła bez śladu ta z JAL 123, teraz z AH 3836 – dodałem, bo czułem, że powinienem tę myśl zwerbalizować. Jakby z pewnego powodu była istotna. – Dlaczego? I czemu to ma służyć? Kto za to odpowiada, co?

– Może dowiesz się czegoś niebawem.

– Gówno się dowiem – odparłem pod nosem. – Oni powiedzą mi tylko tyle, ile sami chcą, żebym wiedział.

– Oni? – spytała z wyrzutem Kinga.

Poniewczasie uświadomiłem sobie, że mówiłem o Anecie, jakby była przeciwko nam. I najgorsze było to, że po rozmowie, którą wczoraj przeprowadziliśmy, wydawało się to całkiem uzasadnione.

– Moja siostra nie ma z nimi nic wspólnego – zaoponowała Kinga.

Patrzyliśmy na siebie długo. Widziałem coraz więcej niewypowiedzianych zarzutów. Sam też poczułem, jak podobne wzbierają we mnie.

– Nie rozmawiałaś z nią – powiedziałem. – Nie słyszałaś, jak dziwny miała głos.

– Dziwny? Musiała się spieszyć, poza tym pilnowało jej zapewne kilkunastu niezbyt wesołych mężczyzn z karabinami. To nie były okoliczności do prowadzenia normalnej rozmowy.

– Nie o to mi chodzi.

– A o co?

Pytanie było jak smakowita przynęta rzucona w sam środek ławicy wygłodniałych ryb. Któraś musiała się złapać.

Z trudem udało mi się powstrzymać przed wylaniem wszystkich swoich żalów, czego zapewne szybko bym pożałował.

– Brzmiała, jakby ten człowiek miał nad nią władzę.

– Wydaje ci się.

– Jakby była gotowa zrobić dla niego wszystko.

– Na Boga, zamieniłeś z nią raptem kilka zdań.

Pojawił się znany niesmak w ustach i przyszło mi do głowy, że Kinga specjalnie wymienia imię Wszechmogącego nadaremno, by wywołać taki efekt.

– Tyle mi wystarczy – powiedziałem. – Znam ją.

– Ja też, znacznie dłużej i znacznie lepiej niż ty. I wiem, że jest ostatnią osobą, która dałaby się omamić.

– Może nie miała wyjścia.

– Daj spokój – odparła poirytowana Kinga, a potem podniosła się z krzesła i przeszła w stronę okna. Powiodła wzrokiem po ulicy, odwróciła się, ale unikała mojego spojrzenia.

– Nieważne, kim lub czym jest ta osoba – odezwała się. – Aneta nie dałaby się omotać.

– Nawet Mesjaszowi?

– Mhm.

– Nawet samemu diabłu?

Kinga rozłożyła lekko ręce, jakby miała do czynienia z niereformowalnym dzieckiem. Może tak było. Może

rzeczywiście przesadzałem, bo spodziewałem się całkowicie innej reakcji.

Istniała także szansa, że to wszystko spowodowane jest moimi uczuciami. Nie byłem pewien, czy w ogóle chciałem, by Aneta wróciła.

Myśl wydała się niewygodna, odpychająca, jak najgorsza herezja. Oczywiście, że chciałem jej powrotu – zapewniłem się w duchu. Nie życzyłem jej przecież źle.

Kinga zerknęła na mnie tylko przelotnie, ale tyle wystarczyło, żebym zrozumiał, że przynajmniej częściowo mnie przejrzała. Westchnąwszy cicho, poszła do sypialni i po chwili wróciła z aparatem. Usiadła naprzeciwko mnie i w milczeniu zaczęła oglądać nagrany materiał.

Zastanawiałem się, co powinienem powiedzieć, by jakoś naprawić sytuację. Zaraz jednak naszło mnie, że jakiekolwiek słowa nie mają najmniejszego sensu. Teraz wszystko się zmieniło. Wracała moja narzeczona.

A nawet gdyby do tego nie doszło, na co liczyłem? Czego spodziewałem się po tych ostatnich kilku dniach?

Były to absurdalne pytania. Na które mógłbym odnaleźć jedynie jeszcze bardziej absurdalne odpowiedzi.

Spojrzałem na Kingę, kiedy wyciągnęła kartę SD z aparatu i przysunęła sobie laptopa. Włożyła ją do slotu i włączyła nagranie. Przez chwilę skupiała na nim całą uwagę, jakbym przestał istnieć.

– Coś ciekawego? – zapytałem.

– Sam zobacz.

Podniosłem się i podszedłem do niej. Na dobrą sprawę nie sprawdziłem nawet, ile się nagrało. Karta pamięci była gigantyczna, kosztowała mnie kilkaset złotych – zmieściłaby sporo materiału w HD, a my na wszelki wypadek ustawiliśmy nieco gorszą jakość. Mimo to powinienem choć sprawdzić, czy nasz mały show się zapisał.

Ów show okazał się niezbyt porywający. Kiedy stanąłem za Kingą i nachyliłem się lekko, zobaczyłem siebie leniwie przerzucającego kolejne kartki. Raz po raz pociągałem wino. Początkowo zerkałem w stronę aparatu, potem zupełnie o nim zapomniałem.

– Długo czytałeś przed zaśnięciem?

– Dosyć.

– Godzinę? Dwie?

– Dwie minimum, ale może i trzy. Możesz spokojnie przewinąć.

Trochę trwało, nim odnalazła moment, w którym w końcu odpłynąłem, a książka zaczęła wysuwać mi się z rąk. Jakby w transie, zdołałem jeszcze ją obrócić, by się nie zamknęła. Nie wpadłem na to, żeby skorzystać z leżącej obok zakładki.

Potem głowa opadła mi na bok i odpłynąłem w siną dal. Nie pamiętałem, o czym śniłem, ale zapewne nie było to nic dobrego. Po takich przeżyciach nikt nie mógł mieć dobrych snów.

Zerknąłem na czas, żeby sprawdzić, jak długo spałem. Była to jedyna rzecz, do której przydało się to nagranie, pomyślałem. I dzięki niemu potwierdziłem, że właściwie nie miałem prawa czuć się wyspany.

Oglądaliśmy śpiącego mnie jeszcze przez jakiś czas, ale nie miałem wątpliwości, że Kinga myślami jest daleko, podobnie jak ja. Żadne z nas nie wiedziało, czego się spodziewać w najbliższej przyszłości. Nie tylko jeśli chodziło o rzeczy niezależne od nas, wykraczające poza nasze pojmowanie, ale także o te, na które mieliśmy wpływ.

Pomyślałem, że musimy się z nimi rozprawić. I to jeszcze zanim wróci Aneta.

– Posłuchaj… – zacząłem. – Wiem, że żadne z nas nie chce o tym rozmawiać, ale…

– Daj spokój.

– Nawet nie wiesz, co chcę powiedzieć.

Zerknęła na mnie z ukosa. Potem skupiła całą uwagę na zarejestrowanym obrazie.

– Oczywiście, że wiem – zaoponowała. – I wiem też, że to temat nieistniejący.

– Jesteś pewna?

– W stu procentach.

– Więc nic nie…

– Wszystko będzie w porządku, Berg – ucięła, ale tym razem już na mnie nie spojrzała. – Aneta wróci, wszystko się wyjaśni, sprawy same się poukładają. Muszą, bo nie wiem, czy pamiętasz, ale mam być świadkiem na ślubie.

– Pamiętam – odparłem i na moment oboje zamilkliśmy. – Ale jesteś pewna, że tego chcesz?

– Oczywiście.

– I nie masz ani cienia wątpliwości, czy…

– Czy co? – spytała z wymuszoną pretensją, jakby z całych sił starała się wbić między nas klin. – Ja nie wychodzę za mąż. Wobec czego mam mieć wątpliwości?

– Mnie i Anety.

– Życzę wam jak najlepiej. I nie gadaj bzdur.

– Po prostu chcę, żeby sytuacja była jasna.

– Jest.

Wyprostowałem się i nabrałem głęboko tchu. Mogliśmy ciągnąć tę rozmowę w nieskończoność, nie dochodząc do niczego. Mogliśmy też skończyć ją teraz z takim samym rezultatem. Kinga wybrała drugą możliwość, a ja uznałem, że powinienem to uszanować.

Zresztą może nie było o czym mówić. Może to ja uroiłem sobie to i owo, podczas gdy Kinga traktowała ostatnie wydarzenia wyłącznie jako element rozwoju przyjacielskich, niemal rodzinnych relacji.

Świat był cholernie skomplikowanym miejscem, nie tylko przez rzeczy, które działy się w Izraelu i nad Watykanem.

Milczenie się przeciągało. Wiedziałem, że powinienem je przerwać, byśmy oboje nie wylądowali w strefie dużego dyskomfortu. Nie miałem jednak pojęcia, co powiedzieć. Każda zmiana tematu wydawała mi się żałosną próbą ucieczki. A kontynuowanie go mijało się z celem.

Kinga musiała mieć podobne przemyślenia, bo obejrzawszy się powoli przez ramię, spojrzała na mnie w sposób, który sprawił, że poczułem się jeszcze bardziej zagubiony.

– Berg… – powiedziała cicho.

Jej szept podziałał na mnie jak widok jednostki ratunkowej na rozbitka. Jak nadzieja majacząca gdzieś na horyzoncie.

Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że w oczach Kingi nie ma wątpliwości, które pozwoliłyby mi sądzić, że jednak coś jest na rzeczy. Dostrzegłem w nich jedynie narastający strach. Początkowo nieznaczny, z każdą sekundą coraz większy.

– Zob… zobacz…

Spojrzałem na monitor, choć była to ostatnia rzecz, jaką chciałem zrobić. Zrozumiałem to w okamgnieniu.

Leżałem na łóżku, głowę miałem obróconą w kierunku aparatu. Szeroko otwartymi oczami wpatrywałem się prosto w obiektyw.

Uśmiechałem się szeroko, jak szaleniec. Nie, jak psychopatyczny morderca, który właśnie zauważył ofiarę, na którą od dawna polował.

Wyszczerzałem zęby w chorym grymasie, nie mrugając. Czułem, że moje spojrzenie przedziera się przez przestrzeń i czas, dociera poprzez obiektyw aparatu i dane zapisane na karcie aż do mnie. Tu i teraz.

Kinga odsunęła krzesło od stołu. Ja zaś pochyliłem się nad monitorem.

Przyjrzałem się samemu sobie, świadom, że tak naprawdę patrzę na kogoś innego. Na coś innego.

– Nie pamiętasz tego?

Milczałem, obserwując, jak zamykam oczy i kładę się na wznak. Wcześniej nie tylko zamknąłem książkę, ale i włożyłem do niej zakładkę. Nie miałem wątpliwości, że potem wszystko wróci na swoje miejsce.

– Berg? – upomniała się o uwagę Kinga. – Nie pamiętasz, że się obudziłeś?

– Nie.

Miałem ochotę dodać, że wcale się nie obudziłem. Nie zamknąłem powieści, nie wlepiałem obłąkańczego wzroku w obiektyw i nie uśmiechałem się upiornie. Nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy.

Oboje patrzyliśmy wprost na ekran, nie mogąc oderwać od niego wzroku. Mimo że nic się nie działo, wiedzieliśmy, że za moment sytuacja się zmieni. Książka nie wróciła na swoje miejsce. Miałem dopiero rozłożyć ją z powrotem na nogach.

Co stanie się wcześniej?

Z trudem przełknąłem ślinę. Sięgnąłem w bok, wymacałem oparcie krzesła i przyciągnąłem je. Usiadłem, starając się nie uronić ani sekundy z nagrania. Miałem wrażenie, że istotne sceny rozegrają się w mgnieniu oka.

Stało się jednak inaczej.

Moja głowa obróciła się powoli w stronę aparatu. Powieki się podniosły, a oczy wydawały mi się jakby nie moje. Miały ten sam kolor, pozornie nic się nie zmieniło, ale były obce.

Na twarzy nie miałem ani śladu poprzedniego uśmiechu. Moje ciało lekko drgnęło, kołdra jakby zafalowała. Usta powoli się rozchyliły.

– *Hic sapientia est…* – odezwałem się.

Głos nie należał do mnie.

Nie miał nic wspólnego z dźwiękiem, który mógłby wydobywać się z ludzkich strun głosowych. Przywodził na myśl pisanie ułamaną kredą po jednej z tych starych, zgniłozielonych tablic, które pamiętałem z dzieciństwa. Pobrzmiewały w nim różne, jakby sprzeczne nuty.

Jakby mówiła istota o wielu głowach. Lub wiele istot o jednej.

A imię jego Legion, pomyślałem.

– *Hic sapientia est…*

Po tym, jak wypowiedziałem te słowa, moja głowa wróciła do poprzedniej pozycji. Wyglądałem, jakbym zobaczył coś przerażającego tuż nad sobą. Mimo że ciało trwało w bezruchu, oczy miałem wybałuszone.

– Co… co to znaczy, Berg?

Chciałem się odezwać, przetłumaczyć, ale głos uwiązł mi gdzieś w gardle. Kinga obróciła się w moją stronę, posłała mi przerażone, pełne niedowierzania spojrzenie. Zanim się zorientowałem, chwyciła mnie za rękę, jakby spadała w przepaść, a ja miałem być jej jedynym ratunkiem.

– Co to znaczy? – spytała jeszcze raz.

Nie chciałem odpowiadać. Nie chciałem tłumaczyć.

Dalszą część tego passusu znał każdy, nie tylko chrześcijanie. Pojawiał się wszędzie, przy takiej czy innej okazji. Nie trzeba było mieć styczności z Kościołem, by go znać.

Sam początek mogli skojarzyć jednak tylko ci, którzy zaznajomili się z Apokalipsą Świętego Jana. Z rozdziałem trzynastym. Z opisem nadejścia drugiej bestii.

– Tu jest mądrość – przełożyłem.

Kinga jeszcze przez moment patrzyła na mnie nierozumiejącym wzrokiem. Potem na powrót skupiła się na nagraniu.

Moje ciało znów nerwowo drgnęło, a pościel się poruszyła. Miałem wrażenie, że przez pokój przeszedł silny podmuch powietrza, zawiewający od dołu, bo kołdra lekko się uniosła.

Nagle zrozumiałem, że to nie tak.

Moje ciało się unosiło.

Znalazłem się kilka centymetrów nad łóżkiem. Pościel wisiała po obu stronach, nie pozostawiając wątpliwości, że

oderwałem się od materaca.

Zacząłem wyginać się nienaturalnie. Ciało ułożyło się w łuk, głowa i stopy wisiały coraz niżej, klatka piersiowa zdawała się unosić. Znajdowało się coraz wyżej, a ja coraz bardziej nie mogłem uwierzyć w to, co widzę.

Miałem otwarte oczy, prawie się nie poruszałem. Słychać było mój głośny oddech. Mój, ale nie mój. Brałem coraz płytsze hausty powietrza, jakbym się męczył, a jednocześnie dopiero przygotowywał na najgorsze.

Czułem, że muszę coś powiedzieć. Jakoś przerwać ciszę, która wydała się coraz bardziej złowroga.

Łudziłem się, że to może w czymkolwiek pomóc. Że da nam namiastkę spokoju, a nawet że w jakiś sposób uda się dzięki temu zakłamać rzeczywistość. Nie mogłem jednak wmówić ani sobie, ani Kindze, że to, co obserwujemy, się nie wydarzyło.

Przeciwnie, miało już miejsce. Dokonało się. Czymkolwiek w istocie było, rozegrało się w nocy. A nam teraz przyjdzie się zmierzyć ze wszystkimi rezultatami.

Nabrałem głęboko tchu, obserwując swoje unoszące się ciało. Wisiałem kilkadziesiąt centymetrów nad łóżkiem, jakby coś zacisnęło szpony na mojej koszulce i podniosło mnie.

Odniosłem wrażenie, że przestałem oddychać. Zarówno na nagraniu, jak i w rzeczywistości. W myślach usłyszałem po raz kolejny początek fragmentu Apokalipsy. Przełknąłem ślinę, czując, jak ohydna się staje.

– To trzynasty rozdział – odezwałem się słabo. – Werset osiemnasty…

Kinga sięgnęła po moją dłoń i mocno ją ścisnęła.

– Mówi o nadejściu fałszywego proroka – dodałem.

Nie odezwała się, skupiając całą uwagę na monitorze, zupełnie jakbyśmy mogli coś przegapić.

Nie było takiej możliwości. Po chwili bowiem wygiąłem się w jeszcze większy łuk.

Ciało obróciło się nad łóżkiem, zawijając w kołdrę niczym w całun. Tors obrócił się w jednym kierunku, głowa w przeciwnym. Oczy wbiły się prosto w obiektyw. Usta znów się rozchyliły, wygięły w upiornym uśmiechu szaleńca.

Wysunąłem język, oblizałem wargi, nie odrywając wzroku od aparatu. Rozległ się przeciągły syk.

To chciało do nas przemówić.

I czerpało nieludzką, wynaturzoną satysfakcję z faktu, że mu to umożliwiliśmy.

– *Qui habet intellectum, computet numerum bestiæ* – odezwało się.

Głos był skrzekliwy, kojarzył się z metalicznym piskiem. Tętniły w nim nuty dzikiego podniecenia, czegoś odrażającego. Mimo że patrzyłem na swoje ciało, odnosiłem wrażenie, jakbym obserwował nieznanego człowieka, z jakiegoś powodu budzącego odrazę i wstręt. Zupełnie jak wówczas, kiedy ujawniano zdjęcia pedofilów oskarżanych o wyjątkowo nieludzkie, odpychające zbrodnie na małych dzieciach.

– *Qui habet intellectum, computet numerum bestiæ…* – powtórzyły głosy dobywające się z mojego gardła.

– Berg…

– Kto ma rozum – zacząłem tłumaczyć, czując jak uczucie przerażenia przybiera fizyczną postać i przesuwa mi się po plecach. – Niech liczbę Bestii przeliczy…

– *Numerus enim hominis est* – dodały głosy, zupełnie jakbyśmy mówili razem.

– Liczba to bowiem człowieka…

Uśmiech stał się tak szeroki, że moja twarz wyglądała, jakby miała pęknąć.

– *Et numerus eius… sexcenti sexaginta sex!* – ryknąłem na nagraniu.

Moje ciało znów się obróciło, tym razem rozwijając spowijający je całun. Rozłożyłem szeroko ręce, zaczęły targać

mną drgawki. Słychać było śmiech. Dziki, chory rechot, a ja trząsłem się jeszcze bardziej.

W końcu nagle zamarłem. Opadłem lekko na łóżko, jak liść na wietrze, a potem złożyłem ręce niczym do modlitwy. Na mojej twarzy pojawiła się wyraźna błogość, niemal nabożna. Lekko odwróciłem głowę w kierunku obiektywu.

W oczach widać było kpinę. Nawet nie wyzwanie rzucone siłom dobra, ale protekcjonalną, pełną lekceważenia pogardę. Ręka powoli sięgnęła do medalika. Kiedy go dotknęła, moja twarz lekko się wykrzywiła.

W tym wszystkim był to przebłysk nadziei. Symbole jednak działały.

Potem zwiotczałem, zamarłem z rozłożonymi rękoma. Znów słychać było jedynie mój oddech.

Przez moment wmawiałem sobie, że to koniec. Że zobaczyliśmy już wszystko, co ta istota lub istoty chciały nam pokazać. Naraz uświadomiłem sobie jednak, że nie odłożyłem książki.

Znów, jakbyśmy byli połączeni myślami, obecność w moim ciele dała świadectwo, że nie zniknęła. Powoli się podniosłem, usiadłem na łóżku, przodem do aparatu. Z nosa i ust zaczęła wyciekać mi czarna maź.

Kiedy na moje oblicze wrócił piekielny uśmiech, zobaczyłem, że ciemny nalot wydobywa się także spod moich dziąseł. Pokrył zęby, a ciecz zdawała się wlewać mi prosto do gardła. Doszedł z niego cichy bulgot.

Obserwowałem, jak się podnoszę, a potem idę do łazienki. Powłóczyłem nogami, jakby jakaś część mnie jeszcze walczyła, jeszcze nie dała za wygraną i nie była gotowa poddać się obecności.

Po chwili wróciłem do sypialni, twarz miałem już czystą. Położyłem się, nakryłem, a potem umieściłem książkę tak, jak poprzednio.

Zerknąłem jeszcze w obiektyw. Spojrzenie było jak błyskawica przecinająca nocne niebo. Wyraźne, mocne, uświadamiające jakąś pierwotną potęgę.

Potem wszystko się skończyło.

Przez jakiś czas milczeliśmy, nie patrząc na siebie. Czułem wilgoć na dłoni Kingi, wciąż zaciskała mocno palce na mojej ręce.

– Berg, co on… co ty…

Miałem nadzieję, że nie dokończy. Powinna kojarzyć ostatni fragment po łacinie. Wydawało mi się, że znał go każdy. I może dlatego, że był tak powszechny, wiązał się z tak dużym niepokojem.

– Co to powiedziało na końcu? – spytała w końcu Kinga.

Nabrałem tchu, zamknąłem oczy, a potem odpowiedziałem:

– A liczba jego: sześćset sześćdziesiąt sześć.

Rozdział III

Symbolum Apostolorum

I

Podróż z Gerberowej na Strachowice zajęła mi nieco ponad dwadzieścia minut, zdawała się jednak najdłuższą, jaką odbyłem. W dodatku głębszego znaczenia nabrała dla mnie nazwa lotniska i dzielnicy. Wedle wersji, którą znałem, niegdysiejsza wieś nazywana była Strachowicami ze względu na nic innego, jak strach właśnie. W języku niemieckim nazwa miała oddawać konkretnie „wieś strachu".

Strachowice. Krzyki. Psie Pole. Według Kadłubka to ostatnie nazwano tak, bo po jednej z bitew bezpańskie, wygłodniałe psy miały biegać tam, pożerając zwłoki poległych. We wrocławskich nazwach tkwiło wiele niepokojących osobliwości. W jakiś sposób wydawało się adekwatne, że to właśnie tutaj lądował samolot izraelskich sił powietrznych.

Zamknięto cały terminal na lotnisku. Komitet powitalny był jednoosobowy, bo tego życzył sobie mężczyzna z białą brodą. Stałem nieopodal bramek, starając się nie myśleć o tym, co mnie czeka.

Kinga czekała przed wejściem do hali przylotów, służby za nic nie chciały wpuścić jej do środka. Zupełnie jakby to, co powiedział przybysz, było świętością.

Na pokładzie samolotu znajdowało się kilku izraelskich oficjeli, ale pasażerowie AH 3836 zostali na Bliskim

Wschodzie. Jedyny wyjątek stanowiła Aneta.

Od rana dziennikarze starali się dowiedzieć czegokolwiek od izraelskiego premiera i innych osób, które miały kontakt z brodatym, łysym mężczyzną. Wszyscy jednak milczeli jak grób, przynajmniej jeśli chodziło o konkrety.

O swojej niewiedzy natomiast mówili aż nazbyt chętnie. Deklarowali, że nie mają pojęcia, co się stało z maszyną chorwackich linii lotniczych. Zapewniali, że mężczyzna z białą brodą nie zdradził im niczego na swój temat. I w końcu dodawali, że prędzej czy później wszystkiego się dowiemy.

W uszach nadal pobrzmiewało mi echo ich głosów. Zdawałem sobie sprawę, że niebawem to właśnie ja otrzymam odpowiedzi na pytania, które gnębiły zapewne wszystkich ludzi na świecie.

Poprawiłem kołnierzyk, by nie wyszedł spod cienkiego swetra. Pomyślałem, że czułbym się znacznie lepiej, gdyby dane mi było na powrót założyć koloratkę.

Wizja spłynęła na mnie jak gorąca woda z prysznica w mroźny, zimowy dzień. Miłe uczucie jednak szybko ustąpiło, kiedy zobaczyłem dwoje ludzi, na których czekałem. Minęli bramki i skierowali się w moją stronę.

Zamknąłem oczy na parę sekund.

Credo in Deum Patrem omnipotentem – zacząłem odmawiać w myślach „Skład Apostolski”. *Creatorem caeli et terrae; et in Iesum Christum, Filium eius unicum.*

Dlaczego akurat wyznanie wiary? Dlaczego nie w moim własnym języku? Nie wiedziałem. Chciałem jednak wierzyć w to, że pozwoli mi to wytworzyć wokół siebie osłonę przed tym, co mnie czekało.

Zdążyłem dotrzeć do wyznania, że wierzę w Ducha Świętego, święty Kościół powszechny i świętych obcowanie, nim dwoje podróżnych zatrzymało się o metr lub dwa ode mnie.

Miałem nadzieję, że święci rzeczywiście mają na mnie jakiekolwiek baczenie. Z trudem przełknąłem ślinę, patrząc to

na mężczyznę, to na Anetę. Nie zareagowała tak, jak powinna. Nie podeszła bliżej, nie powitała mnie uśmiechem. Po prostu stała naprzeciw mnie, poważna, a w jej oczach brakowało wyrazu.

– Filip – odezwał się mężczyzna. – Miło cię widzieć.

Skinąłem głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Ale nie powinieneś tego robić.

– Tego? – jęknąłem.

– Recytować w myślach wyznania wiary.

Poczułem głęboki lęk, który zdawał się pięścią zaciskającą się na moim sercu.

– Ale…

– Potrafię rozpoznać, kiedy ktoś to robi.

Szukałem odpowiednich słów. Nadaremno. Liczyłem na to, że ktoś inny zabierze głos, ale Aneta i mężczyzna również milczeli, przypatrując mi się, jakbym był jakimś dziwnym okazem, z którym spotykają się po raz pierwszy.

– Wyznanie pochodzi z trzeciego wieku – odezwał się mężczyzna. – Ułożono je głównie dlatego, że chrześcijanie pod rzymskim panowaniem byli zobowiązani zidentyfikować swoją wiarę. Ujawnić władzy, w co wierzą.

Zupełnie zaschło mi w ustach.

– Funkcjonowało wówczas wiele rodzajów takich deklaracji. Nie różniły się od siebie znacząco, ale się różniły. Na tyle, że przez kolejnych sto lat te nieścisłości narastały. W czwartym wieku cesarz uznał, że dalej tak być nie może, a chrześcijaństwo musi zostać dopasowane do ram cywilizowanego świata. Zunifikowane.

Słuchałem tego z coraz większą obawą, pamiętając doskonale historię prezbitera Ariusza z Aleksandrii, który doprowadził wówczas do schizmy, wychodząc przed szereg i zmieniając w wyznaniu wiary więcej, niż powinien.

Aneta sprawiała wrażenie, jakby to wszystko było jej doskonale znane.

– Cesarz wydał odpowiedni nakaz – kontynuował mężczyzna. – Wszyscy musieli się podporządkować. Ci biskupi, którzy tego nie zrobili, ponieśli przykre konsekwencje.

Jego głos wciąż był ciepły, ale teraz słyszałem w nim także jakiś zawód.

– I w ten sposób powstało jedno *Credo*. To, które przed chwilą usłyszałem od ciebie.

Zignorowałem tę informację. Starałem się jej nie przyswoić.

Mężczyzna z białą brodą zrobił krok w moim kierunku. Mimowolnie się odsunąłem, a on szybko uniósł dłonie w przepraszającym geście.

– Pytałeś wcześniej, jak mam na imię – odezwał się.

– Tak.

– Nie mnie was o tym informować.

Uniosłem brwi.

– Przyjdzie czas, że wszyscy się dowiecie.

Co to wszystko miało znaczyć? Stanowiło jakiś test? Sprawdzenie, na ile ludzkość sama rozpozna Mesjasza? Lub fałszywego proroka? Którym z tych dwóch była ta osoba?

Jedna i druga możliwość sprawiała, że miałem ochotę się wycofać. Coś odpychało mnie od mężczyzny z brodą. Nie wiedziałem jednak co, bo nie miałem pojęcia, co się ze mną dzieje. Jeśli zalęgły się we mnie mroczne siły, mogło to potwierdzać, że stoi przede mną sam Zbawiciel. Jeśli nie i był to odruch dyktowany resztkami czegoś dobrego w mojej duszy, należało uznać, że jest wręcz przeciwnie.

Fałszywy prorok miał wykorzystywać chrześcijaństwo do swoich celów. Mamić wyznawców, przedstawiać swoje wersje tego, co było powszechnie przyjmowane.

Tak brzmiały słowa tego człowieka. To, co powiedział mi do tej pory, kazało sugerować, że będzie kwestionował przynajmniej jakąś część Nowego Testamentu.

Taka była jedna strona medalu. Druga sprowadzała się do tego, że gdzieś po drodze ludzkość się pomyliła. Zarówno

w kwestii *Credo*, jak i wielu innych. Chrześcijaństwo było na świecie od wieków – wystarczająco długo, by przeinaczyć parę spraw.

– Masz wiele pytań – odezwał się mężczyzna.

Nabrałem tchu i uznałem, że najwyższa pora przydać się do czegoś innym ludziom.

– Właściwie mógłbym zadawać je bez końca – odparłem. – Zaczynając od tego, jak mamy się do ciebie zwracać?

– Tak, jak robią to inni.

– Czyli?

– Istniejący – odezwała się Aneta.

Spojrzałem na nią, ale wciąż wydawała mi się jakby nieznaną osobą.

– Istniejący? – spytałem.

– To niedokładne tłumaczenie – przyznał mężczyzna. – Ale najbliższe łacińskiemu Aereus.

Znałem to słowo. Byłem jednak przekonany, że oznacza kolor niebieski lub…

Przypomniałem sobie, że to niejedyne znaczenie. Podobnie jak w przypadku wielu innych terminów, miało ich kilka. Wszystkie były zbliżone, w jakiś sposób ze sobą związane. *Aereus* oznaczał niebieski, ale także niebiański.

– Gdyby przełożyć je bezpośrednio na polski, musiałoby brzmieć „Istniejący w niebiosach” – dodał mężczyzna.

– Albo „pochodzący z niebios” – zauważyłem.

– Też. Zostańmy jednak przy pierwotnej wersji.

– Która ma cokolwiek wspólnego z prawdą? Z rzeczywistością?

– Wiesz, że nie odpowiem na takie pytania.

– Odpowiesz na jakiekolwiek?

– Oczywiście. Po to tutaj jestem.

– Więc zacznij od tego, skąd się wziąłeś i…

– Jest kilka wyjątków – przerwał mi Istniejący. – Nie mogę bowiem odpowiedzieć na żadne pytania, które wiążą się ze

mną samym.

Przyjrzałem mu się, szukając w jego oczach cienia czegoś niepokojącego. Czegokolwiek, co pozwoliłoby mi sądzić, że mamy do czynienia z fałszywym prorokiem. W głowie rozbrzmiewało mi echo ostatnich wersetów Apokalipsy.

Kto ma rozum, niech liczbę Bestii przeliczy.

Wiedziałem, że prędzej czy później będę musiał się nad tym zastanowić. To w trzech szóstkach mogła kryć się choć część odpowiedzi.

– Ujawnię wam wszystko inne, o co mnie zapytacie, ale nie odpowiem na pytania związane ze mną – powtórzył mężczyzna. – Takie są moje warunki.

– Uważasz, że to jakaś gra?

– Wręcz przeciwnie.

Zamilkliśmy, patrząc sobie w oczy. Niepokoiło mnie przeczucie, że mój rozmówca może przeniknąć do myśli. A może potrafił to robić jedynie, kiedy otwierała się między nami jakaś droga komunikacji? Jak podczas odmawiania *credo*?

– Pytaj, a odpowiem – odezwał się.

Starałem się ułożyć w głowie zborny szkic tego, czego powinienem się dowiedzieć. Było zbyt wiele rzeczy, bym mógł ustalić, od czego w ogóle zacząć.

– Co stało się z chorwackim samolotem? – odezwałem się.

Wydawało mi się, że sensownie będzie na początek dowiedzieć się właśnie tego. W końcu na pokładzie znajdowało się kilkaset osób. To ich los powinien być w tej chwili najważniejszy.

– Przestał istnieć.

– Jak to?

Mężczyzna nie odpowiadał. Zrozumiałem, że nie ma sensu dopytywać – wbrew temu, co mówił, nie odpowie na wszystkie pytania, które zadam.

– Co w takim razie działo się z AH 3836?

– Nic, co powinno cię niepokoić.

– A jeśli chodzi o ludzi na pokładzie?

– Byli przygotowywani.

– Do czego?

– Do wydarzeń, które właśnie mają miejsce.

Popatrzyłem na Anetę, a ta lekko skinęła głową. Szukałem na jej twarzy wyrazu, który dobrze znałem z obserwowania ślepo oddanych członków sekty. To potwierdziłoby, z kim i czym mam styczność. Nie wyglądała jednak na omotaną przez jakiegoś szarlatana. Przeciwnie, wzrok miała czujny, w pełni świadomy. Jej spojrzenie nie różniło się niczym od tego, które znałem.

– Czym są właściwie te zdarzenia? – spytałem.

– To wy o tym postanowicie.

– To znaczy? Zdecydujemy, czy brać cię za Mesjasza, czy za fałszywego proroka?

Uśmiechnął się lekko.

– Macie wolną wolę – powiedział tylko.

Ton głosu nie pozostawiał wątpliwości, że niczego więcej w tym temacie nie usłyszę. Uznałem, że kpi sobie ze mnie, ale zachowałem tę uwagę dla siebie.

– Co zamierzasz? – zapytałem.

Istniejący obejrzał się przez ramię. Materiał jego białej, cienkiej koszuli lekko zafalował, jakby gdzieś w budynku lotniska otworzyły się drzwi.

– Muszę złożyć wizytę w Watykanie – powiedział.

Tego nikt na świecie nie miał chyba zamiaru negować, nawet ateiści.

– Niewątpliwie – odparłem pod nosem. – Ale zatrzymałeś się tutaj. Dlaczego?

– Chciałem z tobą porozmawiać.

– Tak, już to mówiłeś – powiedziałem, zbliżając się o krok. Aneta nerwowo drgnęła. – Ale na razie trudno to nazwać

rozmową. Nie przyleciałeś tutaj, by dać mi jakiekolwiek odpowiedzi. Czego więc ode mnie oczekujesz?

– Pomocy.

– W czym?

– W poradzeniu sobie z tym, co nadchodzi – odparł, również się do mnie zbliżając. Położył mi rękę na ramieniu, a potem spojrzał prosto w oczy. – Nie wiem, co nas czeka, Filipie. Wasza wolna wola może skutkować wieloma rozwiązaniami, a ja nie mogę pokierować was w żadną ze stron. Rozumiesz to, prawda?

Skinąłem lekko głową.

Nie chciałem bezkrytycznie przyjmować tego, co mówił, ale coś kazało mi wierzyć w każde słowo. Pamiętałem ufność apostołów, przynajmniej niektórych. Pamiętałem też, jak do Chrystusa odnosili się przypadkowo napotkani ludzie. Relacje apostolskie oddawały to, jak się teraz czułem.

Ale fałszywy prorok miał potrafić zjednać sobie chrześcijan. Nie bez powodu tyle miejsca w Apokalipsie poświęcono temu, jak rosnąć będą szeregi wyznawców Antychrysta.

Wzdrygnąłem się, bo mógł on stać teraz przede mną.

Istniejący cofnął rękę.

– Wiem, że w tej chwili nie widzisz w tym wszystkim sensu – odezwał się. – Ale nie minie wiele czasu, a wszystko stanie się jasne. A ty odegrasz kluczową rolę. Chciałem jedynie przekonać się, czy jej podołasz.

– I?

– I jestem pewien, że tak. Na twoich barkach spocznie ogromny ciężar, ale go uniesiesz.

To rzekłszy, cofnął się, a potem odwrócił do Anety. Rozłożył lekko ręce, zupełnie jak Jezus na znanym mi obrazie przedstawiającym jego nieskończone miłosierdzie. Moja narzeczona objęła go na moment, a potem zrobiła krok w tył.

Istniejący oddalił się bez słowa w kierunku bramek. Ja zaś zostałem sam na sam z Anetą. Przynajmniej teoretycznie.

Miałem bowiem wrażenie, że ani przez moment nie będziemy teraz sami.

Czekałem, aż coś powie – może oznajmi, że to wszystko tylko wygłupy, durny żart, który zrobili sobie z kilkuset pasażerami. Ona jednak patrzyła na mnie z powagą.

Odchrząknąłem.

– Rzadki widok – odezwałem się.

Spojrzała w stronę odchodzącego mężczyzny.

– Mam na myśli twoją minę – dodałem.

– Co z nią nie tak?

– Jest poważna, jakbyś właśnie dowiedziała się, że nie tylko niedługo władują mnie do więzienia, ale też że mają ku temu dobry powód.

Nie odezwała się. Ruszyła powoli w kierunku wyjścia, a ja szybko się z nią zrównałem.

– Jeśli sprawiam wrażenie poważnej, to tylko dlatego, że sytuacja taka jest.

– Rozumiem.

– Ludzkość została wystawiona na próbę, Berg.

– Tak, słyszałem.

– To, co zrobimy w nadchodzących godzinach, albo wprowadzi nas w nową, świetlaną erę, albo położy się cieniem na historii przyszłych pokoleń.

Nie mówiła jak Aneta. Gdyby nie to, że dobrze znałem jej głos, nigdy nie powiedziałbym, że to moja narzeczona. Nawet w najpoważniejszych, najbardziej doniosłych sytuacjach nie wyrażała się w taki sposób.

– Zostajesz? – zapytałem. – Nie wracasz do pozostałych pasażerów?

– Nie, mam tu coś do zrobienia.

– Co?

– Jeszcze nie pora, żeby o tym mówić.

– Okej – odparłem pod nosem, choć bynajmniej nie miałem zamiaru się z tym godzić. – A co z resztą? Zostają w Izraelu?

– Na razie tak.

– Do kiedy?

Zatrzymała się przed wyjściem. Przez przeszklone przejście mogliśmy zobaczyć już całe zastępy antyterrorystów, którzy tylko czekali na pierwszy znak, że istnieje jakieś niebezpieczeństwo.

Nie istniało. Przynajmniej nie w tradycyjnym tego słowa pojmowaniu.

– Nie zadawaj mi pytań, na które nie mogę odpowiedzieć – powiedziała, obracając się do mnie.

Spojrzeliśmy na siebie nie jak dwójka stęsknionych za sobą narzeczonych, ale jak potencjalni wrogowie. Jakby w powietrzu wisiała groźba konfliktu, choć nie było jeszcze przesądzone, czy wybuchnie.

– Chętnie zadam takie, na które odpowiesz – powiedziałem. – Ale obawiam się, że dotarcie do nich metodą prób i błędów może zająć trochę czasu.

– Nie żartuj sobie, Berg.

– Ja? To świat sobie żartuje ze mnie. Z nas wszystkich. Ja tylko reaguję tak, jak wymaga tego sytuacja.

Westchnęła głęboko.

– Nie masz pojęcia, czego się od ciebie wymaga.

– Nie, nie mam, więc może mi powiesz?

Powiodła wzrokiem po funkcjonariuszach, którzy wprawdzie trzymali broń opuszczoną, ale gotowi byli w każdej chwili ją podnieść i puścić w naszym kierunku kilka krótkich, ale celnych salw.

Aneta przez chwilę przyglądała im się z dziwną, niepokojącą wyższością. Zupełnie jak aroganckie dziecko patrzące z góry na insekty, które zaraz rozgniecie.

– No? – odezwałem się.

Oderwała wzrok od antyterrorystów i znów skupiła całą uwagę na mnie. Zmrużyła oczy, a ja poczułem się oceniany. Nie, nawet więcej. Sądzony.

– Deklamowałeś już Apokalipsę? – zapytała.

Nie miała prawa o tym wiedzieć. Ale podobnie Istniejący nie powinien mieć świadomości, że odmawiałem *Credo*. Dotknąłem niepewnie medalionu. Miałem ochotę zacisnąć go w dłoni jak amulet.

– Recytowałeś już rozdział z zesłaniem kary na Wielki Babilon?

– O czym ty… – zacząłem mimowolnie.

– I Wielką Nierządnicą?

Wbijała we mnie wyczekujące, nerwowe spojrzenie. Sprawiło, że próba zaprzeczania czy mydlenia jej oczu byłaby jak wymierzenie jej policzka.

– Nie – odparłem.

– Jeszcze nie.

Nie brzmiało to dobrze. Nie chciałem myśleć o tym, że może mnie czekać powtórka z nocy. Według Anety jednak niewątpliwie tak miało się stać, a ja nie miałem powodu sądzić, że mogłaby się mylić.

– To z tym fragmentem związana jest twoja rola.

Zmarszczyłem czoło, żałując, że nie mam pod ręką choćby butelki wody. W ustach miałem zupełnie sucho.

Wielka Nierządnica. Rozdział siedemnasty.

Aneta skinęła głową, jakby i ona mogła usłyszeć moje myśli.

– „I ujrzałem Niewiastę pijaną krwią świętych i krwią świadków Jezusa” – odezwała się. – „A widząc ją bardzo się zdumiałem”.

Nieprzyjemne uczucie na plecach wróciło.

– „I rzekł do mnie anioł: «Czemu się zdumiałeś?»” – dokończyłem. – „Ja ci wyjaśnię tajemnicę Niewiasty i Bestii, która ją nosi, a ma siedem głów i dziesięć rogów”.

Aneta uśmiechnęła się lekko, jakby świadomość, że oboje potrafiliśmy przywołać z pamięci treść tego fragmentu, w jakiś sposób zbliżała nas do siebie. Może tak było. Wcześniej nie znałem na pamięć tych słów, ona tym bardziej nie.

– Kim jest Wielka Nierządnica? – zapytałem.

Znałem interpretację Kościoła, ale po tym, co usłyszałem o wyznaniu wiary, mogłem spodziewać się, że wersja Istniejącego jest inna.

Uśmiech znikł z twarzy Anety, jakby nigdy się na niej nie pojawił. Ruszyła na zewnątrz, nie odpowiadając. Dopiero kiedy opuściliśmy budynek lotniska, przykuwając uwagę wszystkich wokół, nabrała tchu, jakby miała zamiar oznajmić mi coś ważnego.

– Wszystko sprowadza się do Czarnej Madonny – powiedziała.

II

Przypuszczam, że zdecydowana większość ludzi na świecie wspomina następne dni jak przez mgłę. Nawet abstynenci zdawali się sięgnąć po mocne alkohole, entuzjaści marihuany niemal zadusili się dymem w swoich mieszkaniach, a ci, którzy przyjmowali środki najbardziej wytrącające z rzeczywistości, byli blisko złotego strzału.

Niektórzy nie spali – i tyle wystarczało, by wszystko stało się dla nich abstrakcyjne. Ja należałem do takich osób. Bałem się zapadnięcia w sen i nawet jeśli nachodził mnie w najmniej oczekiwanym momencie i już przymykałem oczy, coś we mnie budziło się i nie pozwalało zasnąć.

A może powinienem powiedzieć, że raczej nie budziło się. Bo nie dawałem mu ku temu okazji.

Wiedziałem, jakie wersety będę recytować. Nie było przed tym ucieczki, w końcu organizm musiał przecież odmówić mi posłuszeństwa. Ale postanowiłem bronić się tak długo, jak będzie to możliwe.

Aneta nie pomagała. Przez większość dnia milczała, oglądając doniesienia medialne, czytając lub długo i w skupieniu się modląc. Nie robiła tego na głos, nie miałem pojęcia, jak brzmią recytowane przez nią modlitwy.

Kinga z Rudykiem zapraszali nas do siebie właściwie codziennie, a my systematycznie i uparcie odmawialiśmy. Nie wiedziałem, dlaczego Aneta jest tak zdeterminowana, by nie opuszczać mieszkania. Jeśli chodziło o mnie, obawiałem się przede wszystkim tego, że zostanę przejrzany i narzeczona odkryje, do czego doszło – lub raczej nie doszło – między mną a Kingą.

Koniec końców to oni przychodzili do nas. Codziennie po południu, przez kilka dni. Dyskutowałem z nimi o tym, co się

wydarzyło, analizowaliśmy sytuację i podobnie jak cała reszta ludzi nie mieliśmy pojęcia, jak się do tego wszystkiego odnosić.

– Dzisiaj był w Afryce – odezwał się Mariusz.

Nie musiał tego mówić, śledziłem podróże Istniejącego bez przerwy. Czy może raczej jego pielgrzymki.

– I wciąż żadnych doniesień – dodał Rudyk. – Mogliby coś powiedzieć.

– Mogliby – przyznałem.

– Choćby to, z kim tam rozmawiał, gdzie dokładnie pojechał, ile osób przyszło.

– Widziałam nagrania w mediach społecznościowych – zabrała głos Kinga. – Wiadomo, że był w Rwandzie i Demokratycznej Republice Konga. Na spotkanie z nim przyszły tłumy.

– Czyli tak, jak w Ameryce Łacińskiej – ocenił Rudyk.

– Na to wygląda.

– Z kim on się tam spotyka? Z oficjelami kościelnymi? Z władzami tych krajów?

– Nie wydaje mi się – odparła. – Wygląda na to, że reakcja hierarchów wszędzie jest taka, jak papieża.

Dzień po naszym spotkaniu na lotnisku Ojciec Święty odmówił audiencji mężczyźnie z białą brodą. Do wiadomości publicznej nie podano żadnych szczegółów, wiedzieliśmy tylko tyle, że głowa Kościoła katolickiego nie miała zamiaru zobaczyć się z Istniejącym.

– Słyszałem wczoraj, że to nie była odmowa, tylko prośba o przesunięcie terminu – zauważył Mariusz.

Spojrzał na mnie pytająco, jakbym mógł wiedzieć więcej od innych. Jego podejście do mnie stopniowo się zmieniało. Początkowo nieufny, teraz zdawał się pokładać we mnie dziwną wiarę. Jakbym sam mógł okazać się Mesjaszem i wyprowadzić nas z tego bagna.

– Tak mówił jakiś korespondent z Watykanu – dodał.

– Mówią, co im się wydaje – odparła Kinga i wzruszyła ramionami. – Ostatnio słyszałam, że dopiero teraz stało się jasne, dlaczego po raz pierwszy w historii doszło do rezygnacji ze sprawowania urzędu.

Uniosłem pytająco brwi, bo pogrążony we własnych myślach, nie od razu załapałem, do czego się odnosiła.

– Mam na myśli Benedykta XVI – dodała. – Mówią, że ustąpił, bo wiedział, że nadchodzi koniec czasów. I że nie udźwignie ciężaru tego, co miało się stać. Nie znał dokładnego dnia ani godziny, ale miał świadomość, że zbliża się paruzja.

– Co sądzisz? – spytał Rudyk.

Wzruszyłem ramionami, nie odzywając się.

– Wymowne – skwitowała z lekkim uśmiechem Kinga.

– A jeśli chodzi nie o poprzedniego, tylko aktualnego papieża? – dodał Mariusz.

– Nie jestem wyrocznią – odparłem.

– Ale orientujesz się w temacie lepiej niż ktokolwiek z nas.

Prychnąłem cicho. W trakcie naszej wieloletniej znajomości już kilkakrotnie byłem przekonany, że Rudyk nie może mnie już bardziej irytować. Co jakiś czas uświadamiał mi jednak, jak bardzo się myliłem.

– Bo rzygam czarną mazią? – zapytałem. – Bo coś posiadło moje ciało i przemawiało po łacinie?

Co jakiś czas formułowałem te pytania, jakby były zarzutami pod adresem wszystkich, z którymi akurat rozmawiałem. Szukałem winnych wśród ludzi. Wśród istot, które nie miały nic wspólnego z tym, co mnie spotkało.

Rudyk milczał, znając doskonale schemat. Czegokolwiek by nie powiedział, rozmowa poszłaby dalej w tym samym kierunku, co każda inna. Zarzuciłbym go kolejnymi pretensjami, wykazując, że jestem przeklęty, a nie wybrany.

Dopiero teraz naszła mnie myśl, że to nie Mariusz działa mi na nerwy. Denerwowała mnie raczej świadomość tego, jak zgorzkniały i bezbronny się stałem.

Nastawiłem wody na trzy earl greye i wychyliłem się z kuchni, by sprawdzić, co z Anetą. Stała nieruchomo przed oknem w salonie, wpatrując się w jakiś punkt w oddali. Cofnąłem się, uznając, że nie ma sensu nawet próbować nawiązać z nią kontaktu.

Potem podałem herbatę Kindze i Rudykowi. On nadal patrzył na mnie wyczekująco.

– Co chcesz ode mnie usłyszeć? – spytałem niechętnie.

– Tylko twoje zdanie, nic więcej.

– Wersji w mediach masz aż nadto.

– Tyle że one mnie nie interesują.

– Słuchaj…

– Posłucham, jak zaczniesz mówić o konkretach.

– Ci ludzie znają się na rzeczy. Wiedzą, o czym mówią.

– Gówno wiedzą – odparł i machnął ręką. – Nie zbliżyli się nawet do tego, czego ty dotknąłeś.

Zawsze uważałem go za zaprzeczenie erudyty. W dodatku wyjątkowo rzadko zdarzało się, by zaserwował jakąś celną uwagę. Gdybyśmy mieszkali na wsi, a nie w mieście, typowałbym go na wioskowego idiotę.

Tym bardziej uderzyła mnie zasadność tego, co powiedział. I tego, co zdołał zawrzeć w tym krótkim zdaniu.

Westchnąłem, a potem odstawiłem kubek. Nie miałem ochoty nawet na ulubioną herbatę, aromat bergamotki działał na mnie drażniąco.

– Nie przywiązywałbym wielkiej wagi do tego, że Ojciec Święty odmówił – powiedziałem.

– Dlaczego nie?

– To trochę tak, jak z cudami.

– To znaczy?

Łaknął jakichkolwiek informacji, choć na dobrą sprawę mógł sam się postarać i dotrzeć do tego, co miałem zamiar powiedzieć. Zerknąłem na Kingę. Ona doskonale wiedziała, do czego piję.

– Weźmy na przykład Medjugorje.

– Co?

– Medziugorie. Miasto w Bośni i Hercegowinie. Nigdy o nim nie słyszałeś?

Pokręcił głową, a w jego oczach pojawiła się iskra zainteresowania, która szybko przerodziła się w płomień. Podobne reakcje towarzyszyły wielu ludziom – głównie dlatego, że przy deficycie wiedzy każdy jej strzępek wydawał się potencjalnie przełomową informacją.

– Doszło tam do szeregu objawień – powiedziałem. – Pierwsze miało miejsce w osiemdziesiątym pierwszym roku, a ostatnie… cóż, zapewne dopiero do niego dojdzie, bo występują co jakiś czas. Nigdy nie ustały.

Rudyk przysunął krzesło bliżej i oparł łokcie na stole.

– Doświadczyło ich sześć osób, dziś nazywa się je Widzącymi – ciągnąłem. – Opowiadali, że otoczyło je światło, a z niego wyłoniła się kobieca postać z dzieckiem na rękach.

– Kościół to potwierdził? – spytał Mariusz.

Wzruszyłem lekko ramionami. Właściwie biorąc pod uwagę wszystko to, co w tej sprawie padło z ust hierarchów kościelnych, trudno było udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

– Kościół jest ostrożny – powiedziałem. – Takie objawienia to ewenement w najnowszej historii chrześcijaństwa.

– Nie ma oficjalnego stanowiska?

– Nie – przyznałem. – Powołano specjalną komisję, ale Kościół ani nie zanegował, ani nie potwierdził objawień. Dozwalane są pielgrzymki do tego miejsca, ale nie potwierdzono, że występują tam zjawiska nadprzyrodzone. I w ten sposób *status quo* trwa.

– Od osiemdziesiątego pierwszego?

Pokiwałem głową, bo Rudyk znów trafił w sedno. Tak długi czas był co najmniej podejrzany. Dla tych, którzy byli przekonani, że objawienia są prawdziwe, długi czas stanowił właściwie potwierdzenie ich domysłów.

– Dziwne – powiedział Mariusz. – Ale co dzisiaj takie nie jest?

– Tyle że to zaczęło się blisko czterdzieści lat temu – zauważyła Kinga. – Od tamtej pory sporo było tych objawień?

Wypuściłem ze świstem powietrze.

– Mnóstwo. Troje Widzących twierdzi, że doświadczają ich codziennie. Pozostali mają je co jakiś czas. Do niektórych dochodzi publicznie, przy udziale tysięcy wiernych.

– Co? – jęknął Rudyk.

– Widzący podróżują po świecie, czasem informują, gdzie dojdzie do kolejnego objawienia. Chrześcijanie masowo gromadzą się w takich miejscach.

Widziałem, że ani Mariusz, ani Kinga nie słyszeli specjalnie wiele na ten temat. Nic dziwnego, po kilkudziesięciu latach temat stał się nieco mniej chodliwy. Tym bardziej, że Kościół wciąż nie zajmował stanowiska. Gdyby zaprzeczył prawdziwości objawień, emocje na nowo by rozgorzały. Gdyby je potwierdził, cóż…

Niebezpieczeństwo było ogromne. Co stałoby się, gdyby potwierdzono obecność Matki Bożej, a potem któreś z Widzących skrytykowałoby Papieża? Albo powiedziałoby, że jakiś fragment Biblii jest niezgodny z prawdą? Cały Kościół zatrząsłby się w posadach.

Przyszło mi do głowy, że podobny plan hierarchowie mogli przyjąć w przypadku Istniejącego. Wprawdzie w grę musiałaby wchodzić znacznie dłuższa cezura czasowa, ale ostatecznie papież mógł próbować powtórzyć strategię z Medziugorie.

Zacząłem zastanawiać się nad tym, czy tamte objawienia nie stanowiły preludium do tego, co działo się teraz. Może były pewnym testem? Sprawdzianem mającym pokazać, jak ludzkość zareaguje na bezpośrednią Boską ingerencję?

– Berg?

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że Mariusz o coś mnie spytał.

– Odpłynąłeś – dodała Kinga.

– Przepraszam – odparłem mimochodem i przeniosłem wzrok na Rudyka. – Co mówiłeś?

– Pytałem, kto się objawia tym ludziom.

Spojrzałem na swoich rozmówców, ale w pewnym sensie ich nie widziałem. Przed oczami stanął mi obraz przedstawiający Czarną Madonnę. Szybko odsunąłem wizerunek, znów wydał mi się złowrogi.

– Nie wiecie?

Kinga pokręciła głową.

– Podczas pierwszego objawienia postać przedstawiła się jako Błogosławiona Dziewica Maryja.

Dlaczego tak to ująłem? Powinienem powiedzieć po prostu, że to była ona. A nie, że tak określiła samą siebie.

Coś kołatało mi się w myślach, jakby z tyłu głowy.

Jedno słowo, które próbowałem wyciągnąć z głębin podświadomości.

Po chwili je uchwyciłem.

Bestia.

Wychodząca z morza. Dziesięć rogów, siedem głów. Na rogach dziesięć diademów.

Bestia podobna do pantery. Ludzie oddający jej hołd. Kłaniający się jej, kiedy wypowiada bluźnierstwa.

Bestia wychodząca z ziemi. Dwa rogi podobne do rogów Baranka. Mówiąca jak Smok.

Potrząsnąłem głową, jakbym próbował pozbyć się niewyraźnego powidoku koszmaru, który przez pół dnia chodzi za tobą po wyjątkowo ciężkiej nocy. Co się ze mną działo?

– Berg? – znów upomniał się o uwagę Rudyk.

Podniosłem się i zacząłem nerwowo chodzić wokół stołu. Kinga wodziła za mną wzrokiem, wyraźnie zaniepokojona. Mariusz sprawiał wrażenie, jakby był gotów przyjąć nawet największe dziwactwo z mojej strony.

– Jestem trochę rozkojarzony – bąknąłem.

– Rozkojarzony jesteś, jeśli rano nie wypijesz kubka earl greya – zauważyła Kinga. – Teraz wyglądasz, jakby ktoś przywalił ci kijem bejsbolowym prosto w potylicę.

– Dzięki.

Zmarszczyła brwi, przyglądając mi się.

– Wszystko w porządku?

– Wszystko oprócz tego, co się dzieje.

– No tak…

Popatrzyłem na Mariusza. Wyraźnie czekał, aż udzielę odpowiedzi na pytanie, które musiało paść, gdy znów odpłynąłem myślami. Dopiero po chwili zreflektował się, że mi umknęło.

Nie chciałem wracać na ten grunt, obawiając się, że znów z głębi duszy wychyną mi słowa Świętego Jana. Z drugiej strony nie było sensu tego unikać.

– Czym są te objawienia? – spytał.

– W dużej mierze orędziami wygłaszanymi przez Matkę Bożą – odparłem. – Kierowanymi do całej ludzkości.

– I co w nich jest?

– Mnóstwo rzeczy – odparłem i westchnąłem. – Maryja mówi w nich o potrzebie nawrócenia, miłowania Boga, docenieniu poświęcenia Chrystusa, dbaniu o pokój… choć najczęściej pojawia się jedna rada. Czy może prośba, jeśli wolisz.

– Jaka?

– By się modlić.

Spojrzeliśmy po sobie, jakbyśmy mieli za moment tę prośbę spełnić. Cisza się przeciągała, a ja starałem się nie myśleć o tym, dlaczego w ogóle rozmawiamy o objawieniach maryjnych.

Postanowiłem wrócić do początku.

– W każdym razie papież w tej sprawie zachowuje względną neutralność – odezwałem się. – I można się spodziewać, że na razie tak samo będzie w przypadku Istniejącego.

– Ale mówiłeś, że jest komisja badająca objawienia.

– Nie tylko komisja – przyznałem. – Wiele osób pochylało się nad tą sprawą. Między innymi Jan Paweł II.

– I?

– Oficjalnego stanowiska nie wydano.

– No dobrze, a nieoficjalne?

– Kilka osób z otoczenia papieża twierdziło, że odnosił się pozytywnie do objawień – odparłem. – Podobnie było w przypadku Gabriele Amortha.

– Kogo?

Znów trudno mi było uwierzyć, że ani Kinga, ani Rudyk nie słyszeli o tym człowieku. Uświadomiło mi to, że ci, którzy mówili o dwóch równoległych światach w przypadku duchownych i wiernych, mogli mieć nieco racji.

– Prezbiter ze zgromadzenia paulistów, chyba najbardziej znany egzorcysta w Kościele.

Mariusz jakby nieco pobladł.

– Założył Międzynarodowe Stowarzyszenie Egzorcystów i przewodniczył mu. Zmarł we wrześniu dwa tysiące szesnastego roku – dodałem, sam nie wiem dlaczego.

Nie mogło dłużej ulegać dla mnie wątpliwości, że coś kierowało moimi słowami. Coś sprowadziło mnie na drogę objawień maryjnych i wspomnienia o ojcu Gabriele. Jeden i drugi zaułek wydawał się mroczną, niebezpieczną uliczką. Nie chciałem dalej nią podążać.

Rudyk jednak miał jeszcze jedno, istotne pytanie. Pytanie, które sprawiło, że straciłem ochotę do dalszej rozmowy.

– To co Kościół z tym robi? – spytał.

– Hm?

– W sprawie objawień. Zostawili ten temat?

– Nie – przyznałem niechętnie. – W lutym dwa tysiące siedemnastego roku papież wysłał do Bośni i Hercegowiny polskiego biskupa, Henryka Hosera.

Moi rozmówcy unieśli brwi w tym samym czasie. Nie potrzebowali wiele, by powiązać kolejny fakt z naszym krajem.

Z nami. Może zaznajomili się z objawieniami Świętej Faustyny, a może nawet ich nie potrzebowali.

W mojej pamięci były jednak wyraźne. Pamiętałem, jak w swoim dzienniku opisywała słowa, które skierował do niej Jezus.

„Polskę szczególnie umiłowałem, a jeżeli posłuszna będzie woli Mojej, wywyższę ją w potędze i świętości. Z niej wyjdzie iskra, która przygotuje świat na ostateczne przyjście Moje[4]".

– To nic dziwnego – zastrzegłem. – Rocznie pielgrzymuje tam ponad dwa miliony wiernych, lwia część to ludzie z Polski. Może dlatego wybrano właśnie Polaka, by zbadał na miejscu wiarygodność objawień.

– Po tylu latach?

– Nadal są pytania, na które należy udzielić odpowiedzi – odparłem. – Tym bardziej, że na miejscu wybuchł właściwie konflikt na tle interpretacji tego, co się dzieje. Po blisko czterdziestu tysiącach widzeń, to właściwie zrozumiałe.

Kinga i Mariusz milczeli. W końcu Rudyk odchrząknął i zaplótł ręce na karku.

– Komisja nadal działa?

– Nie, przewodniczący jej kardynał Camillo Ruini zamknął prace w dwa tysiące czternastym roku.

– I?

– I nic – odparłem. – Nie wydano oświadczenia. Ma to zrobić Kongregacja Nauki Wiary, ale nie wiadomo kiedy.

– I nie wiadomo, jaka będzie treść oświadczenia – dodał pod nosem Mariusz, a potem na moment pogrążył się we własnych myślach. Rozplótł ręce i skrzyżował je na piersi. – Nie ma żadnych przecieków? Kompletnie nic nie wiadomo?

– Kompletnie – potwierdziłem.

– Ale jakieś opinie duchownych muszą się pojawiać.

– Pojawiają się – powiedziałem.

– Pozytywne? Negatywne?

– Takie i takie. Niektórzy twierdzą, że wszystkie komunikaty, jakie otrzymują Widzący, to mamienie Szatana. I że stanowią zagrożenie dla duszy kogokolwiek, kto w nie wierzy.

Pomyślałem o fałszywym proroku. I o tłumaczeniach Apokalipsy, w których używano rodzaju żeńskiego do opisywania tej postaci. Jedni twierdzili, że to rezultat odnoszenia się do niej jako do „Bestii". Inni, że to wyraźna wskazówka.

– To bez sensu – ocenił Rudyk. – Przecież ci ludzie mówią o modleniu się, miłości do Boga i tak dalej.

Pokiwałem głową w zamyśleniu.

– Dlatego zwolennicy objawień odrzucają wersję z Szatanem – odezwałem się. – Często przywołują to z sierpnia dwa tysiące jedenastego roku, kiedy Matka Boża powiedziała: „Dzieci moje, wam samym nie uda się powstrzymać zła, które chce objąć ten świat we władanie i zniszczyć go". Wykazują, że Maryja chce nam pomóc, zamierza wraz z nami stanąć do walki ze złem. A jedyne, co musimy zrobić w zamian, to modlić się.

Usiadłem z powrotem przy stole, czując wręcz irracjonalne zmęczenie.

– Jest jeszcze jedna interpretacja, dość powszechna – dodałem, nie mając pojęcia, dlaczego pomyślałem o niej dopiero teraz.

– Jaka? – zapytała Kinga.

– Sprowadza się do tego, że objawienia to nic innego, jak przygotowanie ludzkości do powtórnego nadejścia Jezusa Chrystusa.

Trwaliśmy w milczeniu. Długo, zdecydowanie zbyt długo.

Przerwała je dopiero Kinga, kiedy jej siostra weszła do kuchni i spojrzała na nas, jakby oczekiwała czegoś konkretnego.

– Coś nie tak? – zapytała Kinga.

– Niestety. Przede wszystkim to, że Filip jeszcze tu jest.

Obróciłem się w stronę narzeczonej i napotkałem jej wzrok. Po raz pierwszy w życiu miałem nadzieję, że w powiedzeniu, iż oczy są zwierciadłem duszy, nie ma ani krzty prawdy. Aneta patrzyła na mnie bowiem, jakby krył się w niej wyłącznie mrok.

– A gdzie powinien twoim zdaniem być? – odezwała się Kinga.

– Tam, gdzie jego miejsce. W piekle.

[4] Dzienniczek Świętej Faustyny, zeszyt szósty, poz. 1732.

III

Świat zwariował. Po tych kilku dniach mogłem stwierdzić to bez cienia wątpliwości. Ludzkość zdawała się stopniowo dzielić na trzy oddalające się, coraz bardziej nieprzychylne sobie obozy.

Pierwszy składał się głównie z katolików, którzy odrzucali Istniejącego i twierdzili, że jest oszustem. Drugi z chrześcijan, którzy przyjmowali jego przyjście jako paruzję, a w nim widzieli Jezusa Chrystusa. W trzecim znajdowała się cała reszta – ateiści, muzułmanie, buddyści i wszyscy inni, którzy patrzyli na dwa pierwsze obozy jak na grupy szaleńców.

Nie miałem pojęcia, czym może się to skończyć. Pewne wydawało się jednak, że zmiany dopiero się rozpoczynają.

Postępowały nie tylko na świecie. Po tym, co usłyszałem od Anety, nie miałem zamiaru spędzać z nią kolejnej nocy pod jednym dachem. Naszły mnie być może irracjonalne obawy, że kiedy zasnę, po prostu ze mną skończy.

Na jakiś czas przeniosłem się do Kingi i Rudyka. Nie było łatwo żegnać się z nimi co wieczór i patrzeć, jak zamykają się za nimi drzwi sypialni. Z jeszcze większym trudem przychodziło mi słuchanie tego, co działo się później.

Wiedziałem, że to nie może trwać. Ani moja sytuacja, ani to, co działo się na świecie. Istniejący odwiedzał nowe miejsca, zjednywał sobie coraz większą liczbę zwolenników, ale równocześnie coraz liczniejsza stawała się grupa jego przeciwników.

Do której sam należałem? Nawet nie próbowałem odpowiedzieć na to pytanie. Podobnie jak na to, które dotyczyło mojej roli w tym wszystkim.

W końcu postanowiłem, że czas najwyższy poprosić kogoś innego o udzielenie odpowiedzi. Kinga miała rację. Jedynym

sposobem, by to osiągnąć, był powrót na grób ojca. I na pokład Japan Airlines 123.

Rankiem czternastego dnia po pojawieniu się Istniejącego wsiedliśmy do kajanki. Wcześniej Aneta oddała mi kluczyki bez słowa, nawet na mnie nie patrząc.

– Między wami bez zmian? – zapytała Kinga, kiedy ruszyłem Grota-Roweckiego w kierunku centrum.

– Niestety. Lub stety.

– Nie mów tak.

Zerknąłem na nią, ale szybko wróciłem do obserwowania drogi.

– Mam na myśli tylko to, że ona sprawia wrażenie, jakby chciała mnie zabić.

Kinga nie zaprzeczyła, za co byłem jej wdzięczny. Nie miałem zamiaru zakłamywać rzeczywistości – i tym bardziej nie chciałem, by robił to ktoś inny.

– Kiedy to się zaczęło? – spytała.

– Po naszej rozmowie w kuchni o objawieniach maryjnych.

– To był pierwszy raz, kiedy…

Nie skończyła, zawieszając w próżni niewypowiedziane pytanie. Nie miałem zamiaru pozwalać mu tam wisieć. Na niedopowiedzenia był czas, kiedy świat zdawał się jeszcze normalnym miejscem. Teraz było inaczej.

– Kiedy spojrzała na mnie jak na wcielenie Szatana? – dopytałem. – Tak, to był pierwszy raz. Od tamtej pory było tylko gorzej.

Kinga przez chwilę milczała, ale w samochodzie bynajmniej nie panowała cisza. Ledwo do niego wsiedliśmy, rozpętała się ulewa. Krople deszczu zdawały się wielkości kostek lodu. Tłukły w karoserię, robiąc z niewielkiego forda ka puszkę rezonansową. Nie słychać było nawet radia, a wycieraczki nie radziły sobie z usuwaniem wody z przedniej szyby.

– Zastanawiałeś się, dlaczego akurat wtedy powiedziała to, co powiedziała?

– Oczywiście, że się zastanawiałem.

Mój ton był burkliwy, zupełnie niepodobny do tego, którego chciałbym używać wobec Kingi. Po ostatnich kilku dniach rozumiałem jednak, dlaczego umysł reagował tak a nie inaczej.

– Coś musiało ją rozsierdzić – dodałem. – A jeśli ją, to także Istniejącego.

– Rozmowa o objawieniach? O powtórnym przyjściu?

– Nie wiem. I nie wiem, dlaczego jedno lub drugie miałoby wywołać w niej taką reakcję.

Chociaż nie dawałem tego po sobie poznać, było to jak wiszące nade mną widmo. Cały czas słyszałem beznamiętny, niemal obojętny głos Anety, który chciał wmówić mi, że moje miejsce jest w piekle.

Po półgodzinie zatrzymałem się na parkingu cmentarnym. Wyszedłem z kajanki, szybko rozłożyłem parasolkę i ustawiłem się przy drzwiach pasażera. Nie było szans, by Kinga nie zmokła, bo rzęsisty deszcz zaczął zacinać, ale robiłem, co mogłem.

Kiedy podeszliśmy pod grób, oddałem jej parasol. Przykucnąłem przy mogile i podniosłem wzrok.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

– Jestem.

– Nie wyglądasz.

– Bo właściwie to…

– No?

– To może być najgorszy pomysł, na jaki w życiu wpadłam.

Spojrzałem na nią z niedowierzaniem.

– Ale jedyny, który może nam pomóc – dodała. – Nie trać czasu, Berg.

Pomyślałem, że jego akurat mam w nadmiarze. Zaraz znajdę się w przeszłości, na kilka minut przed tragiczną katastrofą, a potem będę mógł uczestniczyć w niej do woli. Tutaj minie

okamgnienie, tam mogłem przeżyć kilka żyć. Lub raczej kilka śmierci.

Otarłem krople spływające mi z przemokniętych włosów i skinąłem głową. Potem położyłem dłoń na mogile i przesunąłem w jedną i drugą stronę.

Nic się nie wydarzyło.

Ale czego właściwie się spodziewałem? Że grób ojca posłuży mi jako jakiegoś rodzaju portal? Że znajdę się z powrotem na pokładzie samolotu, spotkam tam mężczyznę z białą brodą, przysiądę się do niego i zacznę rozmowę?

Że uczynimy sobie z tego naszą małą tradycję? I że dzięki temu w cudowny sposób poznam wszystkie odpowiedzi?

Zaśmiałem się i pokręciłem głową.

Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że nie pochylam się już nad mogiłą. Przeciwnie, leżałem obok niej. Deszcz uderzał mi prosto w twarz, jakby samo niebo wymierzało kolejne ciosy.

– Berg!

Krzyk był tak głośny, że zupełnie mnie zdezorientował. Osłaniając dłonią oczy, starałem się spojrzeć na klęczącą przy mnie Kingę. Zawołała jeszcze raz, jakby robiła to już bezskutecznie od jakiegoś czasu.

Trzymała mnie za ramiona. Potrząsała mną.

– Jezus Maria… – szepnęła, nagle się uspokajając. – Jesteś…

– Co się stało, do kurwy nędzy?

– Wróciłeś…

– Nigdzie nie znikłem – odparłem zupełnie skołowany.

Pokręciła gorączkowo głową, a potem położyła mi dłoń na mokrym policzku. Przechyliła głowę na bok i przez moment po prostu patrzyła mi prosto w oczy. Z dziwną, niewypowiedzianą i zupełnie niepotrzebną wdzięcznością. Jakby chciała podziękować mi za to, że wróciłem, choć wedle mojej najlepszej wiedzy byłem tu cały czas.

– Nie reagowałeś na nic przez kilka sekund.

– Kilka sekund? – spytałem. – I to cię zaniepokoiło?

Umysł ludzki pracuje w dziwny sposób. Szczególnie kiedy jego właściciel zaczyna darzyć siostrę swojej narzeczonej zbyt daleko idącą sympatią. W moim przypadku zaczynało się to objawiać coraz mniej uprzejmym tonem i demonstrowaniem nieistniejącej niechęci.

Podniosłem się, wodząc wzrokiem za parasolką. Toczyła się na wietrze kilkanaście metrów dalej.

– Rozumiem, gdyby minęło choć kilka minut, ale tak… najwyraźniej zasłabłem.

Kinga wciąż patrzyła mi w oczy, ale cofnęła rękę.

– Nie śpię, mało jem i dużo piję – dodałem. – Nic dziwnego, że…

– Otrzyj usta.

– Co?

Zanim zdążyła powtórzyć, zrobiłem to. Na rękawie pojawiła się czarna smuga.

– Nie było cię tutaj, Berg.

– Ale w takim razie…

– Musiałeś przenieść się na pokład JAL 123.

Pomogła mi wstać.

– Co się ze mną stało?

Zaczęła powoli i niechętnie opisywać coś, co trwało jedynie kilka sekund. Tyle jednak wystarczyło, by wżarło się to w jej pamięć jak obrzydliwa kreatura zatapiająca kły w jej ciele.

– Głowa odgięła ci się do tyłu – powiedziała trzęsącym się głosem. – Tak daleko, że odniosłam wrażenie, jakby miała dotknąć pleców. Potem z ust wypłynęła ci spieniona, czarna ślina. Buchnął z nich odpychający, zgniły smród. Upadłeś, a ja do ciebie doskoczyłam. Po chwili otworzyłeś oczy.

Splunąłem na bok, poniewczasie orientując się, że to nie najlepsza rzecz, jaką mogłem zrobić na cmentarzu.

– Nic nie pamiętasz? – zapytała.

– Nie. Dotknąłem mogiły, a potem zobaczyłem, jak się nachylasz.

– Musiałeś tam przejść…

– Może – przyznałem. – A może to było ostrzeżenie, by tego nie robić.

W końcu oderwała ode mnie spojrzenie i popatrzyła za niesioną wiatrem parasolką. Przy wichurze, która się rozpętała, nie było sensu za nią biec.

– Więc co teraz? – zapytała. – Zamierzasz…

– Zamierzam to ostrzeżenie zignorować – odparłem, a potem znów pochyliłem się nad grobem.

Dotknąłem medalionu, przeżegnałem się, na moment zamknąłem oczy, by się wyciszyć, a następnie znów umieściłem dłoń na mogile.

Święta Maryjo, Matko Boża, chroń mnie – powiedziałem w duchu i przesunąłem dłonią po wyrytych w kamieniu imieniu i nazwisku ojca. Potem po dacie narodzin i śmierci. Ostatecznie dotknąłem miejsca, z którego wcześniej ściągałem liście.

Nic się nie stało. Tym razem naprawdę nic.

– Nie rozumiem – powiedziała Kinga. – Co się dzieje?

– Może wyczerpałem limit.

Spojrzała na mnie z rezerwą i zaprzeczyła ruchem głowy. Wyciągnęła paczkę papierosów, a potem zapaliła jednego, osłaniając go od góry dłonią. Obserwowałem, jak wędruje w górę i w dół, zostawiając w powietrzu smużkę dymu uciekającą między palcami.

– Coś musiało się wydarzyć, kiedy byłeś tam ostatnio.

– Powiem ci, co się wydarzyło: samolot runął na zbocze góry.

– Daj spokój.

– Oprócz tego…

– Może nie pamiętasz, co się stało, bo ktoś o to zadbał – przerwała mi. – Bo może odkryłeś coś istotnego.

Na tym etapie nie miałem już złudzeń, że kiedykolwiek na coś takiego trafię.

– Nie wydaje ci się, że to prawdopodobne?

– Nie.

– Bo się boisz?

Takiego pytania nie spodziewałem się usłyszeć. Nie od Kingi. Zazwyczaj to Aneta przyjmowała konfrontacyjną postawę, starała się wymusić swoją wolę na kimś, odwołując się do jego honoru czy urażonej dumy.

A tymczasem odniosłem wrażenie, że właśnie to stara się zrobić Kinga.

– Oczywiście, że się boisz – powiedziała. – Przeraża cię sama myśl, że jakieś siły postarały się, żebyś zapomniał, co przed momentem przeżyłeś na pokładzie. Bo uświadamia ci to, że mogłeś dotrzeć do czegoś ważnego.

Założenie rzeczywiście było niepokojące. Oznaczało, że siły, o których mówiła Kinga, były zdeterminowane. I wszechmocne. Bez trudu wniknęły w mój umysł i usunęły to, o czym nie powinienem wiedzieć.

Nie, to nadinterpretacja, uznałem w duchu.

– Za wcześnie na wyciąganie takich wniosków – powiedziałem. – Tak naprawdę to… to może być zupełnie normalne.

– Normalne?

– Przekraczam granicę czasoprzestrzeni, prawda? – zapytałem, jakby to ona mogła udzielić odpowiedzi. – Może problemy z pamięcią nie są niczym dziwnym.

– A może demoniczna obecność w tobie potrafi więcej, niż ci się wydaje.

Pociągnęła papierosa, ale mimo że osłaniała go dłonią, zamókł. Zaklęła cicho i cisnęła go w kierunku ścieżki między grobami.

– Jeśli tak, to już po mnie – odparłem.

– Jeśli tak, to już dawno po tobie, Berg.

Zaśmiałem się pod nosem, samego siebie zaskakując. Kinga też nie miała zamiaru zachowywać pełnej powagi. Uśmiechała

się, jakby przed momentem powiedziała nie coś dojmującego, a pocieszającego.

– Trochę fatalizmu nigdy nikomu nie zaszkodziło – zauważyła.

– Ano nie. Tym bardziej, że to daje mi pewien komfort.

Uniosła pytająco brwi.

– Jeśli już dawno po mnie, to wszystko stracone, nie muszę się starać ratować za wszelką cenę. Całkiem niezły układ. Przynajmniej trochę odpocznę.

Patrzyliśmy na siebie, ociekających deszczem, zmęczonych i bezsilnych. I wciąż oboje lekko się uśmiechaliśmy. Mimo wszystkiego, co się działo, chciałem, żeby ta chwila trwała. Czułem bowiem, że podobnych nie będzie już wiele.

– Spróbujesz jeszcze raz?

– Mhm – mruknąłem, a potem przesunąłem dłonią po mogile.

Spróbowałem w kilku miejscach, wykonując ruchy w jedną i drugą stronę.

– Jeśli był tu portal, to chyba go zamknąłem.

– I to na dobre – potaknęła Kinga. – Chociaż nadal bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że zrobił to ktoś inny.

Wyprostowałem się i spojrzałem na krzyż obok zdjęcia ojca. Uznałem, że skoro już tu jestem i najwyraźniej nie mam szans na to, by wrócić na pokład Japan Airlines 123, powinienem zmówić modlitwę za jego duszę.

Przeżegnałem się, ale uczynienie znaku krzyża okazało się trudniejsze, niż sądziłem. Ręce miałem zmęczone, mięśnie jakby zakwaszone. Kiedy zacząłem się modlić, wróciły nudności.

Po chwili wbiłem wzrok w grób. Czekałem, aż coś się wydarzy, ale jedyną zmianą było to, że moje ubranie przemakało coraz bardziej. Nie czułem już nawet kropel spływających po ciele, byłem cały mokry.

Przeszło mi przez głowę, że ktoś zabrania mi wejścia.

Nie była to moja myśl. Pochodziła z obcego źródła.

– Berg?

– Tak?

– Co się stało?

– A co miało się stać? Modliłem się.

– Zaraz potem wzdrygnąłeś się, jakby poraził cię prąd.

Obróciłem się do Kingi z nadzieją, że i tym razem zobaczę uśmiech. Że robi sobie ze mnie żarty i próbuje stworzyć między nami namiastkę normalnych reakcji. Jej wyraz twarzy kazał mi jednak sądzić, że naprawdę się wzdrygnąłem.

– Nic nie czułem, ale…

– Ale co?

Powiodłem wzrokiem dookoła. Miałem ochotę jak najszybciej opuścić nekropolię, przekonany, że nie czeka nas tu nic dobrego.

– Może na pokładzie rzeczywiście coś się wydarzyło – powiedziałem. – Bo z jakiegoś powodu jestem coraz bardziej przekonany, że ktoś zablokował przejście.

Powinienem powiedzieć: coś.

Ta myśl także była wyraźna, ale nie miałem zamiaru jej werbalizować.

– Chodźmy stąd.

Kinga zbliżyła się do mnie, spojrzała na mnie ze współczuciem, a potem wymownie rozłożyła ręce. Nie był to teatralny gest, wręcz przeciwnie – subtelny. Ale wystarczający, bym zobaczył jej zrezygnowanie.

– Dokąd? – spytała.

Co powinienem odpowiedzieć? Coś, co da jej nadzieję? Pozwoli się łudzić, że odnajdziemy odpowiedzi? My, dwoje przypadkowych ludzi, którzy w ogólnym rozrachunku są tak istotni, jak jedna z kropel deszczu wsiąkająca w ziemię?

– Na razie wsiądźmy do samochodu i włączmy ogrzewanie – zaproponowałem. – Potem pomyślimy.

– Nad czym tu myśleć, Berg?

– Nad kolejnymi krokami.

Wskazała grób.

– Tu się skończą – powiedziała.

Uświadomiło mi to, na jak wiele liczyła. Z jakiegoś powodu naciskała, bym wrócił na pokład samolotu i była przekonana, że to jedyne sensowne rozwiązanie. Może miała nadzieję na to, że naprawdę to ja dostarczę wszystkim odpowiedzi, na które czekali.

– Szeptucha nie żyje – dodała. – A przejście zostało zamknięte.

Z włosów ciekł mi nieprzerwany strumień wody. Raz po raz ocierałem oczy, ale deszcz i tak po chwili sprawiał, że widziałem jak przez mgłę.

– Nie mamy już żadnego kontaktu z tamtym światem.

– Wolałbym, żebyś tak tego nie określała.

– Nazywam rzeczy po imieniu.

Na dobrą sprawę trudno było temu zaprzeczyć.

– Ale zapominasz, że mamy jeszcze mnie. – Chciałem, żeby mój głos zabrzmiał pokrzepiająco, ale tak się nie stało. – Sam stanowię jakiegoś rodzaju pomost.

– Nie.

– Nie? Nagranie, które oboje oglądaliśmy, dowodzi, że…

– Dowodzi czegoś wprost odwrotnego.

– To znaczy?

Kinga ujęła moją dłoń i przyciągnęła mnie lekko. Chciałem doszukać się w tym geście czegoś romantycznego, ciepłego, wręcz intymnego, ale nie takie było jego znaczenie. Miał uświadomić mi przede wszystkim, że Kinga głęboko mi współczuje.

– Nadal nie rozumiesz? – zapytała.

– Nie.

– Jesteś opętany, Berg – powiedziała, a jej głos huknął jak grom podczas szalejącej burzy, która odcinała całe miasta od prądu. – To w tobie tkwi demoniczna obecność.

Pokręciłem głową, ale zrobiłem to bez przekonania.

– To, co dzieje się z tobą w naszym świecie, to rezultat działania diabła.

– Nie…

– Wszystko inne było wyciągniętą do ciebie pomocną dłonią.

– Nie, nie wydaje mi się.

– Ostatnią deską ratunku, która właśnie znikła.

Wolałbym, żeby na tym poprzestała, ale widziałem, że nie ma zamiaru. Dotarła do punktu bez odwrotu, jej osobista czara goryczy się przelała i Kinga zamierzała powiedzieć mi wszystko to, czego sam do siebie nie dopuszczałem.

– To postępowało – ciągnęła. – Ktoś lub coś starało ci się pomóc, ale teraz jest za późno.

– Poczekaj…

– Kiedy spojrzysz prawdzie w oczy?

– Cały czas to robię.

Pokręciła głową.

– Tak naprawdę nie jesteś gotów nawet przyznać, że stopniowo twoje ciało opanowuje demon.

– Nie jestem gotów i nie będę, bo to bzdura.

Spojrzała na mnie tak wymownie, jak nigdy wcześniej.

Oczywiście miała rację, w głębi ducha wiedziałem o tym przecież od samego początku. Kiedy objawił mi się ojciec, mogłem jeszcze się łudzić, że to nie początek owładnięcia przez ducha. Wszystko, co działo się potem, potwierdzało jednak, że doszło do opętania.

A ja byłem ofiarą.

Ofiarą zjawiska, które dobrze znałem nie tylko z wątpliwej jakości przekazów, ale niemal z autopsji. Pełniąc posługę, nieraz zdarzało mi się rozmawiać z duchownymi, którzy zetknęli się z siłami nieczystymi opanowującymi czyjeś ciało. Słyszałem przekazy z drugiej ręki, czytałem relacje ojców, którzy toczyli z demonami walkę.

Wiedziałem, że do opętań dochodzi naprawdę. Będąc księdzem, postrzegałem je nie jako potencjalny materiał do magazynu telewizyjnego o zjawiskach nadprzyrodzonych. Jawiły mi się one jako element naszej rzeczywistości, choć pochodzący z innego świata.

Bo jeśli wierzyłem w Boga, aniołów i wszystko to, co dobre, musiałem przyjmować też istnienie wszystkiego innego. Także ostatecznej formy demonicznej ingerencji.

Która okazała się dotknąć mnie samego.

– Im szybciej zdasz sobie sprawę z tego, co się dzieje, tym szybciej postaramy się z tym uporać – odezwała się Kinga.

– Nic się nie dzieje.

– Berg, do kurwy nędzy…

– Wszystko jest ze mną w porządku.

Podeszła do mnie tak blisko, jakby miała zamiar złapać mnie za fraki i potrząsać dopóty, dopóki nie przejrzę na oczy. Patrzyłem na jej mokre włosy i krople deszczu spływające po policzkach. Równie dobrze mogły być łzami.

– Błagam cię, przestań się okłamywać.

Patrzyła mi w oczy długo i wymownie. W końcu ujęła moje dłonie i przysunęła się jeszcze bliżej. Przywarła do mnie, przeciągnęła moje ręce do tyłu, a potem mnie objęła. Otoczyłem ją ramionami, jakbym mógł schować ją przed całym światem. Trwaliśmy tak w bezruchu przez moment, nie zważając na to, jak przemoknięci byliśmy.

W końcu Kinga obróciła lekko głowę w kierunku mojej.

– Poradzimy sobie z tym – odezwała się.

Nie miałem zamiaru dłużej zaprzeczać.

– Jak?

– Znajdziemy kogoś, kto może ci pomóc.

– Masz na myśli biskupa, który…

– Mam na myśli egzorcystę.

– Czyli biskupa, który może uwolnić mnie od mocy demonicznej – dokończyłem. – Bo to oni są do tego

upoważnieni przez Kościół. Zazwyczaj wywodzą się z szeregów doświadczonych, starszych duchownych. Nie mają wiele wspólnego z wymuskanymi aktorami, których…

– Tak, Berg, domyślam się. I nazywajmy rzeczy po imieniu.

Przełknąłem ślinę.

– Chyba na to najwyższa pora – dodała.

Miała rację.

Musiałem spojrzeć prawdzie w oczy. Jej i demonowi, który mnie opętał.

IV

Rudyk był ostatnią osobą, z którą chciałem planować dalsze kroki, a zarazem pierwszą, z którą chciała współdziałać Kinga. Przypuszczałem, że powodują nią bardziej wyrzuty sumienia niż poczucie, że może mu bezgranicznie ufać.

Miała do siebie żal nie tylko o długie, znaczące objęcie na cmentarzu, ale o to, co wtedy czuła. Przynajmniej tak chciałem myśleć. Ja lub istota, która demoniczną mocą starała się mnie posiąść.

Na tym etapie nie mogłem już być pewny, co się ze mną dzieje. Każda nieprzespana noc w ciągu ostatnich tygodni mogła oznaczać, że władzę nad moim ciałem sprawował demon. Mogłem nie pamiętać znacznie większej liczby rzeczy, niż przypuszczałem.

W głowie coraz wyraźniejszym echem odbijały mi się słowa Anety. Powinienem być tam, gdzie moje miejsce.

W piekle.

Obawiałem się, że jakkolwiek bym postąpił, ostatecznie właśnie tam trafię. Ale zanim będę zmuszony kupić bilet w jedną stronę, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby to odwlec, uznałem.

Koniec końców znalazłem się więc na jednym z przystanków, którym była rozmowa z Mariuszem. Początkowo nie dowierzał, zachowywał się, jakby usłyszał dobry żart, ale ostatecznie przyjął wszystko za pewnik.

Prawie wszystko.

– A to nie jest tak, że osoba opętana jest nieświadoma? – spytał. – Że demon się przed nią ukrywa?

– Poniekąd.

– To znaczy?

– To znaczy, że do czasu tak jest. I wygląda na to, że w moim przypadku tak było.

Starałem się, by mój głos brzmiał spokojnie, ale szybko przekonałem się, że to bezcelowe. Strach był wyraźnie wyczuwalny, nawet dla mnie samego.

– Ale teraz jesteś świadomy.

– Mhm…

– To może go rozsierdzić.

– Przypuszczam, że i tak jest rozsierdzony – burknąłem. – To wściekła, żądna krwi, obłąkana istota. Równie szalona, jak każdy inny demon.

– Ale… – zaczął Rudyk i urwał, marszcząc czoło.

Miał mnóstwo pytań, musiał tylko zebrać je w jedną, zborną salwę. Kiedy ją wystrzelił, miałem wrażenie, że nasza rozmowa nigdy się nie skończy. Chciał wiedzieć, dlaczego demon przemawiał przeze mnie po łacinie, zapowiadając nadejście Antychrysta. Pytał, w jakim celu obecność prowadziła mnie do Czarnej Madonny. I w końcu dociekał, jaki związek opętanie ma z tym, co się dzieje.

Jakiś miało, to na pewno. Nie potrafiłem jednak udzielić Rudykowi odpowiedzi ani na to pytanie, ani na jakiekolwiek inne.

– Wszystkiego się dowiemy, jak tylko zwrócimy się o pomoc do egzorcysty – wtrąciła się w końcu Kinga.

Mariusz odpuścił, a ja odetchnąłem w duchu.

– Naprawdę w to wierzycie? – zapytał po chwili.

– Sam też sprawiasz wrażenie, jakbyś wierzył – zauważyłem.

– No, nie… to znaczy… wierzę we wszystko, co powiedziałeś.

Spojrzał mi w oczy, jakby starał się dostrzec we mnie dodatkową, nadprzyrodzoną obecność. Ja czułem jednak, że jest uśpiona. Czeka przyczajona gdzieś w ciemnych zaułkach mojej duszy. Zbiera siły, nie mając zamiaru tracić ich na byle zabawy.

– Mam na myśli egzorcyzmy – dodał Mariusz. – To chyba raczej… sam nie wiem, wydawało mi się, że to fikcja.

– Wierzysz w opętanie, ale nie w możliwość wypędzenia demona? – spytałem pod nosem.

Wzruszył ramionami, a ja uznałem, że może nie powinienem się dziwić. W ingerencję sił nieczystych łatwo było uwierzyć. Stanowiła coś nienamacalnego, abstrakcyjnego. Dopiero jej najwyższe stadium, w którym demon bezpośrednio manifestował swoją obecność, stanowiło coś, co wymykało się pojmowaniu. A ten etap następował dopiero, kiedy istotę demoniczną zaczynało się drażnić. Podczas egzorcyzmu.

Rudyk czekał na odpowiedź, świdrując mnie wzrokiem.

– Jeśli wierzysz w jedno, to także w drugie – odparłem.

Pokiwał głową z ufnością. Czułem się nieprzyjemnie w roli, którą mi narzucił. Traktował mnie od pewnego czasu niemal jak nauczyciela, którego słów nie wypada kwestionować.

Moje poczucie dyskomfortu i pewnej winy rosło, kiedy dodałem do tego uczucia, których starałem się wyrzec. Uczucia wobec jego żony.

– Może za dużo naoglądałem się „Egzorcysty” i innych – dodał. – I przez to wydaje mi się to fikcją, a nie rzeczywistością.

– Może – przyznałem. – Choć te rzeczy często nie mają nic wspólnego z tym, jak to naprawdę wygląda. Wypędzenie demona z czyjegoś ciała sprowadza się do…

Urwałem, bo znów poczułem znajomy odór.

Bestia we mnie się obudziła.

Po plecach przemknęły mi ciarki, poczułem chłód. Potrząsnąłem głową, jakby to w jakiś sposób mogło sprawić, że otrzeźwieję, odepchnę od siebie szaleństwo, które chciało mną zawładnąć.

– Berg?

– Egzorcyzm to najczęściej mrówcza praca – dodałem, a potem kilka razy kaszlnąłem, bo wydawało mi się, że coś

gęstego i lepkiego przykleiło mi się do ściany gardła. – Polega na długim i mozolnym odmawianiu modlitwy. Niekoniecznie na przytrzymywaniu opętanego, recytowaniu formułek, polewaniu go wodą święconą i wyciąganiu…

Znów musiałem urwać, bo zrobiło mi się niedobrze. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że ohydny zapach, tak dobrze mi już znany, zdawał się dobywać z moich ust. Czułem go wyraźniej, ilekroć je otwierałem.

– I wyciąganiu krzyża w stronę osoby pod władzą demona – dokończyłem. – Zazwyczaj cała praca odbywa się nie w świecie doczesnym. Ale to nie tak widowiskowe, jak…

Nie mogłem dalej mówić, zabrakło mi tchu.

Potrzebowałem chwili, żeby uspokoić oddech.

– W dodatku to nie tak, że jeden egzorcyzm załatwia sprawę – dodałem. – Często ksiądz musi je wykonywać raz w tygodniu, raz w miesiącu. Różnie, ale zazwyczaj trwa to latami. Obecność Szatana jest…

Kiedy zawiesiłem głos, odniosłem wrażenie, jakbym znalazł się pod wodą. Nie potrafiłem nabrać powietrza do płuc. Coś mnie powstrzymywało.

– Wszystko w porządku? – spytał Mariusz.

– Nie.

– Potrzebujesz czegoś?

Pokręciłem głową, zerkając na Kingę.

– Nie czegoś – odparłem. – Kogoś.

Było prawdą, że do przeprowadzenia egzorcyzmów upoważnieni byli jedynie biskupi. W niektórych okolicznościach prawo kanoniczne pozwalało jednak przekazać te kompetencje także duchownym niższego szczebla.

Sam fakt, że to wszystko było urzędowo uregulowane, budził pewien niepokój. Dla wszystkich, którzy sądzili, że Kościół nie podchodzi do egzorcyzmów poważnie, stanowiło to bowiem potwierdzenie, że sprawa jest bardzo poważna.

Każdy ksiądz wiedział, że po tym gruncie należy stąpać z wyjątkową ostrożnością. Ja zaś musiałem znaleźć takiego, który tę kruchość znał z autopsji.

Kinga podała mi herbatę, a potem stanęła obok i położyła mi rękę na ramieniu. Poczułem się nieswojo, myśląc o tym, że Rudyk może bez problemu nas przejrzeć. Popatrzyłem na niego, ale zdawał się pogrążony we własnych myślach. Cóż, miał co rozważać.

Napiłem się earl greya, skrzywiłem, a potem odstawiłem na stół.

– Co to jest?

– Lipton.

– Smakuje jak… sam nie wiem. Ohydnie.

Kinga spróbowała, wzruszyła ramionami, a potem odstawiła kubek na kuchenny stół. Zbyliśmy incydent milczeniem, choć wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że nie był tylko nic nieznaczącym zdarzeniem.

Kinga usiadła obok mnie, odrzuciła włosy na bok, a potem nabrała głęboko tchu, jakby chciała zasygnalizować, że czas brać się do roboty.

– Wiesz, z kim mógłbyś się skontaktować?

– Niespecjalnie.

– Nie znasz żadnego egzorcysty?

– Spotkałem kilku, ale z żadnym nie utrzymuję kontaktu. W dodatku część z nich zjeżdżała tu z misji, a potem na nie wracała. Z jakiegoś powodu do opętań najczęściej dochodzi w…

– W Afryce – dopowiedział Mariusz.

– Nie. W określonym regionie w danym czasie. W końcowym okresie mojej posługi to była akurat Ameryka Łacińska. Zresztą teraz być może nadal tak jest.

W kuchni zaległa cisza. Żałowałem, że nikt nie pomyślał o tym, by włączyć radio. Choćby po to, by cicho i niewyraźnie grało gdzieś w tle. Mówienie rzeczowo o sprawach, które nie

powinny istnieć, zawsze napawało mnie niepokojem. Kingę i Rudyka najwyraźniej też.

– W dwa tysiące trzynastym roku księża w Meksyku twierdzili, że z jakiegoś powodu to właśnie tam Szatan skupiał swoje siły – dodałem. – Prosili Kościół o przysłanie większej liczby egzorcystów.

Podniosłem się i włączyłem radio. Ściszyłem je na tyle, by nam nie przeszkadzało.

– Dochodziło wtedy do wielu starć między gangami, zginęło siedemdziesiąt tysięcy osób – ciągnąłem. – Idąc do szkół, dzieci widywały na ulicach rozczłonkowane ciała, a w Veracruz księża odmawiali zbiorowe egzorcyzmy.

Usiadłem przy stole i niechętnie spojrzałem na kubek z earl greyem.

– Wielu egzorcystów z Mexico City, w tym ojcowie Triana i Bautista, mówili o rosnącym zapotrzebowaniu na ich… usługi. Dostarczali też informacji z przeprowadzanych egzorcyzmów. I nie napawały optymizmem. Kiedy jedną z istot udało im się zapytać o imię, odpowiedziała: „nazywam się Demon”.

Przesunąłem dłońmi po włosach, czując, jak się elektryzują.

– Powstał kult zwany Santa Muerte – kontynuowałem.

– Święta Śmierć?

– Tak. Kiedy kończyłem posługę, zrzeszał jakieś osiem milionów osób. Wszyscy oddawali hołd kobiecej postaci w sukni ślubnej. Z kosą w ręku i podłużną, nieludzką czaszką zamiast głowy. Księża podkreślali, że to pierwszy krok ku satanizmowi, a sama wiara sięgała korzeniami osiemnastego wieku. Dopiero niedawno przeżyła jednak rozkwit. Do tego stopnia, że na ulicach można było zobaczyć dzieci noszące podobizny Świętej Śmierci. Figurki kobiecej postaci stają także coraz częściej w oknach domów.

Mariusz poruszył się nerwowo.

– Trudno w to uwierzyć – zauważył.

– Pewnie, że trudno. W Boga znacznie łatwiej, bo płyną z tego same korzyści, prawda? Ale wiara w istnienie pierwotnego zła, Szatana, demonów, wiąże się z niebezpieczeństwem. Lepiej przemilczeć temat. A już w ogóle najlepiej wyśmiać, zbagatelizować.

Rudyk skinął lekko głową.

– Tak jak ty przed momentem, kiedy słowo „egzorcyzm" powiązałeś od razu z filmami i fikcją.

– No tak…

– Tymczasem wypędzanie demonów z ludzkiego ciała jest tak stare, jak nasza wiara – ciągnąłem. – W Ewangelii według Świętego Marka możemy przeczytać o tym, jak powszechne było wypędzanie złych duchów przez Jezusa.

Oboje spojrzeli na mnie lekko zaskoczeni.

– Marek określa te istoty jako *daimonia polla*, w starożytnej grece „wiele demonów" – dodałem. – W polskim tłumaczeniu jest mowa o „złych duchach", przez co łatwo je zbagatelizować. Ale nie chodzi o nic innego, jak o istoty odpowiedzialne za opętania.

Napiłem się, ale herbata smakowała jeszcze gorzej.

– O wygnaniu wielu demonów z ludzkich ciał, *daimonizomenous pollous*, mówi też Święty Mateusz, opisując wizytę Jezusa w Kafarnaum. Łukasz opisuje podobne zdarzenie w wiosce Na'in, w dzisiejszym Izraelu. A to tylko kropla w morzu. Badacze Biblii twierdzą, że opętania w Galilei były wówczas na porządku dziennym, niemal jak epidemia.

Rudyk po raz pierwszy od pewnego czasu zdawał się nieprzekonany. Czy mogłem się dziwić? Dla kogoś, kto nie znał zbyt dobrze tekstu Biblii, były to rzeczy zgoła obce. A przyjęcie ich za pewnik wiązało się z poczuciem dużego niepokoju.

– Mowa jest też o syryjskiej dziewczynce, na której Chrystus odprawił egzorcyzm, a w końcu o Marii Magdalenie, która przecież też była opętana.

Na moment urwałem, zastanawiając się, czy rzeczywiście chcą usłyszeć to, co najważniejsze. I czy powinni. W końcu uznałem, że tak. Jeśli mieli posiąść pełną wiedzę, rzeczy podstawowej nie mogło w niej zabraknąć, inaczej zawaliłaby się cała konstrukcja.

– Pismo Święte wprost mówi o tym, że Szatan sprawuje władzę nad światem także poprzez opętanie – odezwałem się. – I właśnie to Mateusz, Marek i Łukasz w swoich Ewangeliach podają jako powód, dla którego Jezus nadał swoim apostołom i ich następcom moc wygnania demonów z ludzi.

Kinga potarła nerwowo dłonie, jakby zrobiło jej się chłodno. Poprawiła koszulę tak, by przód nie wysunął się spod sprzączki paska.

– Szczególnie daje do myślenia to, co możemy przeczytać w Ewangelii według Świętego Mateusza. Autor wyraźnie mówi w niej, że moc wypędzania złych duchów była pierwszą władzą, jaką apostołom nadał Chrystus.

Mariusz uniósł brwi.

– To nie żadne apokryfy, Rudyk – powiedziałem. – Nie przytaczam ci tekstów, których Kościół nie akceptuje. To wszystko jest w Biblii, podobnie jak świadectwo Świętego Piotra, który po przybyciu do domu setnika Korneliusza zobaczył Jezusa wypędzającego demona. I podobnie jak cud, do którego doszło w kraju Gerazeńczyków.

– Nie słyszałem o tym.

– To najgłośniejszy z egzorcyzmów odprawionych przez Chrystusa. Piszą o nim zarówno Marek, Mateusz, jak i Łukasz. Spekuluje się, że chodzi o jakieś miejsce na dzisiejszych Wzgórzach Golan.

– I do czego tam doszło?

– Do wypędzenia z ciała człowieka demona, który pastwił się nad nim od długiego czasu. Błagał Chrystusa o pomoc, a…

Urwałem, uznając, że mogę zacytować Łukasza z pamięci.

– „A Jezus zapytał go: «Jak ci na imię?» On odpowiedział: «Legion»”.

Wszyscy przez moment milczeliśmy, nie słychać też było radia. Nie musiałem dodawać, dlaczego to właśnie ten egzorcyzm ze wszystkich opisanych w Biblii miał kluczowe znaczenie.

Mnie w tym przekazie zawsze najbardziej niepokoiło to, jak kończył się opis uzdrowienia. Po tym, jak demon został wygnany, mężczyzna chciał pójść z Jezusem, służyć mu. Ten jednak kazał mu zostać, bo miał dla niego inną misję. Chciał, by Gerazeńczyk opowiedział całemu światu, co mu się przydarzyło.

Kazało mi to sądzić, że w Bożym zamyśle było, aby egzorcyzmy nie pozostawały tajemnicą. Byśmy nie traktowali ich jak tabu i by Kościół nie unikał ich jak ognia. Było jednak inaczej – choć teraz mogło się to zmienić.

Kinga podeszła do radia i podgłośniła.

– Co teraz? – zapytała.

– Skontaktuję się ze swoim biskupem.

– Tym samym, który załatwił ci dyspensę?

– Otóż to – przyznałem. – Jeśli był gotowy pomóc mi wtedy, to tym bardziej zrobi to teraz.

W oczach Kingi pojawił się błysk nadziei, którego wcześniej w nich brakowało. W końcu postawiła na swoim, przekonana, że to właściwa droga. Rudyk nie zdawał się tak pewny, ale nie miałem zamiaru rozwiewać jego wątpliwości.

– Jesteście o tym przekonani? – spytał.

Nie odzywałem się.

– W końcu… kurwa, to egzorcyzm.

– I?

– Duży kaliber – odpowiedział, jakby tak rzeczywiście miało być.

– Duży, ale powszechny – odparłem. – Każdy katolik doświadczył go chociaż raz w życiu.

Poruszył się nerwowo, Kinga też wyglądała, jakby opadł ją niepokój.

– O czym ty mówisz? – zapytał Mariusz.

– O chrzcie świętym. To najprostsza forma.

Nie skomentowali tego, być może nie chcieli się upewniać, czy jestem co do tego absolutnie przekonany. A jeśli odrobina niewiedzy miała im pomóc, nie miałem zamiaru im jej odbierać.

– Twój biskup sam dokonuje egzorcyzmów? – zapytała po chwili Kinga.

– Nie, ale z pewnością nakieruje nas na dobrą osobę.

– Tutaj? Na miejscu?

– Oczywiście.

Zdziwiło mnie, że w ogóle padło to pytanie.

– Każda diecezja w Polsce ma co najmniej jednego duchownego pełniącego posługę egzorcystatu – powiedziałem. – Zazwyczaj mianowanego, czyli księdza specjalnie wyznaczonego przez biskupa. Dodatkowo, jak mówiłem, każdy biskup może sam przeprowadzić egzorcyzmy.

Kinga pokiwała głową.

– Ale nie każdy nam uwierzy.

– Nie, nie każdy.

– Twój biskup nie odeśle nas z kwitkiem?

– Nie. Z całą pewnością nie.

Miałem rację. Mimo że początek rozmowy z biskupem nie należał do najprostszych, w końcu wyłożyłem mu to, co musiał wiedzieć. Spodziewałem się najgorszego – zaprzeczenia. Wiedziałem doskonale, jak wiele trzeba, by przekonać duchownych do tego, że w ich otoczeniu dochodzi do zjawisk nadprzyrodzonych.

Od udowodnienia, że doszło do opętania, trudniejsze było chyba tylko wykazanie, że ktoś zasłużył na zostanie świętym. Drugi z tych procesów był długotrwały i sformalizowany do

tego stopnia, że w rozprawach powoływano także adwokata diabła, który miał świadczyć przeciwko kandydatowi.

Szczęśliwie w tym wypadku nikt nie starał się przekonać biskupa, że przesadzam. Pomogło zapewne to, co działo się na świecie, a konkretnie kolejne podróże odbywane przez Istniejącego. I dalsze ignorowanie go przez papieża.

– Oczywiście, że wskażę wam odpowiedniego człowieka – powiedział. – Ale nie musieliście się fatygować.

– Nie? – zapytałem.

– Dane kontaktowe są podane na stronie.

Tego się nie spodziewałem. Owszem, nie było żadną tajemnicą, który z księży zajmuje się egzorcyzmami, ale nie wiedziałem, że takie dane są powszechnie dostępne.

– Na stronie archidiecezji, przy duszpasterstwach specjalnych – dodał biskup. – Znajduje się tam wykaz wszystkich księży uprawnionych, data rozpoczęcia działalności oraz numery kontaktowe do nich.

Zabrzmiało to tak urzędowo, tak zwyczajnie, że dopiero teraz na dobrą sprawę uświadomiłem sobie, jak realne to wszystko się staje.

Czekała mnie walka. Starcie z tym, co leżało uśpione w mojej duszy.

V

Prezbiter Jacek Karauda wykonywał egzorcyzmy nie tyle za zgodą swojego biskupa, co na jego polecenie. Wyglądało na to, że przełożony z jakiegoś powodu uznał, iż w archidiecezji wrocławskiej to właśnie ten duchowny najlepiej się do tego nadaje.

Wraz z Kingą pojechaliśmy na obrzeża miasta, do niewielkiego, starego kościoła, który musiał pamiętać jeszcze czasy sprzed wybuchu drugiej wojny światowej. Był zaniedbany, jego restauracja nie była priorytetem włodarzy miasta, zainteresowanych głównie tym, co działo się na Nowym Targu, a nie w takich miejscach.

Karauda przyjął nas w niewielkiej zakrystii. Przedstawił się, uśmiechnął lekko, a potem wspomniał o inkardynacji do paulistów, jakby to miało mieć kluczowe znaczenie. Od razu zrozumiałem, do czego zmierza – przynależał do tego samego zgromadzenia zakonnego, co najbardziej znany egzorcysta, Gabriele Amorth.

– Napijecie się czegoś? – zapytał, ale patrzył wyłącznie na mnie.

Biskup zdążył wszystko mu przekazać, nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Wiedział, że ma do czynienia z poważnym człowiekiem, który nie angażowałby go, gdyby czegoś nie było na rzeczy.

Widział też, co się dzieje na świecie. I zdawał sobie sprawę, że jeśli w takich okolicznościach zgłasza się do niego były ksiądz, twierdzący, że został opętany, należy podejść do sprawy z wyjątkową uwagą. I ostrożnością.

– Kawy? – dopytał Karauda.

– Poproszę – odparła Kinga.

Duchowny wciąż nie odrywał ode mnie wzroku.

– Mam earl greya – odezwał się w końcu.

– A więc wiesz o mnie wystarczająco dużo, żebyśmy przeszli do rzeczy.

Ojciec Karauda uśmiechnął się lekko.

– Może i racja – przyznał. – Chcesz coś wiedzieć na początek?

– Nie.

– Wiesz, jak wygląda cały proces?

– Mniej więcej. Reszty zamierzam dowiedzieć się w praktyce.

– Mimo wszystko wolałbym przygotować cię na pewne rzeczy.

Znajdowaliśmy się na dwóch różnych biegunach. On używał tonu, który był zarezerwowany dla zbłąkanych owieczek. Ja mówiłem, jakby demon starał się choćby lekko zaakcentować swoją obecność.

– Jestem gotowy na więcej, niż chciałbym przyznać – odbąknąłem. – Zaczynajmy, nie ma czasu do stracenia.

– Spieszy ci się gdzieś?

– Mnie nie, ale temu, co we mnie siedzi, zapewne tak.

Kinga patrzyła na mnie z niedowierzaniem, jakby nie poznawała człowieka, z którym w ostatnich tygodniach spędziła mnóstwo czasu.

– Zaczniemy od spowiedzi? – zapytałem.

– Oczywiście, chociaż…

– Rozeznania nie musisz robić – przerwałem mu. – Sam już, chcąc nie chcąc, je przeprowadziłem. A moja szwagierka była świadkiem manifestacji demona.

Wskazałem Kingę, myśląc o tym, że określenie, którego użyłem, nie tylko nijak się miało do rzeczywistości, ale też miało nigdy nie stać się zasadne. Cała moja przyszłość się zawaliła, miałem tego pełną świadomość. I pewnie z tego wynikała moja gorycz.

A może nie. Może pochodziła z zupełnie innego źródła.

Kinga niepewnie skinęła głową. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego tak nalegałem, by pojechała ze mną do ojca Karaudy.

Chciałem uniknąć czasochłonnego ustalania, czy w istocie doszło do opętania, czy nie.

– Miejmy to z głowy – powiedziałem.

Ksiądz przypatrywał mi się w milczeniu.

– W ten sposób niczego nie osiągniemy – zaoponował.

– Ten, czyli…

– Jeśli będziesz wątpił.

– Zapewniam cię, że nie wątpię. Ani w Boga, ani w obecność tego, co jest we mnie.

– Mam na myśli siłę spowiedzi.

Przewróciłem oczami, samego siebie zaskakując.

Powinienem być przygotowany na to, że negatywne emocje wezmą górę. Jednym z dowodów bezpośredniej ingerencji Szatana były nagłe wahania nastrojów i diametralna zmiana zachowania.

Musiało się to zacząć prędzej czy później. A może nawet następowało już wcześniej, tylko nie zwróciłem na to uwagi.

– Wiem, do czego może prowadzić sakrament spowiedzi, ale…

– Kiedy ostatni raz go doświadczyłeś?

– Kilka miesięcy temu.

Skinął głową z umiarkowanym zadowoleniem. Nadal przywodził na myśl wyrozumiałego pasterza, który jest gotów zrobić wszystko, by dobrze zadbać o swoją trzodę. I taki człowiek miał mi pomóc?

Potrzebowałem wojownika, nie pastucha.

– Otrzymałeś rozgrzeszenie?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo mieszkałem pod jednym dachem z kobietą, z którą nie wiązał mnie węzeł małżeński. I współżyłem z nią.

Karauda na moment się zamyślił.

– Tak czy inaczej, do opętania mogło dojść później – zauważył. – Stosunkowo niedawno.

– Tak, pewnie tak było.

– Być może więc…

– Myślisz, że spowiedź załatwi sprawę? – przerwałem mu.

– W wielu przypadkach tak się dzieje.

Zaśmiałem się i uniosłem wzrok, jakbym mógł odwołać się do Boga i zasugerować mu, by pokazał kapłanowi, z czym ma do czynienia.

– Wyznanie grzechów może uwolnić – dodał.

– Nie w tym wypadku.

Oparł się na blacie starego, masywnego biurka i pochylił lekko. Mimo dobrotliwego tonu i uprzejmości obserwował mnie z uwagą, jakby w głębi ducha spodziewał się zagrożenia. Powinien.

– Musisz wiedzieć, że słyszałem to nie raz i nie dwa – powiedział. – Tymczasem trudno nawet zliczyć sytuacje, w których spowiedź okazywała się skutecznym rozwiązaniem.

– Nie widziałeś, co się ze mną działo.

– Nie, nie widziałem. I może nie jestem dla ciebie autorytetem, ale ksiądz Amorth powinien być, przynajmniej w tej kwestii.

– Jest – potwierdziłem.

– A więc weź sobie do serca to, co mówił.

Znałem kilka cytatów z ojca Amortha, ale nie miałem pojęcia, do czego pije Karauda. Szybko zorientował się w mojej niewiedzy.

– Gabriele Amorth twierdził, że spowiedź jest potężniejsza od egzorcyzmu.

O tym nie słyszałem. Być może nie zgłębiłem tematu z odpowiednią wnikliwością. Przypuszczałem jednak, że teraz, stojąc pod ścianą, szybko stanę się specjalistą w tej materii.

– Podkreślał, że dla demona wizyta w konfesjonale jest znacznie boleśniejszym przeżyciem niż nawet dobrze odprawiony egzorcyzm – rozwinął Karauda. – Bo w tym

drugim wypadku wydziera mu się tylko ciało opętanego, a w pierwszym jego duszę.

– Coś w tym jest – odezwała się Kinga.

Nie byłem przekonany.

– Konieczne jest oczywiście dochowanie warunków dobrej spowiedzi.

– Doprawdy? – burknąłem. – Teraz zaczniesz mówić mi o rachunku sumienia, żałowaniu za grzechy, postanowieniu poprawy, szczerości, pokucie i zadośćuczynieniu? Jakbyś przygotowywał mnie do pierwszej komunii?

Prezbiter podniósł się, obszedł biurko, a potem przysiadł na jego brzegu, tuż przede mną. Spojrzał na mnie z góry, a ja miałem ochotę odsunąć krzesło. Mimo to trwałem w bezruchu.

– Wzbraniasz się.

– Nie, nie wzbraniam. Demon nie ma tu nic do rzeczy, po prostu…

– Nie wiesz, które zachowania dyktuje ci twoje własne ja, a które on – przerwał mi Karauda. – Pozwól sobie pomóc. Chodźmy do konfesjonału.

Nie miałem zamiaru się wykłócać. Nie chodziło mi też o to, by uniknąć spowiedzi. Przeciwnie, wiedziałem, że właśnie od tego zaczniemy. Była to utarta droga, podobnie jak wspólne modlitwy o uwolnienie, które Karauda z pewnością będzie organizował.

Byłem jednak przekonany, że jedno ani drugie nie pomoże. Nie w tym wypadku.

Takie lekarstwa były odpowiednie na grypę lub przeziębienie. Mój organizm toczyła choroba odporna nawet na działanie antybiotyków.

– Spróbujmy – powiedział Karauda. – I dajmy z siebie wszystko, obaj.

– W porządku.

Duchowny się skrzywił. Przez moment się namyślał, ściągając brwi coraz bardziej. Sprawiał wrażenie, jakby już zaczął walkę z demonem i starał się go przechytrzyć.

– Pamiętasz, co Chrystus przekazał poselstwu Jana Chrzciciela?

Potwierdziłem cichym mruknięciem.

– Ewangelia według Świętego Mateusza, rozdział jedenasty – odparłem.

– Nie tylko.

Zmarszczyłem czoło. Miał rację.

– Także Ewangelia według Świętego Łukasza, rozdział…

– Siódmy – dopowiedziałem. – Ten, który rozpoczyna się od opowieści o setniku z Kafarnaum. Ten, w którym znajduje się relacja o młodzieńcu z Na'in. I o grzesznicy, którą ocaliła wiara.

Karauda pokiwał wymownie głową, a Kinga odchrząknęła.

– Co temu poselstwu powiedział Jezus? – spytała.

– Że błogosławiony ten, kto w niego nie zwątpi – odparł duchowny, nie odrywając ode mnie wzroku. – I to właśnie takich ludzi obawiają się demony. Robią więc wszystko, żeby pojawiła się iluzja zwątpienia.

Może miał rację? Może to nie ja wzbraniałem się przed pójściem do konfesjonału, a obecność, która we mnie tkwiła? Może to nie było prawdziwe zwątpienie, tylko strach płynący prosto od demona?

Wiedziałem, że niebawem się przekonam. Podniosłem się, skinąłem ręką na ojca Karaudę, a potem wyszliśmy z zakrystii. Spojrzałem w kierunku konfesjonału i poczułem, że robi mi się gorąco.

Uznałem, że to dobry znak. Znacznie gorzej byłoby, gdyby sytuacja była odwrotna.

Podeszliśmy do konfesjonału, Kinga została nieco z tyłu. Zajęła miejsce w jednej z ławek, a potem posłała mi blady uśmiech i uklęknęła. Moment później jej twarz znikła

w dłoniach, a my z księdzem wymieniliśmy się kontrolnymi spojrzeniami.

– Wszystko w porządku? – zapytał Karauda.

Popatrzyłem na klęcznik.

– Tak.

– W takim razie możemy zaczynać?

Skinąłem niepewnie głową, nie wiedząc, czego mam się spodziewać. Nie czułem właściwie niczego niepokojącego, a powinienem. Znajdowałem się w końcu w Domu Bożym, jeśli tkwił we mnie demon, powinien się buntować.

Powiodłem wzrokiem po głównej nawie i pomyślałem, że wchodząc do kościoła, powinienem był się przeżegnać i użyć wody z aspersorium. Raz a porządnie przekonałbym się, co się ze mną dzieje.

Tylko czy musiałem?

Szybko uświadomiłem sobie, że nie. Podszedłem do konfesjonału, chciałem zająć miejsce, ale coś mnie powstrzymało. Zupełnie jakby na szyi zacisnęła mi się obroża, a smycz trzymał ktoś wyjątkowo postawny.

Mimo woli, w absurdalnym odruchu, obróciłem się. Kaszlnąłem, coś ścisnęło mnie w gardle. Prezbiter siedział już po drugiej stronie, nachylony do kratki. Spróbowałem podejść jeszcze raz, efekt był jednak podobny.

Podobny, ale nie taki sam. Wbrew sobie cofnąłem się o krok.

– Filipie?

Zabrzmiał jak mój ojciec. Wzdrygnąłem się na tę myśl, ale szybko odsunąłem ją od siebie. Znów spróbowałem nieco się zbliżyć, dotykając medalionu.

Przypomniało mi się to, co mówił ojciec Amorth. Kiedy pytano go, czy po tylu latach nadal obawia się złych istot, z którymi miał na co dzień styczność, odparł, że jest chroniony płaszczem Madonny.

Być może również mogłem na to liczyć. Ale tylko być może.

Zacisnąłem dłoń na medaliku i powoli zacząłem podchodzić do klęcznika. Nie chciałem myśleć o tym, co zobaczyłem na Jasnej Górze. Odbierało mi to pewność siebie.

Czy to możliwe, żeby ta, która miała mnie chronić, była przeciwko mnie? Wydawało się to nierealne, dogmaty kościelne były w tej kwestii jednoznaczne. Ale może się myliliśmy?

Pytania wybrzmiały głośno w mojej głowie. Przypominały herezję.

W końcu z trudem przyklęknąłem. Podniosłem wzrok i zobaczyłem zaniepokojone spojrzenie ojca Karaudy.

– Jesteś cały mokry – zauważył.

Przetarłem czoło. Miał rację, krople potu spływały po mnie jak woda spod prysznica. W ustach mi zaschło, dziąsła dziwnie mi pulsowały. Dopiero teraz zaczynało docierać do mnie, co się ze mną dzieje.

Podniosłem trzęsące się dłonie i odniosłem wrażenie, jakby nie należały do mnie.

– Niech… – zacząłem.

Gorączkowo wziąłem haust powietrza. Wydawało mi się, że jeśli tego natychmiast nie zrobię, uduszę się. Ścisnęło mnie w gardle, jakbym miał alergię na tlen.

– Niech będzie pochwalony…

– Spokojnie, Filipie.

– Jezus Chrys…

Zerwałem się na równe nogi i odskoczyłem od konfesjonału. Równie szybko wypadł z niego ksiądz, a Kinga natychmiast ruszyła w naszą stronę. Wstrząsnął mną spazm, nogi się pode mną ugięły, ale oboje w porę mnie przytrzymali.

Walczyłem z odruchem wymiotnym, a oni bezradnie mi się przypatrywali. Wiedzieli, że nic nie mogą zrobić.

Po chwili wszystko się uspokoiło. Zacząłem normalnie oddychać.

– Może jednak nie powinniśmy od tego zaczynać – zauważyłem.

– Wręcz przeciwnie.

Spojrzałem na Karaudę z wyrzutem.

– Naprawdę chcesz, żeby to się wściekło?

– Ostatecznie i tak musi do tego dojść, prawda?

– Tak, ale…

– Lepiej zrobić to tu i teraz – przerwał mi, wskazując na ołtarz.

Spojrzałem na Chrystusa przybitego do krzyża. Jego przechylona głowa i cierpienie na twarzy napełniły mnie grozą. W kościele nikogo nie było, a ja oddałbym wszystko, by moja próba spowiedzi odbywała się przy pełnych ławach. Czułem, że potrzebuję wsparcia. Modlitwy nie jednego, nie kilku, a całego zastępu wiernych.

– Im dłużej będziemy zwlekać, tym głębiej demon zatopi kły – odezwał się ksiądz.

– Tyle że…

– Uda ci się – tym razem w słowo wpadła mi Kinga. – A ja ci pomogę.

Przy tak postawionej sprawie mogłem wahać się jeszcze tylko przez moment. Kinga położyła mi dłoń na plecach, a potem podprowadziła mnie do klęcznika. Pomogła mi zająć miejsce i ustawiła się obok mnie.

Jej obecność sprawiła, że poczułem się nieco lepiej. Przynajmniej na tyle, że znikło poczucie, jakbym był na smyczy.

Pochyliłem głowę. Spojrzeliśmy na siebie z Karaudą przez kratkę.

Zrobiłem kilka głębokich wdechów, potem wypuściłem powietrze. Kinga nie cofnęła dłoni, za co byłem jej wdzięczny. W jakiś sposób sprawiało to, że czułem namiastkę spokoju. Może nawet błogości.

– Możemy zaczynać? – zapytał prezbiter.

– Tak. Jestem gotowy.

Skinął głową, uśmiechnął się lekko i dobrotliwie. Tak jak powinien to zrobić dobry pasterz. Pochyliłem głowę i odchrząknąłem lekko. Nie czułem smrodu, znikł nieprzyjemny posmak w ustach.

Właściwie było to podejrzane.

I powinienem się zorientować, że nie stanowi zapowiedzi niczego dobrego.

– *Sia lodato…* – odezwałem się.

Karauda wbił we mnie zdezorientowany wzrok, Kinga zacisnęła palce na moim ramieniu.

– Co takiego? – spytała.

Ksiądz zbliżył się do kratki tak, że niemal jej dotykał.

– Dlaczego… – zaczął niepewnie. – Dlaczego mówisz po włosku?

Nie miałem dla niego żadnej odpowiedzi.

– Co on powiedział? – zapytała Kinga.

– Niech będzie pochwalony – przełożył Karauda.

Kaszlnąłem, słysząc, jak flegma odrywa mi się z płuc.

– *Sia lodato…* – powtórzyłem, a potem nagle się wyprostowałem. – *Sia lodato… il diavolo…*

Poczułem, jak bluźnierczy, szaleńczy uśmiech wykwita mi na twarzy jak wrzód. Obnażyłem zęby, wstając z klęczek. Kinga próbowała mnie przytrzymać, ale bezskutecznie.

Znowu kaszlnąłem, ale tym razem zabrzmiało to jak dziki rechot. Pochyliłem się nad kratką, a potem splunąłem w nią. Flegma rozciągnęła się jak pajęczyna, część trafiła w Karaudę.

Ksiądz odskoczył, jakby coś go oparzyło. Gorączkowo, w zupełnej panice, odmawiał modlitwę. Docierały do mnie jedynie co drugie słowa.

– *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti* – recytował.

Więcej nie usłyszałem.

VI

Ojciec Karauda chciał kontynuować, zapewniając, że to jedynie początkowe potknięcie, które w ostatecznym rozrachunku nie miało żadnego znaczenia. W pierwszej chwili był przerażony, ale pozbierał się dość szybko.

Zapewnił mnie, że nie spocznie, dopóki nie wygna ze mnie demonicznej obecności. Poprosił o kilka godzin, by skonsultować się z kimś z Watykanu. Gabriele Amorth odszedł z tego świata, ale zostawił na nim uczniów, którzy podążali jego drogą. Według Karaudy konieczne było sięgnięcie po poradę jednego z nich.

Zdążył to zrobić. Ledwo.

Dzień po tym, jak pojawiliśmy się u niego z Kingą, ciężko zachorował.

Zaatakował go rotawirus z Nowego Delhi, klebsiella pneumoniae NDM, odporny na antybiotyki, jak się później dowiedzieliśmy. W Polsce pojawił się w dwa tysiące jedenastym roku, doszło wtedy do jednego przypadku zachorowania. Rok później do czterech, w dwa tysiące piętnastym było ich już prawie pięćset, a w ubiegłym roku niemal dwa tysiące.

Mimo to wciąż stanowił rzadkość. I żaden z lekarzy nie wiedział, jakim cudem zaraził się nim ojciec Karauda. Spekulowano później, że do parafii musiał sprowadzić go któryś z misjonarzy. Tyle że innych zarażonych nie było.

Przynajmniej nie tą chorobą.

Wiadomość o fatalnym stanie ojca Karaudy zastała mnie w domu. Nie chciałem w nim nocować, wciąż niepewny, jak zachowa się Aneta, ale po powrocie do mieszkania zastałem kartkę z informacją, że wyjechała.

Nie informowała dokąd, ale Kindze udało się to szybko ustalić. Siostra zatrzymała się u przyjaciółki na Psim Polu,

niemal dokładnie po drugiej stronie miasta. Odległość była spora, mimo to nie czułem się pewnie.

Nocy nie przespałem, choć na wszelki wypadek włączyłem aparat. Rankiem, kiedy przyszła wieść o Karaudzie, popijałem ohydną earl grey i właściwie tylko nakłuwałem widelcem jajecznicę, z jedzeniem nie miało to wiele wspólnego.

Kinga przyszła około dziesiątej. O wszystkim już wiedziała.

– Dzwoniłam do parafii – powiedziała.

– Po co?

– Chciałam sprawdzić, czy są jakieś postępy, porozmawiać z księdzem Jackiem, dowiedzieć się…

– Czy jest dla mnie ratunek?

– Nie mów tak.

– Tylko kończę myśl, której ty skończyć nie chcesz.

Usiadła obok i przysunęła sobie talerz. Pomogła mi w opróżnianiu go, widząc, że sam nie dam sobie z tym rady.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

– Jak ułamane źdźbło trawy podczas wichury – odparłem pod nosem. – Mniej więcej.

Odsunęła jajecznicę, a ja pomyślałem, że nie smakuje mi nie przez to, że kubki smakowe zwariowały, a ze względu na mój absolutny brak zdolności kulinarnych. Kinga zapaliła papierosa i nerwowo się zaciągnęła.

– Chyba wróciłam do tego pełną gębą – powiedziała, patrząc na smużkę dymu.

Czekałem, aż podejmiemy temat Karaudy, ale może nie było takiej potrzeby. Właściwie mogliśmy interpretować to tylko w jeden sposób. Tym bardziej, że z nami ewidentnie było wszystko w porządku.

Przynajmniej jeśli chodziło o ewentualne zarażenie rotawirusem. Kinga wypaliła w milczeniu, a ja zastanawiałem się, czy też nie powinienem. Wtłaczanie w siebie substancji, które potencjalnie mogły doprowadzić do mojej śmierci, w tej sytuacji nie wydawało się najgorszym pomysłem.

Ostatecznie zostałem przy earl greyu. Każdy łyk wydawał się katorgą. Mimo to – a może właśnie dlatego – piłem wytrwale.

– Co teraz, Berg? – odezwała się w końcu Kinga.

– Nie wiem.

– I jak to możliwe, że doszło do czegoś takiego?

– Na to pytanie tym bardziej nie znam odpowiedzi.

– Przecież duchowni są chronieni… sam mówiłeś.

Owszem, wracając z obrzeży miasta, wspomniałem jej o „ochronie płaszczem Madonny" i przywoływałem przykład ojca Gabriele jako wymowny dowód na to, że Matka Boża rzeczywiście dba o duchownych, którzy stają do walki z Szatanem.

– Jak to się stało? – pytała dalej Kinga, jakby nie mogła dopuścić do siebie myśli, że z jakiegoś powodu bariera przeciwko złu nie zadziałała.

– Może to przypadek. Może naprawdę był zainfekowany, a teraz po prostu…

– Doskonale wiesz, że to brednie.

– Niczego nie wiem. Absolutnie niczego – odparłem ciężko.

Pokiwała smętnie głową, a potem wyciągnęła kolejnego papierosa. Jak na osobę, która nie paliła od liceum, dość szybko zabrała się do nadrabiania zaległości.

– Wiesz, co zasugerował Mariusz?

– Nie.

I nie chciałem wiedzieć, ale zachowałem tę myśl dla siebie.

– Że żaden egzorcysta ci nie pomoże.

– Optymistyczne założenie.

– Prawdziwe – zaoponowała. – Przynajmniej wedle wszelkiego prawdopodobieństwa…

– Jeden pokonany żołnierz nie przesądza o przegranej bitwie, co dopiero o losie całej wojny – odparłem. – Nie wyciągajmy z tego pochopnych wniosków.

– Pochopnych? Karauda umrze. Po tym, jak splunąłeś na niego i…

Urwała, kiedy potrząsnąłem głową. Musiała uświadomić sobie, że ostatnim, czego chcę, jest roztrząsanie wczorajszych wydarzeń. Po tym, jak splunąłem na konfesjonał, odskoczyłem od niego i rzekomo padłem na posadzkę.

Wyrżnąłem o nią głową, ale dziś nie czułem nawet małego guza. Mimo to nie miałem powodu wątpić w relacje Kingi i duchownego. Twierdzili, że zacząłem przemawiać po włosku.

Nigdy nie znałem tego języka. Swego czasu próbowałem opanować podstawy, ale okazały się wyjątkowo skomplikowane. Bardziej niż przypuszczałem.

Mimo to w kościele przez kilka minut darłem się po włosku, rzucając po ziemi, jakby nie jeden demon, a kilkanaście starało się mnie rozedrzeć, dzieląc między siebie.

Powinienem się tego spodziewać. Wszyscy powinniśmy.

Jednym z najbardziej wymownych symptomów opętania było przemawianie w obcych, nieznanych językach. Karauda przetłumaczył część rzeczy, które usłyszał, ale skupiał się głównie na modlitwie, starając się wyswobodzić mnie spod władzy Szatana.

Sączyłem słowny jad. Przeciwko Bogu, Chrystusowi, Maryi. Mówiłem rzeczy, o których dziś wolałem nie myśleć. I najgorsze było to, że patrząc w oczy Kingi, widziałem, że ona również chciałaby je wymazać z pamięci.

Miałem wrażenie, że za bluźnierstwa, których się dopuściłem, nie mogę liczyć na zbawienie. Karauda był oczywiście innego zdania. Zanim opuściliśmy jego parafię, powtarzał znane mi doskonale słowa o miłosierdziu Bożym i odkupieniu. A teraz leżał gdzieś na oddziale zakaźnym, odizolowany od świata i dogorywający.

– Mariusz ma rację – odezwała się Kinga, wyrywając mnie z zamyślenia.

– Kiedyś musiał być ten pierwszy raz.

– Mówię poważnie.

– Ja też. Należą mu się gratulacje.

– Posłuchasz, co w ogóle miał do powiedzenia?

– Jeśli muszę.

Kinga zgasiła niedopałek w popielniczce. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, jak długo byłem nieobecny myślami. Musiałem uznać, że jest ze mną coraz gorzej. Nie było sensu się oszukiwać, opętanie postępowało.

– Podsunął pomysł, by zwrócić się do Istniejącego.

– Co?

– Może on potrafiłby ci pomóc.

Zaśmiałem się pod nosem i pokręciłem głową. Nie potrzebowałem czuć na sobie niepewnego, pełnego obaw spojrzenia Kingi, by szybko dotarło do mnie, jak dziwnie reaguję.

Musiałem działać. Jeśli nie teraz, to za moment. Póki jeszcze nie było za późno.

Tymczasem siedziałem w moim mieszkaniu, nie mając pojęcia, jaki powinien być kolejny krok. Może najprościej byłoby po prostu ze sobą skończyć, przeszło mi przez myśl.

Szybko odsunąłem ten wniosek, uznając go za podszepty demona. Samobójstwo nie wchodziło w grę, stanowiłoby ciężki grzech, który w niczym by nie pomógł. I jeśli doprowadziłby do czegokolwiek, to jedynie do triumfu Szatana.

– Słyszałeś o tym, co on robi?

– Chcąc nie chcąc.

– Podobno dokonuje cudów.

– Podobno – odparłem.

– Wczoraj uzdrowił jakąś kobietę w Malawi, rzekomo chorowała na jedną z odmian gorączki krwotocznej. Nieuleczalną chorobę, która…

– Na gorączkę doliny Rift – powiedziałem. – Wywoływaną przez RNA-wirus, przenoszoną przez moskity. Tak, wiem.

– Najwyraźniej więcej ode mnie.

– Staram się sprawdzić to i owo. Trzymać rękę na pulsie.

– Wcześniej był w Jemenie, tam też uzdrawiał.

– Tak twierdzą miejscowi – odparłem. – Ale Kościół nie potwierdził nawet pojedynczego przypadku.

– Bo to wymaga czasu, sam doskonale o tym wiesz.

Zmarszczyłem czoło i odwróciłem się do Kingi. Spojrzała na mnie z wdzięcznością, jakby doceniała sam fakt, że w końcu zwróciłem na nią uwagę. Dotychczas rzeczywiście traktowałem ją z dziwną rezerwą, jakbym nie do końca uświadamiał sobie, że tu jest.

Uznałem, że najwyższa pora odzyskać nad sobą pełną kontrolę. I jeśli niczego innego nie mogłem Kindze oszczędzić, to ustrzegę ją chociaż przed swoim dziwnym zachowaniem.

– Przechodzisz na drugą stronę? – spytałem.

Najwyraźniej będzie to trudniejsze, niż sądziłem.

– Nie.

– A mnie się wydaje, że zaraz przyjmiesz tok rozumowania Anety.

– Chcę tylko powiedzieć, że… – urwała i westchnęła. – W tej sytuacji musimy uznać, że wszystko jest możliwe, Berg.

– W takim razie też to, że moje miejsce naprawdę jest w piekle.

Nie odezwała się, być może uznawszy, że nie warto reagować na zaczepkę. Wywołało to we mnie niezbyt racjonalne poczucie irytacji.

– Nie zaprzeczysz? Nie potwierdzisz?

– Wolę w ogóle tego tematu nie poruszać.

– Pewnie – odburknąłem. – Lepiej traktować mnie jak śmiertelnie chorego.

Przysunęła się do mnie, ale w przeciwieństwie do sytuacji przed konfesjonałem, jej bliskość podziałała na mnie odpychająco. Zareagowałem najgorzej, jak mogłem, odsuwając się od niej.

– O czym ty mówisz? – spytała.

– O tym, że pozwalasz mi na wszystko.

Uniosła brwi.

– Traktujesz mnie, jakbyś dowiedziała się, że mam zaawansowane stadium jakiejś wyjątkowo skurwysyńskiej choroby. Pobłażasz mi, pozwalasz na chamskie odzywki, jesteś wyrozumiała, jakbym jutro miał się odmeldować.

– To naprawdę zarzut?

– Czuję się przez to jak…

– Słyszysz w ogóle, co mówisz?

– A ty? – odparowałem, zaciskając rękę w pięść.

Natychmiast ją rozluźniłem, zanim zdążyła zauważyć tę mimowolną reakcję. Starałem się uspokoić, powtarzałem sobie w duchu, by nie dać się ponieść emocjom. By nie pozwolić sobą sterować.

Wiedziałem jednak, że jestem na przegranej pozycji.

Uświadomiłem sobie, że stanowię zagrożenie. Dlatego Aneta wyniosła się do koleżanki. Coś, co odpowiadało za zniknięcie lotu Air Hibernia 3836, sprawiło także, że moja narzeczona zdała sobie sprawę, jak potężne siły mną zawładnęły. I do czego są zdolne.

Do czego ja jestem zdolny.

– No? – dodałem. – Odpowiadaj!

– Berg, proszę cię…

– Słyszysz swoje własne pierdolenie? – syknąłem. – Przychodzisz tutaj i mówisz mi, żebym zwrócił się do Istniejącego? Do tego, który może okazać się Antychrystem? Zupełnie ci odjebało?

Podniosłem się, pokręciłem głową i odtrąciłem jej rękę, kiedy próbowała mnie zatrzymać. Poszedłem do łazienki, w duchu czując ulgę, że mam nad sobą jeszcze wystarczająco dużo kontroli, by to zrobić.

Zamknąłem drzwi i przylgnąłem do nich plecami.

– Wynoś się stąd – powiedziałem.

Mieszkanie było na tyle małe, że Kinga musiała to usłyszeć. Nie miała jednak pewności, do kogo mówię.

Sam jej nie miałem.

– Zostaw mnie w spokoju – dodałem.

Potem upadłem na kolana i złapałem medalion, jakbym zamierzał zerwać go sobie z szyi. Trwałem w bezruchu, myśląc o tym, że powinienem się pomodlić. Zwrócić do Matki Bożej.

Teraz, zanim będzie za późno.

Nie mogłem jednak przypomnieć sobie słów. Panicznie poszukiwałem ich w umyśle, ale na próżno. Coś zabraniało mi dostępu.

Rozległo się ciche pukanie. Spojrzałem na drzwi, a potem podniosłem się na trzęsących się nogach.

– Wracaj do siebie… – powiedziałem.

– Nie ma mowy.

– Widzisz, co się dzieje…

– Widzę i słyszę – odparła Kinga. – Kiedy nauczyłeś się kląć?

– Mniej więcej w tym samym momencie, kiedy sst… ssst…

Słowa grzęzły mi w gardle, choć powoli się uspokajałem.

– Kiedy stałem się biegły we włoskim – dokończyłem.

Zaśmiała się cicho, ale nie było w tym nuty wesołości. Uchyliłem drzwi, a potem spojrzałem jej prosto w oczy. Wyciągnęła do mnie dłoń i poczekała, aż ją ujmę. Potem wróciliśmy do kuchni.

– Ktoś dzwonił – powiedziała, wskazując na telefon leżący na stole. – Nieznany numer. Stacjonarny z Wrocławia.

Podniosłem komórkę i od razu rozpoznałem ciąg cyfr.

– Mój biskup.

– Oddzwonisz?

Dobre pytanie, pomyślałem. Spodziewałem się, że nie minie wiele czasu, a mój dawny przełożony się ze mną skontaktuje. Będzie chciał wyznaczyć któregoś z pozostałych egzorcystów, by mi pomógł, być może nawet sam zdecyduje się podjąć próbę wypędzenia demona.

Nie wiedziałem, czy powinienem korzystać z jego pomocy. Pokonanie Karaudy najwyraźniej nie wiązało się z wielkim

wysiłkiem, istota dokonała tego bez trudu. Narażanie na to samo innych osób wydawało się bezsensowne.

– Za moment – zbyłem temat, siadając przy stole. Spojrzałem na ciemny nalot po wewnętrznej stronie mojego kubka. – Najpierw zastanówmy się nad tym, czy Rudyk może mieć rację.

Wyglądała na zaskoczoną.

– Po zaginięciu samolotu doszło do jednoznacznej manifestacji obecności demonicznej – powiedziałem.

– Heksagram na mapie.

– Ot… otóż to… – potwierdziłem, znów mając niewielkie problemy z wyartykułowaniem myśli. – Potem jednak wszystko prowadziło mnie do Czarnej Madonny. A ostatecznie Istniejący też właśnie na nią wskazał. Dlaczego?

Kinga nie miała dla mnie odpowiedzi i miałem wrażenie, że nie znamy jej nie tylko my, ale nawet sam Bóg.

– Wydaje się, że Szatan nie kierowałby mnie do swojej Nieprzyjaciółki.

– Nieprzyjaciółki?

– Tak jest określana w Piśmie Świętym – powiedziałem. – To ona została ustanowiona jako równoważnik dla złego. To ona ma prowadzić walkę przeciwko Szatanowi, a ostatecznie zmiażdżyć jego głowę.

Poczułem coś osobliwego, kiedy to powiedziałem. Satysfakcję.

– W każdym razie to… raczej bym się…

Myśl, którą chciałem wyrazić, nie była skomplikowana. Mimo to coś stało temu na przeszkodzie. Nabrałem głęboko tchu.

– To nielogiczne, zakładając, że mamy do czynienia z fałszywym prorokiem lub Antychrystem – powiedziałem w końcu. – Chyba że ten stara się nas oszukać.

– No tak…

– W Apokalipsie jest przecież mowa o przebiegłości Bestii, o tym, że wykorzysta naszą wiarę. O tym, że fałszywi prorocy

będą wywodzić się z Kościoła i będą dokonywać cudów. Że omamią zastępy wiernych.

Potarłem nerwowo włosy, aż się naelektryzowały. Miałem serdecznie dosyć piętrzących się pytań i samych znaków zapytania tam, gdzie powinienem postawić kropkę. Rzeczywiście potrzebowałem pomocy kogoś, kto znał się na rzeczy. Gracza z pierwszej ligi, zawodnika wagi ciężkiej, być może najcięższej. Ojciec Karauda miał dobre intencje, ale nie był taką osobą.

Spojrzałem na komórkę. Potem na Kingę.

Czas na decyzję, pomyślałem. Albo egzorcysta i droga, która wydawała się względnie bezpieczna, albo Istniejący i wielkie ryzyko, że w istocie zrobię to, czego nie powinienem.

Ciche pukanie do drzwi sprawiło, że odbiegłem myślami od konieczności zadecydowania.

– Spodziewasz się kogoś? – spytała Kinga.

– W tych okolicznościach? Każdego.

Pokręciła głową z lekkim uśmiechem.

– Kolejnej szeptuchy, mojego biskupa, Istniejącego… właściwie mógłby zjawić się tutaj nawet cały zastęp pasażerów lotu Japan Airlines 123 i niespecjalnie by mnie to zdziwiło.

– Nawet tak nie żartuj.

– A kto powiedział, że żartuję?

Podszedłem leniwie do drzwi i zerknąłem przez wizjer na korytarz. Stała tam kobieta, którą pierwszy raz widziałem na oczy.

– Stawiałabym jednak na biskupa – odezwała się Kinga, stając za mną.

– Pudło.

– Więc kto to?

– To się okaże – rzuciłem, otwierając drzwi.

Nie mogłem wiedzieć, że tym samym otwieram puszkę Pandory. Kobieta stała tak blisko wizjera, że nie dostrzegłem

kilku innych osób, które przyszły wraz z nią. Ich również nie znałem.

W okamgnieniu mogłem jednak ustalić, kto jest kim – przynajmniej jeśli chodziło o wykonywany zawód. Mężczyzna stojący najbliżej był dźwiękowcem, bezsprzecznie świadczył o tym trzymany pałąk z gąbką na końcu. Drugi był kamerzystą, czego dowodziło potężne urządzenie z obiektywem. Kolejny, z nieco mniejszym arsenałem, najwyraźniej miał szukać innego ujęcia, bo stał nieco z boku.

Kobieta ruszyła naprzód, jakby miała zamiar staranować mnie i Kingę.

– Pan Filip Szumski? – rzuciła.

Imię i nazwisko zabrzmiały obco, jakby nie należały do mnie. Może po części tak było?

– Nie – odparłem.

– A jednak otrzymałam informację, że to tutaj pana znajdę – odparła, tocząc wzrokiem po przedpokoju. – Pani Aneta?

Kinga spojrzała na nią zdezorientowana.

– To pani była na pokładzie Air Hibernia?

– Proszę… – zacząłem, chcąc kulturalnie pozbyć się dziennikarki.

– Pamięta pani, co się z panią działo? Co może nam pani powiedzieć?

Nie było szans, bym zamknął teraz drzwi. Kobieta stała w progu, musiałbym ją najpierw wypchnąć – a przypuszczałem, że tym samym spełniłbym najskrytsze życzenia producenta programu.

– Proszę stąd wyjść – odparłem.

– Pańska narzeczona…

– To nie moja narzeczona. A ja nie wiem, o kim pani mówi.

Zrobiłem krok w jej stronę, ale widziałem już, że nie ma zamiaru odpuścić. Zakląłem w duchu, karcąc się za to, że nie byłem przygotowany na taki rozwój wydarzeń. Powinienem się

domyślić, że ktoś prędzej czy później dotrze do tego, gdzie mieszka Aneta.

Była widziana na lotnisku, wraz ze mną i mężczyzną z białą brodą, a media potrafiły dotrzeć do osoby, która je zainteresowała, mając znacznie mniej.

– Jak pani postrzega to wszystko, co się dzieje? – zapytała dziennikarka.

Kamerzysta zrobił krok w stronę Kingi, a dźwiękowiec sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar ugodzić ją mikrofonem na wysięgniku. Kinga cofnęła się, a w tym samym czasie doszedł nas głuchy łomot od strony schodów.

Dziennikarka i reszta ekipy obrócili się w tamtym kierunku, a ja natychmiast skorzystałem z okazji. Szarpnąłem za drzwi, jakbym miał zamiar trzasnąć nimi kobietę. Zauważyła to kątem oka, ale tyle wystarczyło, żeby machinalnie się cofnęła.

Domknąłem drzwi, spokojny, że jej nie uderzę, a potem szybko przekręciłem klucz. Odetchnąłem z ulgą, choć szybko okazało się, że jest nieuzasadniona. Przed reporterką uratowała nas bowiem inna ekipa, która właśnie wnosiła sprzęt na klatkę.

Przekonałem się o tym, obserwując przez wizjer, jak korytarz się zapełnia.

– Cyrk – bąknąłem.

– Jesteśmy oblężeni?

– Na to wygląda. Jak ostatni ocalali podczas apokalipsy zombie.

– Fakt, że to mówisz, każe mi wierzyć, że nie miała miejsca.

Obróciłem się i przylgnąłem plecami do drzwi.

– Bo?

– Kiedy do niej dochodzi, nikt nie mówi o nich jako o zombie.

Uniosłem pytająco brwi.

– Szwędacze, krzykacze, zgnilaki, włóczędzy, kąsacze, zimni, sztywni… Zawsze mnie zastanawiało, skąd te eufemizmy.

– Odpowiedź masz przed nosem.

– To znaczy?

– Pewnych rzeczy po prostu lepiej nie nazywać po imieniu.

Kinga doceniła uwagę lekkim uniesieniem kącików ust, które tylko w przypływie wyjątkowego optymizmu mógłbym poczytać za uśmiech.

– A pewnie trzeba – dodałem, po czym skierowałem się do kuchni. Podniosłem telefon, przekonany, że pora spojrzeć prawdzie w oczy. Raz a porządnie.

Wybrałem numer biskupa, a potem przez chwilę słuchałem, co miał mi do powiedzenia.

– Rozumiem – odparłem w końcu. – Zrobię wszystko, co trzeba, żeby pozbyć się tego demona, może ksiądz biskup być tego pewien.

VII

Zdawałem sobie sprawę, jak traumatyczne będzie to przeżycie. Już po odprawie paszportowej na warszawskim Okęciu byłem zlany potem. Kiedy wraz z Kingą szliśmy w kierunku stojącego na płycie lotniska niewielkiego Embraera ERJ-175LR, nie byłem pewien, czy dotrę do podstawionych schodów.

Maszyna miała zabrać nas do Frankfurtu, stamtąd liniami Condor mieliśmy polecieć prosto do meksykańskiego miasta Cancún. Przy założeniu, że nie będzie żadnych komplikacji, cała podróż powinna zająć nam trochę ponad szesnaście godzin.

Ceną miały być nie tylko moje zszargane nerwy, ale też kilka tysięcy złotych. Konkretnie blisko cztery tysiące od łebka za lot w obie strony. Dla jednych nic, dla innych potężny ubytek w finansowym uzębieniu życia. Ja należałem do tej drugiej grupy.

Mówiłem jednak poważnie, zapewniając biskupa, że zrobię wszystko, by pokonać zło, które we mnie siedziało. Nie wiedziałem, na ile zdeterminowana będzie Kinga, ale od samego początku postawiła sprawę jasno – poleci ze mną.

Czekała nas przesiadka we Frankfurcie, a w Cancún mieliśmy pojawić się o siedemnastej czasu lokalnego. Nie wiedziałem którego dnia, zmiana stref czasowych i długi lot wpędzały mnie w zupełną dezorientację.

Ale nie taką, z jaką wiązała się sama obecność na pokładzie samolotu. Lot małym embraerem do Frankfurtu zniosłem w miarę dobrze. Maszyna nie kojarzyła mi się z tą, która roztrzaskała się na zboczach Takamagahary.

Znacznie gorzej było, kiedy zajęliśmy miejsca w siedemnastoletnim Boeingu 767-343. Rozglądałem się nerwowo, uszy miałem zupełnie zatkane po lądowaniu we

Frankfurcie, śliny w ustach mi brakowało, a moje palce zdawały się samoczynnie wybijać na podłokietniku rytm jakiejś szybkiej piosenki.

Kinga odchrząknęła znacząco, przykuwając moją uwagę.

– Spokojnie, Katashi – powiedziała. – Nic się nie dzieje.

Otworzyłem usta, a w gardle zaschło mi jeszcze bardziej.

– Co… – jęknąłem.

Kinga uśmiechnęła się i uniosła lekko dłonie w przepraszającym geście.

– Wybacz – rzuciła z satysfakcją. – Nie mogłam się powstrzymać.

Odetchnąłem w duchu, przypominając sobie, że relacjonowałem jej skrupulatnie wszystko, co wydarzyło się na pokładzie JAL 123. Nie przypuszczałem jednak wtedy, że kiedykolwiek zostanie to użyte przeciwko mnie.

– Wyjątkowa świnia z ciebie – oceniłem.

– Nie wypada tak się zwracać do kobiety.

– Wypada, jeśli zasłużyła sobie tak jak ty przed momentem – odburknąłem. – Chcesz, żebym dostał zawału?

– Liczyłam raczej, że zemdlejesz i spędzisz całą podróż w błogiej nieświadomości.

Właściwie nie byłoby to takie złe rozwiązanie. Gdyby nie to, że obawiałem się, co może się zdarzyć, kiedy stracę kontrolę, zapewne wziąłbym jakieś środki uspokajające. I to końską dawkę, by zwaliła mnie z nóg jeszcze przed startem.

Tymczasem samolot zaczynał kołować po płycie lotniska, a ja byłem trzeźwy jak gwizdek. Zrobiłem kilka głębokich wdechów i wydechów, powtarzając sobie w duchu, że oddychanie jest kluczowe.

Banał? Niezupełnie. Wierzyłem naukowcom z Uniwersytetu Northwestern w Illinois, którzy dowodzili, że reakcja na stres jest spowodowana właśnie tym, że przestajemy oddychać tak, jak powinniśmy. Ich badania potwierdzały, że rytm oddechu

wpływa bezpośrednio na impulsy w mózgu, w tym te, które odpowiadały za poczucie strachu.

Ale wiedzieć to jedno, korzystać umiejętnie z tej wiedzy to drugie. Moje napięcie bynajmniej nie zmalało. Przeciwnie, z każdą kolejną chwilą rosło coraz bardziej.

Kiedy odrywaliśmy się od ziemi i mój błędnik zaczynał czuć się nieswojo, byłem gotów krzyknąć, że mam ładunek wybuchowy, bylebyśmy wrócili na ziemię. Na dobrą sprawę byłem gotowy nawet wysadzić się w powietrze, byleby już się w nim nie znajdować.

Kinga ujęła moją spoconą dłoń, a ja byłem tak pochłonięty myślami o nadciągającej tragedii, że nie poczułem nawet zażenowania, że mam mokrą skórę.

Po dziesięciu, może piętnastu minutach nieco się uspokoiłem. Kinga cały czas starała się mnie zagadywać, ale zbywałem jej pytania milczeniem lub burkliwymi odpowiedziami. Stewardesie, która pytała mnie, czy wszystko w porządku, tylko skinąłem głową.

– To nie skończy się dobrze – powiedziałem, kiedy kobieta się oddaliła.

Kinga pokiwała głową w zadumie.

– Powinnaś zaprzeczyć.

– Ostatecznie i tak wszyscy umrzemy.

Popatrzyłem na nią z niedowierzaniem.

– Pociesza mnie jedynie myśl, że oboje dożyliśmy sędziwego wieku, w którym możemy powiedzieć, że jesteśmy starsi niż jakikolwiek pies na planecie.

– To rzeczywiście pocieszające.

– Robię, co mogę, żeby umilić ci podróż. Bo najgorsze dopiero przed tobą.

– Dzięki.

– Ten lot będziesz wspominał jako niewinny wstęp.

Otarłem pot z płatków nosa i obróciłem się do niej.

– Naprawdę sprawia ci przyjemność maltretowanie mnie?

– Chcę tylko, żebyś przestał myśleć o tym, że się rozbijemy.

Żaden z pasażerów nie mruknął z dezaprobatą, nikt na nas nie popatrzył. Najwyraźniej na pokładzie nie było wielu Polaków. Otwarta rozmowa o potencjalnej katastrofie wydawała się czymś więcej niż proszeniem się o kłopoty.

– Nie stać cię na to, żeby zamartwiać się nieistniejącymi zagrożeniami – dodała nieco poważniej Kinga. – Masz wystarczająco dużo tych realnych.

– Rozbicia się wcale nie postrzegam jako czegoś zupełnie abstrakcyjnego.

Jakby na potwierdzenie moich słów, samolotem lekko szarpnęło. Opór powietrza, z którym zmagały się elementy nośne, odczuwałem niemal fizycznie na każdym milimetrze ciała.

– I nie chodzi o wspomnienia z JAL 123 – dodałem.

– Nie?

– Raczej o to, co teraz dzieje się w przestrzeni powietrznej.

– Nic się nie dzieje.

– Otóż to – przyznałem. – Albo może raczej niewiele. Po tym, co spotkało Air Hibernię i tę chorwacką maszynę, liczba osób przemieszczających się samolotami drastycznie…

– Tak, tak, słyszałam te same doniesienia medialne o zapaści transportu lotniczego. Co to ma do rzeczy?

– To, że im mniej maszyn w przestworzach, tym gorzej wygląda statystyka wypadków. Przynajmniej z naszego punktu widzenia.

Przylgnąłem plecami do fotela i dopiero teraz poczułem, jak mokrą mam koszulę. Plama potu musiała rozciągać się od karku do tyłka, pewnie nawet niżej.

– W tamtym roku doszło do prawie dwudziestu śmiertelnych katastrof lotniczych – powiedziałem. – Dwa tysiące siedemnasty ma jeszcze do wyrobienia swoją normę. A im mniej ich na niebie, tym większa szansa, że padnie akurat na nas.

– Wiesz, jak absurdalnie to brzmi?

– Wiem – przyznałem. – Ale nie sprawia to, że czuję się lepiej.

Pokręciła bezradnie głową, a ja uświadomiłem sobie, że nadal trzyma mnie za rękę. Uspokoiłem się jednak na tyle, by zacząć martwić się tym, jak nieprzyjemne musiało to być dla niej odczucie. Wysunąłem dłoń i wytarłem ją o spodnie. Nie skomentowała, jakby do kontaktu fizycznego w ogóle nie doszło.

Przez moment trwaliśmy w milczeniu.

– Rozmawiałeś z nim? – odezwała się w końcu Kinga, podejmując kolejną próbę zajęcia czymś moich myśli.

Nie musiała precyzować, o kogo chodziło. Kandydat mógł być tylko jeden.

Ojciec César Segreste. Meksykański duchowny, nieznajdujący się wysoko w hierarchii kościelnej, ale według wielu jeden z najważniejszych księży nie tylko w Meksyku, ale i całej Ameryce Łacińskiej.

– Nie rozmawiałem – odparłem. – Nawet nie wiem, jak wygląda. W internecie nie było o nim żadnych informacji, żadnego zdjęcia. Nie udziela wywiadów, nie tłumaczy, na czym polega opętanie, nie pozwala się nagrywać… zupełnie jakby się bał, że zostanie rozpoznany.

– Przez kogo?

– Raczej przez co – odparłem cicho.

Segreste wypowiedział wojnę Szatanowi lata temu, nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości. Mój biskup pokrótce przybliżył mi jego sylwetkę, choć sam nie miał pełnej wiedzy na temat Césara. Wszystkie informacje otrzymał od zaufanych ludzi w Watykanie – ci jak jeden mąż twierdzili, że w sprawie egzorcyzmów należy zwracać się właśnie do ojca Segreste.

Nikogo innego nie rekomendowali. I twierdzili, że César wypędził z ludzkich ciał więcej złych duchów, niż znali niejedni demonologowie.

– Siedzi zaszyty gdzieś na przedmieściach Tulum – kontynuowałem. – Niewielkiego miasta na Jukatanie, znanego w sumie chyba tylko dzięki prekolumbijskim ruinom Majów.

Kinga zachęciła mnie ruchem ręki, bym mówił dalej.

– Przez jakiś czas podróżował po całym Meksyku, wypędzał demony, walczył ze Świętą Śmiercią i podobnymi ruchami. Potem osiadł w jednym miejscu, nikt nie wie dlaczego.

– To wszystko naprawdę wygląda, jakby się ukrywał.

W jej głosie wyraźnie usłyszałem zwątpienie.

– Jeśli Watykan mówi, że właśnie do niego powinniśmy się zwrócić, to nie ma co się dwa razy zastanawiać.

– Może nie trzymają ręki na pulsie. Może z jakiegoś powodu przestał odprawiać egzorcyzmy.

– Lepiej, żeby nie – odparłem. – Nie tylko ze względu na mnie, ale i na osiem tysięcy, które kosztuje nas ta wyprawa.

Przypuszczałem, że cena może być znacznie wyższa, ale nie chciałem poruszać tego tematu nawet w żartach.

Podróż upłynęła nam więc na próbie rozmowy o czymkolwiek, co nie wiązało się z naszą obecną sytuacją. W pewnym momencie Kinga przysnęła, ja zaś pogrążyłem się w myślach o Césarze Segreste. Czy to on miał się okazać moim wybawcą? On miał wyzwolić mnie spod mocy sił nieczystych?

Jeśli tak, to musiał już mnie oczekiwać. Wprawdzie Watykan nie miał z nim kontaktu od pewnego czasu, nikt nie mógł poinformować go, że zamierzam się z nim spotkać, ale przypuszczałem, że informacja nadeszła z innego źródła. Z tego, którego wsparcia potrzebowaliśmy, by poradzić sobie z demoniczną obecnością.

Wylądowaliśmy na lotnisku na obrzeżach Cancún zgodnie z planem. Na miejscu wynajęliśmy chevroleta aveo, ubożejąc o dwadzieścia pięć dolarów, bo tyle wynosiła stawka dzienna.

Podróż do Tulum autostradą numer 307 wzdłuż Riwiery Majów zajęła nam półtorej godziny, ale przypuszczałem, że

znacznie więcej czasu będziemy musieli poświęcić na odnalezienie Césara.

Zaczęliśmy jednak od posiłku, a wybór padł na tacos serwowane w niewielkiej ulicznej knajpce, Antojitos La Chiapaneca – głównie dlatego, że kolejka miejscowych zdawała się nie kończyć. Istniało zatem spore prawdopodobieństwo, że zjemy nie tylko dobrze, ale także tanio. I nie pomyliliśmy się. Za taco zapłaciliśmy raptem siedem pesos, co wydawało się prawie darmowym obiadem.

W dodatku z baru sałatkowego i sosów można było korzystać do woli. Podobnie jak z otwartości mieszkańców Tulum.

Dziewczynę imieniem Conchetta zapytaliśmy o kapłana, którego szukaliśmy. I mimo że tacos były naprawdę dobre, na moment przestała przeżuwać, jakby trafiła na coś twardego i połamała na tym zęby.

Popatrzyła uważnie najpierw na Kingę, potem na mnie. Odłożyła kolację na ladę.

– Dlaczego go szukacie? – zapytała łamaną angielszczyzną.

Nie było sensu kluczyć, każdy w okolicy musiał wiedzieć, czym zajmuje się Segreste.

– Potrzebujemy jego pomocy – odezwała się Kinga.

– W takim razie jej nie dostaniecie.

Spojrzeliśmy po sobie.

– Dlaczego nie?

– Bo ojciec César już nikomu nie pomaga.

Obawiałem się tego, co mogę zaraz usłyszeć. Mimo to postanowiłem zapytać o pierwszą rzecz, jaka przyszła mi na myśl.

– Nie żyje?

– W pewnym sensie.

Takiej odpowiedzi się nie spodziewałem. Uniosłem pytająco brwi, nie odrywając wzroku od Conchetty. Odrzuciła czarne, gęste włosy do tyłu, a potem przez moment starała się wyciągnąć językiem coś spomiędzy zębów.

– Zachowuje się, jakby nie żył – powiedziała. – Mieszka przy Calle Asteroide, wiecie, gdzie to?

– Nie – odparła Kinga. – Dopiero przyjechaliśmy.

– I od razu trafiliście do La Chiapaneca? Nieźle.

– Poszliśmy tam, gdzie największy ruch.

Meksykanka pokiwała głową z uznaniem.

– Jak znajdziemy tę całą asteroidę? – zapytałem.

– Calle Asteroide. To ulica.

– No tak – przyznałem.

– To jakiś kwadrans stąd na piechotę. Pójdziecie prosto w kierunku Calle Alfa Sur i…

– W jakim kierunku?

– W stronę ruin.

Pokiwałem głową, bo trudno było przegapić informację o tym, gdzie się znajdują, kiedy podjeżdżaliśmy do miasteczka.

– Zaraz za budynkiem HSBC jest niewielki placyk, skręcicie tam w prawo. Potem cały czas prosto. Przedostatnia uliczka przed lasem to Calle Asteroide. Skręcicie w lewo i… cóż, powodzenia.

– Jak znajdziemy właściwy dom? – spytała Kinga.

– Popytajcie. Ale dom to dużo powiedziane.

Miała rację. Kiedy znaleźliśmy się na niewielkiej uliczce, odniosłem wrażenie, jakbyśmy cofnęli się w czasie. Budy stojące jedna przy drugiej przywodziły na myśl raczej stare, zniszczone peerelowskie kioski niż domy, w których mogliby mieszkać ludzie. Niektóre chałupy wyglądały, jakby miały się zawalić. W okolicy nie było żywej duszy, mimo że pora była odpowiednia, by zmęczeni upałem Meksykanie w końcu odżyli.

W powietrzu unosił się zapach śmieci, niektóre podwórza były zasłonięte od ulicy przez szerokie, wyblakłe płachty. Zupełnie jakby mieszkańcy chcieli ukryć się nie tylko przed słońcem, ale i przed całym światem.

Dachy większości budynków, które w przypływie dobrej woli można było nazwać barakami, były zniszczone, powyginane lub dziurawe. W niektórych brakowało ścian, przez co widzieliśmy jak na dłoni, jaka bieda panuje w środku.

Oprócz baraków i kioskowych bud tu i ówdzie stały drewniane budynki, przywodzące na myśl szałasy, które przy pierwszym lepszym podmuchu wiatru rozpadną się w pył. Pranie suszyło się w obejściach, a gdzieś pośrodku tego wszystkiego, jak w oku cyklonu, stał zadbany budynek z kratami w oknach i napisem „Pizzas Mago" na elewacji.

Weszliśmy do środka i zapytaliśmy o ojca Segreste. Reakcja pracowników była podobna do tej, jaką obserwowaliśmy w przypadku Conchetty.

Mimo to skierowali nas do właściwego domu.

– Nie liczcie tylko na to, że z wami porozmawia.

– Nie otwiera nieznajomym? – zapytała Kinga.

Pracownik pizzerii się zaśmiał.

– Co ma otwierać? – spytał. – Mieszka w otwartej budzie.

Mężczyzna miał rację. Kiedy dotarliśmy we wskazane miejsce, pomyślałem, że jeśli miałbym taką altanę działkową, nie udałoby mi się jej pozbyć nawet wtedy, gdybym oferował potencjalnym kupcom niemałą dopłatę.

Miejsce przypominało niewykończony garaż, a może raczej wiatę. Zamiast jednej ze ścian ojca Segreste oddzielały od świata zewnętrznego poszarpane kawałki materiału. Trudno było powiedzieć, z czego zrobił swoją kotarę. Być może ze wszystkiego, co udało mu się znaleźć i zawiesić pod sufitem.

Podeszliśmy bliżej.

– César? – zapytałem.

Nikt się nie odezwał. Pracownik pizzerii zapewniał jednak, że Segreste z pewnością będzie na miejscu. Według niego kapłan od dawna nie opuszczał domu, nie chodził nawet po zakupy. Przynoszono mu je w zamian za posługę i poświęcenie, o których wszyscy w Tulum pamiętali.

Chciano nawet zakwaterować go w jednym z domów wiernych, ale stanowczo odmówił. Zaszył się przy Calle Asteroide i z jakiegoś powodu nie miał zamiaru opuszczać tego miejsca, jakby za punkt honoru postawił sobie, by trwać na posterunku.

– Ojcze Segreste? – spróbowała Kinga.

Wciąż brak odpowiedzi.

Zbliżyliśmy się jeszcze bardziej, a potem odgarnęliśmy kilka płóciennych kawałków materiału. Moją uwagę przykuł jeden z nich. Początkowo myślałem, że to część jakiejś starej flagi, dopiero po chwili zrozumiałem, jak bardzo się pomyliłem.

Podszedłem do koszulki Ajaxu Amsterdam z numerem dziesięć. Wyprostowałem ją i zobaczyłem nazwisko, które musiało się tam znaleźć.

– Bergkamp? – odezwała się słabo Kinga.

Powiodłem wzrokiem po wnętrzu baraku. Na niewielkim, przechylonym na bok stoliku leżały jakieś papiery, gazety, trochę tytoniu i parę torebek herbaty. Wiedziałem doskonale, jaki zapach poczuję, kiedy po nie sięgnę.

Szybko potwierdziłem, że to earl grey. Odłożyłem torebki i rozejrzałem się.

– César? – spytałem jeszcze raz.

Nie wyglądało na to, żeby gdzieś tutaj mieściło się jeszcze jedno pomieszczenie. A jednak po księdzu nie było śladu.

Dopiero po chwili usłyszeliśmy zbliżające się kroki, a potem odgłos otwieranych drzwi. Uświadomiliśmy sobie, że do kanciapy prowadzi tylne przejście.

Do środka wszedł lekko przygarbiony, około trzydziestoletni, wysoki mężczyzna. Był chudy jak szczapa, cienie pod oczami zdawały się rozciągać na policzki, a w oczach widać było zmęczenie, jakby przeżył kilka żyć.

– Ojciec César? – spytałem.

Popatrzył na nas i nabrał głęboko tchu.

Wiedziałem, co teraz nastąpi. Z jego punktu widzenia byliśmy dwojgiem kolejnych natrętów, którzy czegoś od niego chcieli. Przypuszczałem, że sporo czasu będziemy musieli poświęcić na przekonywanie go, że jest ostatnią deską ratunku. I że to, w czym powinien nam pomóc, może okazać się wyjątkowo istotne.

Przez chwilę ściągał brwi, a ja miałem wrażenie, że to opuchlizna pod oczami sprawia, że tak się garbi. Cerę miał zniszczoną, a włosy przerzedzone. Właściwie sprawiał wrażenie ćpuna, który znalazł się na skraju wytrzymałości.

Nie przywodził na myśl człowieka, który mógłby mi pomóc.

Zarost miał nieregularny – i mimo że dawno się nie golił, widać było prześwity w brodzie, białe plamy, uświadamiające, że musiał unikać słońca przez długi czas. Spojrzałem na jego dłonie, pokrywały je liczne, głębokie blizny. Zagoiły się jakiś czas temu, ale wyglądały, jakby ciął się czymś z wyjątkową zapalczywością.

Wciąż się nie odzywał.

– Ojcze Segreste, przylecieliśmy z… – Kinga urwała, kiedy César podniósł pokrytą bliznami rękę.

Wyschnięta skóra na dłoniach sprawiała wrażenie, jakby miała pęknąć na knykciach. Gdzieniegdzie widać było niewielkie strupy.

– Zwlekaliście – odezwał się w końcu Segreste. – Długo na was czekałem – dodał.

VIII

Głos duchownego zupełnie nie pasował do jego wizerunku. Był ciepły, uprzejmy, wręcz podnoszący na duchu. Nie odpowiadał też mojemu wyobrażeniu o egzorcyście, który miał być jednym z najtwardszych żołnierzy Chrystusa w walce ze złem.

Ale może do naprawdę potężnych demonów konieczne było wystawienie człowieka na wskroś dobrego. O złotym sercu i bezgranicznie miłującego każdego bliźniego. Głos Césara w jakiś sposób zdawał się sugerować, że właśnie z kimś takim mamy do czynienia.

Powłócząc jedną nogą, Segreste podszedł do stolika, wyciągnął spod niego dwa kubki, a potem umieścił w nich torebki earl greya.

Spojrzał w kierunku koszulki Bergkampa, a potem skierował wzrok na mnie.

– Zdziwiony?

Nie odzywałem się, nie mając pojęcia, co mógłbym powiedzieć.

– Nie powinieneś być – dodał César. – Od lat dostawałem znaki, że przyjdziesz.

Mówił dobrze po angielsku, ale z wyraźnym hiszpańskim akcentem.

– Znaki? – wydusiła Kinga. – To znaczy…

– Ciebie również oczekiwałem.

Spojrzeliśmy na siebie, jakby któreś z nas od samego początku zachowywało coś w tajemnicy przed drugim.

– Siadajcie.

Zrobiliśmy, jak polecił. Podgrzał wodę nad niewielkim palnikiem, który z pewnością nie przeszedłby kontroli zleconej

przez jakąkolwiek inspekcję, a potem zalał herbatę. Wokół rozszedł się przyjemny aromat bergamotki.

– Nie drażni? – zapytał, patrząc na mnie.

– Nie.

– A więc nie doszło do zmiany nawyków żywieniowych?

– Co?

– To jedna z pierwszych rzeczy, jakie robi demon, kiedy zbliża się do duszy człowieka. Jeden z pierwszych znaków, że się tobą interesuje.

Ledwo wspomniał o siłach zła, jego głos diametralnie się zmienił. Stanowił dokładne przeciwieństwo tego, co słyszałem wcześniej. W jego oczach pojawiło się też niedookreślone, niewypowiedziane wyzwanie.

– Mówi ksiądz, że na nas czekał… – odezwała się niepewnie Kinga. – Ale…

– Czekałem – potwierdził i westchnął.

Siedział zgięty niemal wpół, jakby złamany. Mimo młodego wieku przywodził na myśl stetryczałego staruszka, którego na przejściu dla pieszych na wszelki wypadek wszyscy mają na uwadze.

– Stanowczo za długo – dodał. – Gromadziłem siły, ale byłem gotowy na to spotkanie już od dawna.

– Gromadził ojciec siły?

– Nie odprawiałem egzorcyzmów od wielu miesięcy. Nie pełniłem posługi, zaniedbałem moje stado i wszystkie obowiązki. Musiałem się przygotować.

Znów wymieniliśmy się zdezorientowanymi spojrzeniami.

– Znaki zacząłem otrzymywać już dawno.

– Jakie znaki? – zapytałem.

– Początkowo od demonów, które wypędzałem.

Jego głos zachrypiał złowrogo, a ja miałem wrażenie, jakby wrzątek w moim kubku natychmiast wystygł.

– Ostrzegały mnie, że to nadchodzi – powiedział. – Choć może nie powinienem określać tych wiadomości jako

ostrzeżeń. Były to raczej groźby. Pełne dzikiej, nieokiełznanej satysfakcji i żądzy zemsty.

Nie odzywaliśmy się. Nie mieliśmy też ochoty próbować earl greya, mimo że lipton to lipton, powinien smakować tak samo na całym świecie.

– Potem pojawiły się pierwsze znaki – ciągnął César. – Wierni kilkakrotnie przynieśli mi koszulkę z numerem dziesięć. Ajaxu Amsterdam, Arsenalu, reprezentacji Holandii… domyślasz się, że wszystkie pochodziły sprzed lat, a więc znajdowało się na nich nazwisko jednego piłkarza.

Pokiwałem głową.

– Miejscowi do dziś przynoszą mi różne dary – kontynuował Segreste. – Między innymi czarną herbatę earl grey, mimo że prawie jej nie pijam. Oprócz tego dostawałem średnio co kilka tygodni kartki z podobiznami Czarnej Madonny.

Rozejrzałem się, ale nigdzie nie dostrzegłem ani jednej.

– Są w bezpiecznym miejscu – dodał. – Czego nie mogę powiedzieć o was.

– Sądziliśmy, że właśnie tutaj…

– Nie – uciął. – Dla was nie ma bezpiecznego miejsca. Nie w tej chwili.

– Ale ksiądz to zmieni – włączyła się Kinga.

– Spróbuję.

Krzyżowałem z nim spojrzenia, jakby miał zamiar zacząć już teraz. Bez zwlekania, bez kompromisów. Widziałem, że był gotowy. Nie, więcej, że nie mógł doczekać się naszego spotkania.

– Od dawna wiedziałeś, że się zjawimy?

Wzruszył ramionami, irytując mnie tym trochę. Nie po to przelecieliśmy pół globu, żeby Segreste miał uchylać się od odpowiedzi na tak błahe pytania. Miałem ich do niego dużo więcej, w dodatku znacznie istotniejszych.

– To nie zadziała, jeśli nie będziesz odpowiadał na pytania – zauważyłem.

– Nie ja będę mówił – odparł. – Ale demon.

– W porządku, tylko że…

– Powie mi, jak brzmi jego imię – dodał z dziwnym, wręcz niepokojącym entuzjazmem. Tak dużym, że kłóciło się to z jego wizerunkiem. Zrozumiałem, że w jego przypadku wygląd jest jedynie złudą, być może mającą na celu uśpienie czujności przeciwnika.

– To nie będzie łatwe – powiedziałem.

– Nikt nie twierdzi, że poznam imię bez trudu – zaoponował. – Ale poznam. A potem wyciągnę z niego dużo więcej, zanim w imię Jezusa Chrystusa, Syna Jednorodzonego, przepędzę go z tego świata i strącę tam, gdzie jego miejsce.

Kinga wyglądała na pokrzepioną jego słowami, ja poczułem głęboki niepokój.

Coś było nie tak.

Spodziewałem się, że tak utytułowany egzorcysta będzie twardą sztuką, może nawet arogantem, odludkiem, dziwakiem, impertynentem czy zwykłym chamem, więc byłem przygotowany na najgorsze. Kiedy jednak patrzyłem w oczy Césara, miałem wrażenie, że w całej tej sytuacji jest coś, na co nie jestem gotowy.

Na co nie mogłem być gotowy.

– Coś nie tak? – spytał Segreste.

– Wszystko.

– Dobra odpowiedź – pochwalił mnie. – Ale potrzebuję jeszcze kilku innych.

– Po kolei – odparłem. – Najpierw my chcielibyśmy uzyskać jakieś od ciebie.

– Jakie? Nie ma wiele rzeczy, które mógłbym wam powiedzieć.

Zaśmiałem się pod nosem, choć bynajmniej wesoło mi nie było.

– Jest mnóstwo takich rzeczy – odparłem. – Zacznijmy od tego, gdzie odprawisz egzorcyzm?

– Tutaj.

– Sam? – spytałem z powątpiewaniem. – Czy będziemy potrzebować…

– Kilku mężczyzn nam pomoże. Przypuszczam, że sześciu powinno wystarczyć do przytrzymania ciała, kiedy demon zamanifestuje swoją obecność.

Kinga posłała mi niepewne spojrzenie.

– Tak jak mówiłem, nikt nie twierdzi, że wszystko odbędzie się bez trudu.

– Ale jest ksiądz pewny, że się uda? – spytała Kinga.

– Bóg nas nie zawiedzie.

W końcu oderwał ode mnie wzrok. Przyglądał nam się przez chwilę jak pracodawca podczas rozmowy rekrutacyjnej. Zupełnie jakby mógł wybrać, czy to na pewno z nami chce zrobić to, co zamierza.

– Kto wierzy w Jezusa, ten nie ma się czego obawiać – dodał. – Chrystus pokonał Szatana, pokona też każdego demona. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. I każdy sługa diabła ma tego świadomość.

Nie byłem przekonany. Segreste zmrużył oczy, jakby to wyczuł.

– Nie rozumiecie – powiedział. – Osoby wierzące nie powinny bać się złych duchów. Nie mają ku temu powodu. Kiedy zjawia się demon, to on jest pełen obaw, bo wie, że Jezus jest niedaleko. I że w każdej chwili może zostać przez niego zmiażdżony. Robi więc wszystko, by omamić wiernych, by przekonać ich, że powinni czuć strach. A nie powinni.

Gdyby nie to, że w oddechu Césara nie wyczuwałem alkoholu, powiedziałbym, że przed momentem coś wypił. Mówił nieco bełkotliwie, sprawiał wrażenie, jakby nie do końca mógł ułożyć sobie wszystko w głowie.

Może myślami był już daleko.

– Więc ksiądz się nie boi? – zapytała z powątpiewaniem Kinga.

– Tylko Boga.

– Diabła nie?

– W żadnym wypadku.

– Nie może opętać duchownych?

– Może – odparł Segreste, jakby mówił o czymś tak powszechnym, jak następujące po sobie pory roku. – I czasem tak się dzieje. Ale ksiądz poradzi sobie, tak jak zrobiła to Święta Teresa, kiedy wzięła do ręki krucyfiks. Demony nawiedzały ją często, zbyt często. Ale wszystkie odstępowały, kiedy prosiła o pomoc Chrystusa. Aby to zadziałało, warunek jest jeden: osoba ta musi wierzyć.

Pokiwałem głową, uznając, że z tym może być pewien problem. Wprawdzie wydawało mi się, że pozbycie się koloratki nie odbiło się gruntownie na moim światopoglądzie, ale nie miałem co do tego absolutnej pewności.

Nawet kiedy byłem księdzem, nie mogłem powiedzieć, bym ją miał. Zdarzało mi się wątpić – i wydawało mi się, że ma to miejsce częściej niż w przypadku innych duchownych.

Napiłem się herbaty, starając się o tym nie myśleć. Starając się wmówić sobie, że moja wiara ma się dobrze. Może nie jest niezachwiana, ale w takiej sytuacji tylko się umocni.

– No dobrze… – powiedziałem. – Jak to zrobimy?

– Według starego Rytuału.

– Żartujesz?

– Nie – odparł stanowczo César. – Moim zdaniem sprawdza się on znacznie lepiej.

– Został zakazany.

– Niezupełnie.

– Niezupełnie? Kościół w dziewięćdziesiątym dziewiątym ustanowił nowy Rytuał rzymski. I całkiem słusznie, bo ten poprzedni pochodził z siedemnastego wieku.

– Nowy jest nieskuteczny.

– Nie tobie to oceniać.

– Nie, nie mnie – przyznał Segreste. – Ale za pozwoleniem biskupa można stosować stary. Ja to pozwolenie otrzymałem.

Ostatnim, czego chciałem, było postępowanie wbrew Kościołowi. Mieliśmy przeciwko sobie potężne siły, potrzebowaliśmy każdego sojusznika. A już z pewnością nie było nas stać na to, by ryzykować utratą wsparcia jedynej instytucji, którą mogliśmy nazwać opoką.

Wydawało mi się, że razem z zawartym w nim egzorcyzmem Leona XIII, stary Rytuał został w całości zniesiony. Czytałem zresztą o tym, że jest on w istocie sprzeczny z nowym. Pierwszy z nich miał być na tyle kontrowersyjny, że uchylono go w całości, zamiast zmieniać.

– Nie jesteś przekonany?

– Nie – odparłem. – Nikt już nie stosuje tamtych zasad.

– Mylisz się.

– Doprawdy?

– Większość starych, doświadczonych egzorcystów nadal stosuje stary Rytuał.

Widziałem, że Kinga chciała zapytać, jakie są różnice – i dlaczego są dla nas tak istotne. Ostatecznie jednak się nie odezwała, a my spieraliśmy się jeszcze przez chwilę. César przekonywał mnie, że nowe zasady są po prostu nieskuteczne, ja upierałem się, że nie stać nas na to, by nie postępować tak, jak nakazują to wytyczne ustalone podczas soborów.

Czułem, że jeśli odwrócimy się od Kościoła choćby na moment, będziemy mieli niemały problem.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz – skwitował w końcu Segreste. – Ale to się zmieni. Niebawem.

– Zabrzmiało to jak groźba.

– Wszystko, co związane z zastępami diabła, jest groźbą.

– Ale nie formułowaną przez ciebie.

– Nie. Ja daję ci tylko dobre rady. Posłuchaj ich, a żadne niebezpieczeństwo nie będzie ci straszne.

– Wątpię.

– Więc przestań – odparł spokojnie César. – Bo jeśli demon wyczuje twoje wahanie, problem będzie znacznie większy, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić.

Chciałem odpowiedzieć, bo jakaś irracjonalna potrzeba kazała mi kontynuować tę słowną szermierkę, ale Kinga wzięła mnie za rękę i sprawiła, że całą uwagę skupiłem na jej oczach. Odnalazłem w nich spokój.

– Kiedy zaczynamy? – zapytała.

– Jak tylko przekażę Filipowi wszystko, co musi wiedzieć. Potem poślę po wiernych, którzy nam pomogą.

Skinąłem głową, choć nadal nie byłem przekonany, czy dobrze postępujemy, pokładając bezgraniczne zaufanie w tym człowieku. Potem jednak przypomniałem sobie pewność mojego biskupa, który zaręczał, że to César Segreste jest tym, do którego powinniśmy zwrócić się o pomoc.

Czekał tu na nas, przygotowywał się. Ktoś na górze dbał o to, by to wszystko dobrze się skończyło. Może więc nie powinienem wątpić. Ani w Boga, ani w siłę Maryi, Nieprzyjaciółki Szatana, ani w tego człowieka.

– W porządku – powiedziałem. – Co muszę wiedzieć?

– Całkiem sporo.

– W takim razie słucham.

– To musi być rozmowa w cztery oczy – odparł César. – Tylko ty i ja, Filipie.

Zdziwił mnie tym i zaniepokoił. Czułem, że Kinga daje mi siłę, jej obecność niejednokrotnie sprawiała, że moje obawy zmalały. I bynajmniej nie chodziło o ściśnięcie dłoni na pokładzie boeinga linii Condor. Pomagała mi w znacznie poważniejszych sytuacjach.

– Nie ma powodu, by Kinga nie słyszała, co masz mi do powiedzenia.

– Berg, jeśli naprawdę…

– Nie – zaoponowałem. – Jesteś mi niezbędna.

Patrzył na nas niepewnie. To na jedno, to na drugie. Jakby dostrzegł, że łączące nas relacje były czymś, co nie powinno mieć miejsca. Czymś, co godziło w jeden z sakramentów.

Kinga i Rudyk mieli ślub kościelny. Właściwie wszystko, co kołatało się w mojej głowie, kiedy patrzyłem w jej oczy, stanowiło obrazę dla tego sakramentu.

César mruknął niezrozumiale pod nosem.

– Co powiedziałeś? – spytałem.

– Że nie macie o niczym pojęcia…

– Słucham?

– Dopiero teraz to zrozumiałem.

– Co konkretnie? – odparłem nieco ostrzejszym tonem, niż zamierzałem.

Segreste podniósł się, popatrzył na mnie z góry, a potem pokręcił głową.

– To nie ty jesteś opętany przez demona, Filipie – powiedział, po czym przeniósł wzrok na Kingę. – Ale ona – dodał.

Rozdział IV

Oratio Dominica

I

Ojciec Segreste rzeczywiście czekał na mnie od dawna, choć powód był zupełnie inny, niż sądziłem. Nie zamierzał przeprowadzać egzorcyzmu na mnie – planował odprawić go ze mną.

Kiedy zorientował się, że nie mam pełnego oglądu sytuacji, dał nam chwilę, byśmy z Kingą ogarnęli umysłem to, co usłyszeliśmy. Prawda była jednak taka, że nawet gdybyśmy mieli na to cały dzień, może nawet tydzień, nie bylibyśmy w stanie pojąć wszystkiego.

César sam wydawał się nie do końca rozumieć, co się dzieje. Wiedział dużo więcej od nas, to nie ulegało wątpliwości, ale były rzeczy, do których on sam nie miał dostępu. Widziałem to w jego oczach, kiedy mi się przypatrywał.

– Dlaczego sądziłeś, że to ty jesteś opętany? – spytał.

– Dla… dlaczego? – wydukałem.

Skinął głową, naprawdę niepewny powodu, dla którego dopytuję. Zrozumiałem, że nic nie wiedział o tym, co mi się przydarzyło. Ale jak to możliwe? Zachodziłem w głowę, starając się dociec, co tak naprawdę się tu dzieje.

– Co to za pytanie? – odparłem.

Wzruszył ramionami.

– Przecież…

Urwałem, nie wiedząc nawet, od czego zacząć. Zerknąłem na Kingę, obawiając się, jak zareaguje na rewelacje księdza. Wyraźnie pobladła, zastygając z lekko rozchylonymi ustami. Patrzyła na Césara, jakby ten był lekarzem informującym ją o tym, że zapadła na nieuleczalną chorobę. Lekarzem fachowcem, cieszącym się tak dużym autorytetem, że nikt nie kwestionuje jego diagnozy.

Z trudem przyszło mi przełknięcie śliny, kiedy pomyślałem, że to właściwa analogia.

– Było aż nadto dowodów – odezwałem się. – Wstręt do wszystkiego, co wiązało się z Bogiem, z Maryją i…

– A ten medalik?

Ręka automatycznie powędrowała w kierunku medalika.

– Skąd o nim wiesz?

– Widziałem go w przebłyskach.

– Przebłyskach?

– Wizjach, które posłali mi aniołowie.

– Żartujesz sobie?

– Już o tym wspominałem. Nie lubię się powtarzać.

– Pierwsze słyszę – zaoponowałem. – Nie mówiłeś nic o…

– Mówiłem, że podczas egzorcyzmów pokazywano mi różne sceny – przerwał mi. – A mówiąc o aniołach, mam na myśli także te upadłe.

Mogłem się tego domyślić. W końcu sam Szatan był niegdyś jedną z tych świetlistych istot, zanim zbuntował się i poprowadził inne anioły przeciwko Bogu. Teraz stał najwyżej w hierarchii demonów, a ona sama składała się z takich jak on.

– W takim razie nie powinieneś ufać temu, co widziałeś – zaoponowałem. – To wszystko manipulacja złych sił.

Segreste zaśmiał się krótko, chrapliwie.

– Owszem, manipulacja jest wielka – przyznał. – A ty nie widzisz nawet jej części. Ale nie obawiaj się, wszystko ci pokażę. Przynajmniej wszystko to, co sam dostrzegam.

– Czyli?

– Wszystko, co widziałem – dodał, jakby mnie nie słyszał, a potem zrobił głęboki wdech. – Kiedy wypędzasz demona, dotykasz świata, który w innych okolicznościach jest dla ciebie zamknięty. Otwiera się pomost między doczesnością a wiecznością.

Znów spojrzałem na Kingę. Bardziej od tego, co mówił César, interesowało mnie, jak ona się czuje. Wyglądała tak samo, jak przed momentem.

– To trochę tak, jakbyś był w spowitym mrokiem tunelu – ciągnął Segreste. – Widzisz nadjeżdżający samochód, oślepia cię swoimi światłami, nie dostrzegasz niczego poza nimi. Załóżmy, że to ślepia demona.

– Mało udana analogia.

– Ale trafna – uparł się. – Bo przy odrobinie szczęścia i zachowaniu uwagi, być może dostrzeżesz także to, co za samochodem. A gdzieś tam, w oddali, jest Bóg lub jego aniołowie. Wspierają cię, są obecni, ale nie wysuwają się na pierwszy plan. Jeśli jednak ich dostrzeżesz…

Rozłożył ręce, przywodząc na myśl posąg Chrystusa z Rio.

– Spływa na ciebie coś niesamowitego – dodał, zamykając oczy. – Przez krótką chwilę czujesz obecność Wszechmogącego lub aniołów. I może, tylko może, odezwą się do ciebie.

– A więc do ciebie się odezwali.

– Tak – potwierdził, podnosząc powieki. W jego oczach zdawał się zakołatać lekki błysk. – I pokazali mi ciebie, medalik oraz kilka innych rzeczy.

Przestąpiłem z nogi na nogę. Myśl, że skontaktować się z Bogiem można przy okazji wypędzania demonicznych mocy z ciała człowieka, była trochę niepokojąca. Odsunąłem ją od siebie, uznając, że w tej chwili nie to jest najważniejsze.

– Pokazali mi także Kingę – dodał César, jakby czytał w moich myślach.

– Bzdura.

Segreste ściągnął gniewnie brwi, a ja poczułem się jak oskarżony o herezję w średniowiecznym procesie.

– Mam na myśli jedynie to, że demon zrobi wszystko, żeby cię oszukać – wyjaśniłem.

– Mnie to mówisz?

– Najwyraźniej ktoś powinien, bo zawierzyłeś tej wizji, jakby…

– Ufam Jezusowi – uciął César. – Ty także powinieneś.

Miałem ochotę się roześmiać, choć przypuszczalnie naraziłbym się tym nie tylko rozmówcy, ale także komuś znacznie ważniejszemu. Gdyby tylko Segreste widział, co się ze mną działo w ostatnim czasie, nie miałby żadnych wątpliwości, że został zmanipulowany.

Postanowiłem, że wszystko mu opowiem, od początku do końca. Zacząłem przekonywać go, jednocześnie starając się zrobić to samo względem Kingi. Jedno ani drugie nie sprawiało jednak wrażenia, jakby podzielało mój ogląd na sprawę.

Ja jednak nie miałem wątpliwości, że jest słuszny.

– Zwariowaliście? – zapytałem, kiedy dobrnąłem do opisu momentu, kiedy splunąłem w kratkę konfesjonału. – Po tym wszystkim będziecie się upierać, że to nie demon mną zawładnął?

Kinga milczała. Zbliżyłem się do niej, ale zdawała się nie odnotować mojej obecności. Dopiero po chwili potrząsnęła głową i popatrzyła mi w oczy.

– Chyba nie wierzysz w te brednie – powiedziałem.

– Berg…

– Co? – ofuknąłem ją. – Sama widziałaś tamto nagranie z mojej sypialni. Do kurwy nędzy, sprzątałaś te czarne rzygowiny, nie mówiąc już o innych rzeczach!

– On wie, co mówi.

Popatrzyłem na Césara. Siedział przy stoliku, nieruchomo, jakby nieobecny. Może układał sobie wszystko w głowie,

a może po prostu czekał, aż ja to zrobię.

– Gówno wie – odparłem. – Jeśli to nie było opętanie, to co twoim zdaniem? Wygłupy? Żart stulecia, który sobie wymyśliłem? No?

– Nie denerwuj się.

Rozłożyłem ręce i odwróciłem się, jakbym gdzieś w okolicy mógł znaleźć kogoś, kto zachował zdolność trzeźwego myślenia.

– Nie denerwować się… – mruknąłem, obracając się z powrotem do Kingi. – Trudno to zrobić, kiedy widzę, że zupełnie wam odbiło.

Krzesło zaskrzypiało, Segreste w końcu się podniósł.

– Ty naprawdę nic nie rozumiesz – powiedział.

– Po raz pierwszy muszę się z tobą zgodzić.

– Nic a nic – dodał z bólem w głosie. – Dlaczego?

Podszedł do mnie, mrużąc oczy. Przypuszczałem, że zatrzyma się w takiej odległości, byśmy nie poczuli się niekomfortowo, ale się pomyliłem. Zbliżył się tak bardzo, że musiałem zrobić krok w tył.

– Dlaczego o niczym nie wiesz?

Zdawał się pytać samego siebie, a nie mnie.

– Odwróciłeś się od Boga?

– Nie.

– Jesteś przecież częścią wspólnoty, kapłaństwa nigdy się nie wyrzekniesz…

Nadal sprawiał wrażenie, jakby konwersował ze sobą.

– Musiałeś zwątpić, musiałeś na pewnym etapie się poddać – ocenił w końcu. Dopiero wtedy się wycofał. – Nie szkodzi, poradzimy sobie. Istotne jest to, byśmy razem stanęli do walki z demonem. Aniołowie tego wymagają.

– Posłuchaj, to wszystko jest…

– Prawdą – uciął, a potem przeniósł całą uwagę na Kingę. – Musisz pomóc mi wyswobodzić ją spod diabelskiej mocy, Filipie. Szatan trzyma ją wyjątkowo mocno.

Zrobiło mi się niewygodnie, jakbym usiadł na dobrze znanym, starym fotelu i nie mógł odnaleźć odpowiedniej pozycji. Odniosłem wrażenie, jakby coś uwierało mnie w duszy.

Nie, to było bardziej namacalne, nie tak abstrakcyjne. Coś ściskało mnie w klatce piersiowej.

Dopiero po chwili poczułem, że medalion stał się ciężki. Nie poddawał się jednak sile grawitacji, ciążył w innym kierunku. Wprost ku mnie. Naciskał na mostek, jakby starał się we mnie wniknąć.

Dotknąłem go niepewnie.

– Zbliżamy się do tego tunelu – odezwał się César. – Widzisz już samochodowe światła w oddali, prawda?

– Nie.

– I powoli dociera do siebie, że to, co mówię, to prawda.

– Mówisz kompletnie od rzeczy – odparłem przez niemal zaciśnięte usta. – I dopóki nie wytłumaczysz mi, dlaczego, nie zrobię nic, o co mnie poprosisz.

Kiedy głęboko westchnął, wiedziałem już, że za moment powie mi znacznie więcej.

Zdawał się rozczarowany, jakby przypuszczał, że zjawię się u niego z pełną wiedzą, a nie jedynie poszlakami. W dodatku takimi, które w jego przekonaniu sprowadziły mnie na manowce.

– To, czego doświadczyłeś, nie było opętaniem.

– Z pewnością. Recytowanie Apokalipsy, złowrogie spojrzenie Czarnej Madonny, wylewanie z siebie czarnego płynu i…

– Źle to odczytałeś.

– Wstręt przed wszystkim, co święte, także?

– To nie tak, Filipie.

– Więc jak? – syknąłem. – Wytłumacz mi, to może dopuszczę możliwość, że gdzieś w twoim szaleństwie kryje się odrobina rozsądku.

Pokiwał głową, jakby właśnie to miał zamiar mi udowodnić. Na powrót usiadł przy stole, a potem ruchem ręki zaprosił nas, byśmy zajęli miejsca obok. Przez chwilę przypatrywał się Kindze.

– Ona nigdzie nie idzie – uprzedziłem ewentualne obiekcje.

– Nie miałem zamiaru jej odsyłać.

– Nie? Przed momentem twierdziłeś, że musimy rozmawiać w cztery oczy.

– O wygnaniu demona, owszem – przyznał. – Ale zanim do tego przejdziemy, musisz zrozumieć, co się dzieje. Nie ma powodu, by nie rozmawiać o tym w towarzystwie Kingi. Demon o wszystkim wie. To on zresztą sprowadził na ciebie to wszystko.

– Nie rozumiem.

Segreste uniósł lekko kąciki ust.

– Zaraz zrozumiesz.

II

Potraktowałem jego słowa jako coś pomiędzy pustymi przechwałkami a symptomem zwykłego szaleństwa. Im dłużej jednak mówił, tym bardziej odrzucałem zarówno jedną, jak i drugą opinię.

Kiedy skończył, miałem wrażenie, jakby mój umysł przestał pracować. Serce przestało tłoczyć krew, a duszę skuł lód. Trwałem w bezruchu, nie mogąc się poruszyć. Chciałem spojrzeć na Kingę, ale nie potrafiłem nawet obrócić głowy w jej kierunku.

– Demon nie istnieje na naszej płaszczyźnie egzystencji – dodał César, jakby sądził, że nie zrozumiałem całego wywodu.

Gardło miałem tak ściśnięte, że wydawało mi się, że się uduszę.

– Nie potrafi pojawić się tutaj w samoistnej, fizycznej postaci – dodał Segreste.

Chciałem jakoś potwierdzić, dać mu do zrozumienia, że zaczynam ogarniać wszystko umysłem. Nie potrafiłem jednak nawet posłać mu znaczącego spojrzenia.

– Nie postrzega naszego świata tak jak my – ciągnął duchowny. – Nie obowiązują go też nasze zasady, prawa fizyki… nic, co przyjmujemy za pewnik. Pojawia się tutaj jedynie poprzez nasze pośrednictwo.

Albo na zaproszenie, albo samozwańczo, dodałem w duchu. Niektórzy sami prosili się o jego wizytę, na innych spadała często poprzez dręczenie. Zmagał się z tym ojciec Pio, a także inni stygmatycy i męczennicy, którzy wprawdzie nie byli opętani, ale stanowili przedmiot zainteresowania diabła i jego sług.

Jak mogło być w przypadku Kingi?

Ledwo to pytanie stanęło w moich myślach, uświadomiłem sobie, że Segreste mnie przekonał. Dopuściłem możliwość, że to ona została opętana, nie ja.

– Nasza czasoprzestrzeń to dla demona abstrakcja – dodał César.

Czas. Przestrzeń.

Oczywiście, przecież to logiczne.

– Ani jedna, ani druga sfera go nie dotyczy – kontynuował duchowny, jakby rzeczywiście zachodziła potrzeba, by mówił dalej. Ale nie zachodziła. Wszystko już rozumiałem. – Może działać w sposób nieograniczony w przestrzeni, wnikając w ciała ludzi znajdujących się w Ameryce, Europie, Azji… nie ma to dla niego żadnego znaczenia. Podobnie jest z czasem. Demon przenika czas, przenosi się z jednego momentu w drugi. Nie liczy się z tym, który jest rok czy moment w historii świata. Czas dla niego nie istnieje. Nie biegnie od przeszłości do przyszłości. Wszystko stanowi dla niego teraźniejszość.

Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale było to do bólu racjonalne założenie. Wszystkie przedstawiane w mediach przypadki opętań, filmy i książki, kazały mi jednak dotychczas sądzić, że jest inaczej. Na tym polegała siła fikcji.

Zakładałem, że do opętania dochodzi w tym a nie innym momencie. Trwa tyle a tyle. Od momentu, kiedy grupa ludzi zasiądzie przy planszy oujia, aż do chwili, kiedy egzorcysta wypędzi demoniczną istotę z ciała małej dziewczynki.

Tymczasem prawda była inna. Demony się przemieszczały. Nie tylko w przestrzeni, ale także w czasie. Szczególnie kiedy się je rozdrażniło, szczególnie kiedy podejmowało się walkę.

Uciekały.

– Rozumiesz już, Filipie?

W końcu udało mi się skinąć lekko głową.

– I wierzysz mi?

Nie odpowiedziałem.

Zmęczenie widoczne na twarzy Césara zdawało się spotęgować. W jego oczach pojawił się wyraźny zawód. Spodziewał się, że zaufam mu bezgranicznie, odsunę wszystkie wątpliwości, a potem przystąpimy do tego, co mieliśmy wspólnie zrobić.

Spojrzał na Kingę. Przez moment się zastanawiał.

– Rozumiesz, co to wszystko znaczy? – zapytał. – Że dla nas także czas i przestrzeń w pewnym sensie przestają mieć znaczenie?

Uniosłem brwi, nie wiedząc, jak na to odpowiedzieć. Przypomniałem sobie wizytę szeptuchy i jej słowa o tym, że czas nie ma znaczenia. I że musimy zatrzymać wszystkie zegary w mieszkaniu, zanim przyzwiemy jakąkolwiek istotę z zaświatów.

– Z punktu widzenia demona doszło już do próby egzorcyzmu – dodał César. – W którymś momencie w przyszłości ty i ja staraliśmy się go wypędzić.

– Ale…

– Nie wiem, czy nam się udało. Bo nie wiem, w którym miejscu w czasie nastąpił koniec egzystencji demona. Nie wiem, czy w ogóle do tego doszło.

Potrząsnąłem głową. Po tym wszystkim, co usłyszałem, nawet najprostsza myśl wydawała się zbyt skomplikowana.

– Wiem, że się cofał – kontynuował César. – Przenosił się wstecz, ale nie wiem, jak daleko. Chronologicznie rzecz biorąc, na pewno do lat osiemdziesiątych. Stąd wasze spotkanie na pokładzie Japan Airlines 123.

– Nasze… chcesz powiedzieć, że…

– Że to Istniejący? Nie wiem.

– Jak to: nie wiesz, do cholery? – spytałem. – To chyba najistotniejsza kwestia.

– Ale nie potrafię jej rozwiązać – odparł niechętnie. – Nie wiem, kim jest Istniejący. Żaden z aniołów nie pokazał mi go,

nie zapowiedział jego przyjścia, nie wytłumaczył jego obecności. Może być zarówno…

Nie dokończył, zapewne z obawy przed tym, że może nieopatrznie zacząć bluźnić. Uznałem, że to dobre rozwiązanie.

Kiedy w końcu umilkł, dałem sobie chwilę, by wszystko ułożyć w głowie.

Za jakiś czas spróbujemy wyswobodzić Kingę spod władzy diabła. Demon zacznie uciekać wstecz w czasie. I w przestrzeni. Będzie przenosił się, w tym także poprzez mnie.

Dlaczego? Czy podczas egzorcyzmu mnie opęta?

Wolałem o tym nie myśleć. Wiedziałem, że pytania będą się nawarstwiać, a ja nie otrzymam żadnej odpowiedzi. Dopiero miałem je poznać.

Teraz zresztą nie było najważniejsze, co stanie się ze mną. Jeśli Segreste miał rację, musieliśmy ratować Kingę. Dopóki był jeszcze na to czas.

Wszystko było ze sobą powiązane. Recytowanie Apokalipsy, zaginięcie samolotów, pojawienie się Istniejącego. I demon, który nadal pozostawał w cieniu – mój przeciwnik, z którym walczyłem już od dawna, ale nie byłem tego świadomy.

– Jesteś gotowy, Filipie?

– Nie – odparłem bez namysłu. – Ale wątpię, żebym kiedykolwiek był.

Segreste skinął głową, a ja zastanawiałem się, od czego zaczniemy. Zapewne pójdziemy utartą drogą. Należało rozpocząć od potwierdzenia, że w istocie doszło do opętania. Było kilka prób, które mogliśmy wykonać, by mieć absolutną pewność, że w ciele Kingi pojawiła się diabelska istota.

Nowy rytuał tym różnił się od starego. Wedle zasad ustanowionych na przełomie wieków, należało mieć absolutną pewność, inaczej nikt nie był uprawniony do odprawienia egzorcyzmu. Wielu księży krytykowało ten model, twierdząc,

że demony są na tyle przebiegłe, by latami się ukrywać. Czasem przez całe życie człowieka mogły nie manifestować swojej obecności w sposób, który pozwoliłby jednoznacznie przesądzić o opętaniu.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie na myśl, że ktoś może spędzić lata, nie wiedząc o tym, co wżera się w jego duszę. Wzdrygnąłem się, przypominając sobie nagranie z sypialni.

Według starego Rytuału można było jednak odprawiać egzorcyzm, nie mając pewności. I być może dlatego Segreste postanowił wybrać właśnie tę drogę.

A może dlatego, że nowy naprawdę był za małym kalibrem.

Popatrzyłem na Kingę, zastanawiając się, czy zło rzeczywiście mogło się w niej zalęgnąć i przez cały ten czas narastać, aż do momentu, w którym się wyroi, wykorzystując jej ciało jako zwykły pojemnik. Inkubator.

– Kinga?

Powoli obróciła głowę w moją stronę.

– To… to wszystko niemożliwe, Berg.

Oboje wiedzieliśmy, że rankiem feralnego trzynastego kwietnia wszyscy obudziliśmy się w świecie, w którym nie było już rzeczy niemożliwych.

– Przecież wiedziałabym – dodała. – Odczułabym coś, prawda?

– Nie – odezwał się Segreste. – Cała istota działania demonicznych sił sprowadza się do tego, by jak najdłużej pozostać w ukryciu.

– Ale…

– Przed momentem gotowa byłaś przyjąć, że to, co mówię, jest prawdą.

– Tak – przyznała.

– Więc skąd teraz wątpliwości?

– Nie wiem.

Obawiałem się, że César zaraz wspomni o podszeptach demona, kolejnej próbie manipulacji i innych krokach, które

istota już podejmuje, by się bronić.

– Chodzi mi tylko o to… – zaczęła Kinga, ale na moment urwała. – Mieszkam z kimś.

– Wiem – odparł Segreste.

– Z mężem – dodała. – Widziałby, gdyby działo się ze mną coś niepokojącego.

– A niczego nie dostrzegł?

– Nie.

– Jesteś przekonana?

Widziałem, że nie była. Biorąc pod uwagę to, co działo się na świecie, Rudyk miał pełne prawo przegapić pierwsze oznaki opętania. Były często trudno dostrzegalne, mylone z rozdrażnieniem, zmęczeniem i tak dalej. A kiedy dochodziło do większych zmian, ludzie tłumaczyli sobie, że mija właśnie siedmioletni okres, po którym rzekomo odczuwaliśmy wewnętrzny przymus, by zmienić utarte zwyczaje.

– Berg coś by zauważył – odezwała się po chwili Kinga.

– Powinien.

Spojrzeli na mnie pytająco.

Owszem, zastanawiałem się, czy sam czegoś nie przegapiłem, ale do tej pory nic takiego nie przyszło mi na myśl. Jeśli ten demon był tak przebiegły, jak twierdził César, nie powinienem się dziwić.

– Niczego takiego nie widziałem – odparłem. – Co więcej, Kinga była ze mną na Jasnej Górze, modliła się przed obrazem Czarnej Madonny. Nie wspominając już o wizytach w innych kościołach.

Segreste zmarszczył czoło, a na jego twarzy pokazał się niepokój. Sprawił, że ja także poczułem obawę. Wolałbym sądzić, że César rozumie więcej ode mnie i ma wystarczająco dużo wiedzy o tym demonie, by nic go nie zaskoczyło.

Było jednak inaczej.

– Ciekawe – powiedział.

– Z wielu słów, których mógłbyś użyć, to jest najmniej adekwatne – zauważyłem.

– Nie… jest właściwe. To nie powinno się zdarzyć.

– A jednak tak było.

– Może więc się mylisz? – zapytała Kinga. – Może to nie mnie…

Nie przeszło jej przez gardło słowo „opętanie", a ja się nie dziwiłem. Wiedziałem doskonale, jak trudno używa się go w odniesieniu do samego siebie.

Do cholery, czy to wszystko było możliwe? Jeśli tak, to mieliśmy przeciwko sobie potężnego przeciwnika. Być może najpotężniejszego.

– Nie mylę się – odparł Segreste. – Wizje były jednoznaczne.

– Więc może dopiero do tego dojdzie… – rzuciła Kinga.

– Nie.

Pewność w głosie Césara była niezachwiana. Nagle zdawał się wrócić na właściwe tory. Wbił pełen determinacji i stanowczości wzrok w Kingę. W oczach błysnęła mu też agresja.

Podniósł się.

– Nie mam żadnych wątpliwości, że jesteś w tej kobiecie – odezwał się.

Kiedy zrozumiałem, że nie mówi do Kingi, przeszły mnie ciarki.

– Proszę księdza…

Segreste przeżegnał się, a potem spojrzał na mnie, jakby oczekiwał, że zrobię to samo. Ja jednak nawet się nie poruszyłem. Wątpiłem, by po tym wszystkim demon zamanifestował swoją obecność. Jeśli rzeczywiście już zalęgł się w Kindze, będzie mamił nas dalej tak, jak robił do to tej pory. Nie było powodu, by nam się pokazał.

– Święty Michale Archaniele – zaczął César. – Wspomagaj nas w walce.

Znałem modlitwę, którą odmawiał, mimo że mówił w swoim języku. Arcángel San Miguel nie stanowiło trudnego do rozszyfrowania tytułu. I spodziewałem się, że to właśnie do tego archanioła odwoła się Segreste, kiedy tylko postanowi podjąć próbę pierwszego kontaktu z diabelskim bytem.

To Święty Michał stanowił ochronę. Był potężną istotą, ostoją dla wielu egzorcystów. Jeśli miało się go po swojej stronie, rzekomo nie należało się niczego bać.

Ja jednak byłem pełen obaw.

Szczególnie kiedy usłyszałem znajome wersy.

– *Hubo un gran combate en los cielos* – powiedział duchowny, wciąż z rękoma złożonymi do modlitwy. – *Miguel y sus ángeles lucharon contra el Dragón.*

Nigdy nie uczyłem się hiszpańskiego, nigdy też go do niczego nie potrzebowałem. Teraz również nie. Bez znajomości języka potrafiłem rozpoznać, że Segreste recytuje fragment Apokalipsy Świętego Jana. Ten, w którym opisywane było starcie między archaniołem Michałem a Szatanem. Zastępy aniołów pokonały go, strąciły go wraz z jego poplecznikami do piekła.

Nie byłem jednak przekonany, czy tak się stanie i tym razem.

César odmówił jeszcze kilka passusów z zamkniętymi oczami. Wydawało mi się, że robi to bardziej dla siebie niż przez wzgląd na demona. Jakby chciał przypomnieć sobie o triumfie archanioła, upewnić się, że potężniejsze siły stoją po jego stronie.

Kinga patrzyła na niego z obawą, raz po raz zerkając na mnie. Żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć ani jak się zachować.

W końcu Segreste otworzył oczy. Cienie pod nimi zdawały się mniejsze.

– Ujawnij się, demonie – powiedział. – W imię Jezusa Chrystusa, za wstawiennictwem Świętego Michała Archanioła, wzywam cię: ujawnij się!

Kinga drgnęła nerwowo. Ksiądz uniósł złożone dłonie.

– Święty Michale Archaniele, Książę i Wodzu zastępów anielskich, przybywaj na pomoc ludziom zagrożonym przez moce ciemności!

Podniósł wzrok, jakby mógł zobaczyć górujących nad nim aniołów.

– Ty prowadzisz ochrzczonych do niebieskiej szczęśliwości – kontynuował. – Błagaj Boga, Dawcę Pokoju, aby zniweczył moc Szatana, siewcy zamętu!

Znałem także tę modlitwę, głównie dlatego, że zasłynęła jako skrócona forma tej, którą odmawiał Leon XIII. To on w tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym roku doznał wizji, po której wszystko się zmieniło.

Skończył odprawiać mszę w prywatnej kaplicy, stanął przed ołtarzem i zamarł. Nie odpowiadał na żadne próby nawiązania rozmowy, trwał w zupełnym bezruchu, a jego twarz należała jakby do kogoś innego.

Po fakcie opisywał swoim współpracownikom w Watykanie, czego doświadczył. Objawił mu się sam Chrystus, ale także Szatan. Papież słyszał rozmowę, jaką między sobą toczyli. Rozmowę, która sprawiła, że Leon XIII do końca życia rozpoczynał każdy dzień od odprawienia egzorcyzmu.

Słyszał dwa głosy. Jeden ciepły, przyjazny, drugi wrogi, charczący, złowrogi.

„Mogę zniszczyć twój Kościół", mówił ten drugi. Pierwszy wezwał go, by spróbował to zrobić. Właściwie tyle by wystarczyło, by Leon XIII zapamiętał to do końca swoich dni, ale Szatan na tym nie poprzestał.

Dalsza część rozmowy dotyczyła momentu, w którym to się stanie. Miało minąć przynajmniej sto lat, przez ten czas Szatan miał zebrać siły i być gotowy. Chrystus zapewnił go, że da swoim wiernym moc, by wytrwali.

Chwilę po tej wizji Leon XIII ułożył modlitwę, której słowa teraz, sto trzydzieści lat później, wypowiadał ojciec Segreste.

Być może nie tylko on. Stała się powszechna, papież bowiem natychmiast polecił dostarczyć jej tekst wszystkim diecezjom na całym świecie. Każdy wierny, który ją odmówił, miał automatycznie otrzymać odpust – a dodatkowo Leon XIII nakazał odmawiać ją po każdej mszy, bez wyjątków, a następnie zwracać się o pomoc do Matki Bożej.

Ja także miałem nadzieję, że możemy na nią liczyć.

– Pokaż nam się, demonie! – powtórzył Segreste.

Spojrzałem na Kingę. Nadal reagowała jedynie zdziwieniem, zapewne nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Mnie zaś robiło się coraz bardziej gorąco. Miałem wrażenie, że zbliżamy się do drzwi, których nie powinniśmy otwierać – a mimo to César już łapał za klamkę.

– Wzywam cię, demonie, upadły aniele, ujawnij swoją obecność!

Nawet ślina w moich ustach wydawała się parzyć. Dotknąłem medalionu z nadzieją, że to wszystko pomyłka i w istocie Kindze nic nie grozi. Ani jej, ani nam. Że cała ta sprawa to wytwór mojej wyobraźni, być może początek choroby psychicznej.

Nie mogłem tego wykluczyć. Być może nie powinienem. Już nie takie przypadki znała historia medycyny.

Łudziłem się tak jeszcze przez moment.

– Ujawnij się! – ryknął Segreste.

Zauważyłem, że Kinga obraca głowę w moim kierunku.

Powoli, w dziwny, nie do końca naturalny sposób.

Całe jej ciało pozostawało w bezruchu, kark również. A mimo to sama głowa zaczęła się obracać. Skóra na szyi się zmarszczyła, potem naciągnęła, jakby miała pęknąć.

Kinga spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami. Tyle że to nie ona kierowała na mnie wzrok.

Znane mi było stwierdzenie, że jeśli odpowiednio długo patrzysz w otchłań, ona w końcu spojrzy na ciebie. W tym

przypadku jednak upływający czas nie miał znaczenia. Otchłań natychmiast się uwidoczniła.

Głowa Kingi obracała się dalej, w stronę pleców. Poderwałem się na równe nogi, kiedy znalazła się w takim położeniu, że kręgi szyjne powinny pęknąć. Ciało wykręciło się w drugą stronę.

W końcu głowa obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni, mimo że nie miała prawa. Kiedy znów mogłem spojrzeć na twarz Kingi, zauważyłem szeroki, dziki uśmiech. Szeroko otwarte oczy były przekrwione.

Nie mrugając, demon wlepiał we mnie wzrok.

Kinga oddychała przez nos, szybko, płytko, jakby była podniecona.

– Czekałeś, Berg – odezwała się demoniczna istota. – Oto jestem.

III

Powtarzałem sobie w duchu to, co Gabriele Amorth mówił demonom, które napotykał na swojej drodze. Jestem chroniony płaszczem Madonny. To ona jest Nieprzyjaciółką Szatana, ona mnie broni i to jej ten upadły anioł się obawia.

A przez nią także mnie.

Nie powinienem bać się demona, to on powinien czuć strach przede mną. Bo wierzę, bo mam po swojej stronie moce znacznie potężniejsze od niego. Moce, które go pokonały i zrobią to po raz kolejny.

Musiałem tylko wierzyć. I poprosić o pomoc.

Kiedy patrzyłem z przerażeniem na przekręconą głowę Kingi, z tym drugim nie miałem problemu. Pierwsze wiązało się z pewnym kłopotem. O ile wierzyłem w istnienie zjawisk nadprzyrodzonych, o tyle trudno mi było zaufać, że dzięki jednemu niewielkiemu medalionowi mogę korzystać z ochrony.

Mimo to ściskałem go, jakbym się topił, a on stał się moim kołem ratunkowym. Miałem nadzieję, że lekkie zachwianie wiary, niewielkie zwątpienie lub niepewność nie przekreśli pomocy Matki Bożej.

Kinga zaśmiała się skrzekliwie, jakby chciała w ten sposób skwitować mój tok myśli. Właściwie nie do końca był to śmiech. Brzmiało raczej jak wesoły pisk kilku, może kilkunastu osób naraz.

– Czego się boisz, Berg? – odezwał się demon.

– Nie odpowiadaj mu – rzucił Segreste. – Nie nawiązuj z nim żadnej rozmowy.

– Berrrrrrg…

– Zignoruj go – dodał ksiądz, a potem wrócił do odmawiania modlitwy.

Robił to głośno, ale nie na tyle, by zagłuszyć chichot, jaki wydobywał się z gardła Kingi. Nie odrywała ode mnie wzroku, wciąż nie mrugała. Co chwilę lekko, niewinnie wzruszała ramionami, jak mała dziewczynka, która właśnie skończyła się bawić i zastanawia się, jak teraz zabić nudę.

– No, powiedz – zasyczała, znów szeroko się uśmiechając.

Miałem wrażenie, jakby ktoś wbił dwa szpikulce w kąciki ust Kingi i je rozciągnął. Sam doświadczyłem na pewnym etapie czegoś podobnego. Czy to rzeczywiście mógł być ten sam demon? Czy mogłem wygnać go z ciała Kingi w którymś momencie w przyszłości, a potem samemu zmagać się z nim w mojej przeszłości?

– Boisz się, że twój pierdolony, znudzony tym światem, mający cię w dupie Bóg coś zrobi? Co? – zapytała, a potem znów roześmiała się kilkoma głosami naraz. – Nie obchodzisz go. Ani ty, ani inni ludzie. Przestaliście go interesować, kiedy tylko zaczęliście się wyrzynać między sobą.

Coś targnęło nią tak mocno, że wygięła się w bok. Zupełnie jakby kręgosłup przekręcił się jej o dziewięćdziesiąt stopni, jakby znalazł się po boku. I jakby mogła zgiąć się wpół, dotykając czołem zewnętrznej strony uda.

César miał rację. Dla tych istot nie istniały prawa natury. Właściwie żadne prawa, przynajmniej jeśli chodziło o te, które rządziły tym światem.

– Chodź tu, Berg! – krzyknęła Kinga. – Dam ci to, na co czekałeś.

Spojrzałem na ojca Segreste, ale ten był pogrążony w modlitwie. Nie słyszałem, co konkretnie odmawia, rozpoznawałem jedynie, że wrócił do hiszpańskiego. Nie sądziłem, by odprawiał egzorcyzm, z tym zapewne chciał poczekać, aż będę gotów mu towarzyszyć.

Co więc robił?

– Pozwolę ci się zerżnąć – dodała Kinga.

Nagle jej uśmiech zmalał. Podźwięk dzikich, ohydnych śmiechów również ustał. Spojrzała na mnie tak, jakby to była naprawdę ona. Wyprostowała się, a potem przechyliła głowę na bok.

Gdyby nie to, że nadal miała nienaturalnie, absurdalnie skręcony kark, być może pomyślałbym, że demon odpuścił.

– Przecież tego chcesz – ciągnęła. – Będziesz pierdolił mnie dokładnie tak, jak to sobie wyobrażałeś. A ja będę krzyczeć z rozkoszy, wić się pod tobą, tak jak tego pragniesz. Och, tak, Berg… jeszcze… nie przestawaj…

César na moment uchylił powieki, spojrzał na mnie kontrolnie. Nie znał mnie, nie mógł wiedzieć, jak się zachowam.

Na dobrą sprawę ta sytuacja mogła uświadomić mi, że sam siebie nie znam.

– Weź mnie – powiedziała. – Tu i teraz.

Miałem ochotę rozkazać demonowi, by opuścił jej ciało, powołać się na moc Matki Bożej, archanioła Michała i samego Jezusa Chrystusa. Milczałem jednak, tak jak kazał mi César.

Musiałem mu zaufać, wiedział, co robi.

– Jestem cała twoja – dodała Kinga. – Zrób ze mną, co chcesz. Oddaję ci się, Berg, oddaję ci się cała…

Jęknęła, przymknęła oczy, a potem wygięła się lekko w tył.

– Weź mnie…

Zaczęła mruczeć, najpierw cicho i namiętnie, a po chwili coraz głośniej, z coraz większą dzikością.

– Wejdź we mnie… głęboko…

Po chwili jęczała już tak, jakby szczytowała. Wciąż patrzyła mi prosto w oczy.

Sądziłem, że nie przestanie, dopóki ojcu Segreste nie uda się jakoś uspokoić demona. Uśpić go, kazać mu wrócić do poprzedniego stanu.

Na Boga, dlaczego w ogóle go rozsierdzaliśmy?

– Straszna pizda z ciebie, Berg – rzuciła Kinga, przestając imitować orgazm. – Rudyk dawno by mnie zerżnął na wylot. Napierałby jak dzikie zwierzę, bo tak lubi. I ja też to lubię… nie, kurwa, nie lubię. Uwielbiam to.

Odsunąłem się o pół kroku.

– Uwielbiam być poniewierana – dodała Kinga. – Tak jak teraz.

Znów rozległ się głośny, upiorny, wielogłosowy śmiech. Tym razem jednak wydarzyło się coś jeszcze. Ciałem Kingi szarpnęło najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Głowa wróciła do normalnego położenia.

Przez chwilę panował spokój. Cisza.

Potem znów rozbrzmiał rechot. Ciało Kingi na moment zwiotczało, a potem lekko się uniosło znad krzesła. Kopnęła je, a kiedy się przewróciło, ona pozostała dokładnie tam, gdzie była.

Unosiła się pół metra nad podłogą, jakby ktoś trzymał ją za koszulę. Widziałem to już na nagraniu. I także to kazało mi sądzić, że zarówno wtedy, jak i teraz miałem do czynienia z tym samym demonem.

– César… – odezwałem się.

Nie ustawał w modlitwie, ignorując mnie.

– César, zrób coś.

– A co on może? – rozległ się zniekształcony męski, tubalny głos.

Kinga obróciła się w powietrzu, spojrzała na mnie nie swoimi oczami.

– Odwołuje się do Boga, który go nie słucha.

– Nie…

– Do istot, które dawno nie istnieją, bo padły pod moim butem.

Przeżegnałem się, a potem znów ścisnąłem medalion.

– Do sił, które zostały pokonane.

– Ty zostaniesz pokonany – powiedziałem. – Tak jak wcześniej, tak i teraz.

Demoniczny śmiech stał się głośniejszy, zdawało się w nim pobrzmiewać coraz więcej satysfakcji. Upomniałem się w duchu, że nie powinienem się odzywać. Każde wejście w kontakt z demonem, każda interakcja mogła umacniać jego pozycję. Gruntować jego obecność w tym świecie. Nie mogłem sobie na to pozwolić.

– Ta twoja suka zginie, Berg. Złamię jej kręgosłup, kiedy mi się znudzi. Ale najpierw pozwolę całym zastępom potępionych robić z nią, co im się będzie podobało. Z tobą też.

Wycofałem się jeszcze kawałek. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że jakkolwiek daleko bym nie odszedł, nie oddalę się od zła. Znalazłem się zbyt blisko. Jak obiekt na horyzoncie zdarzeń czarnej dziury. Nie mogłem przeciwstawić się jej sile przyciągania.

– Żałujesz, że zrzuciłeś koloratkę? Nie ma powodu. Gówno by ci dała.

Zacząłem lekko się trząść.

– Zniszczę cię, a potem resztki tego, którego nazywasz swoim Bogiem. Splunę na niego tak, jak ty zrobiłeś to przy konfesjonale.

– Odejdź… – powiedziałem cicho, niepewnie.

– Dokąd? Do piekła? – Kinga się zaśmiała. – Tam nie ma już dla mnie miejsca, bo całe wypełnia się takimi jak ty.

– Opuść jej ciało, demonie, rozkazuję ci.

Znów odpowiedział mi rechot.

– W imię kogo? Tego twojego pomazańca?

– W imię Jezusa Chrystusa, Syna Bożego Jednorodzonego, który z Ojca jest zrodzony przed wszystkimi wiekami. Bóg z Boga, Światłość ze Światłości…

Urwałem, kiedy Kinga nagle zamarła. Śmiech się urwał, ale jej ciało nadal unosiło się nad ziemią. Demoniczne szpony

nadal jakby nie chciały jej wypuścić. Segreste przestał się modlić. Otworzył oczy i wbił wzrok w Kingę.

– O kurwa… Berg…

Serce waliło mi jak młotem.

– Powołałeś… powołałeś się na Jezusa…

Spojrzałem niepewnie na Césara, ale ten zupełnie mnie ignorował.

– I co ja teraz, biedna, pocznę? – odezwała się Kinga nie swoim głosem.

Dziki, pełen szaleństwa ryk powrócił.

– Naprawdę myślałeś, że to coś da? Że ten twój bożek zainterweniuje?

Ciało uniosło się jeszcze trochę, wciąż wyginając w kształt odwróconej litery U. Spojrzałem w otwarte usta Kingi i odniosłem wrażenie, że wszystkie zęby jej pożółkły i popękały. Dziąsła były nabrzmiałe, jakby gromadziła się w nich ropa i zaraz miała się wylać.

– Światłość ze Światłości! – krzyknęła. – Co za pierdolone brednie. Jesteś głupszy, niż myślałem, Berg. Naiwny i słaby, jak ten, którego czcisz.

– Segreste… – jęknąłem. – Zrób coś.

Ciało wygięło się jeszcze bardziej. Miałem wrażenie, że Kinga zaraz złamie się wpół, dotykając głową własnych pięt.

– Zrób coś, do kurwy nędzy…

– Wszyscy jesteście potępieni – odezwały się głosy. – Dla żadnego z was nie ma ratunku. Wasze dusze już płoną w piekle. A Szatan jest tutaj. Na ziemi.

César w końcu na mnie spojrzał. Dostrzegłem w jego oczach strach.

– Będzie królował na wieki – mówiły głosy.

Zdawało mi się, że robi się ich coraz więcej.

– Odmawiaj modlitwę Leona XIII – rzucił Segreste.

– Co?

– Zwróć się do Świętego Michała, już!

Przywołałem z pamięci odpowiednie wersy. Demon nadal się śmiał, roztaczał wizję opanowania świata przez Szatana. Wieszczył upadek wszystkiego, co dobre, i triumf zła. Ostateczne zwycięstwo diabła.

– Święty Michale Archaniele, Książę i Wodzu zastępów anielskich – zacząłem niepewnie, zamykając oczy. – Przybywaj na pomoc ludziom zagrożonym przez moce ciemności.

Prześmiewczym, kpiącym tonem Kinga wybełkotała coś niezrozumiałego.

– Zostaliśmy stworzeni na obraz Boga, odkupieni życiem, śmiercią i zmartwychwstaniem Jezusa Chrystusa, a przez chrzest staliśmy się świątynią Ducha Świętego – ciągnąłem.

Miałem nadzieję, że to, co usłyszałem od demona, nie miało w sobie krzty prawdy. Że opoka, na jaką obaj z ojcem Segreste liczyliśmy, okaże się trwała.

Na razie nic na to nie wskazywało.

Kolejne wersy z modlitwy Leona XIII nie przynosiły żadnego skutku. Kinga zaśmiewała się, charczała, ciało gięło się coraz bardziej.

– Uproś nam łaskę wierności, byśmy tej godności w sobie strzegli, nawet w najcięższych pokusach szatańskich. W tobie, Święty Michale, Kościół ma swego Stróża i Obrońcę – powiedziałem.

Otworzyłem oczy. Wciąż nic się nie wydarzyło.

César, cały zlany potem, powtarzał coś pod nosem po hiszpańsku. Przypuszczałem, że odmawia tę samą modlitwę, co ja.

– Uwierz i powtarzaj – rzucił między jednym a drugim nerwowym oddechem.

Skinąłem głową, a potem zacząłem od początku. Demonowi wciąż zdawało się to sprawiać wyłącznie satysfakcję.

– Szatan już się zbliża – odezwały się głosy. – Już puka do twych drzwi. Pobiegniesz go przywitać?

Wzdrygnąłem się.

Było coś szczególnie niepokojącego w tym, że istota ta wyśmiewała się nie tylko z nas, ale także z Boga, modlitw, a nawet rzeczy tak niewinnych, jak dziecięce piosenki religijne. I robiła to bez konsekwencji.

Chrystus nie wyciągnął do nas pomocnej dłoni. Nie zacisnął jej też w pięść, by powalić sługę Szatana.

Byliśmy zdani na siebie.

Nie, odsunąłem natychmiast tę myśl. Siłom zła chodziło o to, bym tak na to spojrzał. Tworzyły iluzję, zwyczajną złudę.

Zbliżyłem się o krok do Kingi.

– Samą… końcówkę… Filipie… – wydukał Segreste.

Przeżegnałem się, a potem uniosłem lekko głowę. Nie miałem zamiaru chylić dłużej czoła. Nie przed tym czymś.

– Jestem chroniony płaszczem Madonny – powiedziałem.

Kinga parsknęła, obróciła się w powietrzu. Jej ręce zwisały na bok, jakby kości były połamane i przedramiona trzymały się jedynie na ścięgnach. Z szeroko otwartymi ustami patrzyła na mnie, jakby demon poprzez samo spojrzenie mógł we mnie wniknąć.

Nie mógł. Teraz byłem tego pewien.

– Najświętsze Serce Jezusa, zmiłuj się nad nami! – krzyknąłem.

César nagle jakby się ocknął. Zerknął na mnie, a potem powtórzył część modlitwy w swoim języku.

– *O San Miguel, Arcangel defiendenos en la batalla.*

Kinga syknęła, ale nie mogłem stwierdzić, czy to wyraz bólu, czy wciąż oznaka dzikiej satysfakcji.

– Wydaje wam się, że w duecie się uda?

– Niepokalane Serce Maryi, bądź naszym ratunkiem! – kontynuowałem.

– *Se nuestra proteccion contra el mal y las trampas del Diablo…*

– Święty Michale Archaniele, módl się za nami!

Kinga zaczęła się trząść. Dźwięki wydobywające się z jej gardła nie przywodziły już na myśl śmiechu. Przeciwnie, zaczęła cicho pojękiwać, jakby odczuwała stopniowo narastający ból.

Skrzywiła się, ale jej ciało przestało się wyginąć. Zaczęło wracać do normalnej pozycji.

– *Humildemente te rogamos que Dios los reprenda…*

– Najświętsze Serce Jezusa, zmiłuj się nad nami! – powtórzyłem. – Niepokalane Serce Maryi, bądź naszym ratunkiem! Święty Michale Archaniele, módl się za nami!

Ciało Kingi zaczęło drżeć, jakby miała napad padaczki.

– *O Principe Celestial de la Santa Hostia, que con la ayuda de Dios eches a Satanas al infierno…*

– Najświętsze Serce Jezusa, zmiłuj się nad nami! – wyrzuciłem z siebie najgłośniej, jak potrafiłem.

Łudziłem się, że im donośniej to zrobię, tym bardziej okażę moją wiarę, że przyniesie to zamierzony efekt. Teraz było łatwiej. Kiedy zauważyłem, jaki ból każde słowo sprawia demonowi, nie mogłem nie wierzyć.

A zatem jednak byliśmy chronieni.

Kontynuowaliśmy z ojcem Segreste dopóty, dopóki ciało Kingi w końcu nie zwiotczało i nie opadło na podłogę. Potem obaj padliśmy na kolana, przeżegnaliśmy się i podziękowaliśmy Bogu.

Kinga oddychała ciężko, jakby znajdowała się na granicy długu tlenowego. Ale oddychała, to się liczyło.

Obawiałem się tylko, że skoro uśpienie demona niemal nas wykończyło, o wypędzeniu go z jej ciała może nie być mowy.

IV

Chciałbym przyrównać do czegoś to, czego doświadczyła Kinga, ale nie było analogii, która mogłaby oddać jej stan. Sam doskonale wiedziałem, co przeżywała. Była to osobliwa mieszanka poczucia skrajnego wyczerpania, głębokiej depresji, pustki, bezbronności, a także ohydy względem siebie.

Siedziałem przy niej, kiedy położyliśmy ją na niewielkiej, zniszczonej leżance, która służyła Césarowi za łóżko. Twierdził, że dostał ją od jednego z wiernych, ale przypuszczałem, że wyciągnął ją raczej ze śmietnika.

Obmywałem twarz Kingi mokrym kawałkiem materiału przypominającym zużytą, starą szmatkę, którą trzymałem pod zlewem w mieszkaniu przy Gerberowej. Segreste nie miał niczego innego pod ręką.

W końcu Kinga otworzyła oczy i rozejrzała się z przerażeniem. Białka miała pokryte siecią czerwonych nici i jakby nieco pożółkłe. Powieki były opuchnięte, a pod oczami zarysowały się niemal fioletowe, grube kreski.

– Berg…

– Spokojnie, już po wszystkim.

Nie było to delikatne nagięcie prawdy, raczej zwykłe kłamstwo. Najgorsze dopiero nas czekało.

Wzrok Kingi potwierdzał, że ma tego świadomość.

– Jak długo spałam?

Ze snem nie miało to chyba wiele wspólnego. Bardziej przypominało utratę przytomności.

– Kilkanaście godzin.

– Co?

Zerknąłem na zegarek.

– Konkretnie prawie siedemnaście.

Podniosła się, stękając. Nie musiałem pytać, by wiedzieć, że boli ją każdy mięsień. Każde ścięgno wydaje się naderwane, każda kość złamana. Skóra była jakby poparzona, a w głowie szumiało jej bardziej niż po wypiciu butelki wódki.

– Zaraz poczujesz się lepiej – powiedziałem.

Wbiła wzrok w szmaty powiewające przy wyjściu z baraku, jakby nie usłyszała mojego zapewnienia lub uznała je za tak bezpodstawne, że należało zbyć je milczeniem.

– Jak to możliwe? – odezwała się.

Nie wiedziałem, jak odpowiedzieć.

– Mam na myśli… naprawdę tak dużo czasu minęło?

– Z mojego punktu widzenia jeszcze więcej – odparłem. – Cała wieczność.

Popatrzyła na mnie, a potem poszukała wzrokiem Césara. Kiedy go nie dostrzegła, zrozumiała chyba, że czuwałem przy niej całą noc i ranek. I nie musiałem już tłumaczyć, co miałem na myśli.

– Dziękuję – powiedziała.

– Podziękujesz, jak będzie za co.

– Jest.

– Nie, dopiero będzie – odparłem bez wahania. – Kiedy wypędzimy tego demona.

Przez moment milczeliśmy. Zastanawiałem się, czy powinniśmy w ogóle poruszać ten temat, ale nie było chyba sensu go unikać. Nic by to nie zmieniło. A może nawet lepiej byłoby, żeby Kinga oswoiła się z myślą, że to się dzieje naprawdę.

– Zdradził, jak się nazywa?

– Nie.

– Udało wam się dowiedzieć czegoś więcej?

– Jeszcze nie, ale Segreste noc spędził na modlitwach, a z samego rana poszedł do urzędu miasta.

– Po co?

– Dzwoni, do kogo się da – odparłem, pomagając Kindze podsunąć się w kierunku ściany.

Oparła się o nią plecami, a ja musiałem nieco się do niej nachylić. Czułem jej kwaśny oddech i wyraźny zapach potu. Trudno było się dziwić, wczoraj lał się z niej strumieniami. Musiała się zorientować, bo na jej twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

– Czyli do kogo? – spytała, kiedy się odsunąłem.

– Znajomych księży, innych egzorcystów. Mówi, że zna kogoś w Watykanie, emerytowanego biskupa, który wie więcej niż cała Kongregacja Nauki Wiary.

– Oby…

– Nie martw się – powiedziałem. – Bóg jest z nami.

Po raz pierwszy od wielu lat poczułem się, jakbym nadal nosił koloratkę.

– Niemcy też tak mówili, Berg.

– Owszem – przyznałem. – I tylko mówili. A my…

– My też tylko mówimy.

– Wręcz przeciwnie.

Pokręciła bezradnie głową, a cienie pod oczami jeszcze bardziej się uwydatniły.

– Nie chodzę co tydzień do kościoła, nie spowiadam się regularnie, nie przyjmuję komunii na każdej mszy i nie…

– To nie ma znaczenia.

Odgięła głowę do tyłu i syknęła z bólu, łapiąc się za odcinek lędźwiowy.

– A ty odszedłeś z Kościoła, żeby się związać z kobietą – dodała.

– Nie odszedłem.

– To szczegóły Berg, zwykła semantyka… doskonale wiesz, jaka jest prawda. Nie zasłużyliśmy sobie na pomoc jakichkolwiek dobrych sił. Nie zaskarbiliśmy sobie ich sympatii.

– Nie musieliśmy.

– Nie?

– Ich sympatia nie działa na zasadzie wymiany handlowej. Miłosierdzie jest…

– Zaczynasz gadać jak ksiądz.

– Bo nim jestem – powiedziałem, czując, że naprawdę nie mijam się z prawdą. – Kapłan nigdy nie może wyrzec się sakramentu, który przyjął. Nikt nie może pozbawić go też tej łaski.

– A ekskomunika?

Pokręciłem głową, nie chcąc wchodzić w szczegóły, które nie miały żadnego sensu. Duchowny zawsze pozostawał duchownym, czy tego chciał, czy nie. Węzeł był nierozerwalny. Tak jak niegdyś małżeństwo między dwojgiem ludzi – przynajmniej do czasu, aż rozrywanie go stało się powszechniejsze niż pielęgnowanie.

Było jednak coś w tym, co powiedziała Kinga. Mówiłem jak ksiądz – praktykujący, pełniący posługę ksiądz. Zaczynałem też myśleć tak, jakbym rzeczywiście nim był. I powodowało to przyjemne uczucie, jak gdybym znalazł się w znajomym miejscu, którego dawno nie odwiedzałem.

Nie, więcej. Jakbym wrócił do domu.

– Kontaktowałeś się z Mariuszem? Z moją siostrą?

– Nie.

– Trzeba powiedzieć mu, co się dzieje… – rzuciła, szukając wygodnej pozycji. – I sprawdzić, co z Anetą.

– Przypuszczam, że bez zmian.

Kinga długo przytrzymywała moje spojrzenie. Chyba żadne z nas nie chciało rozmawiać o swoich partnerach. I być może właśnie dlatego to robiliśmy.

– Jej podejście do mnie wydaje się… stałe.

– Ale co to znaczy? – zapytała Kinga. – Że jest po stronie demona? Czy wprost przeciwnie?

– Nie wiem. Nie rozumiem tego.

– A Istniejący? Kim… lub czym…

– Dowiemy się w swoim czasie.

Byłem przekonany, że odpowiedzi tkwią w przyszłości. Mojej, z subiektywnego punktu widzenia. Z obiektywnego bowiem mogło się okazać, że rozwiązanie tkwi w zdarzeniach, które już nastąpiły.

Uznałem, że najlepiej o tym nie myśleć.

– Istniejący znów miał dokonać cudu, tym razem gdzieś w Nigerii – powiedziałem. – Wygląda na to, że uzdrowił tam szereg osób chorujących na AIDS.

– Jakaś organizacja to potwierdziła?

– Nie.

– Ktoś w ogóle próbował? – spytała Kinga. – Czerwony Krzyż? UNICEF? Może ONZ kogoś wysłało?

– Chyba powinna zrobić to raczej Stolica Apostolska.

– Wręcz przeciwnie, najlepiej byłoby potwierdzić, że w tym czy innym przypadku doszło do uzdrowienia, a dopiero potem analizować to pod kątem religii…

– Racja – przyznałem.

Mimo to nikt się do tego nie palił. Przypuszczałem, że pod względem laboratoryjnym niektóre rzeczy po prostu trudno ustalić, a oprócz tego każdy badający miałby świadomość, jaka waga zostanie przypisana jego wnioskom.

– Ojciec Święty nadal nie chce się z nim spotkać?

– Nadal – odparłem.

– A jak… jak reagują ludzie? Coś się zmieniło?

Dziwiło mnie to nagłe zainteresowanie. Wcześniej Kinga była ciekawa, jak rozwija się sytuacja, ale jej dociekliwość nie wykraczała poza przeciętną. Teraz zdawała się tym zaaferowana.

– A ile mogło się zmienić przez kilkanaście godzin? – spytałem.

– Dużo.

– Może hipotetycznie, ale w rzeczywistości…

– Sam widziałeś, jak to działa – przerwała mi. – Istniejący pojawia się w tym czy innym regionie, dokonuje cudu, a potem to miejsce nagle staje się ogniskiem jego poparcia.

Chciałem zaprzeczyć, ale w głębi ducha zdawałem sobie sprawę, że ma rację.

– Ludzie za nim idą, Berg. I ich liczba coraz szybciej rośnie.

– Mam wrażenie, jakbyś mówiła o epidemii.

Uniosła znacząco brwi, jakby zwerbalizowanie tego wniosku było zupełnie niepotrzebne.

– Kościół go nie zaakceptuje – dodała. – A on doskonale o tym wie, dlatego działa w Afryce, a nie w Europie.

– Mógł uznać, że tam go potrzebują najbardziej.

– Albo że tam najwięcej ludzi za nim pójdzie – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Z pewnością tym się kierował. Doskonale zdawał sobie sprawę, że to, co robi, jest właściwie odzwierciedleniem biblijnego opisu, który sporządził Święty Jan. Jeśli ktoś wierzył w autentyczność Apokalipsy, a więc jeśli był przykładnym katolikiem, powinien przyjąć, że Istniejący to jeden z fałszywych proroków.

Trudno było założyć inną wersję, a Kościół był tego świadomy. Dlatego papież nie miał zamiaru spotkać się z Istniejącym.

Jednocześnie było przecież wielu chrześcijan, którzy wierzyli bardziej swoim odczuciom niż słowom zapisanym w Biblii. Widzieli człowieka, który uzdrawiał. Czuli jego łaskę, dostrzegali w nim dobroć. I słuchali go, kiedy mówił o Bogu, deklarował oddanie mu i zapewniał, że zjawił się, by szerzyć dobro na ziemi.

Nie mogłem opędzić się od poczucia, że sprowadzamy na siebie katastrofę.

I że związana jest z tym, co miało się wydarzyć tutaj, w niewielkim meksykańskim miasteczku na Jukatanie. W zapadłym baraku, pośród gratów i datków wiernych.

Było w tym coś znamiennego. Wszystko zaczęło się przecież w podobnym miejscu, gdzieś w Judei.

– Jak to rozegramy, Berg? – wyrwała mnie z zamyślenia Kinga.

– To?

– Egzorcyzm.

Jedno słowo, wypowiedziane jej ustami, wydało mi się bardziej niepokojące niż całe rozdziały apokaliptycznych wizji, które przedstawiał Święty Jan.

– Poczekajmy na Césara, on wszystko ci wyjaśni.

– Wolę usłyszeć to od ciebie.

– Nie mam pełnej wiedzy.

– Gówno prawda – skwitowała, najwyraźniej nie mając zamiaru tracić czasu ani energii na sprzeczanie się ze mną. – Całą noc zapewne przygotowywał cię do tego, co ma się wydarzyć.

– Nie. Głównie się modlił, mówiłem ci.

– Ale też udzielał ci instrukcji.

Pokiwałem głową.

– Więc?

– Więc… powiedzmy, że wydaje mi się, że wiem, co mam robić.

– Czyli?

Nie miałem zamiaru zdradzać jej czegokolwiek. Chciałem wierzyć, że rozmawiam wyłącznie z Kingą, nie z demonem. Prawda była jednak taka, że po manifestacji jego obecności rozpoczynało się scalanie. Jedna jaźń zaczynała łączyć się z drugą.

– Nie myślisz chyba… – zaczęła niezadowolona. – Berg, nie żartuj sobie.

Nie odzywałem się, bo nie wiedziałem, jak odpowiedzieć. Z jednej strony powinienem okazać daleko idące wsparcie, utwierdzić Kingę w przekonaniu, że ma kontrolę nad swoim

ciałem. Z drugiej jednak powinienem mieć świadomość, że demoniczna istota już się zagnieździła.

– W porządku – odezwała się. – Nie chcesz, to nie mów.

– Lepiej, żebyś nie była przygotowana.

Skinęła głową ze zrozumieniem.

Przynajmniej tak mi się wydawało.

– Masz rację, Berg – powiedziała. – Tym bardziej, że nie tylko ja będę nieprzygotowana.

Zmarszczyłem czoło, przyglądając się jej.

– Ty też nie jesteś gotowy – dodała. – I nie masz pojęcia, co cię czeka, kiedy dobiorę się do twojej duszy, skurwysynu.

Usłyszałem rechotliwy, nieprzyjemnie znany śmiech. Śmiech, który zdawał dobywać się z innego świata.

Rozbrzmiał złowrogim echem i sprawił, że odniosłem wrażenie, jakby ziemia zatrzęsła mi się pod stopami, a cały barak zachwiał się w posadach. Był ogłuszający, nieludzki, wstrętny.

Spojrzałem na Kingę, ale już jej nie zobaczyłem.

Demon władający jej ciałem sprawił, że się podniosła. Stanęła na łóżku, rozłożyła szeroko ręce, a potem przywarła plecami do ściany. Spojrzała najpierw na jedną, potem na drugą dłoń.

– Albo mnie zerżniesz, albo przybijesz – rozległy się głosy. – Bierz się do roboty, Berg.

Zerwałem się na równe nogi i przeżegnałem. Demon zareagował tak, jak mogłem się tego spodziewać, plując mi prosto w twarz czymś lepkim i śmierdzącym. Skończył się czas na utrzymywanie pozorów.

Obie strony już dawno otwarcie wypowiedziały sobie wojnę.

Kinga przechyliła głowę na bok, a z jej nosa zaczęła wyciekać zielonkawa, gęsta wydzielina. Wlewała się do ust, pokrywając obnażone zęby mętnym nalotem. Oczy stopniowo jej czerniały.

– Boże… – jęknąłem tylko. – Pomóż…

V

Segreste zjawił się niedługo po tym, jak demon znów odpuścił. Uśpienie go na kilka kolejnych godzin kosztowało mnie sporo sił. Od ciągłego powtarzania modlitw głos miałem zachrypnięty, a ściany gardła tak zdarte, jakbym uczestniczył w wyjątkowo długim meczu piłkarskim ulubionej drużyny.

César wszedł od kanciapy i wystarczyło, że się rozejrzał, a wiedział już, co się wydarzyło.

– Kolejna manifestacja? – spytał.

– Tak. Tym razem udawał Chrystusa na krzyżu.

– Co mówił?

– Same bluźnierstwa, César.

– Muszę to usłyszeć.

Zdawałem sobie z tego sprawę, ale nie miałem najmniejszej ochoty powtarzać słów, które nigdy nie powinny były paść. Siedziałem z kubkiem herbaty w dłoni i popijałem ją powoli. Każdy łyk niósł ukojenie zmęczonemu gardłu. Niestety, tylko na moment.

– Opowiadał, jak Jezus wyrzekł się Boga w ostatnich chwilach życia – odezwałem się. – Jak na krzyżu krzyczał, jak cierpiał, jak przeklinał swojego Ojca i odgrażał mu się. Jak został złamany, jak zapowiadał nadejście sprawiedliwości dla całej ludzkości. Dla tych, którzy sprowadzili na niego to cierpienie.

Segreste pokiwał głową ze zrozumieniem, ale także z obojętnością.

– Nie robi to na tobie wrażenia? – spytałem.

– Najmniejszego.

– Cóż… może trzeba było w tym uczestniczyć – odburknąłem.

– Uczestniczyłem. Nie raz i nie dwa, Filipie. Każdy demon ma tę samą śpiewkę. Wiesz dlaczego?

Napiłem się herbaty, nie odpowiadając.

– Bo wszystkie te istoty są przerażone mocą Chrystusa – dodał. – I wiedzą, że ich jedynym ratunkiem jest sprawienie, żebyś zwątpił. Dlatego przedstawiają go tak a nie inaczej. Ze strachu.

– Cały czas mówisz o ich strachu, a tymczasem…

– Tymczasem odnosisz wrażenie, że jedynymi, którzy się boją, jesteśmy my – dokończył za mnie i machnął ręką. – Normalne. Przecież o to im chodzi.

Przez moment milczałem, namyślając się.

– Ty się nie boisz? – spytałem.

– Mając po swojej stronie Chrystusa i Madonnę? Musiałbym być szalony, żeby się bać.

Zmusił się do lekkiego uśmiechu, który zamiast podnieść mnie na duchu, wywołał zupełnie odwrotny efekt. Poczułem, że to wymuszony gest, zwykłe robienie dobrej miny do złej gry.

Spojrzałem na śpiącą Kingę. Przez chwilę się zastanawiałem.

César być może mógł się pochwalić niezachwianą wiarą, ale miał jej dokładnie tyle samo, ile strachu w sercu. Widziałem to wyraźnie, a on nie był na tyle dobrym aktorem, by mnie oszukać.

A skoro nie udało mu się to ze mną, nie chciałem nawet myśleć o tym, jak słabo może wypaść w oczach demona.

Chciałem zapytać go o kilka spraw, dowiedzieć się, co wynikło z jego wczorajszych modlitw i dzisiejszych rozmów, ale nie miałem okazji. Właściwie nie zdążyłem nawet zapytać, kiedy zaczynamy. Nie musiałem.

Chwilę po tym, jak uraczył mnie tym sztucznym uśmiechem, do baraku przyszło czterech mężczyzn o śniadej karnacji. Wszyscy byli mocno zbudowani, sprawiali wrażenie, jakby na co dzień pracowali w pełnym słońcu na jakiejś budowie.

Segreste zaręczył, że wszyscy są wiernymi, których zna od lat. Potem zaczął udzielać im instrukcji po hiszpańsku, z których nic nie zrozumiałem. Przypuszczałem jednak, że kazał im nie słuchać, co będzie mówił demon. Nie reagować na jego zaczepki, nawet na niego nie patrzeć.

Przynajmniej tak radził mi kilka godzin wcześniej. A ja nieświadomie to zignorowałem, rozmawiając z Kingą w najlepsze.

Kiedy César skończył udzielać swoim wiernym instrukcji, nad leżanką zawiesił krzyż, a na zniszczonej, drewnianej szafce obok umieścił wizerunek Najświętszej Maryi Panny. Potem wyprostował się i omiótł wzrokiem wnętrze.

– Co im powiedziałeś?

– Że mają się modlić. Bez przerwy.

Słusznie, uznałem.

– I że pod żadnym pozorem nie mogą wypowiadać formuł egzorcyzmu, mimo że demon będzie ich prowokował.

– Dlaczego?

– Bo ich nie chroni płaszcz Madonny. Oni nie mogą zbliżać się do tej istoty tak, jak my.

Zabrzmiało to wyjątkowo niepokojąco. Popatrzyłem na czterech mężczyzn, zazdroszcząc im, że nie odczują tego, co czekało mnie i ojca Segreste.

Odłożyłem kubek i podszedłem do Kingi. Otarłem jej resztki zaschniętej wydzieliny spod nosa, a potem odsunąłem się o krok.

– Co teraz? – zapytałem.

– Zaczynamy.

Segreste sięgnął do kieszeni, wyjął z niej niewielką fiolkę, a potem schował ją w dłoniach, jakby starał się ją ogrzać. Pochylił głowę, zaczął mówić coś po hiszpańsku. Nasi pomocnicy ustawili się wokół łóżka, wszyscy się przeżegnaliśmy.

Zerknąłem na zamknięte powieki Kingi. Wiedziałem, że kiedy się podniosą, zajrzę prosto w otchłań. A ona nie tyle odwzajemni spojrzenie, co złapie mnie swoimi szponami i wciągnie prosto w mrok.

– Niech tylko ten, co teraz powstrzymuje, ustąpi miejsca… – mówił cicho Segreste. – Wówczas ukaże się Niegodziwiec, którego Pan Jezus zgładzi tchnieniem swoich ust i wniwecz obróci samym objawieniem swego przyjścia[5].

Słowa wypowiadane po hiszpańsku zdawały się złowrogie, w żaden sposób nie umacniały we mnie poczucia, że jesteśmy wspierani w naszych wysiłkach. Natychmiast jednak skarciłem się za takie myśli w duchu. Nie powinienem wątpić ani przez chwilę.

Byłoby łatwiej, gdybym nie był tak zmęczony. Ostatnie uśpienie demona kosztowało mnie sporo sił, powinienem odpocząć, poukładać myśli. César z pewnością był tego świadomy, a mimo to podjął decyzję, by dłużej nie zwlekać.

Uświadomiło mi to, jak nagląca jest sprawa. Demon rozpanoszył się już w duszy Kingi. Był potężny, wychodził poza utarty schemat. I sprawił, że Segreste przystępował do walki z nim nieprzygotowany. Nie mówiąc już o tym, że mnie również nie zdążył odpowiednio przeszkolić.

To, co wiedziałem, musiało wystarczyć.

Musiało.

– *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti* – powiedział Segreste.

– Amen – odparliśmy wszyscy.

– *Dominus vobiscum.*

– *Et cum spiritu tuo.*

Pan był z nami. I z naszym duchem. Czego więcej było nam potrzeba? Powtarzałem sobie, że tyle naprawdę wystarczy, byśmy nie musieli się obawiać.

César otworzył fiolkę, a potem zamachnął się, jakby miał zamiar cisnąć nią w Kingę. Kilka kropel święconej wody, którą

musiał zabrać z pobliskiego kościoła, spadło na jej ciało.

Demon natychmiast się ożywił. Rozległ się głośny syk, jakby cała zgraja węży przemknęła gdzieś między naszymi nogami. W powietrzu rozniósł się smród spalenizny.

– Przyprowadziliście kolegów? Świetnie – dały się słyszeć głosy. – Wszyscy po kolei mnie zerżniecie czy naraz?

Spojrzałem na ojca Segreste. Ten wykonał znak krzyża, a potem schował fiolkę do kieszeni.

– Czy może zrobimy odwrotnie? I to ja zerżnę wszystkich was?

– *Pater noster, qui es in caelis* – zaczął duchowny, a my szybko dołączyliśmy.

Nie wiedziałem, czy msze po łacinie odprawiane są tutaj równie rzadko jak w Polsce. Przypuszczałem jednak, że „Oratio Dominica" – „Modlitwa Pańska" – znana jest w tej formie wielu osobom. Jeśli ktoś potrafił odmówić jakąkolwiek modlitwę w tym języku, to właśnie „Ojcze nasz".

– Ojciec? – spytały rechotliwie głosy. – W niebie? Nie, nie, to nie tak…

– *Sanctificetur nomen tuum, adveniat regnum tuum* – kontynuowaliśmy wspólnie.

– Jego królestwo dawno już upadło pod moim butem. Roztarłem je jak rzadkie gówno na zaszczanej posadzce, zupełnie tak, jak rozmażę wasze nędzne dusze.

– *Fiat voluntas tua sicut in caelo et in terra.*

Gdyby nie to, że odmawialiśmy „Ojcze nasz", zapewne przywodzilibyśmy na myśl członków kultu lub sekty, którzy zupełnie zatracili się w swoim świecie. Mówiliśmy z zamkniętymi oczami, starając się wypowiadać każde słowo tak, jakby od tego zależało nasze życie.

Kontynuowaliśmy przez chwilę, ale demon zdawał się tym nieporuszony.

Podnosił się stopniowo znad łóżka, jakby ze spokojem, dziwną satysfakcją. Kiedy skończyliśmy, obrócił się przodem

do mnie i ojca Segreste. Ręce zwisały mu bezwładnie wzdłuż ciała, stopy znajdowały się kilka centymetrów nad leżanką. Niemal dotykały jej skierowanymi w dół palcami.

– Naprawdę wydaje wam się, że cokolwiek możecie?

– Wybaw nas, prosimy cię, Panie… – kontynuował coraz bardziej zmęczony Segreste.

Szybko opuszczały go siły. Stanowczo zbyt szybko. Demon tymczasem wydawał się opanowany, nie manifestował swojej obecności z taką gorliwością, jak wcześniej. To on zdawał się wszystko kontrolować.

Miałem nadzieję, że to jedynie pozory.

Zmówiliśmy „Oratio Dominica" do końca, ale nie przyniosło to żadnego skutku. Podczas gdy czterech naszych pomocników zaczęło recytować modlitwę od początku, Segreste znów wyciągnął wodę święconą i pokropił nią Kingę.

Demon znów syknął.

– Ilu was jest? – zapytał César.

Głosy się roześmiały.

– *Me cago en la hostia…* – padła odpowiedź.

Znałem to hiszpańskie przekleństwo. Właściwie ich zdecydowana większość sprowadzała się do podobnych sformułowań. To oznaczało dosłownie „sram na hostię".

– Ilu was jest?

– *Putain de salope…*

Francuski? Nie znałem ani słowa. Ale nie powinienem się dziwić, że demon będzie potrafił bluźnić nie tylko w swoim języku. Podczas egzorcyzmów jednym z najczęstszych form manifestacji było przemawianie w wielu językach, których opętana osoba nie znała.

– Ilu?!

Demon spojrzał na mnie.

– *Tor bapre choodi*[6]… – wyrzucił z siebie, uśmiechając się.

Brzmiało to jak jakiś dialekt afrykański.

Oczy Kingi skierowały się w stronę ojca Segreste.

– Ilu was jest? – pytał. – W imię Jezusa Chrystusa rozkazuję, odpowiadaj! Ilu?!

– *Shat, kak oudelic shoon*[7]…

– Ilu was jest?!

Obawiałem się, że to będzie trwać bez końca, a gdzieś w tym wszystkim najbardziej poszkodowaną osobą będzie Kinga. Nie myślałem już o sobie, nie martwiłem się losem ojca Segreste. Widząc, że jesteśmy na przegranej pozycji, bałem się tylko, byśmy nie ponieśli fiaska kosztem Kingi.

– W imię Jezusa Chrystusa, Baranka Bożego, który zgładził grzechy świata, wzywam cię, demonie! Ujawnij się!

Unoszące się w powietrzu ciało Kingi zatrzęsło się lekko. Brzuch stał się nabrzmiały, jakby gromadziły się w nim gazy. Głowa odgięła się lekko do tyłu.

César wciąż starał się rozkazać istocie, by ujawniła, z ilu bytów się składa. Obserwując demoniczną reakcję, zwątpiłem, że przywoływanie Chrystusa na cokolwiek się zda.

Okazało się jednak, że dałem się nabrać.

– Trzech… – odezwał się w końcu głos, który należał do Kingi. – Jest nas trzech.

– Mocą nadaną mi przez święty Kościół powszechny, wzywam was, ujawnijcie swoje imiona! – krzyknął Segreste. – W imię Pierworodnego Wszelkiego Stworzenia, Głowy Kościoła, Króla Królów i Pana Panów, Księcia Pokoju i Światłości Świata, Dobrego Pasterza i Wybawiciela, Pośrednika, Skały, Sprawcy i Dokończyciela Wiary, wzywam was, wyjawcie swoje imiona!

Kinga nagle rozłożyła ręce. Na dłoniach pojawiły się czarne, jakby przypalone ślady, które natychmiast zaczęły przypominać jątrzące się rany, a po chwili przywodziły już na myśl gnilną narośl.

Ręce zaczęły się wykręcać, jakby barki miały się odwrócić.

– Nelchael… – odezwał się jeden z głosów.

Znałem to imię, każdy duchowny je znał. Był to upadły anioł chóru Tronów, pochodzący z pierwszego kręgu. Potężny

demon, nie najpotężniejszy, ale znajdujący się niemal na szczycie hierarchii.

Ponad chórem Tronów znajdowały się tylko dwa inne. W pierwszym z nich królował sam Szatan.

– Fokalor… – rozległ się inny, chrapliwy głos.

To imię również było mi znane. Demon pochodził z tego samego chóru. Określany był jako generał zastępów piekielnych.

Czekałem na trzecie imię. Kinga jednak milczała, z jej ust dochodził cichy syk, jakby coś się z niej uwalniało.

– Wyjaw swoje imię! – krzyknął Segreste.

Ręce przestały się wykręcać, zatrzymały się w nienaturalnej, odwrotnej pozycji. Wbijałem wzrok w wierzchnią stronę dłoni Kingi, czekając. Jej głowa zatoczyła krąg, a potem, przechylona, zatrzymała się tak, że demon spojrzał nam prosto w oczy.

– Samael… – rozległ się chrapliwy, złowrogi głos.

Anioł śmierci.

Wchodzący w skład pierwszego kręgu demonów. Istota, która miała pojawić się na ziemi wraz z nadejściem Sądu Ostatecznego.

Ksiądz Segreste cofnął się o krok, ja zrobiłem to samo. Nasi pomocnicy umilkli, nie wiedząc, co się dzieje. Popatrzyli na Césara, ale ten zdawał się nie odnotować, że przerwali odmawianie modlitwy.

Chciałem go upomnieć, żeby natychmiast otrząsnął się z szoku, ale obawiałem się, że jeśli tylko się odezwę, demon potraktuje to jako swoje zwycięstwo.

Kiedy jednak duchowny wycofał się jeszcze kawałek, uznałem, że nie mogę być bierny.

– Segreste – powiedziałem cicho.

– Nie, to niemożliwe…

– Segreste, uspokój się.

Kinga zaczęła oddychać coraz szybciej, jakby pędziła sprintem przed siebie i za cel postawiła sobie pobicie wszelkich rekordów. Po chwili przybrało to teatralny, prześmiewczy wydźwięk. Wciąż patrzyła na mnie.

– Słyszysz mnie? – zapytałem.

Stałem na tyle blisko, by złapać duchownego za ramię i nim potrząsnąć. Nie było jednak sensu tego robić. W niczym by to nie pomogło.

– On nie może tu być…

– Ale jest – odparłem. – Więc bierz się do roboty i wyślij go tam, gdzie jego miejsce.

Spojrzał na mnie, jakbym zupełnie oszalał.

Kinga dyszała już tak głośno i szybko, że miałem wrażenie, jakby płuca miały jej zaraz eksplodować.

– Ja? – zapytał César. – Ja mam…

– Na nikogo innego nie możemy liczyć, rozumiesz?

– To ty chyba nie…

– Rozumiem, że Kinga potrzebuje pomocy. W tej chwili!

Dwóch z czterech mężczyzn, którzy mieli nam pomagać, choćby sprawy przybrały beznadziejny obrót, cofnęło się w kierunku wyjścia. Pozostali spojrzeli w tamtą stronę, jakby sami to rozważali.

Segreste obrócił się do mnie. Podszedł na tyle blisko, że usłyszałbym go nawet, gdyby szeptał. Tyle że nie miał zamiaru zniżać głosu. Wiedział, że ten trójgłowy demon i tak usłyszy każde jego słowo.

– Te imiona…

– Wiem, César. Ale w tej chwili nie ma znaczenia, kto jakie miejsce w hierarchii zajmuje.

Pokręcił głową, jakby taka myśl go obrażała.

– Archanioł Michał… on być może mógłby… potrafiłby… ale nie ja. Nie ksiądz, nawet przy jego wstawiennictwie.

– Mówiłeś, by się nie bać, Segreste. Kazałeś mi ufać, do kurwy nędzy.

– Ufać? Tak, ale…

Kiedy urwał, zrozumiałem, dlaczego nie widział szans na pokonanie Anioła Śmierci. Wychodził z założenia, że nie jest mu równy, bo nie jest równy Świętemu Michałowi. Gdyby założył, że może mierzyć się z jednym, musiałby przyjąć, że także i z drugim. Że wszyscy trzej znajdują się na jednym szczeblu w hierarchii.

Byłaby to dla niego herezja.

– Do tego nie powinno było dojść…

– Ale doszło! – odparłem nieco zbyt agresywnie.

Chciałem kontynuować, ale nie dał mi szansy. Ujął mnie za ramiona, a potem popatrzył mi prosto w oczy. Jak dziecku, któremu zamierza się wyjawić tajemnicę mogącą zmienić jego życie.

– Dla niej jest już za późno – powiedział.

– Nie.

Spokój, jaki zaczął przejawiać César, podziałał na mnie jeszcze bardziej niepokojąco niż jego emocjonalne reakcje. Dowodził, że Segreste szybko przemyślał sprawę. Rozumował teraz racjonalnie.

– Samael nigdy nie zajął niczyjego ciała, Filipie.

– I nigdy więcej tego nie zrobi, jeśli…

– Nie rozumiesz! Nikt z chóru Tronów nie pojawił się w ciele człowieka, nigdy… nigdy się z tym nie spotkałem. Co dopiero mówić o pierwszym kręgu. Te demony są zbyt potężne, pochłonięte ważniejszymi sprawami, żeby…

Urwał i pokręcił głową. Miał nadzieję, że nie będzie musiał mówić mi nic więcej. Ja jednak patrzyłem na niego nierozumiejącym wzrokiem, nie mając zamiaru pogodzić się z tym, że sytuacja przerasta nie tylko nas, ale i możliwości jakiegokolwiek śmiertelnika.

– Samael to niemalże sam Szatan – powiedział Segreste.

– Nie ma to dla mnie znaczenia.

– Powinno…

– Wypędzę go, choćbym miał oddać życie.

Wyszarpałem się Césarowi, a on machinalnie się cofnął, jakby spodziewał się, że go uderzę. Posłałem mu pełne zawodu spojrzenie, nie łudząc się, że to cokolwiek zmieni. Mogłem przekonywać go godzinami, grać na jego emocjach, odwoływać się do wiary… ale wiedziałem, że to nic by nie dało.

Z gardła Kingi dobył się trójgłos, który sprawił, że nieprzyjemne ciarki przebiegły mi po plecach.

– Podejdź, Berg – usłyszałem. – Zbliż się do nas.

Spojrzałem na ojca Segreste, który nadal się wycofywał. Dwóch mężczyzn już opuściło barak i nie miałem wątpliwości, że ich towarzysze niebawem do nich dołączą.

– Gdyby był jeden, Filipie… – dodał jeszcze bezradnie César. – Ale trzech… i Samael? To nie jest samobójstwo. To jest herezja…

Stanął przy koszulce Ajaxu z numerem dziesięć i popatrzył na mnie błagalnie.

– Chodźmy, póki jeszcze…

– Nie ma mowy – odparłem.

Chwyciłem mój medalion, ścisnąłem go mocno w dłoni, a potem obróciłem się w kierunku demona. Nadal znajdował się w powietrzu, wisiał niczym Chrystus na krzyżu. Ręce wciąż były wykręcone, rozłożone.

Zauważyłem, że paznokcie Kingi poczerniały. Kiedy skupiłem na nich wzrok, przekonałem się, że nie są nieruchome. Potrzebowałem chwili, by zrozumieć, co się dzieje.

Zsuwały się. Zamiast nich na końcówkach palców pojawiał się zgniły nalot. Smród, który zaczął wypełniać barak, zdawał się dobywać właśnie z niego.

– Podejdź, Berg… – powiedziały demony.

Nie miałem zamiaru wykonywać jakiegokolwiek polecenia, nawet najbardziej błahego. Zerwałem medalik z szyi, wciąż ściskając go jak najcenniejszy amulet na świecie. Po chwili otworzyłem dłoń, spojrzałem na podobiznę Maryi.

– Przyprowadziłeś ją? – spytał trójgłos. – Świetnie, będzie ktoś jeszcze do zabawy.

Podniosłem wzrok, przypominając sobie, że demony nie bez powodu strzegą swoich imion. Miały one duże znaczenie, dużą moc. Żaden zły duch nie tylko nie wymieniał swojego imienia, nie chcąc się odsłaniać, ale nie używał też imion tych, których się obawiał.

– Dobra, bardzo dobra decyzja. Tylko że ona ci nie pomoże.

Przyprowadziłeś ją.

Ona ci nie pomoże.

Nie mogłem nie zauważyć, że ta diaboliczna trójca unikała nawet samego imienia Matki Bożej. Poczułem się nieco pewniej. Zrobiłem krok w kierunku leżanki, wplatając łańcuszek między palce. Wyciągnąłem dłoń, jakby medalion miał stanowić moją tarczę. Może poniekąd tak było.

Mógłbym przysiąc, że przez twarz Kingi przemknął krótki, niemal niedostrzegalny wyraz bólu.

– Będziesz nas nią straszyć, Berg? Lepiej zrób to, co pozostali.

Nie musiałem się obracać, by wiedzieć, że zostałem w baraku sam. Miałem ochotę przekląć Césara w duchu, ale w porę się powstrzymałem.

– Chodź, chodź. Dobrze.

Zrobiłem jeszcze krok w ich kierunku.

– Przynieś ją ze sobą.

– Masz na myśli Najświętszą Maryję Pannę? – zapytałem, wyciągając jeszcze dalej medalion.

Teraz wyraz bólu pojawił się na dłużej. Odniosłem wrażenie, że gdzieś pod nim dostrzegłem także strach.

Matka Boża, Nieprzyjaciółka Szatana. Dlaczego nie pomyślałem wcześniej, że to właśnie jej demony będą obawiać się najbardziej? Czytałem przecież o tym u Jana Pawła II. Opisał jej żywot, wyraźnie zaznaczał, dlatego jest tak istotna.

Przyszła na świat przez niepokalane poczęcie. Nie miała żadnej zmazy grzechu. Uczestniczyła w zbawczym dziele Chrystusa. Polski papież pisał o niej jako o „doskonałym sprzymierzeńcu" Boga.

Nie bez powodu.

Zrobiłem jeszcze krok w kierunku Kingi. Jej ciało zaczynało lekko drgać, zielonkawe bąble spienionej śliny pojawiły się w kącikach ust, jakby miała za moment dostać jakiegoś ataku.

– Masz na myśli pierwszą istotę przeniknięta światłem? – spytałem.

– Pierdolę cię.

Tym razem to ja się zaśmiałem. Poczułem, że mam do tego pełne prawo.

Pojawiło się jeszcze inne, znacznie wyraźniejsze uczucie. Absolutna pewność co do tego, co powinienem powiedzieć, co powinienem zrobić.

– Potężna Niebios Królowo i Pani Aniołów – zacząłem, unosząc dłoń z medalikiem wyżej. – Ty, która otrzymałaś od Boga posłannictwo i władzę, by zetrzeć głowę Szatana, proszę cię pokornie…

Usta Kingi otworzyły się szeroko, szczęka sprawiała wrażenie, jakby miała pęknąć. Makabryczny wyraz, w jakim wykrzywiła się jej twarz, przywodził na myśl bardziej upiorną wersję znanego obrazu, „Krzyku" Edvarda Muncha. Tyle że ta zdawała się przeczyć zasadom fizjologii.

– Rozkaż hufcom anielskim, aby ścigały Szatanów, stłumiły ich zuchwałość, a zwalczając ich wszędzie, strąciły na dno piekła.

Trzy głosy odezwały się po kolei:

– Daj…

– Sobie…

– Spokój…

Potem rozległ się ten należący do Kingi.

– Berg…

Zbliżyłem się jeszcze o krok. Zmysły miałem wyostrzone, wiarę niezachwianą. Czułem pewność siebie, jak nigdy przedtem. I wiedziałem, że nie jestem sam.

– Święci aniołowie i archaniołowie, brońcie nas i strzeżcie nas – dodałem, a potem wyciągnąłem rękę tak, jakbym miał zamiar przytknąć medalion z wizerunkiem Maryi prosto między oczy Kingi.

Demony wydały dziki, wstrętny łoskot, który sprawił, że miałem wrażenie, jakby coś w głowie miało mi eksplodować. Zacząłem gorączkowo odmawiać modlitwę, pierwszą, która przyszła mi na myśl.

– Święta Maryjo, Matko Boża…

Niełatwo było się skupić, nawet na znanych słowach. Trójgłos zdawał się coraz głośniejszy, wybijał mnie z rytmu.

A jednocześnie napędzał, uświadamiał mi bowiem, że demony ustępują.

W pewnym momencie Kinga wydała z siebie krótki, bolesny jęk, a potem głowa nagle jej opadła.

Trwała w bezruchu, wciąż w tej samej pozycji nad łóżkiem. Miałem wrażenie, że lekko się porusza, jak flaga na niewielkim wietrze.

– Kinga?

Głowa lekko się kołysała. Wokół panowała cisza.

Kontynuowałem cicho modlitwę, nie zważając na krople potu, które spływały mi po całym ciele.

Kinga w końcu lekko uniosła głowę, jakby sprawiało jej to wręcz nieludzki wysiłek. Popatrzyła na mnie bez wyrazu.

Trwało to tylko moment.

Potem jej usta rozszerzyły się w szerokim uśmiechu, a w oczach pojawiło się wyraźne rozbawienie. Rozległ się śmiech tak głośny, jakby tuż przede mną eksplodował ładunek wybuchowy.

Rzuciło mną do tyłu, poczułem, jak medalion wypada mi z dłoni.

Uderzyłem o meble, przewracając stół i krzesło. Natychmiast próbowałem się podnieść, ale jakaś siła cisnęła mną na bok. Uderzyłem głową w ścianę i poczułem krew spływającą ze skroni do oka.

Upadłem na kolana przed leżanką. Kiedy podniosłem głowę, Kinga siedziała przede mną, zakładała nogę na nogę. W ręku obracała mój medalion.

Potem złamała go na pół.

Trzy głosy zarechotały jak jeden.

– Naprawdę myślałeś, że dewocjonalia ci pomogą, Berg?

Zrozumiałem, że zostałem ograny. Że to wszystko było dla demonów zabawą. Kpiną.

– Powinieneś wyjść razem z Césarem – odezwała się jedna z istot.

Nie miałem wątpliwości, że słyszę samego Samaela. Anioła Śmierci.

I że przyszedł w dniu Sądu Ostatecznego.

[5] 2 List do Tesaloniczan, cytowany wedle Rytuału rzymskiego na początku każdego egzorcyzmu.

[6] Jęz. bengalski, dosł. „jebać twojego ojca”.

[7] Jęz. armeński, dosł. „wielu, ty żrący gówno psie”.

VI

Nie mogłem się poruszyć. Trwałem w zupełnym bezruchu, kiedy ciało Kingi powoli się do mnie zbliżało. W końcu zatrzymało się tuż przede mną, centymetr, może dwa przed moją twarzą.

Z ust ział odór, którego nie mogłem znieść. Zdawał się wnikać w moje nozdrza, osadzać się w nich jak pył i sprawiać, że mogłem oddychać jedynie przez lekko otwarte usta. Z każdym oddechem miałem wrażenie, że wciągam coś trującego. Ohydnego.

Kawałki medalionu leżały na łóżku, stanowiąc ostateczne potwierdzenie tego, jak bardzo się myliłem. Jak wszyscy się myliliśmy.

– Symbole nie mają znaczenia – rozległ się trójgłos.

Brzmiał inaczej niż przed momentem. Wciąż tak samo złowrogo, ale teraz także rzeczowo. Jakby żarty się skończyły, jakby Samaelowi i dwóm jego podwładnym znudziła się zabawa.

– Zasady, które ułożyliście, też go nie mają – dodały demony. – Bóg nie ma znaczenia, Maryja nie ma znaczenia. Nie na tym świecie.

Kinga wciąż miała wykręcone barki i stała przede mną pochylona. Jej ciało, jakby skurczone, przywodziło na myśl sylwetki zagłodzonych więźniów obozów koncentracyjnych.

Oczy miała pokryte żółtawą błoną, a z ich kącików ściekała śmierdząca, ropna wydzielina. Ciągnęła się po policzkach jak łzy.

Słyszałem cichy bulgot wydobywający się z jej brzucha. Wydawało mi się, że za moment zwymiotuje na mnie czarną mazią, którą dobrze znałem. Zdecydowanie zbyt dobrze.

Podobnie znajomy wydawał mi się sam demon.

Nie był mi obcy. Wręcz przeciwnie, miałem przekonanie, że znamy się od dawna. Dopiero teraz jednak widziałem go klarownie. Wszystko, co działo się wcześniej, było jedynie fasadą – wzniesioną bezcelowo, automatycznie, niemal bezrefleksyjnie.

Miałem do czynienia z przedwiecznym złem. Złem, które działało wedle określonego schematu. To, co robiły te upadłe anioły, nie wynikało z żadnego planu. Z ich punktu widzenia stanowiło to po prostu taniec, który musiały odtańczyć.

Teraz jednak przyszedł czas na konkrety.

– Wszystko niebawem zrozumiesz – odezwał się trójgłos. – I będziesz wdzięczny za to, co zostanie sprowadzone na ten świat.

Nie odzywałem się nie tylko dlatego, że demoniczna moc mnie unieruchomiła. Nawet gdyby tak nie było, nie wiedziałbym, co powiedzieć. Przegrałem walkę. A co gorsza, nie odczuwałem z tego powodu tych emocji, które powinienem.

Rozumiałem bowiem, że wszystko było złudą.

Modlitwy, ochrona zapewniana przez medalion, płaszcz Madonny. Wszystko to było jedynie serią ludzkich wytworów, które miały bronić nas przed świadomością, że tak naprawdę jesteśmy zupełnie bezsilni. I że nie możemy mierzyć się z siłami, które nie pochodzą z tego świata.

Chciałem uznać, że zostaliśmy oszukani, ale nie byłaby to prawda.

Sami się oszukiwaliśmy.

– Wszystko zostanie ci ukazane – rzekł trójgłos.

Poczułem, że powoli odzyskuję władanie nad ciałem. Patrzyłem w pokryte nalotem oczy Kingi i zastanawiałem się, czy gdzieś tam jeszcze jest. I czy jakimś cudem zdołam ją uratować.

– Masz wiele pytań. Zadaj je.

Nos nieco mi się odetkał, wciągnąłem łapczywie powietrze. Otworzyłem usta, ale miałem wrażenie, że nie uda mi się

dobyć głosu. Czułem się jak po ciężkiej chorobie. Kaszlnąłem, coś ohydnego oderwało mi się z płuc. Musiałem odcharknąć kilkakrotnie, by w ogóle móc myśleć o odezwaniu się.

Splunąłem na bok zieloną mazią.

– Jak się… jak się do ciebie zwracać? – zapytałem.

Gdzieś z tyłu głowy poczułem ból, na moment przed oczami zobaczyłem znajome śnieżenie. Prąd przemknął mi od karku aż po lędźwie.

– Imię nasze Legion – rozległ się głos.

Sprawił, że powietrze jakby zadrgało.

– Jest nas bowiem wielu.

Przypomniałem sobie Ewangelię wg św. Marka i najdokładniejszy, najdłuższy opis egzorcyzmu, który można było znaleźć w Biblii. I demona, który przedstawił się tak Jezusowi, zanim ten wygnał go z ciała pewnego mężczyzny.

– To o tobie jest mowa w przypowieści z kraju Gerazeńczyków…

Głowa Kingi lekko się uniosła. Na jej twarzy próżno już było szukać choćby lekkiego uśmiechu. I mimo że był on złowróżbny, bez niego jej oblicze stało się jeszcze bardziej niepokojące.

– Tak – odparł trójgłos.

– W takim razie… już raz zostałeś pokonany.

Zaropiałe oczy mi się przyglądały.

– Nie rozumiesz.

– Nie, nie rozumiem. Skoro to o tobie mowa w…

– Mowa, tak – przerwał mi Legion. – Ale czy to oznacza, że to prawda?

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że mimo odzyskania kontroli nad ciałem nie cofnąłem się. Coś przyciągało mnie do tej istoty. Coś, czego wcześniej nie byłem gotowy dopuścić.

Zaufanie? Nie, coś innego, coś bardziej skonkretyzowanego, racjonalniejszego. Dopiero po chwili zrozumiałem, że mam

dziwne, obiektywne przekonanie o prawdziwości słów wypowiadanych trójgłosem.

– Dałeś się omamić. Wszyscy na to pozwoliliście.

– Jak?

– Od wieków przyjmujecie za pewnik to, co mówią ludzie, a nie Bóg.

Fakt, że demony mówiły o nim bezpośrednio, stanowił kolejny wyłom w wiedzy, jaką o nich miałem. Samo słowo „Bóg" miało działać na nich jak płachta na byka.

Ale równie skuteczne miało być przywoływanie Chrystusa i Maryi. I symbole religijne.

– Wykorzystaliście go do swoich celów. Przeinaczyliście każde jego słowo. Postępowaliście wbrew niemu, ułożyliście własny obraz, zupełnie nie zważając na to, co dla was zaplanował. Stworzyliście swoją wizję Boga. Wizję niemającą nic wspólnego z prawdą.

Słuchałem tego z coraz większym niepokojem, ale jednocześnie czułem, że za moment usłyszę odpowiedzi na wiele pytań, które zadawałem sobie od najmłodszych lat.

– Zakpiliście sobie z niego – dodał trójgłos. – I robicie to z satysfakcją. Nie od dziś, nie od wczoraj.

– To nie tak…

Mój sprzeciw był cichy, niezdecydowany, właściwie wynikał tylko z tego, że bałem się, co by się stało, gdybym nie zaprotestował.

– Słyszałeś o *saeculum obscurum*.

Nie było to pytanie, raczej oznajmienie. Skinąłem głową, choć okres ten kojarzyłem raczej pod nazwą pornokracji. Na tym moja wiedza się wprawdzie nie kończyła, ale nie wykraczała dużo dalej. Zdarzenia z tamtego czasu były jednymi z najbardziej wstydliwych dla Kościoła, niewiele się o nich mówiło. A jednocześnie historia była na wyciągnięcie ręki, nikt jej nie utajniał. Problem polegał na tym, że niewielu chciało ją zgłębiać.

– To czarny rozdział w historii waszego papiestwa – odezwał się Legion. – Przypadł na połowę dziesiątego wieku. Trwał sześćdziesiąt lat. Rozpoczął się od objęcia Piotrowego Tronu przez Sergiusza III, a skończył się wraz z panowaniem Jana XII.

Znów pokiwałem lekko głową.

– Sergiusz III rozpoczął linię niegodnych papieży, którzy po nim zasiadali na tronie. Każdy z nich był spokrewniony z jego nałożnicą, rzymską prostytutką, Marozią. On sam miał z nią syna, Jana XI, ale oprócz tego wiele jej dzieci, a potem dzieci jej dzieci, obejmowało władzę nad Watykanem.

Tyle wiedziałem, w szczegóły nigdy nie chciałem się zagłębiać.

– Jan X, Benedykt VII, Jan XII…

Lista była znacznie dłuższa, ale demon umilkł, jakby wspominanie tamtych papieży sprawiało mu fizyczny ból.

– Nie wszyscy byli na wskroś zepsuci – dodał. – Niektórzy odbudowywali kościoły, próbowali zwracać się do Boga. Ale każdy pochodził od Marozii, papieskiej kochanki. Jeden z nich był jej synem, kolejny wnukiem, następny prawnukiem… linia zakończyła się na Benedykcie IX, który zmarł w tysiąc pięćdziesiątym szóstym roku. Wiesz, kiedy przyszła na świat Marozia?

– Nie.

– W osiemset dziewięćdziesiątym roku. Tak długo ta infekcja trawiła łono Kościoła.

Czy po takim okresie zepsucia Watykan mógł się odbudować? Wiedziałem doskonale, jak niewiele go trzeba, żeby wyrugować wszystko, co dobre, i zastąpić to tym, czego potrzebowali oficjele czy hierarchowie. Przewroty i rewolucje dokonywały się w znacznie krótszych okresach. Przez tyle lat można było właściwie zamienić chrześcijaństwo w zupełnie inną religię.

– To nie pierwszy ani nie ostatni raz, kiedy odwróciliście się od Boga – dodał trójgłos. – Głosiliście pokój i miłość, ale to, co robiliście, nie miało z nimi nic wspólnego. Inkwizycja, krucjaty, nawracanie mieczem, francuskie wojny z hugenotami, wspieranie niewolnictwa…

Wszystko to była prawda, ale dotycząca zamierzchłej przeszłości. Czy to jednak nas usprawiedliwiało? Dawało podstawy, by wierzyć, że to, co działo się później, stanowiło zwrócenie się z powrotem do Boga?

Nie miałem odpowiedzi na te pytania.

– Usankcjonowaliście wszystko w stworzonych przez was tekstach – kontynuował trójgłos.

– Nie.

– Ewangelia według tego, którego nazwaliście Świętym Mateuszem, wyraźnie o tym mówi.

Wiedziałem, do którego fragmentu demon się odnosi. Był przywoływany w czasach, kiedy szerzenie chrześcijaństwa rzeczywiście przyjmowało brutalną formę. Rozdział dziesiąty, wers trzydziesty czwarty. Jezus mówi wprost: „Nie sądźcie, że przyszedłem nieść pokój na ziemi. Nie przyszedłem nieść pokoju, lecz miecz".

– Rzeź Béziers – odezwał się demon. – Wybiliście tam w imię Boga całą ludność. Przeszło dwadzieścia tysięcy ludzi.

Trzynasty wiek. Papież Innocenty III.

– Patrzycie na islam, widząc tam zło – dodał trójgłos. – Ale zapominacie o *bellum sacrum*, świętej wojnie, o której nauczał wasz papież, Urban II.

Jedenasty wiek. Ówczesny Ojciec Święty określał niektóre wojny jako *bellum iustum*, uzasadnione, uprawnione. Inne jako święte.

– Ilu ludzi wymordowaliście w imię swojej wiary? I jakie jej zasady ustanowiliście, żeby to usprawiedliwić?

Znów chciałem się cofnąć choćby kawałek, ale coś podpowiadało mi, bym tego nie robił. Nie okazywał braku

zaufania, strachu czy choćby rezerwy.

– Ilu heretyków zabiliście? Ile kobiet spaliliście na stosach? Ile bulli takich jak *Ad extirpanda* wydaliście?

Był to kolejny wstydliwy dokument w dziejach Kościoła. Wydał go w trzynastym wieku papież Innocenty IV. Przyzwalał w nim na stosowanie tortur w celu przekonania niewiernych do przyjęcia wiary chrześcijańskiej.

Tylko ile ta wiara miała wspólnego z tym, co naprawdę miało być chrześcijaństwem? Pytanie wybrzmiało w mojej głowie jak salwa armatnia.

– Ile postaci takich jak Konstantyn Wielki wspominacie w kontekście podwalin Kościoła? – ciągnęły demoniczne głosy. – Cesarz zabił swojego syna, kazał żywcem we wrzątku utopić własną żonę, a wy podkreślacie, że bez niego nie byłoby dzisiejszego chrześcijaństwa… chrześcijaństwa nierozerwalnie związanego z trzystoma latami palenia kobiet w procesach o magię, dwustoma spędzonymi na krucjatach, które pochłonęły tysiące, miliony istnień…

Głosy stawały się coraz wyraźniejsze, jakby z każdym kolejnym zarzutem przenikały bardziej do tego świata.

Jakbym stanowił dla nich furtkę.

– A ilu takich jak John Wycliffe zgładziliście?

– Nie…

– Nie kojarzysz imienia i nazwiska, Filipie?

Mgliście je pamiętałem, ale trudno było mi wyłowić szczegóły.

– To czternastowieczny kaznodzieja, gorliwy katolik, który głosił, że Kościół jest zepsuty, mija się z celem swojego istnienia. Przekonywał, że należy komunikować się bezpośrednio z Bogiem, nie poprzez pośredników, nie poprzez księży. Że ówczesny papież, Grzegorz XI, to w istocie Antychryst, a jego tron to tron Szatana.

Z trudem przełknąłem ślinę.

– Papież wydał aż pięć bulli mających obalić jego twierdzenia i zdyskredytować go. Następcy poszli jeszcze dalej. Aleksander V ogłosił go pośmiertnie heretykiem. Marcin V kazał wykopać jego ciało z grobu i spalić je na stosie.

W końcu się cofnąłem.

– Oto twój Kościół.

– Nie…

– A twoja Biblia? Wiesz, jak powstała?

Nie miałem zamiaru odpowiadać. Czułem odrazę, ale nie wobec demona. Wobec siebie samego.

– Do czwartego wieku istniała jako Vetus Latina. Zbiór po łacinie, zawierający wszystkie biblijne teksty. Dopiero potem zaczęto wybierać z nich te, które odpowiadały Kościołowi. I w tej formie funkcjonowała jako jedyna oficjalna wersja aż do szesnastego wieku.

Milczałem.

– Stworzona przez ludzi, którzy realizowali swoje własne cele. Ona i twój Kościół, Filipie. Obie te rzeczy to tylko wasz wytwór.

Spojrzałem na złamany medalion, a potem wprost w oczy Bestii.

Zrozumiałem, że zbliżyła się do mnie na wyciągnięcie ręki. I była tylko o krok od przekonania mnie, że powinienem uwierzyć we wszystko, co mówi.

Cofnąłem się.

Najpierw o pół metra, potem nieco dalej. Uniosłem powoli prawą rękę, a potem dotknąłem czoła. Wykonałem znak krzyża, spokojnie, bez obaw i bez pośpiechu.

Czułem, że Legion spoziera na mnie sześcioma oczami. Wrogimi ślipiami, w których pojawił się brak zrozumienia.

– Do kogo się odwołujesz? – zapytał. – Do wizji Boga, którą stworzyliście? Do nieistniejącej fasady?

Wycofałem się jeszcze kawałek. Moje zwątpienie dodawało tym istotom siły, nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Nie obawiaj się, Filipie.

Musiałem działać.

– Oddaj nam cześć. Przyjmij nas jako…

– Nie.

Upadłem na kolana, złożyłem dłonie do modlitwy i pochyliłem głowę. Podniósłszy lekko wzrok, zobaczyłem, że stopy Kingi nie dotykają ziemi. Demon unosił się, powoli się do mnie zbliżając.

Zamknąłem oczy.

Jeśli cokolwiek miało jeszcze znaczenie, to tylko znaki, które otrzymałem, kiedy to wszystko się zaczęło. Znaki niepochodzące od demona lub demonów.

Przypomniałem sobie nieprzyjazne spojrzenie Czarnej Madonny. Moją wizytę w Częstochowie. Fakt, że obraz znajdował się na pokładzie JAL 123, na którym ja także się pojawiłem. I że był też w ładowni AH 3836, który powrócił z Istniejącym.

Nie wiedziałem, co to wszystko oznacza. Wiedziałem jedynie, do kogo muszę się zwrócić.

Zamknąłem oczy.

– *Salve, Regina, Mater misericordiæ…*

– Co robisz, Filipie?

– *Vita, dulcedo, et spes nostra, salve…*

Mimo że nie podniosłem powiek, wiedziałem, że demony się zatrzymały. Odmawiałem kolejne wersy „Salve Regina”. Znałem je jako passusy wypowiadane na koniec różańca, a także jako pieśń – chorał gregoriański, który zawsze wywoływał we mnie całe spektrum emocji. Był podniosły, monumentalny, ale także pocieszający. Uzmysławiał potęgę Matki Bożej.

– *Ora pro nobis…* – kontynuowałem. – *Sancta Dei Genitrix.*

– Wystarczy.

Otworzyłem oczy. Dosłownie, ale nie tylko.

Poczułem ciepło w sercu, pewność siebie i przekonanie, że idę dobrą drogą. Podniosłem się powoli, a potem wyprostowałem.

– Wystarczy? – zapytałem. – Nie. To dopiero początek.

Zamrugałem kilkakrotnie oczami, a potem odniosłem wrażenie, że coś drapie mnie w kark. Dotknąłem szyi i przekonałem się, że moja zawieszka nadal znajduje się tam, gdzie powinna.

Spojrzałem na leżankę. Nie dostrzegłem nigdzie medalionu i zrozumiałem, że zostałem oszukany.

Uśmiechnąłem się lekko, kiedy zobaczyłem, że tym razem to demon się cofnął.

Wszystko było w porządku. Byłem bezpieczny.

Byłem otoczony płaszczem Czarnej Madonny.

Zacząłem powtarzać to sobie w duchu, utwierdzając się w przekonaniu, że teraz to ja przejmę kontrolę. Nadszedł czas, by pokazać Legionowi, że jego miejsce jest w piekle, nie na ziemi.

Byłem pewien, że to początek jego końca.

Wtedy przed oczami przemknęła mi błyskawica, jakbym stał w głębi ciemnego lasu i ktoś nagle skierował wprost na mnie snop oślepiającego światła. Trwało to tylko chwilę, ale wystarczyło, bym stracił czujność.

Gdy ją odzyskałem, demon rzucił się wprost na mnie. Zakleszczył moją głowę w żelaznym uścisku, a ja poczułem, jak wbija mi paznokcie w skronie. Spojrzałem otchłani prosto w oczy. A potem w nią wpadłem.

VII

– Spokojnie, Katashi. – Usłyszałem.

Otworzyłem oczy i wciągnąłem głęboko powietrze. Nie potrzebowałem słyszeć głosu siedzącej obok mnie Japonki, by zrozumieć, gdzie się znajduję. Spojrzałem na nią, a potem powiodłem wzrokiem dokoła.

– Nic się nie dzieje – dodała dziewczyna.

Popatrzyłem na stewardesę, która chwilę wcześniej do nas podeszła, zaniepokojona moim dziwnym zachowaniem.

– Wszystko z panem w porządku? – zapytała.

– Nie, coś mu się stało.

Obydwie wbijały we mnie wzrok.

– Mój narzeczony boi się latać – podjęła Japonka obok mnie.

Próbowałem zebrać myśli. Istniały tylko dwa powody, dla których mógłbym się tutaj znaleźć. Albo to demon przeniósł mnie na pokład, by się mnie pozbyć, albo zrobiły to siły znajdujące się po drugiej stronie barykady, bo w jakiś sposób mogło mi to pomóc.

Ale w jaki?

– A teraz dopadły go jakieś drgawki, szarpnęło nim i nagle… – kontynuowała dziewczyna. – Niech pani zobaczy, jak pobladł.

Stewardesa nachyliła się jeszcze bardziej.

– Proszę pana? – zapytała.

Posłałem jej niewyraźny uśmiech, a potem się podniosłem. Zrozumiałem już, dlaczego tutaj jestem. Wciąż nie wiedziałem, kto mnie przysłał, ale zdawałem sobie sprawę, z kim muszę porozmawiać.

Ruszyłem w stronę mężczyzny z białą brodą. Zobaczył mnie już z oddali, jakby wiedział, że to właśnie do niego idę. Dwie

Japonki wymieniały między sobą ciche uwagi, zastanawiając się, co zamierzam.

Podszedłem do Istniejącego i spojrzałem na niego z góry. Wyglądał dokładnie tak samo, jak ostatnim razem, kiedy go spotkałem. W innym czasie, w innym miejscu.

– Kim jesteś? – zapytałem.

Zmrużył oczy.

– Czym jesteś?

– Przyznam, że nie bardzo rozumiem… – odparł po japońsku.

– I co ja tu robię?

– Może powinien pan wrócić na swoje miejsce i…

Pochyliłem się i złapałem go za fraki. Wokół nagle zapanowało poruszenie, choć przypuszczam, że byłoby znacznie większe, gdybym zachował się podobnie w swoich czasach. Ci ludzie nie byli jeszcze tak wyczuleni na wszystkie oznaki niebezpieczeństwa na pokładzie samolotu.

Potrząsnąłem mężczyzną, kątem oka dostrzegając, jak kilku innych podnosi się ze swoich miejsc. Stewardesa zmierzała ku mnie szybkim krokiem, a od strony kokpitu ruszyła kolejna.

Nie miałem wiele czasu.

Ścisnąłem jasną koszulę Istniejącego i przyciągnąłem go do siebie.

– Mów – syknąłem.

– Co mam ci powiedzieć, Berg?

Poczułem, jakbym odniósł małe, niewiele znaczące zwycięstwo.

– Najlepiej będzie, jeśli się uspokoisz.

Puściłem go na moment przed tym, jak dopadli do mnie mężczyźni i stewardesa. Uniosłem otwarte dłonie, uśmiechnąłem się, a potem poklepałem Istniejącego po ramieniu.

– Nic się nie dzieje – powiedziałem.

W oddali dostrzegłem otwierające się drzwi kokpitu. Wynurzyli się z niego kapitan i drugi pilot. Po jedenastym

września raczej zamknęliby się na cztery spusty i już zawiadamiali wieżę kontroli lotów.

Japończycy popatrzyli w moją stronę zaniepokojeni.

– Wszystko w porządku – dodałem.

Kilku mężczyzn spojrzało pytająco na człowieka, którego przed momentem tarmosiłem, jakbym miał zamiar wyrzucić go z samolotu. Istniejący skinął głową i też się uśmiechnął.

– Głupie zabawy dwóch starych znajomych – oświadczył. – Nie ma powodów do niepokoju.

Nie odrywaliśmy od siebie wzroku, starając się sprawiać wrażenie, że wszystko jest w porządku, ale jednocześnie jakby ostrzegać się nawzajem, że żaden z nas nie odpuści.

Zebrani stopniowo się rozchodzili, a stewardesa upomniała mnie, żebym wracał na miejsce. Drzwi kokpitu się zamknęły.

Wiedziałem, że nie mam wiele czasu.

– Kim jesteś? – powtórzyłem.

– Już ci się przedstawiłem, Filipie. Na lotnisku.

– Nie przypominam sobie, żebym…

– We Wrocławiu – dodał. – Za ponad trzydzieści lat od tego momentu.

Patrzyłem na niego z niedowierzaniem. Owszem, był to ten sam człowiek, ale byłem przekonany, że z jego punktu widzenia jeszcze się nie spotkaliśmy. Że czas ma dla niego znaczenie.

Widocznie jednak było inaczej. Egzystował tak, jak istoty, które zalęgły się w ciele Kingi. Przyszło mi na myśl, że jest jedną z nich.

Ale skoro tak, co robił tutaj, w ciele pasażera lotu JAL 123? I dlaczego był później na pokładzie Air Hibernii? Jakim cudem nie postarzał się ani o dzień?

Jedna odpowiedź nasuwała się sama. Była jednak zbyt oczywista. A zarazem z jakiegoś powodu niemożliwa do przyjęcia.

– Nie zrozumiesz, Filipie – powiedział, jakby mógł wniknąć w moją głowę i przejrzeć wszystkie moje myśli.

– Nie, najwyraźniej nie.

– Bo nie pamiętasz swojej ostatniej wizyty tutaj.

– Mhm.

– Tej, po której zamknęło się przed tobą przejście. Tej, po której ocknąłeś się na cmentarzu, przy grobie ojca, kiedy Kinga się nad tobą nachylała.

Nie musiał mi o tym przypominać. Czułem, jakby to wydarzyło się wczoraj. A jednocześnie miałem ogromną wyrwę w pamięci.

– Wiesz, ile czasu tutaj wtedy spędziłeś?

– Nie.

Parsknął cicho.

– Może to i dobrze – przyznał. – Inaczej wszystko wydałoby ci się jeszcze bardziej skomplikowane.

– Nie musi mi się wydawać – zaoponowałem. – Jest skomplikowane.

– Niezupełnie.

– Nie? – odparłem przez zęby. – Może w takim razie wytłumaczysz mi, co tu się dzieje?

– Zrobię to – zapewnił, opierając się na podłokietniku. – Ale nie tutaj, nie teraz. Zrozumiesz wszystko dopiero, kiedy wrócisz do baraku na przedmieściach Tulum. Będą tam na ciebie czekać odpowiedzi.

Popatrzyłem na mężczyznę siedzącego obok Istniejącego. Chciałem zapytać, czy gotów byłby zamienić się miejscami, ale stewardesa podeszła do mnie i po raz kolejny poprosiła, żebym usiadł.

– Samolot już kołuje, musi pan zająć…

– Jeszcze moment.

Istniejący się uśmiechnął.

– Moment nic ci nie da, Filipie – powiedział głosem niemal dobrotliwym. – Ostatnio spędziłeś tu mnóstwo czasu.

Znacznie więcej, niż mógłbyś sobie wyobrazić.

– Proszę pana…

– Już, już – rzuciłem, a potem nachyliłem się do mężczyzny z brodą.

Otworzyłem usta, ale nie wiedziałem, co powiedzieć. Grozić mu? Prosić o wyjaśnienie? Przekonywać go, sięgając po racjonalne argumenty? O ile dwie pierwsze możliwości byłem gotów przyjąć, trzecia wydawała się absurdalna. Nie było powodu, dla którego miałby cokolwiek mi wyjawić.

Bez względu na to, czym lub kim był.

– Wracaj do siebie, Filipie – powiedział.

Spojrzałem na stewardesę, a potem na wolne miejsce obok młodej Japonki.

– Nie mówię o miejscu w samolocie – dodał.

– Domyśliłem się.

– Zrób, co mówię. Tutaj nie masz już czego szukać.

– Dlaczego nie?

Pracowniczka linii lotniczych wyciągnęła do mnie dłoń, jakby chciała ostrzec, że jeszcze moment, a będzie musiała siłą zaciągnąć mnie na miejsce.

– Odkryłeś tutaj już wszystko, co powinieneś.

– O czym ty mówisz?

– Wracaj do swojego czasu i miejsca – powtórzył, a potem się odwrócił.

Podeszła do nas kolejna stewardesa. We dwie zaprowadziły mnie do mojej towarzyszki, a potem odczekały, aż usiądę i zapnę pas. Odpuściłem, ale tylko na chwilę.

Uznałem, że nie powinienem robić niczego, co radzi mi ten człowiek. Więcej – powinienem robić wszystko na odwrót. Tylko dzięki temu mogłem mieć nadzieję, że wykonam krok w dobrym kierunku.

– Już w porządku, Katashi?

– Tak – zapewniłem ją, a potem rozsiadłem się wygodnie.

Zrozumiałem, że muszę tylko poczekać.

I właśnie to zrobiłem.

Pierwszą katastrofę przeżyłem w ciele Katashiego. Drugą obserwowałem z kokpitu, tak jak wcześniej. Trzecią ponownie z pokładu pasażerskiego. Kiedy samolot rozbijał się z mojego punktu widzenia po raz czwarty, byłem w ciele jednej ze stewardes.

Za każdym razem podchodziłem do Istniejącego i naciskałem go dopóty, dopóki reszta obecnych nie zmuszała mnie do powrotu na miejsce.

Przy piątej i szóstej katastrofie nadal nie zbliżyłem się o krok do rozwiązania. Istniejący twierdził, że robię to, co już robiłem. Że nie ma to sensu i mogę spędzić w ten sposób całą wieczność, ale odpowiedzi i tak odnajdę dopiero po powrocie do Meksyku.

Mimo to próbowałem znaleźć je na pokładzie Japan Airlines.

Przy którejś powtórce znanego mi już doskonale scenariusza poszedłem krok dalej. Tym razem nie odpuszczałem w naciskach na mężczyznę z brodą. Doprowadziłem do zamieszania na pokładzie, a w końcu do awantury. Zarzekałem się, że wysadzę samolot w powietrze, że umieściłem w luku bagażowym ładunek wybuchowy i że do eksplozji dojdzie na wysokości przelotowej.

Nic to nie dało. Podobnie jak każda inna próba, którą podjąłem, by zapobiec wypadkowi. Nawet w ciele kapitana poniosłem fiasko, bo drugi pilot szybko przejął dowództwo nad samolotem.

Nie wiedziałem, ile czasu minęło i ile razy próbowałem. Straciłem rachubę, kiedy po raz kolejny znalazłem się w ciele Katashiego. Przez jakiś czas była to moja kotwica, dzięki której trzymałem się w miejscu… w czasie. Ostatecznie jednak wszystkie próby zlały się w niemożliwy do zrozumienia ciąg zdarzeń.

– Musisz w końcu przestać – rozległ się głos, kiedy po ostatniej katastrofie ocknąłem się w ciele człowieka siedzącego

obok mężczyzny z białą brodą.

– Przestanę, kiedy mi wszystko wyjaśnisz.

– Ile razy muszę powtarzać, że to niemożliwe?

– Ile chcesz – odparłem. – Ja nie zamierzam odpuszczać.

– Więc wróć do siebie. Poznaj prawdę.

Milczałem, w końcu dochodząc do przekonania, że wdawanie się w dyskusje z Istniejącym nie ma żadnego sensu. Przerabiałem to stanowczo zbyt wiele razy.

– Nie masz się czego obawiać, Filipie – dodał.

Ściągnąłem brwi, patrząc na niego z uwagą. Był to pierwszy raz, kiedy usłyszałem od niego coś podobnego.

– Obawiać się? – zapytałem. – Dlaczego miałbym…

– Przecież właśnie z tego względu nie chcesz wrócić.

– Bynajmniej.

– Bo wiesz, że tam czekają na ciebie odpowiedzi.

– Wiem tylko tyle, że jesteś jedyną osobą, która może mi ich udzielić.

Długo przytrzymywał moje spojrzenie. Miałem wrażenie, że głęboko się nad czymś namyśla.

– Masz rację – przyznał w końcu. – Ale wciąż czekam.

– Co? Na…

– Na ciebie. W Tulum.

Po raz pierwszy mu uwierzyłem.

I podjąłem decyzję, by wrócić.

VIII

Nie byłem pewien, czy uda mi się tak po prostu przerwać cykl. Okazało się to jednak łatwiejsze, niż przypuszczałem. Być może miałem doświadczenie, o którym nie pamiętałem, ale które tkwiło gdzieś w mojej podświadomości.

Przypuszczałem, że wrócę do tego samego momentu, kiedy demon przeniósł mnie na pokład samolotu. Że otworzywszy oczy, zobaczę stojącą przede mną Kingę, poczuję jej ręce na twarzy i szpony Legionu na policzkach.

Tak się jednak nie stało.

Kiedy się ocknąłem, leżałem na ziemi. Krew na twarzy już mi zaschła, na zewnątrz było ciemno. W baraku unosił się znienawidzony przeze mnie, znajomy smród. Demoniczne wyziewy prosto z czeluści piekieł, pomyślałem.

Wsparłem się na trzęsących się rękach i potrzebowałem chwili, by zobaczyć cokolwiek w chybotliwym świetle świec. Zanim rozpoznałem ludzi stojących przy leżance ojca Segreste, usłyszałem ciche modlitwy.

Wielogłos.

Ale nie demoniczny, nie złowrogi. Wręcz przeciwnie, głosy były łagodne i pełne wyrozumiałości. Należały do kilku mężczyzn, którzy otaczali posłanie. Rozpoznałem tych, którzy pomagali nam podczas egzorcyzmu.

Potem dostrzegłem samego Césara, stojącego u stóp leżanki. Zasłaniał mi postać, która znajdowała się po drugiej stronie. Która wyciągała otwarte dłonie w kierunku Kingi. Dopiero kiedy się podniosłem, zobaczyłem mężczyznę z białą brodą.

Nie on jednak przykuł moją uwagę. Zrobiły to wszystkie obrazy, figurki i rzeźby, które wypełniały pomieszczenie.

Czarne Madonny. Co najmniej kilkadziesiąt, może nawet sto.

Podniosłem się, przykuwając uwagę wszystkich oprócz Istniejącego. On jeden zdawał się niezaskoczony tym, że się ocknąłem.

Popatrzyłem na Kingę. Wyraz demonicznego opętania znikł z jej twarzy. Oczy wprawdzie miała zamknięte, ale mięśnie twarzy były rozluźnione. Wyglądała zupełnie inaczej.

– Co się tutaj dzieje? – zapytałem.

César powoli się do mnie zbliżył. Ostrożność, z jaką to robił, wydała mi się podejrzana.

– I skąd te wszystkie Czarne Madonny? – zapytałem.

Jedna z nich wisiała nad łóżkiem, jakby na honorowym miejscu. Obraz przypominał ten, który widziałem na Jasnej Górze. Był ewidentną kopią, choć nie do końca wierną. Wisiał przechylony na bok, a ja dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że z oczu Matki Bożej ściekają czerwone łzy.

Dostrzegłem krew na poduszce, tuż przy głowie Kingi. Zamrugałem kilkakrotnie oczami, choć wzrok już przywykł do półmroku.

– César… co tu się stało?

– Już po wszystkim – powiedział Segreste.

– Nie rozumiem…

Spojrzałem na Istniejącego, który nadal cicho odmawiał modlitwę. Tę samą, którą sam wypowiadałem, zanim demon podjął ostatnią próbę ratunku. „Salve Regina”.

– Co się wydarzyło?

– Zło zostało pokonane – odparł César.

Widziałem zmęczenie na jego twarzy. Nie, nie tylko na jego. Wszyscy zgromadzeni zdawali się wyczerpani. Mieli podkrążone oczy, a rozległe plamy potu na ich koszulkach świadczyły, że przeszli niemało.

Najbardziej wycieńczony zdawał się Istniejący.

– Co on tu robi? – zapytałem.

– Sam ci wszystko wytłumaczy.

– Ale…

– Cierpliwości.

– Byłem cierpliwy, César. Dłużej, niż mógłbyś sobie wyobrazić.

Ile czasu mogło minąć dla mnie na pokładzie JAL 123? Nie wiedziałem, nie chciałem nawet znać odpowiedzi na to pytanie. Mogła okazać się niepokojąca, wszak nie pamiętałem całej ostatniej wizyty.

– Wiem – odparł Segreste. – Wiem o wszystkim.

– To znaczy?

Wskazał mężczyznę z białą brodą. Ten właśnie się przeżegnał, a Kinga lekko drgnęła. Odwróciłem się i spojrzałem na mokrą plamę w miejscu, gdzie przed momentem leżałem. Potrząsnąłem głową, mając nadzieję, że w ten prosty sposób myśli choć trochę ułożą mi się w głowie.

– Jak długo byłem nieprzytomny?

– Kilka godzin.

Odwróciłem się do Kingi.

– Co z nią?

– Legion ją opuścił.

Segreste mówił cicho, z wyraźnym zmęczeniem, ale w jego głosie dało się słyszeć bezgraniczną satysfakcję. I radość. Czystą, niczym nieskażoną radość.

Istniejący przeżegnał się jeszcze raz, a potem ruszył w moim kierunku. Skinął na mnie, nie zatrzymując się. Poszedłem za nim na zewnątrz, rozgarniając szmaty i koszulki, które służyły Césarowi za drzwi.

Stanęliśmy przed barakiem. Miałem wrażenie, że nocna cisza oplata nas jak lepka pajęczyna.

– Wszystko z nią w porządku – odezwał się mężczyzna.

– Wygnaliście to, co…

– Tak.

– Jakim cudem?

– Za wstawiennictwem Matki Bożej. Z pomocą jej syna, Jezusa Chrystusa, który prowadził mnie przez czas

i przestrzeń.

Uniosłem brwi, nie dowierzając temu, co słyszę. A zatem nie miałem do czynienia z fałszywym prorokiem? Czy może to wszystko było jedynie kolejną demoniczną manipulacją?

Nie, nie powinienem wierzyć w nic, co ten człowiek mówił. Musiałem mieć na uwadze wszystko, co mi się przydarzyło. Przecież sam w pewnym momencie byłem opętany, demon cofał się w czasie, zbrukał moją duszę swoją obecnością. Tkwił we mnie nadal i wciąż stanowił zagrożenie.

Nic, co tu się działo, nie było prawdziwe.

– Za chwilę wszystko zrozumiesz, Filipie. Przecież obiecałem ci to na pokładzie.

Skinąłem głową bez przekonania. Istniejący mówił równie cicho jak Segreste, ale był tak samo zadowolony. W jego przypadku było to jednak alarmujące.

– Słucham – powiedziałem. – A ty tłumacz. Wszystko, od początku.

– Tak zrobię. Ale najpierw musimy ustalić, gdzie leży początek.

Wciągnąłem nocne powietrze głęboko do płuc. Okolica zdawała się wymarła. Podobnie jak Istniejący.

– A znajduje się on w momencie, kiedy ostatnio odwiedzałeś grób ojca. W momencie, w którym zamknąłeś przejście.

– Innymi słowy w momencie, którego nie pamiętam. To wygodne.

– Wygodne dla kogo?

– Dla ciebie, bo właściwie możesz opowiedzieć mi największe kłamstwo, a ja nie będę miał jak zweryfikować, czy…

– Wszystko sobie przypomnisz.

Wsunąłem ręce do kieszeni i czekałem, nie pokładając nawet odrobiny wiary w jego słowa. Temperatura musiała spaść do około dwudziestu stopni, powietrze było wilgotne, jakby gęste.

Istniejący zaczął mówić. Początkowo powoli, cedząc słowa, jakby obawiał się, że umknie mi coś ważnego. Zrozumiałem,

że nie robił tego bez przyczyny. Wszystko, co od niego słyszałem, miało znaczenie. Nawet najkrótsza wzmianka, dotycząca najmniej istotnego elementu całej tej sytuacji.

Zaczęliśmy rozmowę na zewnątrz, było już po zmroku.

Kończyliśmy ją w baraku nad ranem.

A ja miałem wrażenie, że znalazłem się w zupełnie innej, nowej rzeczywistości.

IX

Podczas lotu powrotnego do Frankfurtu nie zamieniliśmy z Kingą wielu słów. Przez większość czasu spała, a ja nie miałem zamiaru jej budzić. Do powiedzenia miałem jej jednak wiele.

Chciałem przekazać wszystko, czego dowiedziałem się od Istniejącego. Trochę czasu zajęło mi ułożenie sobie tego w głowie, ale ostatecznie coś, co z początku wydawało się nierealne, nabrało rzeczywistych kształtów.

Lądując na Strachowicach, zmieniłem jednak decyzję co do tego, czy podzielę się tym z Kingą. Opuściliśmy samolot, w milczeniu odebraliśmy bagaże, a potem wzięliśmy taksówkę. Wracając na Krzyki, wciąż się do siebie nie odzywaliśmy.

Odprowadziłem ją do mieszkania, uściskaliśmy się, a potem wróciła do siebie. Do swojego świata.

Ja w swoim czułem się nieswojo. I to nie tylko dlatego, że kiedy wszedłem do domu, zastałem tam Anetę. Siedziała przed telewizorem, oglądała relację na temat Istniejącego.

Nie musiałem słuchać, co mówią dziennikarze, by wiedzieć, co się z nim stało.

Stacje telewizyjne wysłały swoje ekipy do Afryki, starając się odnaleźć człowieka z białą brodą. Ten jednak przepadł jak kamień w wodę. Niektórzy twierdzili, że widziano go gdzieś w Ameryce Łacińskiej, ale informacji tych nie potwierdzono. Szybko zresztą zaczęły pojawiać się kolejne, z innych zakątków świata.

Aneta popatrzyła na mnie bez zdziwienia, jakby wiedziała, że pojawię się akurat teraz. Podniosła się, podeszła do mnie, a potem odebrała ode mnie bagaż.

– Jak dużo wiesz? – zapytałem.

– Wszystko.

– Istniejący…

– Powiedział mi o wszystkim zaraz po tym, jak nasz samolot znikł.

Skinąłem głową. Nie pytałem go o to, wychodząc z założenia, że najlepiej będzie, jeśli po powrocie do Polski spytam Anetę. W Tulum miałem z nim do omówienia znacznie ważniejsze rzeczy.

Rzeczy, od których zależał nie tylko mój los.

– Co zamierzasz? – zapytała.

Poczułem aromat bergamotki i uświadomiłem sobie, że Aneta musiała przed momentem zaparzyć earl greya.

– Czekałaś na mnie? – odezwałem się. – Wiedziałaś, że akurat teraz się zjawię?

– Nie.

– Więc…

– Herbatę zrobiłam dla siebie.

Skinąłem głową bez przekonania.

– Nie wiem, co się dalej wydarzy – powiedziała. – Istniejący także tego nie wie. Wszystko jest jeszcze możliwe.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Siły zła mogą jeszcze zwyciężyć.

Głos tej kobiety nie przypominał tego, który słyszałem z ust narzeczonej. Ta wersja Anety, którą miałem przed sobą, przywodziła na myśl dewotkę chorobliwie oddaną sprawie, której sama do końca nie rozumie.

– Pytałam, co zamierzasz.

– A jak sądzisz?

– Nie wiem. Trudno powiedzieć, czego się po tobie spodziewać.

Na razie mogła spodziewać się tego, że skorzystam z okazji. Podszedłem do blatu kuchennego, wyciągnąłem torebkę z kubka, a potem wziąłem niewielki łyk.

– Berg – upomniała mnie.

Obróciłem się do niej.

– Zamierzam zrobić wszystko, co polecił mi Istniejący.

– To dobrze. W przeciwnym wypadku…

– Wiem, co jest na szali.

Wyglądała na zadowoloną. Nie, nie do końca. Sprawiała wrażenie matki usatysfakcjonowanej tym, że jej dziecko w końcu przyjęło do wiadomości, że nie wypada dłubać w nosie. Była podbudowana, jakby rzeczywiście osiągnęła coś istotnego. Jakby wszystko sprowadzało się do tego, że jej nie zawiodłem.

– Wiedziałam, że można będzie na tobie polegać.

Prychnąłem cicho i usiadłem z kubkiem herbaty przed telewizorem. Nie miałem zamiaru wdawać się w dyskusje z osobą, której właściwie nie znałem. I która przez to, co ją spotkało, patrzyła na świat przez rozbite okulary.

Zrozumiałem, że nie zna całej prawdy. Istniejący powiedział jej tylko tyle, ile musiał.

– Gdybyś potrzebował…

– Niczego mi nie potrzeba.

– W takim razie kiedy zaczynasz?

– Jak tylko wypiję herbatę.

Nie skomentowała, ale wiedziałem, że znów patrzy na mnie z poczuciem wyższości i ukontentowaniem. Cieszyło ją, że nie mam zamiaru tracić czasu, ale tak naprawdę nie wynikało to z mojej potrzeby pośpiechu. Wiedziałem, że nie ma sensu czekać, bo nocy i tak nie prześpię. Czas będzie upływał mi na rozmyślaniach, a miałem ich serdecznie dosyć.

Nawet się nie rozbierałem, nie było sensu. Dopiłem herbatę, a potem ruszyłem do wyjścia. Zabrałem kluczyki do kajanki i zatrzymałem się przed drzwiami.

– Niebawem się zobaczymy – odezwała się Aneta.

– Nie wydaje mi się.

– Zapewniam cię, że tak.

Wyszedłem na korytarz, nie odpowiadając. Wątpiłem, żeby jeszcze kiedykolwiek dane mi było spotkać narzeczoną. Na

dobrą sprawę powinienem też przestać nazywać ją w ten sposób.

Zrobiłem tournée po kilkunastu aptekach we Wrocławiu. Wiedziałem, że żaden farmaceuta nie sprzeda mi tyle środków przeciwbólowych, ile potrzebowałem. Najważniejsze były te, które zawierały kodeinę. Dopuszczalna dzienna dawka wynosiła trzydzieści miligramów, ja miałem zamiar przyjąć znacznie więcej.

Oprócz tego zaopatrzyłem się we wszystkie inne leki, które mogły spotęgować działanie tej substancji. Ostatecznie w monopolowym przy Kleczkowskiej kupiłem niewielką butelkę wódki, dwie duże mrożone herbaty, a chwilę później, w sklepie nieopodal, także spirytus.

Alkohol był kluczowy, szczególnie ten stężony. Wódki kupować nie musiałem, ale czułem, że bez niej byłoby ciężko.

Mając wszystko, czego potrzebowałem, pojechałem na cmentarz. Zaparkowałem kajankę tam, gdzie ostatnio, kiedy byłem tutaj z Kingą. Wysiadłem z samochodu i się rozejrzałem. Przyszło mi do głowy, że chciałbym zabrać część tego świata ze sobą.

Ale nie mogłem. Każdy jego element musiał tutaj zostać. W pewnym sensie ja także musiałem.

Zapakowałem leki i alkohol do jednej torby i ruszyłem w kierunku grobu ojca. Kiedy zaczęły nachodzić mnie wątpliwości, powtarzałem sobie w duchu, że Kinga jest najważniejsza. Nic innego się nie liczyło.

Usiadłem przy mogile i zacząłem otwierać opakowanie po opakowaniu. Łykałem tabletki jak cukierki, popijając je wódką. Kiedy zaczęła działać – albo jej ostry smak dał mi iluzję, że działa – zacząłem dolewać spirytusu do mrożonych herbat, a potem je pić.

Zbierało mi się na wymioty, ale wiedziałem, że uda mi się je powstrzymać. Już nie w takich sytuacjach opanowywałem nudności.

Przekroczyłem śmiertelną dawkę leków tak dalece, że same w sobie wystarczyłyby, żebym już się nie obudził. Po doprawieniu ich wódką i spirytusem mogłem mieć pewność, że właśnie popełniam samobójstwo.

Grzech ciężki. Zaśmiałem się w duchu na tę myśl. Biorąc pod uwagę wszystko, co się działo, sprawiedliwie byłoby, gdybym mógł liczyć chociaż na zbawienie w niebie.

Tyle że świat do miejsc sprawiedliwych nie należał.

Kiedy opróżniłem wszystkie pudełka, odrzuciłem na bok ostatni blister, pociągnąłem jeszcze wódki, po czym położyłem głowę na zimnej mogile. Stopniowo odpływałem. Kodeina sprawiła, że towarzyszyło mi uczucie błogości, a w ostatnim momencie nawet euforii.

Umierając, nie widziałem światła na końcu tunelu.

Zobaczyłem twarz Kyoko. Japonki, którą dobrze znałem.

– Nic ci nie jest, Katashi? – zapytała.

X

Śmierć była dla mnie także narodzinami.

Zostawiłem tamten świat, przenosząc się w inny. Moja nowa rzeczywistość dopiero miała się ukształtować – i ostatecznie przybrać formę, którą przedstawił mi Istniejący.

Zacząłem dokładnie tak, jak polecił. Przeżyłem kilkadziesiąt, może kilkaset cykli na pokładzie Air Hibernia 123. Wnikałem w każde ciało, analizowałem każdy najmniejszy szczegół katastrofy, znałem każde słowo, które padało na pokładzie. Wiedziałem o wszystkim, co się dzieje.

Mogłem zapobiec katastrofie. Zrozumiałem to już przy trzydziestym cyklu. Nie miałem jednak zamiaru tego robić.

Poświęcenie kilkuset ludzi wydawało się niewielką ceną, jaką trzeba było zapłacić za ocalenie znacznie większej liczby.

Pamiętałem o dokumentach, które niegdyś oglądałem – oraz o materiałach dotyczących katastrofy. Eksperci lotniczy, którzy badali wypadek, w większości spraw się nie pomylili. Mieli zresztą do dyspozycji pełny rejestr czarnych skrzynek i mnóstwo materiału do badań. Samolot nie roztrzaskał się w drobny mak, nie spłonął na zboczach góry. Niektóre elementy zachowały się w całości.

Podobnie było w przypadku kilku pasażerów. Specjaliści, którzy w dokumentach twierdzili, że parę osób przeżyło samo zderzenie, ale zmarło w oczekiwaniu na przybycie służb, mieli rację.

Do mnie należało ustalenie, w którym miejscu na pokładzie znajdowały się te osoby. Nie było to trudne. Wystarczyło trochę cierpliwości – ostatecznie bowiem miałem znaleźć się przecież w każdym z pasażerów. Kiedy ustaliłem, kto ocaleje, a potem kilkadziesiąt lub kilkaset razy przeżyłem gehennę

dogorywania w ciele tych nieszczęśników, wiedziałem już, że Istniejący się nie pomylił.

Pozostało mi zrobić tylko jedno. Poczekać na cykl, przy którym znajdę się w ciele mężczyzny z białą brodą, a potem zmaksymalizować szanse na przeżycie.

Zrobiłem to, zamieniając się miejscami z jednym z Japończyków.

Wcześniej jednak ktoś inny musiał ustąpić mi miejsca. Ten, który znajdował się w ciele brodatego mężczyzny. Zrobił to podczas naszego innego spotkania – tego, które wymazałem z pamięci. Dlatego twierdził, że to wszystko wtedy się zaczęło. To był punkt kluczowy.

Punkt w przeszłości? Jedynie z mojego punktu widzenia. Czas nie miał znaczenia, tutaj wszystko było płynne. I wymykało się logice.

Zupełnie jak z kotem Schrödingera. Eksperymentem myślowym sprowadzającym się do prostego założenia. Kot zostaje zamknięty w pojemniku z trującym gazem. Oprócz tego umieszcza się w nim źródło promieniowania i licznik Geigera. Jeśli dojdzie do radioaktywnej reakcji, trujący gaz zostaje wypuszczony i kot ginie. Jeśli nie, zwierzę przeżyje.

Schrödinger dowodził, że dopóki nie otworzy się pojemnika, zachodzi paradoks. Nie wiadomo, czy zwierzę żyje – logika podpowiada, że istnieje pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo obydwu wersji. Tyle że z punktu widzenia mechaniki kwantowej wygląda to zupełnie inaczej.

Kot znajduje się w superpozycji. Jest jednocześnie żywy i martwy. Istnieje w dwóch stanach.

Podobnie było z jaźnią, która znajdowała się w ciele mężczyzny z białą brodą. I tak, jak przy eksperymencie Schrödingera, jego stan także przekraczał ludzką percepcję.

Za pierwszym razem w ciele Istniejącego przeżyłem katastrofę. Doszło jednak do kilku otwartych złamań.

Zdołałem odczołgać się od wraku na kilkadziesiąt metrów, ale krwawienie okazało się zbyt obfite.

Przy kolejnej próbie usadowiłem się inaczej.

Przy następnej starałem się przybrać inną pozycję.

Metodą prób i błędów w końcu udało mi się przetrwać w ciele mężczyzny bez zagrażających życiu obrażeń. Tak jak niegdyś udało się to Bahii Bakari, która przeżyła katastrofę Yemenia 626 z dwa tysiące dziewiątego roku i Cecelii Cichan, ocalałej po rozbiciu się 225 Northwest Airlines. Kiedy mój boeing wbił się w zbocze Takamagahary, nie tylko wynurzyłem się z wraku, ale mogłem odejść o własnych siłach.

I tak zrobiłem. Zaraz po tym, jak zmówiłem modlitwę nad zniszczonym, ale ocalałym obrazem przedstawiającym Czarną Madonnę.

Przetrwałem. Nie przestałem istnieć.

Stałem się Istniejącym.

Wszystko, co musiałem zrobić później, było skrupulatnie zaplanowane. Nie przeze mnie, ale przez siły znacznie potężniejsze ode mnie. Siły, które miały położyć kres panoszeniu się zła.

Ostatecznie wszystko sprowadzało się właśnie do tego.

Był rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty. Do momentu, kiedy pojawię się na lotnisku w Izraelu, wychodząc z samolotu Air Hibernia 3836, pozostało ponad trzydzieści lat. Czas ten musiałem przeznaczyć na przygotowywanie się. I czekanie.

Najistotniejsze było to, bym umieścił Czarną Madonnę na pokładzie boeinga. To ona stanowiła pomost, a może nawet dużo więcej. Może to właśnie Nieprzyjaciółka Szatana była tą, która uratowała nas przed złem.

Czy poświęcenie kilkuset pasażerów JAL 123 było konieczne? Tak, inaczej bowiem nie mógłbym wniknąć w ciało mężczyzny z białą brodą. I nie mógłbym zrobić tego wszystkiego, co nastąpiło później.

XI

Powtórzyłem scenariusz, który znałem już z mojej przeszłości. Dla reszty świata stanowiła przyszłość, ale nie miałem zamiaru z nikim dzielić się szczegółami. Z nikim, jeśli nie liczyć Anety. Jej powiedziałem tyle, ile musiała wiedzieć, by mi pomóc – bo tak wyglądało to w rzeczywistości, którą znałem. Tej, której w poprzednim życiu doświadczyłem jako Berg.

I którą musiałem powtórzyć, jeśli chciałem mieć pewność, że ostatecznie pokonamy Legion.

Znalazłem się więc na pokładzie Air Hibernia 3836. Poczekałem, aż zniknie, tak jak znikało wiele innych maszyn, okrętów i ludzi na przestrzeni dziejów. HMS Atalanta gdzieś między Bermudami a Anglią. Lot MA 370 z Kuala Lumpur do Pekinu. SS Pacific w drodze z Liverpoolu do Nowego Jorku. Pakistański fokker F27 gdzieś nad Himalajami. Podobnych zaginięć było bez liku. I każdy z tych przypadków stanowił rezultat działania sił zła. Tyle że tym razem te, które znajdowały się na drugim biegunie, umieściły w przeszłości swojego człowieka. Mnie.

Szatan odpowiadał jednak nie tylko za AH 3836. Druga z maszyn, ta, która miała trafić w Watykan, znajdowała się w jego rękach. To także one prowadziły narzędzie zbrodni, które policja znalazła przy ciele Poli.

Z mojego punktu widzenia pasażerowie chorwackiej maszyny i szeptucha nie mieli znaczenia. Byli ofiarami wojny. Ja zaś musiałem skupić się na tym, by nie pochłonęła ona więcej istnień.

Po tym, jak kontrola lotów straciła kontakt z maszyną, wszyscy znaleźliśmy się w próżni. Nie działo się nic, byliśmy jak grupa zagubionych osób we mgle. Wszyscy byli zdezorientowani, otumanieni, podatni na wpływ.

Ale tym razem nie wywoływały go złe moce, tylko ja. Przekonałem Anetę, że wszystko musi się odbyć tak, jak już tego doświadczyłem. Kiedy zadzwonił jej telefon, odebrałem, a potem wypowiedziałem odpowiednie słowa w pierwotnej łacińskiej wymowie. Wiedziałem, że usłyszę swój głos dobywający się z gardła, nie ten należący do mężczyzny z białą brodą.

Przekazałem Bergowi wszystko, co musiał wiedzieć, by zdarzenia nastąpiły dokładnie tak, jak je pamiętałem. Miał dotrzeć do heksagramu, Izaaka, a potem do znaczenia trzeciego dnia i piętnastego kwietnia. I w końcu do związku z Japonią.

Mogłem zaryzykować, zmieniając któryś element i sprawiając, że szybko rozpozna passus z Księgi Rodzaju, lub skierować jego uwagę od razu na lot JAL 123, ale nie było ku temu powodu. Plan został ułożony przez istoty znacznie potężniejsze ode mnie. I to w taki sposób, by siły zła nie mogły zapobiec jego realizacji.

Będą próbowały. Sponiewierają Berga w jego sypialni, kiedy będzie wymiotował czarną mazią, prosząc Boga o pomoc. Ale ani przez moment nie będzie zdany na siebie. Owszem, miał swój krzyż do poniesienia, ale pomoże mu w tym ojciec. Nie tylko nakieruje go na odpowiedni trop, ale też będzie dla niego oparciem.

Musiałem opuścić pokład na izraelskim lotnisku i od tamtego momentu robić wszystko, by nie dać się poznać jako ten, który został przemycony w czasie przez siły dobra. To, co robiłem jako Istniejący, miało przekonać demony powoli zagnieżdżające się na ziemi, że nie stanowię dla nich żadnego niebezpieczeństwa. Że jestem fałszywym prorokiem. Jednym z nich.

Wszystko zadziałało tak, jak powinno. Ponad trzydzieści lat po tym, jak oddaliłem się z miejsca katastrofy w Japonii, znalazłem się w Afryce. Zbierałem obrazy przedstawiające

Czarną Madonnę, tylko ona bowiem mogła mi pomóc w przeprowadzeniu egzorcyzmu na Kindze.

Kiedy Berg został wyrwany z tego świata szponami Legionu, zjawiłem się w Tulum. Wiedziałem, że ojca Segreste muszę szukać w tamtejszym kościele. Po ucieczce z baraku modlił się przed ołtarzem. Tylko chwilę zajęło mi przekonanie go, by zebrał swoich pomocników – i byśmy wszyscy wrócili do Kingi i Berga.

Umieściliśmy Czarne Madonny na ścianach, szafkach i w innych miejscach. Czuliśmy się chronieni. I byliśmy.

Obraz, który znajdował się nad łóżkiem, pochodził z pokładu AH 3836. Kiedy odprawiałem egzorcyzm, przeganiając z ciała Kingi trzy demoniczne istoty, obraz przekrzywił się na ścianie.

Czerwone, krwawe łzy, które pociekły z oczu Matki Bożej, zdawały się nie tylko wyrazem współczucia dla dziewczyny, która musiała znieść w sobie obecność Legionu. Były ubolewaniem wyrażonym wobec świata.

Nie nadchodził Sąd Ostateczny. Jeszcze nie teraz.

Wszystko jednak zmierzało w tym kierunku.

To, co niegdyś mówiłem o prześladowaniu chrześcijan, było prawdą. W każdym miesiącu na świecie zabijano z powodu religii średnio trzystu dwudziestu dwóch wyznawców Chrystusa. Dziesięciu dziennie. Watykan mówił o tym otwarcie. Tylko Watykan. Reszty świata zdawało się to nie interesować.

Trwało globalne męczeństwo, ale nie miało ono żadnych walorów medialnych. Inne tragedie zaś wyłącznie je miewały. Nigdy nie miały. Zainteresowanie nimi przemijało jak entuzjazm wywołany premierą głośnego filmu.

Ludzie nie tylko zabijali innych ludzi, ale także masowo sami odbierali sobie życie. Rocznie w ten sposób znikało z tego świata osiemset tysięcy dusz. I trafiało do miejsca, z którego wychynęły demony opanowujące ciało Kingi.

Nie tylko my nie radziliśmy sobie z naszym życiem. Nie radziła sobie z nim także nasza planeta. Przez głód i choroby z nim związane dziennie na świecie umierało dwadzieścia jeden tysięcy ludzi. Głównie dzieci. Mniej więcej jedna osoba na cztery sekundy.

W ciągu minuty dwie osoby na świecie ginęły z powodu wojny lub konfliktu. Przemoc szerzyła się coraz szybciej i nic nie wskazywało na to, by miało to prędko ulec zmianie.

Kinga nie była jedyną osobą, którą kierowały siły zła. Przeciwnie, stanowiła jedynie kroplę w morzu.

W Tulum, odmawiając modlitwę do Matki Bożej, patrzyłem, jak wije się na łóżku. Kątem oka dostrzegałem, że obraz się przechyla. Łzy ściekały po ścianie, skapywały na Kingę, na poduszkę i leżankę. Legion walczył, ale tylko do czasu.

Ostatecznie ta, która miała zgładzić Szatana, triumfowała. A ja dopełniłem historii, stając się Istniejącym. Czy jednak istniałem naprawdę? Po tym, jak przekazałem wszystko Bergowi i koło się zamknęło?

Nie. Stałem się powidokiem tamtej osoby. Cieniem, który rozpoczynał długą wędrówkę po świecie i miał stawać do walki z manifestującymi się w nas wszystkich siłami zła. Przez następnych tysiąc lat.

„A gdy się skończy tysiąc lat,
z więzienia swego Szatan zostanie zwolniony.
I wyjdzie, by omamić narody
z czterech narożników ziemi”[8].

[8] Apokalipsa Świętego Jana, rozdz. 20, wers 7 i 8.

Posłowie

Nigdy więcej – napisałem Monice, mojej redaktorce, kiedy wspomniałem, że kończę pracę nad *Czarną Madonną*. Zaczynając pisać tę książkę, nie miałem pojęcia, jak głęboki niepokój we mnie wywoła. Jak wiele strun w duszy zadrga mi niepokojąco, grając ponury, smutny nokturn.

Moje początkowe założenie było proste i niewinne – chciałem napisać książkę, która sprawi, że sam się wystraszę. Lubię literackie horrory, uwielbiam Stephena Kinga, który zawsze będzie dla mnie niedoścignionym mistrzem – niespecjalnie jednak obawiam się klaunów (nawet jeśli wyglądają upiornie i mieszkają w kanałach), wilkołaków, wampirów, nawiedzonych hoteli, parków rozrywki, „cmętarzy zwieżąt", buicków czy plymouthów fury. Mój niepokój zazwyczaj budzi to, co nienadprzyrodzone – czyli zwykłe, ludzkie zło. I to właśnie dlatego, że jest „zwykłe".

Oprócz tego jednak zawsze ruszały mnie horrory religijne. Wiedziałem, że właśnie z tego powodu jeden kiedyś napiszę – i przypuszczałem, że research nie będzie należał do najłatwiejszych. Okazało się jednak, że było znacznie gorzej, niż to sobie wyobrażałem.

Po czytaniu wspomnień egzorcystów, takich jak przywoływany w powieści Gabriele Amorth, każdy niepokojący dźwięk w nocy zdawał się pukaniem demona. Każdy rozbłysk za oknem – mrugnięciem złych ślepi. Po raz pierwszy podczas pracy nad książką zdarzyło mi się obudzić w środku nocy z przerażeniem, mając jeszcze przed oczami sceny, nad którymi pracowałem za dnia.

Mam nadzieję, że podobne przeżycia nie towarzyszyły Ci podczas lektury.

A zarazem, że chociaż raz udało mi się przestraszyć Cię choćby trochę…

…a jeśli nie, pamiętaj, że w rzeczywistości katastrofę Air Japan 123 przeżyły cztery osoby.

Remigiusz Mróz
Opole, 2 kwietnia 2017 roku

Bestsellerowa seria thrillerów prawniczych Remigiusza Mroza

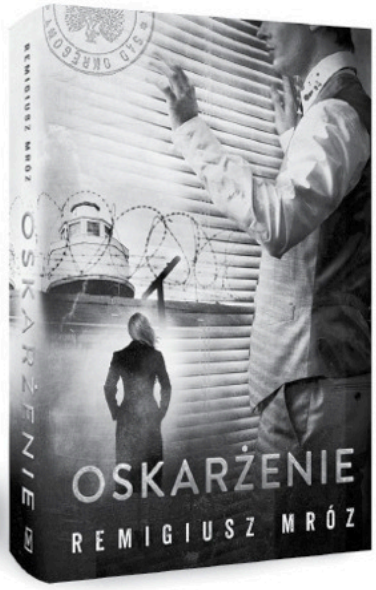

Ulubiony duet prawniczy polskich czytelników.
Chyłka i Zordon.
Ona – bezkompromisowa i nieprzebierająca w środkach, pracująca dla bezwzględnej warszawskiej korporacji.
On – ambitny, początkujący aplikant, który musi odnaleźć się w świecie paragrafów i zbrodni, ale też sprostać oczekiwaniom nieugiętej przełożonej. Razem rozwiązują sprawy, z którymi nikt inny nie odważyłby się zmierzyć.
Manipulacje, intrygi i bezwzględny, ale też fascynujący prawniczy świat.

Remigiusz Mróz – laureat Nagrody Czytelników Wielkiego Kalibru za *Kasację*

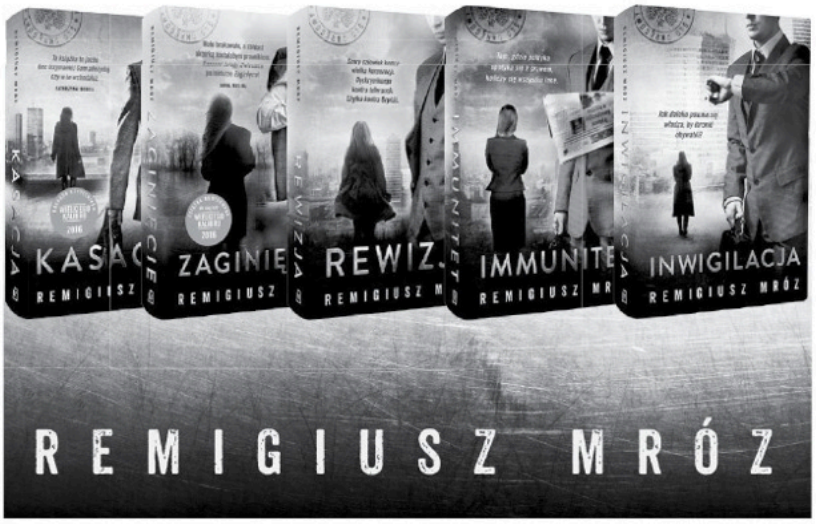

Odważysz się wejść w przestępczy świat przedwojennej Warszawy?

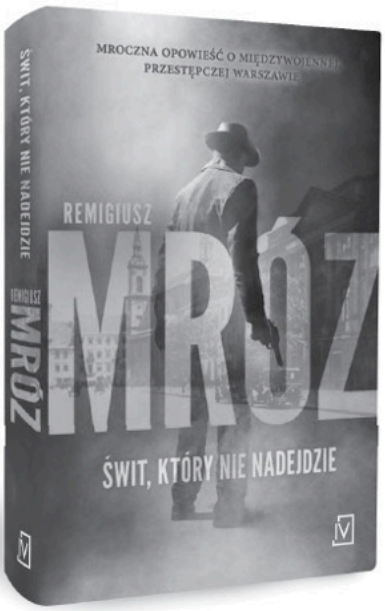

Były pięściarz, Ernest Wilmański, to człowiek bez przeszłości. Stracił wszystko, co miał do stracenia. W poszukiwaniu nowego życia wyjechał do stolicy, jednak znalazł się w złym czasie i w złym miejscu. Zanim zaczął rozglądać się za pracą, praca znalazła jego i... nie miała nic wspólnego z uczciwym zarobkiem.

Wilmański wbrew swojej woli został wciągnięty w świat Banników, grupy przestępczej, która swą nazwę zawdzięcza temu, że z przeciwnikami rozprawia się tak, jak robił to słowiański demon – topiąc ich w baniach.

Ernest wspina się po gangsterskiej drabinie, nie spodziewając się, że jedna kobieta może pokrzyżować wszystkie jego plany. Ani że zjawy z przeszłości dopomną się o uwagę...

Zabójstwo w austro-węgierskim dworku to tylko początek...

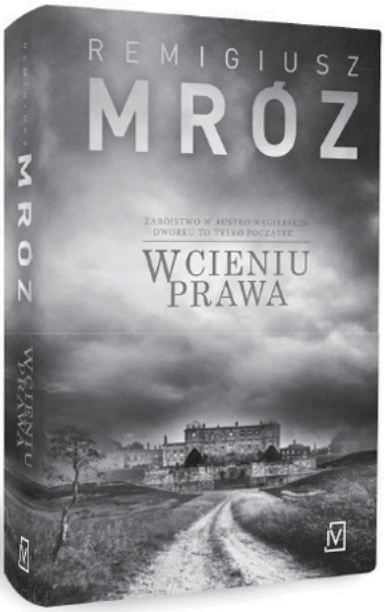

Galicja, 1909 rok. Mimo złej opinii i niejasnej przeszłości Erik Landecki zostaje przyjęty na czyścibuta w austriackim dworku. Jest przekonany, że los się do niego uśmiechnął. Pierwszej nocy ginie jednak dziedzic rodu, a cień podejrzeń pada na Polaka. Szybko pojawiają się spreparowane dowody, a Erik staje się głównym podejrzanym.

Musi walczyć nie tylko o swoją wolność, lecz także o życie – w zaborze austriackim karą za morderstwo jest bowiem śmierć przez powieszenie.

Spis treści

Rozdział I. Signum sanctae crucis

- I
- II
- III
- IV
- V
- VI
- VII
- VIII
- IX
- X
- XI

Rozdział II. Doxologia in honorem Sanctissimae Trinitatis

- I
- II
- III
- IV
- V
- VI
- VII
- VIII
- IX
- X
- XI
- XII
- XIII

Rozdział III. Symbolum Apostolorum

- I
- II
- III
- IV
- V
- VI
- VII
- VIII

Rozdział IV. Oratio Dominica

- I
- II
- III
- IV
- V
- VI
- VII
- VIII
- IX
- X
- XI

Posłowie

Polecamy